



Blask Corredo



HERBATA SZCZĘŚCIA

AGNIESZKA GRZELAK

w|drodze

AGNIESZKA GRZELAK
HERBATA SZCZĘŚCIA



CZEŚĆ I

1.

To już ostatnie muśnięcia pędzla nakładającego barwę na szkarłatny płatek róży. Jeszcze tylko ciemniejsza smuga na brzegu. Koniec. Szklarka odchyliła głowę na oparcie krzesła. Przymknęła oczy. Zamówienie do pałacyku księżnej Ilse Coral Morgenrose można uznać za skończone. Trzysta czterdzieści osiem witrażowych obrazków przedstawiających róże. Księżna życzyła sobie, żeby każdy kwiat był inny. Praca była więc skomplikowana. Przeglądanie atlasów i opracowań botanicznych, godziny spędzane w rosariach na robieniu studiów z natury. Chyba przez najbliższy rok nie będę miała ochoty patrzeć na róże, pomyślała Szklarka. Trzy miesiące pracy... Wstała od stołu, porządnie zakręciła słoiczki z farbami i odstawiła je na półkę w tym samym porządku, co zawsze - rozpoczynając od barw ciepłych i przechodząc stopniowo ku zimnym. Ściągnęła fartuch. Wyjęła z szafki butelkę z naftą i nalała odrobinę na dłoń. Płyn skutecznie usunął resztki farby z rąk. Trąciła zawieszony na haftowanej taśmie srebrny dzwonek i w pracowni pojawiła się Verka.

- Przygotuj mi kąpiel i coś gorącego do picia.

- I kolację?

- Nie, Verko, nie mam ochoty na jedzenie.

Wychodząc, młodziutka, jasnowłosa służąca rzuciła jeszcze okiem na stół.

- Piękne są te róże, panno Szklarko. Wszyscy mówią, że pałac księżnej Morgenrose przyćmi nawet szklaną wieżę królowej Keweny.

Szklana wieża Keweny. Rok pracy. Szklarka mieszkała wtedy w zamku. Ogromne szyby, które miała malować, nie zmieściłyby się w jej pracowni. Królowa zjawiała się często, sama albo co gorsza z gośćmi. Wtrącała się, komentowała... To rozpraszało. Po jej wyjściu Szklarka przez godzinę dochodziła do siebie, zanim mogła znowu zająć się pracą. Przychodził też Scaber. Bardzo rzadko coś mówił. Siadał i patrzył. To też dekoncentrowało, ale w miły sposób. Od niego dostała ten srebrny, wysadzany turkusami dzwoneczek, którym teraz przyzywa Verkę. Scaber... Młody hrabia Scaber Sedun, narzeczony Pepperii Thunbereng - córki marszałka Thunberenga. Dobrze, że Szklarka wiedziała o tych zaręczynach. Dobrze, że nie pozwoliła sobie na zakochanie. Dobrze, że... Miałam do tego nie wracać, westchnęła w myślach. Niemniej jednak mogę być dumna ze szklanej wieży.

Malowała wówczas na wielkich taflach wszystkie znane pnącza: klematysy, wiciokrzewy, bugenwille, bluszcze i setki innych. Ślęczała nad atlasami, nąd starymi rycinami... To był piękny czas niezależnie od Scabera, choć może właśnie dzięki niemu.

Myślała, że gdy znajdzie się w łóżku, zaśnie natychmiast, ale sen nie przychodził.

Światło księżyca rzucało białawy poblask na wiszący na ścianie mały obrazek, który przedstawiał kamienną wieżyczkę stojącą na usianej kwiatami łące. Lubiała na niego patrzeć. Jutro rozpocznie pracę nad nowym zamówieniem. Chciała pojechać do swojej samotni nad morzem i odpocząć po trzystu czterdziestu ośmiu różach księżnej Morgenrose, ale dwa dni temu zjawił się u niej człowiek o nazwisku Rieze i zaproponował tak wysokie honorarium za prędkie wykonanie jednego obrazka, że odłożyła odpoczynek na inny termin. Szybka była gruba i okrągła. Zlecenie proste: namalować gałązkę krzewu herbaty szczęścia. Szklarka nie słyszała nigdy o takiej roślinie, ale była pewna, że jest to ludowa nazwa jakiegoś zioła, którego rysunek powinna bez problemu znaleźć w swoim zbiorze tablic botanicznych. Pewność ta opuściła ją wieczorem, kiedy przewróciła ostatnią kartkę ostatniego atlasu i nic nie znalazła.

2.

Droga do klasztoru braci uzdrowicieli biegła między niskimi kamiennymi murkami odgradzającymi leżące na zboczach góry pastwiska. Murki porośnięte były mchem oraz płataniną jeżyn i bluszczów. Świeciło słońce, ale powietrze miało już ostry jesienny posmak. Szklarka, ubrana w ciepłą, granatową suknię z wysokim kołnierzem, musiała wkrótce otulić się białym, szydełkowym szalem, który przewidująco wzięła ze sobą. Dawno nie wyruszała za miasto, spędzając całe dni w pracowni. Teraz więc cieszyły ją rażny marsz, rześkie powietrze i otaczające ją zewsząd intensywne barwy. Lekko zdyszana dotarła na szczyt wzgórza, gdzie mieścił się klasztor. Jego mury z jasnego kamienia złociły się łagodnie w promieniach słońca i emanowały spokojem. Na ludzi, którzy przybywali tu szukać ulgi w cierpieniu, sam ten widok wpływał kojąco. Czuli się zdrowsi, mimo że nie zdążyli jeszcze poddać się leczeniu. Bramy były szeroko otwarte. O tej porze na brukowanym kocimi łbami dziedzińcu kłębił się tłum chorych. Stali w kolejkach do stoisk z ziołami, do cel braci badaczy albo cisnęli się do cudownej sadzawki. Szklarka ominęła ich wszystkich i skierowała się ku zachodniej wieży, w której mieściła się biblioteka. Drewniane, splekane ze starości drzwi skrzypnęły przeciągle, gdy wchodziła do ciemnego przedsionka.

- Panna Szklarka! - zawołał na jej widok wyraźnie uradowany brat Parel. - Dawnośmy się nie widzieli. Będzie chyba ze trzy lata. Przyszła pani skontrolować okna w czytelni? Malowidła pięknie się trzymają. Nawet najwyższy brat uzdrowiciel Godey z Tymmanu był tu i podziwiał.

Brat Parel był grubiułki i pogodny. Miał na sobie szary fartuch, jak wszyscy pracownicy biblioteki. Kurz ze starych ksiąg unosił się w powietrzu i pokrywał wszystko popielatą warstewką. Szklarka przypomniała sobie, jak bardzo utrudniało to prace malarskie. Teraz, patrząc na wysokie, łukowate okna czytelni, była dumna z namalowanych przez siebie pędów ziół, które migotały w promieniach słońca, rzucając kolorowe błyski na uginające się pod ciężarem ksiąg stoły. Obrzuciła salę szybkim spojrzeniem. Była prawie pusta. O tej porze

większość braci usługiwała chorym. Tylko trzech młodziutkich kandydatów pochylało ostrzyżone na krótko głowy nad zadrukowanymi stronicami.

- Chciałabym przejrzeć kilka atlasów botanicznych i może jakiś słownik z ludowymi nazwami ziół.

- Panna Szklarka szuka czegoś konkretnego?

- Tak. Potrzebuję wizerunku herbaty szczęścia.

Brat Parel zmarszczył czoło i pogładził lśniąca łyśnię.

- Prawdę mówiąc, panno Szklarko, każdy z nas studiował botanikę, aby w pełni poznać niezliczone dary, jakie ma nam do zaoferowania natura. Wszystkie ryciny z atlasów siedzą o tu! - Klepnął się w czoło. - I słowo daję, nie przypominam sobie takiego ziela.

Wskazał jej kwadratowy stół w oddalonym kącie sali. Dziewczyna uśmiechnęła się do siebie. Pamiętał, jak ceniła sobie odosobnienie.

- Proszę tu sięść, panno Szklarko. Zaraz coś przyniosę.

Jeśli brat Parel nie słyszał o herbacie szczęścia, to nie ma sensu przeglądać atlasów, pomyślała. Ciekawe, kim jest ten Rieze i dlaczego tak mu zależy na tym zleceniu. Pięćset złotych dukatów za jedną szybkę - nikt dotąd nie wykazał się taką rozrzutnością.

- Nie przyniosłem zwykłych naukowych opracowań. - Usłyszała głos brata Parela. Jego samego prawie nie było widać zza stosu zakurzonych ksiąg. - Znam je na pamięć, a i panna Szklarka pewno podobne ma u siebie. Te tutaj są stare i nie do końca wiarygodne, ale może da się w nich coś wyszukać.

Złocene napisy, skórzane oprawy, mieniące się barwami iluminacje... Szklarka aż westchnęła. Nie pierwszy raz w tej bibliotece ogarniała ją zazdrość i pragnienie posiadania niektórych manuskryptów. Obiecywała sobie, że kiedyś tu przyjdzie i skopiuje z największą dokładnością ot choćby taki *Herbarz czarodziejski*... Te przeplatane się gałązki bluszczu, powoju i winorośli ozdobione złotymi zawijasami i kielichami bajecznych kwiatów przypominających lilie. *Spisanie ziół zamorskich cudami słynących, Podanie o kwiecie paproci*... Kurz kręcił w nosie.

Sztywne karty wabiły kolorami i fantastycznymi opisami okazów botanicznych. Szklarka prawie zapomniała, po co tu przyszła. *Zasię aby miłość przywołać są one zioła jak następuje: lubczyk, arcydzięgiel*... Mimo woli jej myśl powędrowała ku Scaberowi. Zobaczyła jego ciemnobrązowe oczy i lekki uśmiech przez krótki moment rozświetlający twarz. „Panno Szklarko... Och, chciałbym wiedzieć, jakie naprawdę jest pani imię! Gdybym mógł, pokazałbym pani Wyspy Wschodu, tamtejsze zamki obrośnięte purpurowymi pnączami i ogrody tak piękne, że...” Urywał nagle i pogrążał się w myślach, do których nie miała dostępu. Próbowwała nie zastanawiać się, dlaczego tak często ją odwiedza. Kiedyś oświadczył: „Nie będę nic mówił, chcę tylko popatrzeć, jak pani maluje. Lubię milczeć w pani obecności...”. Zalała ją wtedy fala radości i niejasnej nadziei. Sposób, w jaki wymawiał słowa, ciepło jego spojrzenia...

Dość! Zacisnęła usta. Była zła, że pozwoliła się ogarnąć obezwładniającej fali

wspomnień. Scaber niedługo będzie mężem Pepperii Thunbereng, a ona, Szklarka, jest artystką z Wyspy Sierot i koniec. Myśląc o kimś, z kim nigdy nie mogłaby się połączyć, rani samą siebie. „Pamiętajcie, dziewczęta, dla ludzi, wśród których będziecie mieszkać, jesteście bez pochodzenia, jesteście znikąd. Nawet jeśli jakiś arystokrata poczuje do was przelotny afekt, to ani on, ani jego rodzina nie będą brać pod uwagę stałego związku. Nauczyłyście się tutaj elitarnych rzemiosł. To wam pozwoli się utrzymać i żyć na wysokim poziomie. Ceńcie się wysoko. Im droższe będą wasze wyroby, tym więcej snobów zapagnie je mieć. Prawdę mówiąc, jesteście znacznie lepsze od tych księżniczek z rozgałęzionymi koligacjami. - Instruktor Anid Verda podniosła dumnie głowę. - Pod każdym względem lepsze”.

Szklarka westchnęła. Pamiętała te przemówienia eleganckiej Anid, co nie zmieniało faktu, iż na myśl o bliskim ślubie Pepperii i Scabera miała uczucie, że tonie.

Sześć godzin ślęczenia nad pożółkłymi stronicami - bez skutku. Znalazła fantastyczne opisy roślin, o których istnieniu nie miała pojęcia, iluminacje zdobione płatkami złota, mityczne stwory wijące się na marginesach. Brak tylko herbaty szczęścia.

- Nic, panno Szklarko? - Brat Parel nie krył zdziwienia.

- Nic, ani słoweczka.

Była już bardzo głodna i spragniona. Podniosła się i otrzepała dłonie z kurzu. Zakonnik dźwignął stos manuskryptów i chyba jakoś źle je uchwycił, bo dwa wysunęły mu się z objęć i gruchnęły o podłogę.

- A niech to jasny... - Brat Parel zerknął na dziewczynę i dokończył w bardziej stonowany sposób. - Żeby się tylko nie poniszczyły.

Szklarka schyliła się, żeby podnieść *Herbarz czarodziejski* i zauważyła, że spod skórzanej oprawy wysunął się zwitek pergaminu. Podniosła go i rozprostowała. Zobaczyła drobne pismo.

...co zaś do herbaty szczęścia, to mówię ci, że kto kwiatu jej powącha, smutki precz odejdą, a marzenia się spełnią. A kto napar wypije, ten szczęścia zazna wielkiego i jeśli chory - zdrowie odzyska. Ale też tego ziela przedziwnego nikt na oczy nie widział. Jest ukryte, zakryte, zamknięte, a legendy o nim krążą wśród czarodziejów. Jeden z nich... Tu notatka urywała się, a pergamin był wystrzępiony, jakby dalszą część oddarto. Szklarka odchyliła ostrożnie oprawę herbarza, ale nie znalazła nic więcej. Bez słowa podała karteczkę bratu Parelowi. Zakonnik odłożył księgi na stół, wzbijając kolejną chmurę kurzu, i wziął do ręki pergamin.

- Ot, bajki, panno Szklarko - powiedział, kręcąc głową. - Niech panna narysuje jakieś zielsko z kwiatami i powie, że to herbata szczęścia. Ten, co pani to zlecił, sam pewno nie wie, jak ona wygląda.

- Też tak myślę, ale nie mogę kłamać, to sprzeczne z moimi zasadami.

- A bajka to kłamstwo czy prawda? - Zakonnik uśmiechnął się zagadkowo i zaczął się oddalać ze stosem manuskryptów w objęciach. Będąc już w drzwiach,

odwrócił głowę.

- Ten karteluszek to panna Szklarka może sobie wziąć.

- Dziękuję... - szepnęła bardziej do siebie niż do niego.

Gdybym miała taką herbatę szczęścia, pomyślała, mogłabym... Scaber zostawiłby Pepperię Thunbereng. Wszystko byłoby możliwe. *Smutki precz odejdą marzenia się spełnią...* Znowu! Westchnęła rozpaczliwie, zła na siebie za przywoływanie wspomnień i budowanie złudzeń.

Szła zamyślona w stronę domu. Zachodzące słońce zapalało ogniste błyski w prostokątnych szybkach. Malowane fasady kamieniczek złościły się w jego promieniach. Już z daleka dostrzegła, że ktoś stoi przed jej drzwiami. Drobnny chłopak z płomiennorudą czupryną przyglądał się witrażom wymalowanym w górnych oknach mieszkania. W pewnym momencie otwartą dłonią potarł zadarty nos i po tym geście Szklarka go rozpoznała.

- Robi! - zawołała i przyspieszyła kroku.

Był chłopcem z sąsiedztwa, który zachodził kiedyś prawie codziennie do jej pracowni i zachłannie przypatrywał się pracy nad witrażami. Po pewnym czasie zaczęła go uczyć zasad rysunku i była zdumiona niezwykłą precyzją, jaką odznaczały się szkice Robiego. Nie spotkała nikogo spoza Wyspy Sierot, kto wykazywałby się takimi zdolnościami. W bardzo młodym wieku został zatrudniony jako rysownik Królewskiej Pracowni Atlasów i rozgłaszał wszystkim, że jego nauczycielką i mistrzynią była Szklarka.

- Co cię sprowadza, Robi? - zapytała, wchodząc do mieszkania i polecając Verce, żeby podała im herbatę do saloniku.

- Roślina, której nie znam - odpowiedział z krzywym uśmiechem.

- Ty nie znasz jakiejś rośliny? - W głosie Szklarki zabrzmiało głębokie niedowierzanie.

Robi rozłożył ręce.

- Trzy dni temu był u mnie jakiś człowiek i zamówił rycinę pędu herbaty szczęścia. zaproponował taką sumę, że omal nie spadłem ze stołka.

- Czy ten człowiek nie nazywał się przypadkiem Rieze? - Szklarka odchyliła się na oparcie fotela.

- Tak! Był także u ciebie? - domyślił się chłopak.

- Owszem. Ale podobnie jak ty, nie wiem, co to za roślina. Właśnie wracam z biblioteki klasztoru uzdrowicieli. Jedyne, co znalazłam, to ta karteczka. - Podała Robiemu skrawek pergaminu.

Czytał go, marszcząc brwi.

- *Legendy o nim krążą wśród czarodziejów...* - Podniósł wzrok na Szklarę. - Ktoś chce, żebyśmy narysowali roślinę, której nikt nie widział na oczy.

3.

Scaber stał oparty o reling i patrzył na łagodnie przelewające się za burtą turkusowe fale. Podróż na wyspę Nut była dla niego wybawieniem... A raczej

odroczeniem wyroku. Ślub z Pepperią Thunbereng czeka go i tak, tyle że kilka miesięcy później, niż to pierwotnie zaplanowali rodzice ich obojga. Pepperia... Śliczna, wesoła, kokietyjna... i z dobrej rodziny. „Wszyscy ci zazdroszczą takiej narzeczonej” - kto to powiedział? Matka? Ciotka Ruffi? Ktoś ze znajomych? Nieistotne. Nie ma też znaczenia fakt, że on, Scaber, nie lubi Pepperii. Tak, teraz w obliczu pustego, otwartego oceanu może przyznać się do tego otwarcie. Nie lubi swojej przyszłej żony. Nie ma ochoty mieszkać z nią pod jednym dachem i pozwalać, żeby jej drobne, upierścienione dłonie dotykały któregokolwiek z jego osobistych przedmiotów: srebrnego pióra, granatowo-białej filiżanki, książek, map... Najchętniej urządziłby w domu zakazaną komnatę i pod karą śmierci zabronił do niej wchodzić żonie. Zresztą słowo „żona” w ogóle nie kojarzyło mu się z Pepperią Thunbereng. Najbardziej ze wszystkich kobiet na świecie pasowało mu ono do Szklarki i wobec tego faktu był zupełnie bezradny. Jedyne co mógł zrobić, to udać się na wyprawę organizowaną przez Cecila Sarotiana - zwariowanego botanika, który dowodził, że na wyspie Nut znajduje się gatunek herbaty o niezwykłych właściwościach. Rodzina na tyle знаła zamiłowanie Scabera do podróży, że nie zdziwiła ich specjalnie jego decyzja o wyruszeniu w kierunku tajemniczego lądu. Nikomu nie przyszło do głowy, że w ten sposób ucieka przed uroczą Pepperią. A ona sama? Być może domyśla się jego uczuć. Był pewien, że go nie kocha. W jej zimnych błękitnych oczach widział jedynie determinację i zachłanność. Pepperią chciała mieć męża, pozycję i majątek.

I z pomocą obu rodzin dopnie swego. Scaber wiedział, że nie ma w sobie dość siły, by przeciwstawić się woli Sedunów i Thunberengów. Zresztą... co by im powiedział? Że wolałby ożenić się ze Szklarką? Bzdura. Nikt nie żeni się z dziewczynami z Wyspy Sierot. Poczul, że na myśl o tym ogarnia go wściekłość. Nagle silną falą powróciły wspomnienia z tamtego roku, kiedy gościł u królowej Keweny. Ręka Szklarki trzymająca pędzelek, jej delikatny kark, kiedy pochylała się nad taflą szkła, ciemne pasma włosów wymykające się z upiętego nisko wężła, jej milczenie... jego milczenie... To było niezwykle. Mógł przy niej być i nic nie mówić. Pepperią i inne znane mu kobiety wymagały prowadzenia nieustannej konwersacji - uprzejmej i pogodnej rozmowy o niczym. Nienawidził tego z całego serca. Przypomniał sobie uśmiech pojawiający się na ustach Szklarki, kiedy uchylał drzwi pracowni i pytał, czy może wejść. I to krótkie, przyzwalające skiniecie głową. Zapach farb, jakim przesycone było powietrze wokół niej, kojarzy mu się od tamtej pory z niezwykle spokojem i... szczęściem.

Usłyszał za sobą czyjeś kroki. Cecil Sarotian podszedł do niego i również zatopił wzrok w morzu. Był niezbyt wysokim mężczyzną o rudawych włosach i bardzo jasnej skórze. W przeciwieństwie do Scabera lubił towarzystwo i ciągle można go było zobaczyć rozmawiającego z kapitanem, oficerami albo którymś z marynarzy.

- Dlaczego pan właściwie chciał ze mną płynąć, hrabio? Zwykła ciekawość czy też pożądanie owej niezwyklej herbaty szczęścia?

- Herbata szczęścia? - Scaber wzruszył ramionami. - Nie myślałem o niej. Raczej

o tym, żeby gdzieś wyruszyć. Gdzieś daleko... w nieznane.

A wierzy pan w istnienie krzewu herbacianego, który uzdrawia wszystkie choroby i daje szczęście?

- Prawdę mówiąc, nie - odparł krótko Scaber. - Jestem realistą.

I dlatego, dodał już w myślach, po powrocie ożenię się z Pepperią, a szczegóły naszego ślubu będą szeroko omawiane na pierwszych stronach kroniki towarzyskiej.

- Ja też nie. - Sarotian westchnął. - A to dlatego, że jestem botanikiem i wiem, że żadna roślina nie może spełnić ludzkich pragnień o szczęściu.

- Mimo to wyruszył pan na jej poszukiwanie?

- Ktoś dobrze mi za to zapłacił. Wyspa Nut sama w sobie może być rajem, jeśli chodzi o obfitość nieznanych gatunków flory. Nikt jej jeszcze tak naprawdę nie zbadał. Liczę na pasjonujące odkrycia i zaszczytne miejsce wśród członków Królewskiego Towarzystwa Botanicznego.

- Kim jest człowiek, który pokrył koszty wyprawy?

- Nie wiem. Kontaktował się ze mną tylko jego pełnomocnik, który stanowczo odmawiał udzielenia jakichkolwiek informacji na temat swojego chlebowawcy. Wahałem się nawet, bo wydawało mi się to mocno podejrzane, ale pokusa dotarcia na wyspę Nut była silniejsza.

- Właściwie nic nie wiem o tym miejscu - przyznał Scaber.

- Ja też niewiele, ale to, co znalazłem w dokumentach z poprzednich wypraw, wystarczy, aby skusić niejednego poszukiwacza przygód.

Nie jestem poszukiwaczem przygód, pomyślał Scaber. Jestem poszukiwaczem spokoju.

4.

Pepperia Thunbereng siedziała w ogrodzie i obracała w palcach elegancką kopertę.

- Dostałaś list od swojego Scabera. - Rannia Kalters uśmiechnęła się domyślnie.

- Tak. - Pepperia skinęła głową. - Właściwie tylko pozdrowienia. Płyną do tej wyspy i na razie chyba nic ciekawego się nie dzieje.

Wyjęła z koperty ozdobny kartonik z wytłoczonym herbem rodziny Sedunów i podała go przyjaciółce.

- Przeczytaj sama, jeśli cię to interesuje.

Droga Pepperio,

Przesyłam pozdrowienia z wyprawy na wyspę Nut. Pogoda jest dobra do żeglugi.

Czytam książki zabrane przez Cecila Sarotiana. Są dość interesujące.

Mam nadzieję, że u Ciebie wszystko dobrze. Przekaż pozdrowienia Swemu Ojcu.

Scaber

Rannia przeleciała wzrokiem list i pomyślała, że nikt nie domyśliłby się, że jest on skierowany do narzeczonej. Oficjalny i chłodny, jakby Pepperia była daleką i niezbyt lubianą znajomą, a nie przyszłą żoną.

- Trochę krótki, nie sądzisz? - spytała ostrożnie, spoglądając spod oka na przyjaciółkę.

- Scaber nigdy nie był zbyt wylewny. - Pepperia schowała liścik. - Zresztą, jakie to ma znaczenie?

- Nie chciałabyś, żeby był bardziej czuły? Żeby pisał, że cię kocha?

- Hm... - Pepperia wzruszyła ramionami.

Rannia obserwowała jej nieskazitelny profil. Pomyślała, nie bez zazdrości, że jest to chyba najładniejsza dziewczyna, jaką zdarzyło się jej w życiu widzieć. A jednocześnie bardzo zamknięta w sobie i trzymająca wszystkich na dystans.

- Czy jesteś szczęśliwa? - Pytanie wymknęło się jej mimo woli. Od razu tego pożałowała, bo Pepperia obdarzyła ją pełnym urazy spojrzeniem.

- Oczywiście, że jestem szczęśliwa. Masz podstawy, żeby sądzić inaczej?

- Nie... tylko... No wiesz, wydawało mi się, że kiedy ktoś jest zakochany...

- Zakochany? - Pepperia zerwała się z ławki. - Nie bądź dziecinna, Ranniu. Nikt tu nie mówi o zakochaniu. Małżeństwo ze

Scaberm było zaaranżowane od dawna przez nasze rodziny. Nie ma w tym nic romantycznego i jestem z tego zadowolona. Uczucia tylko komplikują życie, które przecież i bez nich może być miłe i satysfakcjonujące, nie sądzisz?

Rannia potrząsnęła głową. Czy Pepperia wierzy w to, co mówi? To brzmiało tak cynicznie.

- Nie jesteś zła, że przesunął termin ślubu, bo zachciało mu się dalekiej podróży?

- No cóż, prawdę mówiąc byłam wściekła, ale teraz już mi przeszło. Mam zamiar pojechać do Versathis - to posiadłość Scabera - i dokładnie zaplanować gruntowną przebudowę tego miejsca tak, żeby zmieniło się w komfortową letnią rezydencję.

- Ale to przecież jego własność.

- Niebawem również i moja. - Pepperia zmrużyła oczy. - Czy ty przypadkiem nie jesteś zazdrosna? Może skrycie kochasz się w Scaberze, co?

- Scaber jest zbyt... surowy, jak na mój gust. - Rannia pokręciła głową. - Czasami, podczas przyjęć wydawanych przez twojego ojca, miałam wrażenie, że chciałby uciec do jakiejś pustelni. Wolę bardziej towarzyskich mężczyzn.

- Towarzyski czy nie, Scaber zna swoje obowiązki. Nawet jeśli nie znosi balów, to będzie na nie chodził ze względu na mnie. A większość kobiet zblednie z zazdrości.

Na ustach Pepperii pojawił się uśmiezek satysfakcji i Ranni przyszła do głowy zdumiewająca myśl, że przyjaciółce najbardziej zależy nie na Scaberze, ale na tym, żeby budzić zazdrość.

5.

Droga Panno Szklarko,

Proszę mi wybaczyć, że niepokoję Panią, ale tu na morzu przychodzi mi do głowy tyle myśli, że w końcu chciałbym się nimi z kimś podzielić. Trudno mi powiedzieć dlaczego, ale właśnie Pani jest dla mnie taką osobą.

Cecil Sarotian, kierownik naszej wyprawy, pożyczył mi kilka książek. Niektóre z nich to dzieła ściśle botaniczne, ale są też broszury zawierające relacje z wypraw na wyspę Nut. Dziwnie brzmią te opowieści. Czasami są sprzeczne ze sobą. Kapitan Hoo Mart pisze, że wyspa jest w przeważającej części skalista i niezamieszкана. Natrafił na ruiny starych budowli, wzniesionych prawdopodobnie przez jakiś dawno wymarły lud. Z kolei z opowieści Enrica Cartoniego, tego, który wstawił się odkryciami krain położonych za Morzem Cyklonów, wynika, że wyspa Nut porośnięta jest dżunglą. Podobno marynarze, którzy zeszli na ląd, żeby uzupełnić zapasy słodkiej wody, widzieli jakieś ludzkie istoty. Inne relacje, i te się powtarzają, mówią, że wyspa spowita jest trującą mgłą i nie sposób przybić do brzegu.

Początkowo obojętne mi było, dokąd jadę. Pragnąłem po prostu płynąć... Mieć ocean wokół siebie, słyszeć szum fal i czuć zapach soli. Teraz powoli zaczynam interesować się celem naszej podróży. Opada ze mnie obojętność i zgorzknienie. To jak przyptyw nowej woli istnienia.

Niech Pani mi uwierzy, Panno Szklarko, że czasem duszę się wśród rodziny i znajomych, w świecie, gdzie wszystko jest z góry zaplanowane... Gdzie zaplanowane jest całe moje życie. Są chwile, kiedy nie potrafię tego znieść i uciekam. Ale czy można uciec od swojego przeznaczenia? Czasem zazdroszczę Pani wolności. Tego, że może Pani wybierać, że w każdej chwili może Pani odejść daleko i zacząć nowe życie gdzie indziej. Może to właśnie sprawia, że zapragnąłem napisać do Pani.

Czasem żałuję, że tak mało rozmawialiśmy wtedy, w zamku. Kiedy indziej wracam myślami do tych chwil wspólnego milczenia i zdaję sobie sprawę, że było to coś wyjątkowego, coś, co zapewne nigdy już się nie wydarzy. Tym cenniejszym jest więc dla mnie skarbem.

Statki pocztowe kursują rzadko i nieregularnie, ale mam nadzieję, że dotrze do Pani ten mój list. Nie oczekuję odpowiedzi. Wiem, że może Pani nie mieć czasu ani chęci. Dziękuję za wszystko. Za to, że Pani jest i czyta to, co napisałem.

Scaber Sedun

Szklarka powoli odłożyła na stół kremowy arkusz z herbem Sedunów i dopiero teraz zauważyła, jak bardzo trzęsą się jej ręce. Właściwie cała drży. Wstała z krzesła. Znow usiadła. Podniosła list i przeczytała go raz jeszcze. Zamknęła powieki, zacisnęła pięści, ale to nie pomogło. Łzy stoczyły się w kącikach oczu i w postaci dwóch strumyków spłynęły po policzkach. Cała mozolnie budowana wewnętrzna twierdza Szklarki runęła. Na nic się zdały wysiłki zmierzające do usunięcia Scabera z serca i z pamięci. W tej chwili zdała sobie sprawę, jak

ogromnie za nim tęskni i jak bardzo jej go brak. Wielki ból... Coraz więcej łez. Kapią na list, na suknię, na podłogę, zamazują kontury przedmiotów. Przeraziła się swoim stanem. Gdzie podziało się jej opanowanie i samokontrola? „Kiedy ogarnia was fala niesprecyzowanych emocji, pierwsze, co powinnyście zrobić, to spisać wszystkie uczucia, które wami miotają. Nie bójcie się sprzeczności. Współistnieć ze sobą mogą nawet miłość i nienawiść, podziw i zazdrość, rozczarowanie i nadzieja”. Czerwona wskazówka dotyka wykaligrafowanych na wielkim arkuszu nazw uczuć. Lorneray, którą wszyscy na Wyspie Sierot nazywali Emocjandą, prowadziła warsztaty dotyczące emocji. Szklarka pamiętała prace domowe, z którymi nie potrafiła się uporać. „Kiedy udało mi się studium liścia akantu, poczułam satysfakcję”. „Tylko tyle? Jedno uczucie? Moja Szklarko, nie dasz sobie rady w świecie zewnętrznym, jeśli nie będziesz umiała precyzyjnie określać swoich stanów emocjonalnych”. Miała rację, pomyślała Szklarka, próbując powstrzymać kolejną falę płaczu. Nie daje sobie rady. Jeden list od obcego człowieka rozbija mnie zupełnie. Wyjęła kartkę papieru i zaczęła pisać z takim samym mozołem, jak kiedyś na zajęciach z Emocjandą:

Kiedy dostałam list od Skabera, poczułam...

Przestraszyła się tego, co pierwsze przyszło jej na myśl. No, dalej, pisz! - nakazała sobie w myślach.

...radość, nadzieję, tęsknotę, rozpacz, bezradność, radość, tęsknotę, tęsknotę...

Pomogło. Przynajmniej przestała płakać. Tak długo nie chciała się przyznać przed sobą, jak wiele Scaber dla niej znaczy. Teraz prawda wypłynęła razem ze łzami.

- To nie ma sensu - powiedziała półgłosem. - Scaber poślubi Pepperię Thunbereng, jak tylko powróci z wyspy Nut.

Jeszcze raz przebiegła wzrokiem list. *Czasem zazdrościć Pani wolności. Tego, że może Pani wybierać.* Cóż za nieporozumienie! Gdyby naprawdę mogła wybierać...

- Panno Szklarko, mówiono mi o pani rzetelności i szerokiej wiedzy botanicznej. Tymczasem spóźnia się pani bardzo z wykonaniem zamówienia. - Człowiek w lśniącym od deszczu brązowym płaszczu zdawał się ją przewiercać małymi żółtawymi oczkami. Opierał dłonie o blat stołu i pochylał się ku niej. Cofnęła się odruchowo, patrząc z niechęcią na intruza.

- Panie Rieze, bardzo mi przykro, ale na razie nie udało mi się znaleźć potwierdzenia, że roślina, o którą panu chodzi, w ogóle istnieje. - Ton Szklarki był lodowaty. - W każdej chwili może pan wycofać zlecenie.

Sięgnęła po leżącą na stole okrągłą szybkę. Mężczyzna podążył wzrokiem za jej ręką.

- Nie! Niech to u pani zostanie! Mam nadzieję, że odszukanie wizerunku herbaty szczęścia nie zajmie już pani dużo czasu.

- Wręcz przeciwnie. - Szklarka spojrzała swemu klientowi prosto w oczy. - Wyczerpałam dostępne na miejscu źródła informacji. Żeby dowiedzieć się czegoś więcej, muszę pojechać do dalej położonych bibliotek.

Widząc, że Rieze otwiera usta, żeby zaprotestować, dodała ostro:

- I proszę mnie nie popędzać!

Po jego wyjściu Szklarka siedziała przez chwilę bez ruchu. Tak... Jeśli chce uczciwie podejść do tego zlecenia, powinna poszperać w innych księgozbiorach. Konkretnie w jednym. A miała nadzieję, że jej noga już nigdy tam nie postanie. Przywołała Verkę.

Muszę wyjechać. Wyciągnij żółty kufer. Zaraz ci powiem, co spakować.

- Czy mogę jechać z panią? - Zielone oczy dziewczyny błysnęły z nadzieją.

- Nie, zostaniesz tutaj. Trzeba dbać o dom, zapisywać zamówienia. Poza tym - dodała, widząc zawód malujący się na twarzy służącej - nie mogłabyś jechać ze mną. Wybieram się na Wyspę Sierot.

Verka westchnęła.

- A nie mogłaby się pani za mną wstawić? Powiedzieć, że jestem pani niezbędnie potrzebna?

- Instruktorci nie tolerują obcych. - Szklarka potrząsnęła głową. - A ja i tak całe dnie będę spędzać w bibliotece.

Służąca, lekko nadąsana, udała się na strych po kufer.

6.

Port. Chlupot fal przy kamiennym nabrzeżu. Kołyszące się maszty. Szklarka wskazała tragarzowi prom „Sentinelle” - jedyny, jaki kursował na Wyspę Sierot. Czy to możliwe, że nie była tam ani razu, odkąd rozpoczęła samodzielne życie? Jak to się stało, że w ciągu tych wszystkich lat nie zapragnęła odwiedzić miejsca, gdzie spędziła całe dzieciństwo? Stojący na pokładzie kapitan promu obrzucił uważnym spojrzeniem jej szczupłą sylwetkę w eleganckiej, ciemnozielonej sukni, po czym skłonił się lekko.

- Kajuta jest do pani dyspozycji, jak było zamówione.

- Bardzo dziękuję - odpowiedziała uprzejmie. - Proszę pokazać tragarzowi, dokąd ma zanieść mój kufer. Ja zejdę później. Lubię patrzeć na oddalający się brzeg.

Już nieraz zauważyła, że nie musi się przedstawiać. Większość ludzi instynktownie wyczuwała w niej wychowankę Wyspy i traktowała z szacunkiem doprawionym przymieszką obawy. Związane to było być może z aurą tajemniczości, jaka otaczała instruktorki, uważane przez niektórych za sekretne ramię władzy rządzące państwem. Podejrzewano także, iż niezwykle umiejętności w dziedzinie sztuk pięknych, jakimi zadziwiały świat artystki z Wyspy Sierot, mogły rozwinąć się tylko za pomocą magii. Szklarka nigdy nie rozwiewała tych domysłów, mimo że całe jej kształcenie nie miało w sobie nic nadprzyrodzonego. Oparta łokciami o burtę, patrzyła na ludzi kręcących się po porcie. Wciągała w nozdrza zapach morza, smoły i nasiąkniętego wodą drewna. Lubiła go. Kojarzył jej się z wyruszeniem w podróż i wolnością. Nagle jej wzrok przykuła postać kobiety maszerującej energicznie wzdłuż nabrzeża. Była to

wysoka brunetka o oliwkowej cerze, ubrana w szkarłatną suknię dość egzotycznego kroju. Promienie słońca migotały w licznych klejnotach zdobiących nieznajomą. Dwóch tragarzy dźwigało za nią kufry, z których każdy był dwa razy większy od bagażu Szklarki. Kobieta była niewątpliwie cudzoziemką, ale miała w sobie coś znajomego, jakiś rys... Szklarka nie potrafiła sobie uzmysłowić, co to takiego i ze zdziwieniem zauważyła, że okropnie ją to drażni. Ruchy... sposób trzymania głowy - z czym jej się to kojarzy? Dama w czerwieni zbliżyła się do promu „Sentinelle” i zaczęła wchodzić po trapie. Jej chłodne, czujne oczy zatrzymały się na moment na stojącej na pokładzie dziewczynie. Szklarka zadrżała. Instruktorka?... Wszystko w wyglądzie nieznajomej wydawało się przeczyć temu przypuszczeniu. Jaskrawy strój, nadmierna ilość biżuterii... Zupełnie inaczej prezentowały się panie z Wyspy Sierot - smukłe, w pastelowych prostych sukniach, oszczędnie zdobionych delikatnym haftem lub pojedynczą broszką. Wychowanki mimo woli naśladowały ten pełen umiaru i pozbawiony ekstrawagancji styl, którego przeciwieństwo prezentowała wkraczająca na prom kobieta. A mimo to...

- Czy pani Tadea di Cornaro? - spytał, kłaniając się, kapitan.

- Oczywiście - zabrzmiał lekko schrypnięty głos nowej pasażerki.

- Zanieście bagaże do kabiny numer sześć - rozkazał kapitan tragarzom, nie spuszczać wzroku z egzotycznej cudzoziemki.

Szklarka odwróciła głowę w drugą stronę. Jeżeli ta osoba naprawdę jest instruktorką, to lepiej, och, lepiej trzymać się od niej z daleka. To nie była myśl. Raczej instynktowna reakcja, każda instruktorka kontroluje. Zawsze. Kilka lat poza Wyspą Sierot pozwoliło Szklarce zasmakować wolności samostanowienia. Prawie zapomniała, jak to jest, gdy żyje się pod czujnym okiem tych zimnych, opanowanych kobiet.

Jeśli się nie mylę, to wychowanka tutejszej Wyspy Sierot jedzie odwiedzić stare kąty? - rozległ się tuż za nią miękki, ochrypliwy alt.

Namierzona i schwyтана, pomyślała o sobie Szklarka i odwróciła się ku nieznajomej.

- Rzeczywiście nie myli się pani - odparła uprzejmie i chłodno.

- Jestem Tadea di Cornaro, instruktorka z cypla Arinio. Słyszałaś chyba o tym miejscu?

- Tak.

Wiedziała, że Arinio to cypel wcinający się w południowy kraniec Morza Cytrynowego. Znajduje się tam ośrodek edukacji sierot, analogiczny do tego, w którym się wychowała. Tadea di Cornaro przeszła na „ty”, jak to było w zwyczaju między instruktorkami a wychowankami. Szklarka wolałaby zachować dystans, jaki daje zwrot „pani”, ale nie miała wyboru.

- Jestem Szklarka - przedstawiła się.

- Szklarka? Ta, która malowała szklaną wieżę królowej Keweny?

- Owszem.

- Miło mi cię poznać osobiście. Opowieści o twoich dokonaniach dotarły aż na

nasze wybrzeże. Jesteś wspaniałym przykładem na to, jakich wyzyna sięga edukacja prowadzona przez instruktorki. Sława, samodzielność, bogactwo, unikalne umiejętności! Te damulki z arystokratycznych kręgów mogą wam zazdrościć! - Tadea mówiła coraz głośniejszym głosem, a na jej śniadą twarz wypłynęły rumieńce. W tym także była różna od doskonale opanowanych kobiet z Wyspy Sierot.

- A my możemy im zazdrościć rodziny, mężów i dzieci. - W głosie Szklarki zabrzmiała przekora.

- Mężów! Dzieci! - wykrzyknęła Tadea, potrząsając upierścienionymi dłońmi. - Masz niezwykle możliwości, a tęsknisz za trywialnością? Za szarością? Nigdy nie osiągnęłabyś takiej sławy i niezależności, gdybyś musiała wycierać zasmarkane nosy.

Może moje dzieci nie miałyby kataru? - nasunęła się Szklarce humorystyczna odpowiedź, ale wolała zachować ją dla siebie.

- Musi być coś w atmosferze krajów północy, co rodzi takie bezsensowne marzenia - ciągnęła dalej Tadea. - Właśnie dlatego zaproszono mnie na waszą wyspę.

- Tak? - Szklarka poczuła, że serce zaczyna jej bić szybciej, spytała jednak prawie obojętnie. - A co się tam dzieje?

- Co się dzieje? Dziewczyny nie chcą opuszczać wyspy! Nie chcą ruszać na podbój świata!

- Dlaczego? - Była szczerze zaskoczona. Ona sama z ulgą odpływała w stronę zewnętrznego świata i odgradzała się przestrzenią wody od instruktorek i ich małego królestwa.

- Podobno boją się samotności i mówią, że skoro nie mogą założyć rodziny, to wolą pozostać na Wyspie. - Tadea załamała ręce. - Kompletna niedojrzałość! Ale ja wiem, czyja to sprawka! To ta nieodpowiedzialna Chamomilla! Anid Verda kilkakrotnie pisała mi o niej i o jej metodach. - Kobieta zaśmiała się ironicznie. - Metodach! Byłam zdania, że Chamomillę należy odsunąć ml wychowania. Sugerowałam to, ale mnie nie posłuchały.

Chamomilla... Usłużna pamięć podsunęła Szklarce obraz puciołowatej dziewczynki z jasnymi włosami splecionymi w warkocze. Musiała być w młodszej grupie... Śmietankowe sery... Tak, robiła śmietankowe sery. Kiedy pojawiały się na stole, zdyscyplinowane zazwyczaj wychowanki porzucały dobre maniery i rzucały się na nie z żarłocznością dzikich zwierzątek. W dni świąteczne serki były szczególnie wymyślne - ananasowe, orzechowe, migdałowe... Układano je w wiklinowych koszyczkach wyłożonych trawą. „Ta dziewczyna to geniusz. Kiedy stąd wyjedzie, nigdy już nie będziemy jeść takich dobrych rzeczy.” Kto to powiedział? Może jedna z instruktorek?

- Och, więc Chamomilla została na Wyspie! - Szklarka nie kryła zaskoczenia.

- Tak cię to dziwi?

- Miała wielki talent! Jej sery były godne królewskiego stołu.

- Słyszałam o tych specjałach. - Tadea wzruszyła ramionami. - Talent kulinarny to

trochę podejrzana sprawa. Właściwie nie zdarza się wśród naszych wychowanek. Może dlatego ta Chamomilla jest taka dziwaczna. Oznajmiła instruktorkom, że chce zostać wychowawczynią. Wycieranie nosów, opatrywanie stłuczonych kolan i mycie brudnych uszu. Brrr... Podobno jest w tym wszystkim niezwykle ofiarna. Chyba za bardzo. Obawiam się, że dzieciaki przywiązały się do niej, a taka więź może być źródłem kłopotów.

- A jeśli Chamomilla po prostu je kocha? - spytała zaczepnie Szklarka.

Tadea uniosła w górę brwi. W jej oczach błysnęła ironia.

- Miłość, moja droga, często jest przeszkodą. Nie pozwala się rozwijać.

Szklarka zapatrzyła się na chlupoczące za burtą fale. Nie miała ochoty dłużej ciągnąć tej dyskusji. Temat miłości sprawił, że jej myśli przeskoczyły na inny tor. Scaber... Tęsknota za jego obecnością. Nagle zapragnęła napisać do niego. Cokolwiek, parę słów. Może to bez sensu, ale... Scaber twierdzi, że nikt jej niczego nie może narzucić, że ma większą swobodę decydowania o sobie niż on. Skoro tak, to może sobie pozwolić na działanie pod wpływem impulsu. Nawet jeśli potem miałyby tego żałować.

- Przepraszam - zwróciła się do Tadei di Cornaro. - Chciałam pójść teraz do swojej kabiny.

- Ależ oczywiście, moja droga.

Znowu to uważne, taksujące spojrzenie, które sprawia, że po kręgosłupie przebiega zimny dreszcz.

Za pół godziny będą mijać wysepkę, przy której cumują statki pocztowe. To akurat tyle, żeby zdążyć skreślić parę słów.

Drogi panie Sedun,

Dziękuję za pański Ust. Miło mi, że dobrze pan wspomina nasze spotkania w zamku Królowej Keweny. Ja także cieszę się z naszego poznania. Życzę panu szczęścia w dalekiej podróży i w życiu także.

Szklarka

Przedarła na pół błękitny arkusik. To nie jest prawdziwy list! To zlepek zdawkowych formułek! Lepiej już nic nie pisać... albo napisać szczerze i najwyżej nie wysyłać.

Drogi Panie Sedun,

Nie mam zbyt wiele czasu. Za chwilę prom wiozący mnie na Wyspę Sierot będzie mijał Port Pocztowy. Chciałam więc tylko powiedzieć, że dostałam Pański list i że sprawił mi on wielką radość. Był oddechem oceanu, odbłaskiem wielkiej podróży. Co do wolności... także i ja do niej tęsknię. Do wolności, która pozwoliłaby dać się ponieść uczuciom, która na chwilę odsunęłaby na bok rozsądek i wpajane od dzieciństwa zasady. A że dzieciństwo spędziłam na Wyspie Sierot, stamtąd pochodzą moje nawyki, uprzedzenia i wewnętrzne nakazy. Płynę tam teraz, bo potrzebuję skorzystać z biblioteki instruktorek i drzę, naprawdę drzę ze strachu

przed spotkaniem z kobietami, które mnie wychowywały i uczyły. Trudno mi określić, co jest w nich tak przerażającego. Może poczucie, że cały czas mnie obserwują i kontrolują, choć od dawna już nie podlegam ich władzy? Moje uczucia są tak bardzo pogmatwane. Niemniej jednak cieszę się, że mogę Panu o nich pisać. Życzę Panu szczęścia.

Szklarka

Wysłała na pokład w chwili, gdy pocztowa łódka przybijała do burty promu. Jeden z marynarzy wszedł na pokład i przekazał kapitanowi paczkę listów przeznaczonych na Wyspę Sierot. Szklarka oddała doręczycielowi kopertę z dołączoną do niej złotą monetą.

- Mam nadzieję, że to pokryje koszty przesyłki - powiedziała.

Marynarz zerknął na adres.

- Statki pocztowe kursują na trasach zbliżonych do tej, którą płynie pan hrabia Sedun, jednak, żeby odnaleźć jego okręt, trzeba będzie użyć łodzi zwiadowczych. To oczywiście powiększa koszty...

- Mam dopłacić? - spytała niecierpliwie.

- Ależ nie, panienko, wszystko w porządku. - Marynarz zasalutował i zszedł na pokład swojej łodzi.

- Sedun? Ten Sedun? Korespondujesz z nim? - Głos Tadei rozległ się tuż za jej plecami.

Na chwilę straciła oddech, jakby ktoś zdzielił ją pięścią w żołądek. Powstrzymała się przed natychmiastowym odwróceniem głowy. Potrzebowała kilku sekund, żeby się opanować.

- Tak - odpowiedziała w końcu, obserwując odpływającą łódkę.

- Mam nadzieję, że nie łudzisz się jakimiś bezsensownymi marzeniami w związku z jego osobą? - W głosie Tadei czuło się ironię i pewną nieokreśloną groźbę.

Szklarka obróciła się wolno i spojrzała w oczy uśmiechającej się samymi kącikami ust kobiecie.

- To nie twoja sprawa, Tadeo di Cornaro - powiedziała lodowatym tonem i spokojnym krokiem oddaliła się w kierunku swojej kabiny.

Dopiero gdy zamknęła za sobą drzwi, ugięły się pod nią kolana. Nigdy, przenigdy wychowanka Wyspy Sierot nie odezwała się w ten sposób do instruktorki. Tadea była bezczelna i wtykała nos w nie swoje sprawy, ale taka jest przecież jej natura. Przypomniała sobie osłupienie malujące się na twarzy cudzoziemki i nagle zaczęła się śmiać.

7.

- No i co, Rieze? Są jakieś wieści?

- Niestety, proszę pana. Ta dziewczyna, Szklarka, odpłynęła dzisiaj promem na Wyspę Sierot. Powiedziała, że nie zna takiej rośliny i że bym jej nie popędał.

- A rudzielec z królewskiej pracowni?

- Kiedy byłem u niego po raz drugi, wyśmiał mnie, mówiąc, że herbata szczęścia to roślina z bajki.

Rieze mówił to wszystko beznamiętnym tonem, patrząc prosto w niebieskie oczy swego pana. Osobiście całą tę aferę z herbatą szczęścia uważał za dziwaczny kaprys znudzonego arystokraty, ale że arystokrata hojnie go wynagradzał, Rieze nie miał nic przeciwko zaspokajaniu jego zachcianek.

- A wyprawa Sarotiana?

- Na pewno jeszcze nie dopłynęli.

- Trzeba więc czekać. - Niebieskooki mężczyzna siedzący w głębokim fotelu odchylił głowę na oparcie i westchnął. - Wiem, Rieze, że ty także nie wierzysz w istnienie tej rośliny, ale to nie ma znaczenia. Ja wierzę i będę ją miał prędzej czy później, a wtedy... wszystko się zmieni.

Ciekawe, co, pomyślał Rieze. Czego on może pragnąć? Ma zdrowie, bogactwo, piękną córkę... Ma wszystko, czego ja nie mam, i nie jest szczęśliwy.

- Pragnę spokoju, Rieze. - Mężczyzna jakby czytał w jego myślach. - Po prostu pragnę spokoju...

Służący pozwolił sobie na lekkie wzruszenie ramionami i widząc, że nie jest już potrzebny, wyszedł, zamykając za sobą intarsjowane sześcioma gatunkami drewna drzwi.

8.

Światełka Wyspy są coraz bliżej. Szybko zapadający jesienny zmierzch kryje kontury domów i pracowni. Szklarka jednak zna na pamięć położenie każdego budynku i każdego drzewa. Na przystani widać jakąś postać. To pewnie jedna z instruktorek przyszła powitać cudzoziemskiego gościa. Marynarze spuścili trap i Szklarka poczuła nagły ucisk w gardle. Zadrżała, zaatakowana nieoczekiwaną falą lęku.

- Dobranoc, panno Szklarko. - Kapitan uklonił się z szacunkiem. - Życzę miłego pobytu w rodzinnych stronach.

Rodzinne strony! Czy on uważa, że Wyspa jest dla niej czymś w rodzaju krainy szczęśliwego dzieciństwa? Miejscem, do którego z radością się wraca?

- Dziękuję panu, dobranoc.

Zaczęła schodzić po trapie i natychmiast poczuła tak dobrze znaną mieszaninę woni, na którą składały się zapach sosen, mokrego piachu, tymianku i cierpko pachnącego impregnatu, którym zabezpiecza się drewno.

- Witaj, Szklarko. - Dźwięczny, cichy głos, przenikający człowieka jak ostry nóż. Sama Estrella, przełożona Wyspy, wyszła na powitanie.

- Witaj, Estrello. - Odruchowo pochyliła głowę i zaraz poczuła złość, że cały czas żyją w niej dawno wpojone nawyki. Nie chciała kłaniać się żadnej z instruktorek.

- Przygotowałyśmy dla ciebie pokój w pałacu dla gości. Ja poczekam tu na Tadeę

di Cornaro. Poznałyście się zapewne w trakcie podróży? - Dociekliwy, sondujący ton.

- Owszem, poznałyśmy się - odpowiedziała spokojnie Szklarka. - Dobranoc, Estrello.

Ruszyła w głąb wyspy. Nie potrzebowała przewodnika. Wszystko było tak bardzo znajome - dróżka wysypana drobnym żwirem, latarnie wydobywające z mroku rudawe pnie sosen, światła mrugające w oknach Domu Starszych Dziewcząt... A teraz sad. Zapach jabłek i śliwek, zapach kojarzący się z nocnymi, tajnymi wyprawami po owoce. Skradanie się bosy w wilgotnej trawie, bieg między drzewami i pospieszne zrywanie największych, wypatrzonych jeszcze w ciągu dnia, gruszek lub śliwek. Szklarka zdała sobie sprawę, że nie do końca rozumie, po co im były te nocne wypadki. Przecież owoców na Wyspie było zawsze pod dostatkiem. W jadalni stał pełen kosz, z którego można było czerpać do woli. Prawdopodobnie chodziło o to, by zrobić coś nielegalnego, coś wymykającego się czujnemu spojrzeniu instruktorek. Te ostatnie zresztą na pewno zdawały sobie ze wszystkiego sprawę i pozwalały dzieciom na doświadczenie złudnego poczucia wolności. Pałac dla gości wznosił się za cisowym żywopłotem. Stał w niewielkim parku, który w czasach dzieciństwa wydawał się Szklarce najpiękniejszym ogrodem na Wyspie. Zawsze kwitły tam jakieś kwiaty. Po alejkach przechadzały się eleganckie damy, które przypląnęły w odwiedziny. Najczęściej były to dawne wychowanki i te budziły największą ciekawość. Starsze dziewczęta zerkały ku nim ukradkiem, zapytując się w duchu: Czy ja też kiedyś będę taka? Szklarka także obserwowała je przez dziurę w żywopłocie i myślała sobie, że największym przywilejem tych dam jest uwolnienie się spod władzy instruktorek. Tego zazdrościła im najbardziej. Teraz sama była przybyłą z zewnątrz elegancką damą. Wkraczała do pałacyku i nie musiała już być posłuszną paniom z Wyspy. Coraz bardziej jednak zdawała sobie sprawę, że dawne nauczycielki wciąż mają na nią wpływ.

Budynek, w którym miała nocować, był obszerną willą. Kolumnienki przed wejściem, małe ozdobne wieżyczki dobudowane w rogach i płaskorzeźby otaczające okna sprawiły, że mieszkania i Wyspy nazwały domostwo pałacem. Szklarka nacisnęła klamkę w kształcie liścia paproci i znalazła się w obszernym, ale przytulnym holu. Na jej widok jakaś dziewczyna, na oko szesnastoletnia, ubrana w ciemnobrązową suknię, wstała pospiesznie ze stojącego pod ścianą fotela.

- Czy to Szklarka? - spytała miłym głosem.

- Tak, to ja. Dobry wieczór.

- Jestem Janta. Mam ci pokazać pokój.

- Prowadź więc.

Nie mogła nie zauważyć zachłannej ciekawości, z jaką dziewczyna na nią patrzyła. Uśmiechnęła się na wspomnienie siebie samej sprzed kilkunastu lat. Mogła być podobna do Janty.

Pokój okazał się niewielki. Ściany obite tapetą w pędy powoju, wygodne łóżko

przykryte haftowaną kremową narzutą, szafa, komoda, krzesło i stolik - oto całe wyposażenie.

- Te drzwi prowadzą do łazienki. - Dziewczyna wskazała na małe drzwiczki obok szafy. Zrobiła krok w stronę wyjścia, ale zaraz stanęła i nie mogąc pohamować ciekawości, spytała:

- Naprawdę mieszkałaś przez rok w zamku królowej Keweny?

- Tak. - Szklarka uśmiechnęła się, widząc podziw rysujący się na twarzy Janty. - Malowałam tam szklaną wieżę. I... przebywałam głównie w pracowni. A ty, czym się zajmujesz?

- Maluję... na doniczkach... - Dziewczyna spuściła głowę i ciemny rumieniec zażenowania wypłynął na jej twarz.

- Och, to coś zupełnie nowego. Nigdy nie słyszałam, żeby ktoś artystycznie malował doniczki. Kiedy opuścisz Wyspę i zaczniesz je sprzedawać, od razu staną się szalenie modne.

- Tak sądzisz? - Janta spojrzała na Szklarkę z nadzieją. - A ja myślałam, że nikt nie zechce na coś takiego wydawać pieniędzy. Próbowałam malować na porcelanie, ale mi nie szło... Właściwie nic mi nie wychodziło, dopóki nie spróbowałam na doniczkach, takich zwykłych, glinianych, no wiesz... I wtedy okazało się, że to jest to. Delena powiedziała, że widocznie takie moje przeznaczenie, ale czułam jej dezaprobatę i rozczarowanie.

Delena - główna opiekunka pracowni malarskiej. Krótkie! ciemne włosy i władczy, suchy głos: „Proporcje! Proporcje, Szklarko! Ten motyl ma za duże skrzydła w wymiarze pionowym. Pomyliłaś się o pół milimetra. Dokładność najpierw, fantazje potem”. Była jeszcze Ita i na myśl o niej Szklarkę ogarnęło miłe ciepło. Ita z rozczochranymi rudymi lokami w czarnej sukni upstrzonej plamkami farb. Ita pełna fantazji: „Z rozmachem, moje dziecko, z rozmachem! Nie bój się. Nie szkodzi, że te dzwonki na pierwszym planie mają tak intensywny kolor, to im przecież dodaje charakteru”.

- A co powiedziała Ita?

- O, Ita. - Janta rozpromieniła się. - Mówiła tak jak ty, że moje wyroby są oryginalne i że wielu bogatych snobów zechce mieć w swoich pałacach donice zdobione przez artystkę z Wyspy.

Roześmiały się obie.

- Niestety, Ita stanowi wyjątek. - Dziewczyna westchnęła. - Jest jeszcze co prawda Chamomilla, ale ona zajmuje się głównie młodszymi.

- Pamiętam Chamomillę. - Szklarka przysiadła na skraju łóżka. - Słyszałam, że została wychowawczynią.

Zawiesiła głos, mając nadzieję, że zachęci Jantę do dalszych zwierzeń.

- O tak! Zdecydowała się tutaj zostać, mimo że robi tak fantastyczne sery. Zabijałoby się o nie, gdyby zaczęła pracować poza Wyspą.

- Instruktorci zapewne nie były zachwycone. - Szklarka pozwoliła sobie na ironiczny uśmiezek.

- Trudno jest cokolwiek powiedzieć o uczuciach instruktorek! Wydaje mi się, że

rzeczywiście niezbyt im się to podobało. Chamomilla cały czas jest kimś w rodzaju...

- Drzazgi za paznokciem?

Janta parsknęła krótkim chichotem.

- Można tak to ująć.

- To brzmi ciekawie. Weź sobie krzesło albo siądź koło mnie na łóżku i opowiedz mi o Chamomilli... Jeśli masz czas, oczywiście.

Dziewczyna zawahała się.

- Czas mam, nie wiem tylko, czy powinnam plotkować o sprawach Wyspy. - Zrobiła zakłopotaną minę, ale usiadła na krześle.

- Jeżeli nie chcesz mówić...

- Chcę. Przecież jesteś... byłaś jedną z nas. Zawsze myślałam, że dziewczyny z Wyspy po osiedleniu się na łodzi stają się kimś w rodzaju instruktorek. Teraz jednak, kiedy rozmawiam z tobą, widzę, że jest inaczej. Obie jesteśmy po jednej stronie... a instruktorki po drugiej. Chamomilla nie zalicza się do żadnej kategorii. Nazwała się wychowawczynią i ta funkcja bardzo do niej pasuje. Wiesz... ona kocha te dzieciaki. Nosi je na rękach, przytula. A one czepiają się jej spódnicy i rękawów. Ten widok nieodmiennie wywołuje zgorzenie na twarzach instruktorek. Poza tym... Chamomilla jest gruba...

Szklarka zaśmiała się. Przypomniała sobie wykłady o odżywianiu, o utrzymywaniu właściwej sylwetki, i comiesięczne wpisy do tabeli wagi i wzrostu.

- Nadal musicie prowadzić dzienniczki kalorii?

Janta skinęła głową.

- Chamomilla podobno spaliła wszystkie tabelki po uzyskaniu świadectwa dorosłości. I jest taka piękna... Promieniejąca. Nie wiem, jak to nazwać.

- Bardzo odbiega od standardów instruktorek.

- Nie cierpi ich - szepnęła dziewczyna, pochylając się ku Szklarce. - I z wzajemnością.

- A czy robi coś, co mogłoby instruktorki niepokoić?

Janta wzruszyła ramionami.

- Niepokoić? Raczej irytować. Dzieci nie chcą się rozstawać Chamomillą. Nawet po przejściu do starszych grup biegają do niej nadal w każdej wolnej chwili. Nie ukrywam, że często po prostu szukają pocieszenia po doznaniu jakiejś przykrości ze strony instruktorek.

- I podobno nie chcą opuszczać Wyspy?

- Skąd wiesz?

- Od Tadei di Cornaro, która przyплыnęła tu ze mną.

- A kto to jest?

- Wezwana na pomoc w tej sprawie instruktorka z cypla Arinio.

- Może być ciekawie. - Orzechowe oczy dziewczyny błysnęły zainteresowaniem.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Słyszałam, jak Cydonia mówiła Delenie, że w Arinio przebywają same ekscentryczki.

Janta podniosła się z ociąganiem.

- Powinnam już iść. Cieszę się, że cię poznałam. Jesteś taka... normalna.

Szklarka wybuchnęła serdecznym śmiechem.

- To największy komplement, jaki mogłabym usłyszeć. Chociaż kiedy jestem tam... na zewnątrz, bardzo odczuwam różnicę między sobą a innymi ludźmi. Pochodząc z Wyspy, jesteśmy w jakiś sposób naznaczone.

Kiedy Janta wyszła, Szklarka stanęła przy oknie i zapatrzyła się w usiane gwiazdami niebo. Te wieczory tutaj... Pamiętała je, pełne dziewczęcych szeptów wypełniających sypialnię. Wieczory pachnące mydłem lawendowym, którym szorowały się wszystkie podczas kąpieli. I widok oświetlonej werandy Rezydencji Instruktepek, która wybudowana na wzniesieniu górowała nad pozostałymi budynkami.

9.

Gong. Szklarka, nie otwierając oczu, doliczyła do siedmiu uderzeń. Pobudka. Nie lubiła wstawać rano. W domu spała do ósmej, albo i dziewiątej. Jeśli praca przeciągnęła się do późnej nocy, potrafiła zacząć następny dzień dopiero około południa. Tu na Wyspie wszyscy wstawali o siódmej. Pół godziny później trzeba już było stawić się na śniadaniu. Tylko ciężka choroba mogła być usprawiedliwieniem dla nieprzestrzegania rozkładu dnia. Przemknęło jej przez głowę, że przecież jest gościem i nie musi podporządkowywać się reżimowi panującemu na Wyspie. Nie miała jednak odwagi pozostać w łóżku. Otworzyła szafę i przebiegła wzrokiem kilka sukien, które zabrała ze sobą. Zdecydowała się włożyć tę w kolorze wrzосу, ozdobioną przy rękawach i dekolcie srebrzystym haftem. Spodziewając się porannego chłodu, narzuciła na ramiona granatowy wełniany szal.

Szybkim krokiem przeszła przez hol i otworzyła zewnętrzne drzwi. Uderzył w nią podmuch wilgotnego, jesiennego wiatru. Na trawie perliła się rosa. Powietrze pachniało sosnami i mchem. Lubiała ten aromat. Przywodził jej na myśl rzadkie chwile beczynności, spacerowanie bez celu i radość z przebywania z dala od czujnych oczu instruktorek. Otuliła się szczelniej szalem, przeszła przez park i skierowała się w stronę Wielkiego Domu. Nie musiała się spieszyć. Widziała grupki dziewcząt napływające z części mieszkalnej wyspy. Szły ciche i skupione, z opuszczonymi powiekami i z wargami drżącymi w porannym chłodzie. Dostrzegły ją i obrzuciły ukradkowymi spojrzzeniami. Poszukała wzrokiem Janty, ale te wychowanki wyglądały na młodsze od jej wczorajszej rozmówczyni. Podążyła za ostatnimi dziewczynkami. Wielki Dom był coraz bliżej. Masywny budynek z szarych, granitowych bloków był najstarszą budowlą na Wyspie. Mieściły się w nim sale spotkań i jadalnia. Przechodząc obok wysokich, wykutych z brązu drzwi pokrytych licznymi symbolami, Szklarka poczuła ucisk w żołądku.

Jadalnia. Trzy długie stoły - jeden dla młodszych grup, drugi dla starszych, trzeci dla instruktorek i ich gości. Po raz pierwszy była zaproszona, by przy nim zasiąść. Żeby tam dojść, musi przemaszerować pod obstrzałem spojrzeń przez całą salę. Dostrzegła, że prawie wszystkie miejsca są zajęte. Idąc zastanawiała się, obok kogo najbezpieczniej będzie usiąść i z ulgą zauważyła puste krzesło obok Ity. Rozsypane w nieładzie rude włosy tworzyły wokół głowy uwielbianej przez wszystkich nauczycielki malarstwa złocistą aureolę. Jej ciemnozielona suknia haftowana była w kwiaty i smoki. Ita wyglądała niewiarygodnie młodo ze swoją drobną, usianą piegami twarzą i uśmiechem psotnej nastolatki. Pozostałe instruktorki także wydawały się niezmiennie od czasu, kiedy Szklarka widziała je po raz ostatni. Jedyne oczy zdradzały, że mają dużo więcej lat, niż sugeruje ich wygląd. W pogłoskach mówiących, że kobiety władające Wyspą są w posiadaniu eliksiru młodości, musiało tkwić ziarno prawdy.

- Miło cię widzieć, Szklarko - odezwała się na powitanie Ita. - Sporo słyszałyśmy o twoich sukcesach.

- Pewnie chodzi o wieżę Keweny?

- Nie tylko. Witraże w klasztorze uzdrowicieli, szklany serwis księżnej Lutgardy... Muszę przyznać, że twoje osiągnięcia torują drogę następnym pokoleniom dziewcząt i przynoszą sławę Wyspie... choć mam wrażenie, że ten ostatni aspekt budzi w tobie raczej niechęć.

- Tak?

- No cóż, nie darzysz tego miejsca szczególnym sentymentem.

- Nie przypuszczałam, że aż tak to widać. - Szklarka nie miała zamiaru zaprzeczać.

- Od opuszczenia Wyspy ani razu nie przyjechałaś w odwiedziny. To już dziewięć lat, prawda? Regularnie płaciłaś podatki, ale poza tym nic, żadnego listu czy pozdrowienia.

- Czyż nie jest to ideał samodzielnej i niezależnej wychowanki?

Ita parsknęła śmiechem.

- Lubię cię, Szklarko. Podoba mi się twój buntowniczy duch skryty pod dobrymi manierami.

Rozmowę przerwało jakieś zamieszanie przy drzwiach. Do jadalni wkraczała najmłodsza grupa dzieci. Na czele szła tęga kobieta z długimi do pasa warkoczami. Nie miała w sobie ani krzty wyniosłej elegancji, jaka cechowała instruktorki. Odwracała się co chwila do otaczających ją maluchów. Głaskała, strofowała, poprawiała przekrzywione kokardy, pomagała zająć miejsca przy stole, w końcu sama z westchnieniem opadła na krzesło. Nie dzielą się z nią sekretem wiecznej młodości, pomyślała Szklarka, patrząc na zmęczoną twarz i delikatne zmarszczki w kącikach oczu Chamomilli. Zabrzmiały trzy uderzenia gongu i wszyscy zabrali się do jedzenia. Pierwszy kęs chleba z pastą serową sprawił, że Szklarkę znowu załapała fala wspomnień. Smak był taki jak zawsze - lekko pikantny, trochę kwaskowaty... Z trudem udało jej się przełknąć to, co miała w ustach. Przypomniały się jej niezliczone poranki, kiedy zasiadała w tej

sali z grupą rówieśniczek i wmuszała w siebie śniadanie. To nie smak jedzenia odbierał apetyt, tylko panująca wokół atmosfera napięcia. Jakbyśmy były w więzieniu.

Ita zerknęła na nadgryzioną kromkę leżącą na talerzu.

- Nie smakuje ci?

- Chyba odzwyczaiłam się od tutejszych potraw.

- Rzeczywiście, dziwna ta pasta - zabrzmiał nagle donośny głos, siedzącej kilka miejsc dalej Tadei di Cornaro. - Zazwyczaj na śniadanie jadłam grzanki z konfiturami z mango i plaster melona.

Szklarka pochyliła głowę, kryjąc uśmiech.

- Każdy kraj ma swoje zwyczaje - odparła lodowatym tonem ubrana w nieskazitelną biel Anid Verda.

- Proszę się nie obawiać. - Cydonia uśmiechnęła się pojednawczo. - Mamy znakomite konfitury. Nie dysponujemy co prawda przetworami z mango, ale te z wiśni, jeżyn, poziomek i borówek są naprawdę godne polecenia.

Szklarka postanowiła sięgnąć po konfitury. Wzięła w dłonie miseczkę i ze wzruszeniem zauważyła, że widnieje na niej ornament z leśnych owoców, który sama kiedyś namalowała. Rozpoznawała nie do końca jeszcze pewne pociągnięcia pędzla i próby odnalezienia właściwego odcienia zieleni.

- Nie wiedziałam, że przechowujecie nasze prace - odezwała się półgłosem.

- Tylko te naprawdę dobre - odpowiedziała z błyskiem w oku Ita - Ty chyba naprawdę nie do końca zdajesz sobie sprawę ze swojego talentu. Powiedz mi - zmieniła nagle temat - co cię do nas sprowadza?

- Zlecono mi namalowanie pewnej rośliny, o której dotychczas nigdy nie słyszałam. W bibliotece braci uzdrowicieli znalazłam jedynie krótką wzmiankę będącą raczej fragmentem legendy niż rzetelną informacją. Pomyślałam więc o tutejszym archiwum.

- Najpierw spytaj Cydonię - to chodząca encyklopedia botaniczna.

- Wiem.

Cydonia była instruktorką zajmującą się ogrodem i prowadzącą zajęcia z zakresu wiedzy o roślinach. Nie odznaczała się taką bezpośredniością jak Ita, ale też nie tworzyła takiego dystansu jak Estrella albo Anid Verda. Wydawało się, że ludzie mało ją interesują. Znacznie bardziej troszczyła się o ogród niż o wychowanki.

Śniadanie nie trwało długo. Na Wyspie Sierot nie celebrowano posiłków. Na dźwięk gongu dziewczęta zebrane w sali wstały i w ustalonym od lat porządku, począwszy od najstarszych, wychodziły przez otwarte szeroko drzwi. Szklarka miała ochotę skryć się w swoim pokoiku i napić się gorącej herbaty z sokiem. Ogarnęła ją tęsknota za domem, za wygodnym fotelem i stolikiem z drzewa różanego, na którym Verka stawiała jej ulubione napoje i desery. Westchnęła. Trzeba jak najszybciej wziąć się do pracy, a potem wracać do siebie.

Już na zewnątrz dogoniła instruktorkę ogrodnictwa.

- Cydonio, kiedy mogłabym umówić się z tobą na chwilę rozmowy?

- A o co chodzi?

- Czy słyszałaś kiedykolwiek o roślinie zwanej herbatą szczęścia?

Usta instruktorki drgnęły ledwo dostrzegalnie, a w oczach na ułamek sekundy pojawił się jakiś dziwny wyraz.

- To zapewne ludowa nazwa jednego z ziół. Ale nie znam jej. Nie jestem etnografem - odparła chłodno Cydonia. - A do czego ci to potrzebne?

- Pewien tajemniczy klient chce, żebym ją namalowała - wyjaśniła Szklarka. - Nawet jeśli herbata szczęścia jest wymysłem albo nazwą zwyczajową innej rośliny, chciałabym znaleźć gdzieś jej opis.

- Wobec tego powinnaś pójść do biblioteki i poszperać w archiwum. Ja zajmuję się wyłącznie realnymi gatunkami. Kilka krzewów herbacianych hoduję nawet w naszej szklarni dla celów edukacyjnych.

- Jesteś więc pewna, że herbata szczęścia nie istnieje?

- Przyszło mi właśnie do głowy, że może jest to jakiś zestaw roślin o działaniu odurzającym. Związane z nim chwilowe oszołomienie i halucynacje mogą dawać złudzenie szczęścia...

- Klient oczekuje konkretnego wizerunku - upierała się Szklarka.

- Pozostaje ci więc grzebanie w księgach. Ja idę nazbierać wrzосу do suszenia. Jeśli znudzi cię archiwum, możesz do mnie dołączyć. Do zobaczenia. - Instruktorka oddaliła się sprężystym krokiem.

Szklarka patrzyła za nią przez chwilę. Nie mogła się pozbyć wrażenia, że Cydonia nie była z nią szczerą. Co oznaczał ten dziwny wyraz twarzy, który pojawił się w chwili, gdy zapytała o herbatę szczęścia? Zamyślona ruszyła w kierunku biblioteki. Rozległy, niski budynek mieszczący archiwum osłonięty był brzoźowym zagajnikiem. Teraz, w jesiennej szacie, drzewa tworzyły złocistą falującą zasłonę odgradzającą bibliotekę od reszty ogrodu. Szklarka przeszła pod zwisającymi gałęziami. Opadło liście szeleściły pod stopami i miała wrażenie, jakby nagle przeniosła się do innego świata. Nacisnęła ciężką klamkę w kształcie sowej głowy. Trzeba było użyć dużo siły, żeby uchylić drzwi. Zaraz za nimi znajdowała się duża sień z kamienną posadzką i olbrzymim kominkiem, w którym prawie zawsze płonął ogień. Gdyby nie on, w pomieszczeniu panowałyby lodowate zimno. Na wprost wejścia stał duży stół zavalony książkami, którą porządkowała niska kobieta w bordowej, wełnianej sukni. Na widok wchodzącej podniosła wzrok. Jej oczy w kolorze ciemnej czekolady uważnie lustrowały dziewczynę.

- Szklarka, prawda? - spytała po zakończeniu oględzin.

- Tak, panno Grim.

O ile do wszystkich instruktorek mówiono po imieniu, do bibliotekarki z niewiadomych powodów należało się zwracać bardziej oficjalnie. Być może sama sobie tego życzyła. Nigdy nie widywano jej poza budynkiem archiwum. Tutaj jadała posiłki specjalnie dla niej przynoszone z kuchni. Kiedyś dziewczęta próbowały na zmianę pełnić wartę pod drzwiami biblioteki, żeby sprawdzić, czy panna Grim w ogóle opuszcza swoją samotnię. Nie wyszła ani razu.

- Potrzebuję wszystkich książek z dziedziny botaniki. Choć może nie tylko...

Przydałyby mi się też jakieś zbiory mitologii, które opisują rośliny nieistniejące, takie jak kwiat paproci albo złota jabłoń.

- Jeżeli zostały opisane, to nie można ich zaliczać do obiektów nieistniejących. Egzystują po prostu w innej rzeczywistości. - Na twarzy bibliotekarki momentalnie wykwitły dwa ciemne rumieńce, a w oczach pojawił się niebezpieczny błysk.

- Oczywiście, ma pani rację - przytaknęła pospiesznie Szklarka, chcąc uniknąć dłuższego wykładu.

Pamiętała, że panna Grim zdolna była wygłosić ponadgodzinną mowę na temat realności bytów opisanych. Nie miała ochoty tego wysłuchiwać.

- Czy mam iść do czytelnicy? - przeszła szybko do rzeczy.

- Och nie! Nie jesteś już przecież uczennicą. Możesz korzystać z całego księgozbioru w sali dla instruktorek.

- Naprawdę? - Szklarka uśmiechnęła się z niedowierzaniem. - Nie przypuszczałam, że kiedyś będę dopuszczona do serca biblioteki.

- Sercem biblioteki jest tajne archiwum Wyspy. - Panna Grim pokręciła głową. - Tylko Estrella i Anid Verda mogą tam wchodzić. Pozostałe regały są jednak oczywiście do twojej dyspozycji.

10.

Obudził się o trzeciej nad ranem. Znowu śniła mu się ta kobieta w szarym płaszczu. Wydawało mu się, że skądś ją zna. Patrzyła na niego ogromnymi oczami o barwie burzowego nieba i szeptała: „Musisz odnaleźć Herbatę Szczęścia. Musisz odnaleźć Herbatę Szczęścia...”. Po chwili jej rysy zaczęły się zamazywać i sen kończył się jak zwykle rozpaczliwym płaczem niemowlęcia. Usiadł na łóżku i zapalił świecę. Wiedział, że teraz już nie zaśnie. Kim jest kobieta przesładowująca go w snach? Czy będzie go dręczyć do końca życia, jeśli nie uda mu się zdobyć tej przeklętej rośliny?

11.

Pięć charakterystycznych sygnałów syreny okrętowej - statek pocztowy. Scaber nie miał ochoty wychodzić z kajuty. Jeżeli jest Coś do niego, to prawdopodobnie tylko kartka od Pepperii. Zagłębił się ponownie w lekturze dziennika podróży Raymonda Sbarossy. Znalazł tam zwięzłe opisy wyspy Nut: bujna roślinność, kamienne, całkowicie zarośnięte ruiny, mały strumień z wodą zdatną do picia.

- Poczta dla ciebie! - W drzwiach ukazała się głowa Cecila i dwie koperty wylądowały na łóżku czytającego.

Scaber rzucił na nie okiem. Różowy liścik skropiony perfumami jest na pewno od

Pepperii. Zirytowany rozdarł kopertę.

Drogi Scaberze,

Dziękuję za kartkę. Miło, że o mnie pamiętasz, jakkolwiek Rannie orzekła, że Twój list był zbyt zdawkowy. Zastanawiam się, czy nie powinniśmy sobie kupić małego pałacyku na południu. Spędzalibyśmy tam zimę. Ojciec zatrudnił już agenta, który ma się rozejrzeć za czymś odpowiednim. Twój zamek w Versathis zdecydowanie wymaga remontu. Zamierzam pojechać tam w najbliższym czasie z architektem i projektantem wewnątrz. Będziesz miał niespodziankę, kiedy wrócisz.

Całuję, Twoja narzeczona, Pepperia

List, zmięty w ciasną kulkę, wylądował w rogu kajuty. Druga koperta zaadresowana była nieznanym mu charakterem pisma. Otworzył ją zaintrygowany.

Drogi Panie Sedun...

Gwałtownie usiadł na łóżku. To Szklarka! Chłonał każde napisane przez nią słowo. Odezwała się do niego! Prawie nie mógł w to uwierzyć! Przymknął oczy i od razu zobaczył jej ciemną głowę pochyloną nad stołem i uniesioną dłoń trzymającą pędzel. I zaraz w następnej chwili w jego myślach pojawiło się uśmiechnięte oblicze Pepperii. Przeciągnął dłonią po twarzy, jakby chciał wymazać ten ostatni obraz. Jeszcze raz przeczytał list od Szklarki. Chciałby być teraz przy niej. Gdyby nie Pepperia... Wyszedł na zewnątrz. Było ciepło. Wyspa Nut leżała w strefie tropikalnej i z każdym dniem dawało się to coraz silniej odczuć. Na pokładzie, oprócz rozmawiającego z kapitanem Cecila Sarotiana, znajdował się Ross Claith, postać tak znana, jak swego czasu Enrico Cartoni. Niektórzy widzieli w nim awanturnika i poszukiwacza przygód, inni - geografa i znawcę odległych kultur. Jego książki, będące barwnymi opisami podróży, cieszyły się dużą popularnością. Ross był małomówny. Sprawiał wrażenie człowieka, który cały czas obserwuje i odnotowuje w pamięci wszystko, na czym spoczywają jego uważne, orzechowe oczy. Scaberowi bardziej odpowiadało jego towarzystwo niż gadatliwego Sarotiana. Imponowała mu wiedza o świecie, jakiej Claith nabył w czasie licznych podróży. Czuł, że ten mężczyzna byłby w stanie zrozumieć jego zauroczenie Szklarką. Czy potrafiłby wyjaśnić, dlaczego dziewczyny wychowane na Wyspie Sierot nie mogą zakładać rodzin, jak inne kobiety? Może był w kraju, gdzie to niepisane prawo nie obowiązuje? Ross wsparty plecami o burtę sporządzał jakieś zapiski w oprawionym w skórę notesie. Jego ręka trzymająca pióro poruszała się szybko i lekkie kołysanie statku wydawało się nie zaburzać toku pisania. Musiał chyba czuć na sobie wzrok Scabera, bo podniósł głowę i spojrzał pytająco.

- Masz do mnie jakąś sprawę?

Scaber podszedł bliżej.

- Dlaczego kobiety z Wyspy Sierot nie mogą wychodzić za mąż? - To pytanie wymknęło mu się, zanim zdążył się zastanowić, czy naprawdę chce je zadać.

- Zdaje się, że to dla ciebie ważne - mruknął Ross, a jego spojrzenie powędrowało ku błękitnej linii horyzontu.

Scaber nie odpowiedział. Był zły na siebie, że tak zniecierpliwiony zaczął rozmowę na zbyt osobisty temat. Po chwili milczenia Claith odezwał się ponownie.

- Sieć Wysp Sierot obejmuje prawie cały świat. Mam tu na myśli jego cywilizowaną część. Reguły dotyczące wychowanek są mniej więcej takie same: żadnych małżeństw, żadnych związków i skrupulatne płacenie podatków na rzecz Wyspy.

- Dlaczego?!

- Instruktorzy nie są zobowiązane do udzielania wyjaśnień. Podejrzewam, że znacznie obniżyłyby się ich dochody, gdyby wykształcone na Wyspie artystki zamiast tworzyć i zarabiać duże pieniądze, zajmowały się domem i wychowaniem dzieci. Ten system funkcjonuje bardzo sprawnie. Instruktorzy celowo wytworzyły wokół swoich wychowanek specyficzną atmosferę, żeby nikt z tak zwanego „normalnego” społeczeństwa nie odważył się ich poślubić.

- A jeśli ktoś się odważy?

- Rozumiem, że interesuje cię to osobiście? - Ross przeciągle popatrzył na Scabera i potrząsnął głową. - Zdecydowanie odradzam.

- Z jakiego powodu?

- Po prostu byli tacy, co spróbowali.

- Tak? - Scaber wciągnął powietrze ze świstem.

- Tak. - Odpowiedź była lakoniczna.

- I co się z nimi stało? - Miał ochotę potrząsnąć cedzącym słowa Claithem.

- Ich losy nie są do końca jasne. Jedni zniknęli, innym żony bardzo szybko umierały w tajemniczych okolicznościach. Zdarzało się, że po urodzeniu pierwszego dziecka, zniknęło ono i jego matka. Żaden z tych związków nie miał szczęśliwego zakończenia.

- Tego nie wiesz, może ci, którym się udało, żyją gdzieś w ukryciu?

- Może tak... - przytaknął bez przekonania Ross.

- Chciałbym porozmawiać z kimś, kto był żonaty z dziewczyną z Wyspy. Może dowiedziałbym się czegoś konkretnego.

- To niemożliwe.

- Co jest niemożliwe?

- Taka rozmowa.

- Nie chcą wracać do przeszłości?

Ross milczał przez chwilę, a potem potrząsnął głową.

- To nie jest takie proste. Oni... zapominają. Tak jakby ten fragment życia, w którym związani byli z wychowanką Wyspy Sierot, nigdy nie istniał.

Scaber popatrzył podejrzliwie na swego rozmówcę.

- A ty skąd to wiesz?

Claith znowu zamilkł. Wydawało się, że nie jest do końca pewien, czy chce wyjawiać źródło posiadanych informacji.

- Powiem ci o kimś, kogo znałem - odezwał się w końcu - ale wolałbym, żebyś

tego, co usłyszysz, nie rozpowiadał na prawo i lewo. Odłóżmy jednak dalszą rozmowę na później, bo zbliża się nasz towarzyski botanik.

Cecil Sarotian wydawał się niezmiernie czymś uradowany.

- Jeszcze tydzień, może półtora i powinniśmy dotrzeć na miejsce. Tak mówi kapitan. Nareszcie będę mógł się czymś zająć. Człowiek głupiej od ciągłego chodzenia tam i z powrotem po pokładzie. No i to jedzenie! Suszone mięso i ryby! Marzę o świeżych owocach! Sądząc z tego, co przeczytałem na temat wyspy, musi ich tam być pod dostatkiem.

Scaber nie podzielał radości botanika. Zbliżanie się do celu podróży oznaczało, że coraz krótszy jest również czas dzielący go od chwili, gdy ponownie spotka się z Pepperią. Dla niego ta podróż mogłaby trwać i trwać. W nieskończoność. Z drugiej strony... powrót do domu oznacza również bliskość Szklarki. Ciekawe, jak daje sobie radę pośród instruktorek? Może opuściła już Wyspę Sierot?

12.

Leksykon ziół strefy tropikalnej, Ziola Wysp Północnych, Rośliny lecznicze ludu Esquierren... Szklarka popatrzyła na piętrzący się przed nią stos. Czowała, że dziś już nie da rady pracować. Ponad miesiąc drobiazgowego przeglądania każdej książki nie przyniósł żadnych rezultatów. Była zaskoczona liczbą pozycji zgromadzonych w bibliotece. Nie wiedziała dotychczas, że większość zbiorów przechowywana jest w rozległych podziemnych salach. Pół roku nie wystarczyłoby, żeby przejrzeć wszystkie dzieła dotyczące samej tylko botaniki. Postawiła na stole kartonik z napisem ZAREZERWOWANE i ruszyła do wyjścia.

- Tak wcześnie dzisiaj?

- Nie mam już sił dłużej siedzieć, panno Grim - powiedziała ze znużeniem. - Muszę się trochę przejść.

- Może chcesz, żebym ci pomogła? - spytała zniecierpliwiona bibliotekarka.

Zaskakująca propozycja. Szklarka nie była pewna, co odpowiedzieć. Właściwie przydałaby jej się pomoc. Nie miała jednak zaufania do panny Grim.

- Bardzo dziękuję, myślę jednak, że powinnam to zrobić sama - odparła chłodno, starając się zarazem, żeby z tonu jej głosu nie zniknęła uprzejmość.

Oczy panny Grim błysnęły gniewnie.

- Nie ufasz mi. Myślisz, że mogłabym coś przeoczyć.

Szklarka westchnęła. Czemu ta kobieta ją męczy? Dotychczas koegzystowały spokojnie wśród książek, nie zamieniając ze sobą słowa poza zdawkowymi grzecznościami. Nagła gorliwość bibliotekarki wydała jej się podejrzana.

- Wręcz przeciwnie, wierzę, że zrobiłaby to pani bardzo dokładnie.

- Więc?

Właściwie co jej szkodzi powiedzieć prawdę? Panna Grim, nawet obrażona, nie posunie się do tego, by zabronić jej dostępu do archiwum.

- Obawiam się korzystać z pomocy instruktorek. Zawsze może się ona przecież obrócić przeciwko mnie.

I zaraz wypłynęło jedno z tych wspomnień, które niosą w sobie ból upokorzenia. Siedziała w ogrodzie i pracowała nad studium sosny. Nie szło jej. Zawsze miała kłopoty z drzewami. Wyrwała kartkę ze szkicownika i rozpoczęła kolejną próbę. W tym momencie na biały arkusz padł czyjś cień. Anid Verda. Patrzyła w milczeniu na powstający rysunek. Szklarka miała wrażenie, że papier zaraz spłonie pod tym spojrzeniem. Instruktorza bez słowa odebrała jej ołówek, kilkoma sprawnymi ruchami naszkicowała zarys pnia i gałęzi i odeszła. To było dzieło doskonałe i tym bardziej zaskakujące, że Anid Verda nie zajmowała się nauką rysunku ani malarstwa. Od tego były Delena i Ita. Na nowej kartce udało jej się powtórzyć to, co zrobiła instruktorka. Miała wrażenie, że doznała olśnienia, jakby nareszcie zrozumiała istotę harmonii rządzącej strukturą drzewa. Zrobiła tego popołudnia jeszcze dwanaście szkiców i dumna zaniosiła je Delenie. Ta tylko rzuciła na nie okiem. „Nieźle”, powiedziała. „Nic dziwnego, skoro maczała w tym palce Anid Verda. Szkoda, że nie potrafisz samodzielnie dać sobie rady z tak prostym tematem”. Do tej pory czuje tamten wstyd i rozczarowanie.

- Ale ja nie jestem instruktorką. - Głos panny Grim wdarł się w potok wspomnień.

- W jakiejś mierze jednak pani do nich należy.

- Mylisz się. Ja i moi krewni... przodkowie... żyjemy w innej rzeczywistości niż instruktorki. - Ściszyła głos i nachyliła się do ucha dziewczyny. - Jesteśmy Avenidami.

Szklarka popatrzyła na nią nierozumiejącym wzrokiem. O co chodzi tej kobiecie?

- Poczekaj chwilę.

Panna Grim podeszła do stojącego w kącie sekretarzyka z mnóstwem szufladek. Sięgnęła za kołnierz sukni i wyciągnęła złoty łańcuszek, na którym wisiało kilkanaście małych kluczyków. Przyjrzała się im uważnie, po czym wybrała jeden, którym otworzyła boczną szufladę. Pogrzebała chwilę w jej zawartości i w końcu wyciągnęła spod spodu podniszczoną książeczkę.

- Proszę. - Położyła ją na blacie. - Przeczytaj, ale nie pokazuj tej książki nikomu. Głos bibliotekarki brzmiał uroczyście. Szklarce nie podobała się ta poufałość panny Grim. Wytrącała ją z równowagi. Nie miała wcale ochoty czytać poźółkłej broszurki, ale wzięła ją bez słowa i ruszyła do wyjścia.

Kiedy opuszczała bibliotekę, słońce stało już nisko nad horyzontem. Za godzinę odezwie się dzwon na kolację. Niewiele czasu zostało na przechadzkę. Ściskając pod pachą książkę, odruchowo skierowała się ku dróżce wiodącej na klify. Szła w kierunku jednej ze szczelin między skałami, gdzie kiedyś miała zwyczaj siadywać i patrzeć na morze, będąc jednocześnie osłoniętą od podmuchów wiatru. Kryła się tam, kiedy chciała być sama. Tylko na tym odludziu mogła się czasem wypłakać, od wychowanek oczekiwano trzymania uczuć na wodzy. Nie należało okazywać smutku, wątplenia czy rozpacz. Nadmierna radość także nie była mile widziana. A płacz... „Płacz jest oznaką słabości”, mówiła Lorneray podczas jednego z wykładów. „Macie sobie uświadomić to, co czujecie, ale nie

wolno wam tego okazywać. Powinniście być nieprzeniknione jak skała. Kiedy rozpoczniecie życie poza Wyspą, umiejętność skrywania uczuć da wam siłę i uchroni od zranień. Jeśli zobaczę, że któraś szlocha w kątku, natychmiast anuluję jej punkty zdobyte w ciągu minionego miesiąca”. Mimo ostrzeżeń instruktorki Szklarkę ogarniała co jakiś czas nagła potrzeba płaczu i nie działo się to w związku z żadnymi przykrymi wydarzeniami. Zdarzały się takie ranki, kiedy budziła się z poczuciem ogromnej straty i pustki nie do wypełnienia. Czekwała wtedy na sposobny moment, żeby wymknąć się na klif i dać upust rozpaczy, której przyczyny nie próbowała nawet dociec.

Nikła ścieżynka nie zarosła zupełnie. Może któraś z dziewcząt odkryła jej samotnię? Szklarka precyzyjnie się między dwoma głazami i usiadła w skalnej niszy. Widok morza jak zwykle podział na nią kojąco. Po dłuższej chwili wypełnionej obserwowaniem sunących majestatycznie fal postanowiła zajrzeć do książki panny Grim. *Legenda o Avenidach* - tak brzmiał tytuł. Dość duże litery dawały się odczytać w gasnącym świetle dnia. Opowieść była nieprawdopodobna. Mówiła o rasie istot, które mogą przenikać do księżek i żyć w rzeczywistości przez kogoś opisaną. W świecie realnym Avenidzi najlepiej się czują, przebywając w pobliżu dużych księżogzborów. Zanim Szklarka zdążyła skończyć pierwszy rozdział, zrobiło się zbyt ciemno na czytanie. Siedziała nieruchomo i próbowała przetrwać w umyśle to, czego się przed chwilą dowiedziała. Gdybyż to była po prostu legenda... Ale panna Grim twierdziła, że jest jedną z nich. I nie wyglądała na osobę skłoną do fantazjowania. Czy instruktorki wiedzą? Znają historię każdego człowieka zamieszkującego Wyspę, nie jest więc możliwe, aby taka informacja się przed nimi ukryła. Jak to jest - wejść sobie do książki i mieszać się z jej bohaterami? Czy uczestniczy się wtedy w ich przygodach, czy jest się tylko obserwatorem? Ale to przecież niemożliwe. Może panna Grim jest szalona?

Odległy dźwięk dzwonu przerwał jej rozmyślenia. Otrzepała suknię z piasku i suchych traw, które przyczepiły się do materiału, i wyszła na ścieżkę. Po drodze do Wielkiego Domu wstąpiła jeszcze do swojego pokoju, żeby zostawić książkę. Nie chciała, by wpadła w oko którejś z instruktorek. Do sali jadalnej weszła jako jedna z ostatnich - równocześnie z najmłodszą grupą prowadzoną przez Chamomillę. Tym razem musiała usiąść między Tadeą a Anid Verdą. Najgorsze z możliwych miejsc. Od przyjazdu nie zamieniła słowa z instruktorką z cypla Arinio. Widziała ją czasem, jak prowadzi zajęcia ze starszymi grupami, Dziewczęta komentowały między sobą te nowe lekcje i sporo z tego docierało także do Szklarki. Gimnastyka przy muzyce, taniec, dobieranie i wyrób biżuterii (przy okazji umiejętność odróżniania prawdziwych kamieni szlachetnych od fałszywych), najnowsze kierunki w modzie, sztuka makijażu - jakże to kontrastowało z ascetyczną atmosferą, w jakiej dotychczas były wychowywane. Nie do końca rozumiała, jaki jest cel tego typu edukacji i na jakiej podstawie spotkania z Tadeą mają zmniejszyć niechęć dziewcząt do opuszczenia Wyspy. Swoją drogą, co je tutaj trzyma? Ona sama podczas ostatniego roku nauki liczyła

dni dzielące ją od wyfrunięcia na wolność.

- Jak tam twoje poszukiwania, Szklarko? - zagadnęła Anid Verda.

- Bez rezultatów.

- Czy nie za bardzo przejmujesz się swoją pracą? - wtrąciła się Tadea. - Przesiadujesz całe dni w bibliotece. To niezdrowo, Sztuka życia, moja droga, polega na umiejętności oderwania się od obowiązków i rzucenia się w wir zabawy. Trzeba cieszyć się muzyką, klejnotami i dobrym jedzeniem!

- Mam zlecenie, które muszę wykonać - odparła sucho Szklarka.

- Zawsze są jakieś zlecenia. - Tadea wzruszyła ramionami.

- Nasze wychowanki słyną z sumienności. - Głos Anid Verdy miał temperaturę lodu.

- Nie muszą być tak zniewolone - odparowała Tadea.

Nie lubią się, pomyślała Szklarka.

- Nie myl dokładności ze zniewoleniem, moja droga.

- Nadmierna dokładność to raczej zabójczy perfekcjonizm. - Tadea uśmiechnęła się słodko. - Być może strach przed niemożnością| sprostania wygórowanym wymaganiom sprawia, że wasze dziewczyny nie chcą podjąć samodzielnego życia?

- Powiedz naszemu gościowi, Szklarko. - Anid Verda wycelowała w nią palcem. - Czy kiedykolwiek wahałaś się opuścić Wyspę?

- Moim marzeniem było wyjechać stąd jak najprędzej. - W tonie jej głosu było coś takiego, że obie instruktorki zamilkły.

Próbowała nie przejmować się ostrym spojrzeniem, jakim przeszła ją Anid Verda, i spokojnie nałożyła sobie zapiekankę z ziemniaków.

13.

Zachodzące słońce barwiło czerwienią obłe grzbiety fal. Claitha nigdzie nie było widać i Scaber doszedł do wniosku, że pewnie najdzie go w kajucie. Zależało mu na dokończeniu rozmowy przerwanej przez Sarotiana. Ross leżał wyciągnięty na koi i przeglądał swój nieodłączny notes, którego kartki gęsto pokryte były drobnym pismem. Na niektórych stronach widniały pospiesznie nakreślone szkice ukazujące fragmenty ożaglowania albo twarze członków załogi statku. Mężczyzna był tak pochłonięty notatkami, że nie zwrócił uwagi na zagląającego przez uchylone drzwi Seduna.

- Ross?

- Tak?

- Obiecałeś mi opowiedzieć o człowieku, który...

- Pamiętam.

- Zrezygnowałeś? - W głosie Scabera zabrzmiało rozczarowanie.

Claith gestem zaprosił go do środka i dopiero kiedy drzwi zostały zamknięte, powiedział:

- To mój ojciec.

Przez długą chwilę odgłos fal rytmicznie uderzających w kadłub okrętu był jedynym dźwiękiem wypełniającym ciasną kajutę. Scaber nie wiedział, że sprawa jest tak osobista. Być może powinien przeprosić i wyjść. Ciekawość była jednak silniejsza niż dobre wychowanie, więc został.

- Jestem synem z drugiego małżeństwa - odezwał się w końcu Ross. - Pierwsza żona mojego ojca pochodziła z Wyspy Sierot. Podobno na początku byli szczęśliwi... nawet bardzo. Potem urodziło się dziecko i coś się z nim stało. Zmarło? Zostało porwane? Nie wiem, jakaś niejasna historia. Zaraz potem zniknęła też matka niemowlęcia. I wtedy odwiedziła ojca jakaś dama. Bardzo elegancka i majestatyczna. Po tej wizycie ojciec zapomniał o dziecku i o kobiecie, z którą był żonaty. Jakby w ogóle nie istnieli. W niedługi czas potem ożenił się z moją matką. To ona opowiedziała mi całą tę historię.

- Nie wracały mu żadne wspomnienia?

- Nie. Miał dziurę w pamięci i w uczuciach. Czasami zdarzało się, że stawał na środku pokoju, przykładał rękę do czoła i mówił: „Coś zgubiłem” albo „Gdybym tylko sobie przypomniał”. W jego głosie było tyle udreki... Pytałem matkę, czy wie, o co chodzi. Opowiedziała mi wtedy o dziewczynie z Wyspy.

- Nie próbowała porozmawiać o tym z twoim ojcem?

- Nie. Może bała się, że ruszy na poszukiwania tamtej albo wpadnie w jakąś straszną rozpacz? Widzisz, moja matka kochała go od zawsze. Od dziecka niemalże. Byli sąsiadami. I kiedy ożenił się z inną, bardzo cierpiała. Widziała, jak bardzo byli szczęśliwi. Kiedyś powiedziała mi, że chciałaby choć przez chwilę być kochana tak jak tamta.

- Dużo wiesz. Dziecku zazwyczaj nie opowiada się takich rzeczy.

- Po śmierci ojca matka czuła się bardzo samotna i zagubiona. Byłem już wtedy dorosły. W tamtym czasie dużo ze sobą rozmawialiśmy.

- Wiesz coś o tej dziewczynie z Wyspy? Jak wyglądała, czym się zajmowała?

- Haftowała albo tkala. Trudno powiedzieć. Wszystko, co wyszło spod jej rąk, zniknęło po wizycie nieznanym kobiety.

Właściwie nic nie zostało wyjaśnione. Scaber znajdował jednak niezwykle pocieszenie w tym, że nie on jeden zakochał się w wychowance Wyspy Sierot. No właśnie, zakochał się. Przyznanie tego przed sobą było jak nagłe olśnienie. Kocham cię, Szklarko. Takich słów nigdy nie wypowiedział w stosunku do Pepperii. Ani w myślach, ani na głos. Chciałby, żeby Szklarka to wiedziała.

- Słyszałem, że jesteś zaręczony z dziedziczką Thunberengów?

Zadane obojętnym tonem pytanie sprowadziło go na ziemię.

- Chyba wszyscy o tym słyszeli. - Scaber nie krył rozgoryczenia.

- Więc ożeń się z nią i żyj spokojnie i dostatnio.

- To ty się z nią ożeń!

Ross wybuchnął śmiechem.

- Cóż za wspaniałomyślna propozycja! - wykrztusił. - Ale panna Pepperia nie zechce poślubić takiego obieżyświata z majątkiem trzydziestokrotnie mniejszym

niż to, co odziedziczy jej narzeczoną.

- Sam widzisz, że chodzi tu tylko o majątek.

- Również o urodę i pochodzenie. Jesteście pod tym względem dobraną parą.

- ROSS,

- Słucham?

- Przestań kpić.

Claith podniósł się z łóżka i stanął na wprost Scabera.

- Chcesz do końca życia nosić w sobie pustkę, jak mój ojciec?

- Na pewno nie chcę dzielić życia z Pepperią.

- To akurat jestem w stanie zrozumieć. Co powie twoja rodzina?

- Spodziewam się, że nie będą zadowoleni. - Wyobraził sobie matkę patrzącą z wyrzutem. „Synu, jak mogłeś...”. Ojciec będzie chodził tam i z powrotem, wykrzykując z oburzeniem: „Honor rodziny! Podeptałeś honor rodziny!”. Mimo to... - Ross, jak daleko znajduje się statek pocztowy?

- Słyszałem, że przez kilka dni ma płynąć kursem zbieżnym do naszego, a potem odbija na wschód.

- To dobrze... Dziękuję za to, co mi powiedziałeś. - Otworzył drzwi. - Mam na myśli to o twoim ojcu.

- Scaber! - zatrzymał go głos Claitha.

Odwrócił się. Twarz Rossa była ledwie widoczna w półmroku.

- Wiedz, że jestem po twojej stronie, niezależnie z jakimi demonami walczysz.

Lampa rzuciła łagodne światło na mały mahoniowy stolik. Obok jego przykręconych do podłogi nóg leżał stos zmiętych arkusików opatrzonych herbem Sedunów. List do rodziców okazał się najtrudniejszy do napisania. Dużo gorszy niż ten do Pepperii. Chciał, żeby wiedzieli o jego decyzji, zanim osobiście pojawi się w domu. Z westchnieniem zaczął od nowa. Do świtu musi się z tym uporać.

14.

Przez kolejne dwa tygodnie starannie unikała rozmowy z panną Grim. Rzucając w przelocie „dzień dobry”, biegła do swojego stanowiska pracy. Z zapamiętaniem przeglądała kolejne tomy, niektóre tak stare, że trzeba je było przed czytaniem spryskiwać specjalnym roztworem, żeby nie rozpadły się w rękach. Właściwie straciła wiarę, że może w nich coś znaleźć. W końcu podjęła decyzję o wyjeździe. To już ostatni ranek tutaj - mówiła sobie, idąc w kierunku biblioteki. Stanęła przed panną Grim i położyła na stole książeczkę o Avenidach. Miała zamiar oddalić się bez dalszych wyjaśnień, ale bibliotekarka na to nie pozwoliła.

- I co o tym myślisz? - spytała.

- Nie wiem, co powiedzieć. Przedziwna legenda...

- Legenda? - Panna Grim zaśmiała się. - Och tak, taki jest tytuł, ale cała zawartość

to szczerą prawdą. Wiem o tym. Sama jestem Avenidą.

- Dlaczego pani mi to mówi? - Szklarka była poirytowana. Nie podobał jej się porozumiewawczy i trochę dwuznaczny uśmiech bibliotekarki.

- Jesteś nosicielką tajemnicy. Chyba dlatego - padła zaskakująca odpowiedź.

- Nikim takim nie jestem! - odparowała z oburzeniem. - Moje życie pozbawione jest sekretów. Mieszkam w Como, w zwykłej kamienicy. Mam służącą Verkę, która mi gotuje i sprząta.

Całymi dniami maluję, wykonując zlecenia i uczciwie płacę podatki. To wszystko. Żadnych tajemnic.

W tym momencie zarumieniła się, bo przypomniała sobie o Scaberze.

- Mimo to wiedziałam od pierwszej chwili, gdy cię zobaczyłam, że ktoś zamknął w tobie tajemnicę. Dawno temu. Może zrobiło to któreś z rodziców.

Szklarka zadrzała. Na Wyspie nie mówiło się o rodzicach. Wszystkie dziewczęta były po prostu wychowanekami i już jako małe dzieci wyczuwały, że coś groźnego i zakazanego kryje się w słowach: „rodzice”, „matka”, „ojciec”. Nigdy też ze sobą o tych sprawach nie rozmawiały. Bystre oko bibliotekarki zauważyło mimowolną reakcję Szklarki. Kobieta westchnęła i pokręciła głową.

- Och te sztuczki instruktorek - powiedziała półgłosem. Podeszła do sekretarzyka, powtórzyła całą operację z wyciąganiem złotych kluczyków i otworzyła płaską szufladę znajdującą się na samej górze. Z wielką ostrożnością wyjęła z niej cienki płatek złota. Położyła go na stole i rozkazała:

- Przyłóż tu serdeczny palec lewej ręki.

- Co to jest?

- Bardzo czuły wskaźnik.

Szklarka wzruszyła ramionami, ale dla świętego spokoju dotknęła metalicznej powierzchni. Złoto błysnęło oślepiającym fioletem, zanim zdążyła cofnąć dłoń. Panna Grim wydawała się zaskoczona.

- Nie spodziewałam się aż takiej reakcji - mruknęła, chowając złoty płatek z powrotem do sekretarzyka.

Szklarka podeszła do stojącej pod ścianą dębowej ławy i usiadła ciężko. Na myśl o tym, że związana jest z jakąś tajemnicą, robiło jej się niedobrze. Bibliotekarka wyszła zza stołu i usiadła obok.

- Rozumiem twoje oszołomienie. Komuś wychowanemu według reguł Wyspy trudno jest zaakceptować istnienie tego, co wymyka się rozumowi. Instruktorzy nie wyjawiają pewnych rzeczy. Na przykład są doskonale świadome obecności Avenidów, ale kazały mi złożyć specjalną przysięgę, w której zobowiązałam się, że nie zdradzę mojego pochodzenia żadnej osobie zamieszkującej Wyspę. Ty już na szczęście tu nie mieszkasz. Chcę ci pomóc w poszukiwaniach. Czuję, że to bardzo ważne, a Avenidzi bardzo często kierują się przecuciami.

Szklarka nie wiedziała, co odpowiedzieć. Nie potrafiła zrozumieć samej siebie. Panna Grim, nagle taka przyjazna i aż nadgorliwa w swojej życzliwości, niepokoiła ją. Jej oferta pomocy, z jednej strony kusząca, z drugiej... No właśnie, skąd ta niechęć do skorzystania z propozycji? Może przerażał ją fakt, że

bibliotekarka mówiła o tajemnicy, która miała jej dotyczyć? Ta procedura z dotykaniem złotego płotka... Nie chciała mieć z tym nic wspólnego i... bała się. Tak, to właśnie to uczucie. Bała się jakichkolwiek bliższych kontaktów z panną Grim. I to pomimo tego, że bibliotekarka wyraźnie dała jej do zrozumienia, że nie stoi po stronie instruktorek. Jak to wytłumaczyć, żeby nie urazić siedzącej obok i wpatrującej się w nią wyczekująco kobiety? Na szczęście w tym właśnie momencie zza drzwi wejściowych dał się słyszeć odgłos tupania, jaki wydawały ciężkie jesienne trzewiki noszone o tej porze roku przez wszystkie wychowanki. Panna Grim poderwała się i zajęła swoje miejsce za stołem z książkami.

- Nadchodzi jakaś grupa - wyjaśniła pospiesznie. - Porozmawiamy później.

Szklarka nie miała już ochoty grzebać w zakurzonych manuskryptach. Poszukiwania legendarnej rośliny wydały jej się nagle zupełnie pozbawione sensu. Zateśknęła za swoją pracownią, za zapachem farb i ciężarem pędzla w dłoni. Sięgnęła po wiszący na wieszaku płaszcz. Podeszła do bibliotekarki.

- Jutro wyjeżdżam, do widzenia - powiedziała, nachylając się ku niej.

Akurat zaczęły wchodzić dziewczęta. Wśród poszeptywań i stłumionych chichotów zdejmowały lśniące od deszczu peleryny. Panna Grim chwyciła Szklarę za rękę.

- Zostań - mówiła prawie niedosłyszalnie. - Przeprowadzę cię do świata księgi.

Dziewczyna popatrzyła na nią z niedowierzaniem. Zamrugła powiekami.

- Obiecuję! - Bibliotekarka wzmocniła uścisk.

- Dobrze. - Szklarka uwolniła dłoń. - Zjawię się jutro.

Całe przedpołudnie spędziła, spacerując po klifach. Powoli układała sobie plan na następny dzień. Rano spotkanie z panną Grim. Zwykły zdrowy rozsądek nie pozwalał jej uwierzyć, że to, co proponowała bibliotekarka, mogłoby się ziścić. Przypuszczała, że jakieś niezrozumiałe powody pchają pannę Grim do prób zacieśniania kontaktów. Jakiegokolwiek by były, budziły w niej niesprecyzowany lęk i najchętniej opuściłaby Wyspę bez ponownego odwiedzenia archiwum. Gdzieś w głębi ducha tliła się w niej jednak iskierka nadziei, że może, na przekór temu, co podpowiadał rozum, możliwe jest przejście do świata ksiąg. Że panna Grim nie fantazjowała. Jeśli tak było, to nie darowałyby sobie nigdy, że stchórzyła i nie skorzystała z takiej okazji. Pójdzie więc do biblioteki. A potem wsiądzie na prom i nigdy już tu nie wróci. Nigdy.

15.

O świcie zobaczyli zarysy lądu - błękitnawe pasemko na horyzoncie.

- Oto nasz cel. Najpóźniej jutro powinniśmy być na miejscu! - Cecil Sarotian z radością zatarł ręce.

- Nie wiadomo - zgasił go Ross, patrząc uważnie przez lornetkę. - Położenie wyspy znane jest tylko w przybliżeniu. Dzienniki pokładowe różnych wypraw

zgodnie podają, że w pobliżu wyspy Nut wszystkie przyrządy nawigacyjne przestają normalnie działać, promienie słońca padają pod dziwnym kątem, a nocne niebo bywa tak zamglone, że nie widać gwiazd. Łąd może się więc okazać nie tym, którego poszukujemy.

- To skąd będziemy wiedzieć, czy to właściwa wyspa? - spytał urażony botanik. Ross wzruszył ramionami. Scaber przysłuchiwał się tej rozmowie, ale myślami błądził gdzie indziej. Od napisania listów czuł niemalże upojenie wolnością. Wyspa Nut była mu obojętna. Chciał już wracać. Pragnął spotkać się ze Szklarką, porozmawiać, spytać... No właśnie, czy mógłby tak po prostu ją spytać, czy zechce zostać jego żoną? Nagle ogarnęła go obawa, że ta dziewczyna, wychowana według reguł ustalonych przez instruktorki, nie zdobędzie się na sprzeciw wobec nich. I co wtedy? Jedno jest pewne, nie będzie już związany z Pepperią. Gdyby nie Szklarka, nie potrafiłby się zdobyć na zerwanie zaręczyn. Samo jej istnienie dodawało mu sił.

W tym momencie jego uwagę zwróciło jakieś poruszenie wśród marynarzy. Cecil natychmiast znalazł się obok nich.

- Co się dzieje? - spytał.

- Sternik mówi, że instrumenty pokładowe zwariowały, igła kompasu kręci się jak szalona. Nie możemy ustalić naszego położenia.

- A więc jednak jesteśmy u celu - powiedział beznamiętnym głosem Ross Claith, nie odrywając oczu od lornetki. - Mamy także mgłę, której zresztą parę minut temu nie było. Jestem gotów się założyć, że to wytwór mieszkańców wyspy. Jak widać, nie lubią odwiedzin.

Statek płynął powoli ku ścianie kłębiących się oparów. Do grupki podróżników ciężkim krokiem podszedł wysoki, nieco przygarbiony mężczyzna - kapitan Birn Holman. Stał obok nich z ponurą miną.

- Panowie, zrobiłem, co do mnie należało. Dowiozłem was do wyspy. Nie oczekujcie jednak, że wysłę na brzeg choć jednego z moich ludzi. - Jego niebieskie oczy patrzyły twardo spod krzaczastych, zrosniętych nad nosem brwi. - Dam wam szalupę i popłyniecie sami. Statek będzie tu czekał na kotwicy.

Kilku marynarzy przystanęło w pewnej odległości. Z zaciekawieniem popatrywali na członków ekspedycji, czekając na ich reakcję.

- Ależ ja potrzebuję kilku osób do transportowania eksponatów z wyspy! Niektóre rośliny będę chciał przechować w płynie konserwującym. Kto mi przetransportuje słoje? Nie zdołam wszystkiego zabrać za jednym razem! - Cecil Sarotian kipiał oburzeniem.

- O ile wiem, człowiek, który opłacił całą panów podróż, interesował się wyłącznie herbatą szczęścia. Nie muszę używać członków załogi do transportu jednej rośliny - wycedził zimno kapitan. - Proszę się jednak nie obawiać, panie Sarotian. Jeśli wyląduje pan na wyspie i... wróci, będzie to oznaczało, że łąd jest bezpieczny. Wówczas na kolejny rekonosans będzie pan mógł wziąć kilku ochotników spośród marynarzy.

Oddalił się, nie czekając na odpowiedź. Wkrótce usłyszeli, jak rozkazuje, żeby

spuścić żagle i rzucić kotwicę. Marynarze rozbiegli się po pokładzie. Zaskrzybiał łańcuch kotwiczny. Ktoś z załogi rzucił jakąś uwagę, reszta wybuchnęła śmiechem. Scabera ogarnęło nagle uczucie osamotnienia. Jakby mieli zostać porzuceni na bezludnej wyspie. Chociaż, według wszelkich przesłanek, wyspa Nut bezludną jednak nie była. Wyprodukowana przez tubylców mgła kłębiła się i wypełniała powietrze dziwnym zapachem.

Cecil pociągnął nosem.

- Chyba czuję goździki i cynamon...

- Pieką dla nas gigantyczne ciasto i trochę im się nadymiło. - Ross uśmiechnął się krzywo. - Mam nadzieję, że to nie jakaś mieszanka usypiająca.

- Albo halucynogenna - mruknął botanik.

Scaber rozpoznał jeszcze jedną woń. Delikatną, ledwie wyczuwalną, która obudziła w nim falę wspomnień. Pracownia Szklarki w zamku królowej... Mieszane na porcelanowym talerzyku farby... Kałuża ostrej purpury.

- Czy naprawdę istnieją kwiaty w takim kolorze?

- Tak, to bugenwille. - Szklarka nawet nie podniosła głowy znad szklanej tafli. - Rosną na południu. Nigdy ich nie widziałam w naturze - westchnęła - ale atlasy botaniczne są dokładne.

- Czy chciałaby pani pojechać tam, gdzie kwitną?

Dopiero teraz na niego spojrzała. Duże, poważne, szarogranatowe oczy...

- Tak, chciałabym. Podobno potrafią obrastać całe ściany domów i sprawiają, że zwykłe budynki wyglądają jak purpurowe pochodnie.

Chciał wtedy powiedzieć: „Zabiorę tam panią”, ale był narzeczonym Pepperii i nie mógł.

- Zamyśliłeś się. - Cecil lekko klepnął go w plecy.

- Wydaje mi się, że czuję zapach jakiegoś składnika używanego do produkcji farb.

Botanik węszył przez chwilę, po czym spojrzał zdumiony na Scabera.

- Purpura tinctii... śladowe ilości... i żywica drzewa gau... Chylę czoła.

- Bukiet aromatów na naszą cześć, panowie. - Ross klepnął się po kieszeni, w której tkwił nieodłączny notes. - Mam coraz większą chęć odwiedzić gościnnych mieszkańców.

- Idea wyspy bezludnej bardziej mi odpowiadała. - Cecil się skrzywił. - Tubylcy mogą się zdenerwować, jeśli zacznę wykopywać jakąś ich świętą roślinę.

- Kiedy wypływamy? - Scaber usiłował wzrokiem przebić mgłę.

- Spiesz ci się - zauważył Ross.

- To prawda, chciałbym zrobić, co trzeba i wracać.

- Do dziewczyny z innej wyspy... - Wydawało mu się, że w tonie Claitha wyczuł smutek. Może Ross myślał teraz o swoim ojcu?

- Domyśliłeś się.

- Zostały dwie godziny do zachodu słońca - wtrącił się Sarotian. - Idę przygotować najbardziej niezbędny sprzęt. Wam też radzę się już spakować. Wypływamy jutro o świcie. Spróbujemy jako tako przeszukać wyspę i wrócimy

przed zapadnięciem zmroku. Wtedy kapitan przekona się naocznie, że nie zostaliśmy połknięci przez ludożerców i da nam drugą łódź oraz marynarzy do noszenia ciężkiego sprzętu. Rozbijemy na brzegu prawdziwy obóz i...

- Utkniemy tu na kilka miesięcy, żebyś mógł zaspokoić swoje apetyty badawcze - dokończył z ponurą miną Scaber.

Botanik wzruszył ramionami i skierował się w stronę ładowni, rzucając ostatnie spojrzenie na szarą zaporę mgły. Ross odchylił głowę do tyłu i głęboko wciągnął w płuca wilgotne powietrze.

- Żywica drzewa gau... - powiedział jakby do siebie - używana do produkcji farb barwiących szkło... A więc to Szklarka.

- Znasz ją?! - Scaber nie mógł powstrzymać okrzyku zaskoczenia.

- Nie osobiście. Widziałem tylko jej prace. Instruktorci wydrapią ci oczy, jeśli im ją zabierzesz.

- Nie rozumiem dlaczego.

- Przynosi im olbrzymie zyski. Każda wychowanka od każdego sprzedanego dzieła płaci podatki na rzecz Wyspy. Honoraria twojej wybranki są olbrzymie, a zleciodawcy... sam wiesz - królowa, baron Wietten, księżna Morgenrose...

- Przecież nie zabronię jej malować!

- Nie łudź się, taka sztuka rodzi się z samotności. Będąc twoją żoną, Szklarka nie mogłaby pracować tyle, co teraz. No i skąd wiesz, że dla ciebie zechce porzucić dotychczasowy tryb życia?

- Tego nie wiem.

W oczach Claitha pojawiło się coś na kształt współczucia. Scaber wdychał egzotyczne zapachy. Czy Szklarka byłaby gotowa zaryzykować i narazić się na gniew instruktorek? Wydawała mu się odważna i niezależna. Tak niezależna, że... może wcale go nie potrzebowała? Gdyby jednak nie chciała mieć z nim nic do czynienia, czy odpisałaby na jego list? Znów głęboko wciągnął powietrze. Czuł sympatię do wyspiarzy. Może wytwarzali te oparv. żeby odstraszyć przybyszów, ale w tej chwili nie miało to dla niego znaczenia. Wszystko, co w nikły nawet sposób wiązało się ze Szklarką, przyjmował z wdzięcznością.

16.

- Jestem.

Panna Grim podniosła wzrok znad jakiegoś bogato ilustrowanego dzieła.

- Cieszę się - powiedziała bez uśmiechu. - Musisz jednak poczekać do wieczoru. Wtedy nikt tu nie zagląda.

- Wobec tego przyjdę po kolacji.

- Nie chcesz jeszcze trochę poszperać?

- Jestem przekonana, że choćbym spędziła tu cały rok i tak nic nie znajdę. Jeśli herbata szczęścia rzeczywiście istnieje, w co zaczynam wątpić, to informacje o niej są dobrze ukryte. Być może garstka wtajemniczonych ma do nich dostęp.

- Masz na myśli instruktorki?
- Być może. Co prawda Cydonia twierdziła, że nie ma takiej rośliny. Mówiła, że może tu chodzić o jakiś zestaw ziół o właściwościach odurzających.
- Nie zawsze należy wierzyć temu, co opowiadają panie tej wyspy.

Pozbawiony konkretnych planów dzień rozciągał się przed Szklarką jak niezapisana karta. Powietrze było mroźne. Niedługo spadnie pierwszy śnieg. Nie lubiła zimy. Każdego roku o tej porze marzyła, żeby pojechać na południe i w jakimś pensjonacie obrosniętym bugenwillami przeczekać najgorszy czas. Zawsze jednak miała tyle zleceń, że decydowała się na pozostanie w pracowni. Zimowe przyjęcia, śluby i jubileusze były okazjami do kupowania wyrefinowanych prezentów. A cóż może być bardziej udanym i eleganckim podarkiem, świadczącym o dobrym guście i hojności obdarowującego, niż unikalne dzieła artystki z Wyspy Sierot?

Nie widziała żadnych dziewcząt w ogrodzie. Widocznie wszystkie grupy miały zajęcia w budynkach. Nieoczekiwanie dla samej siebie zapragnęła odwiedzić pracownię malarską. Weszła na ścieżkę biegnącą między dwoma rzędami ozdobnych krzewów i drzewek. Wiosną było to jedno z najpiękniejszych miejsc na Wyspie. Kwitły wówczas forsycje, pigwowce, potem bzy i szczodrzeńce. Kiedyś rosły tu także różaneczniki, ale przemarzły podczas szczególnie ostrej zimy. Najbliżej budynku mieszczącego pracownię artystyczne znajdował się ogród różany. To tam, siedząc na jednej z kamiennych ławek, godzinami rysowała studia kwiatów.

Mijała właśnie rozłożystą jarzębinę, gdy zauważyła, że ktoś po drugiej stronie drzewa obrywa grona ciemnopomańczowych owoców. Przyjrzała się uważniej. To była Chamomilla. Ciemnoszary płaszcz otulał jej obfite kształty, włosy przykrywał jasnopopielaty szal. Przez chwilę obie kobiety w milczeniu mierzyły się wzrokiem.

- Do czego ci ta jarzębina? - Szklarka zadała to pytanie tylko po to, żeby przerwać krępującą ciszę.

- Obiecałam Klarentynie i Domicelli, że będziemy dziś po kolacji robić korale - odpowiedziała Chamomilla nieco wyzywający tonem, jak gdyby z góry szykując się na odparcie ataku.

- To może umilić jesienny wieczór - rzuciła pojednawczo Szklarka. Chciała nawiązać z Chamomillą przyjazny kontakt, ale jasnoniebieskie oczy tamtej patrzyły nieufnie, może nawet wrogo.

- Nie musisz udawać życzliwości. - Chamomilla powróciła do rwania jarzębiny. - Pewnie wiele się już nasłuchiłaś na mój temat od instruktorek. Szczególnie ta papuga, di Cornaro, nie zostawia na mnie suchej nitki.

Szklarka parsknęła śmiechem.

- Papuga to trafne określenie - przyznała. - A tak naprawdę, to nie miałam okazji za wiele się nasłuchać. Całe dni przesiadywałam w bibliotece, szukając informacji o roślinie zwanej herbatą szczęścia.

Chamomilla wypuściła z rąk koszyk i jaskrawe grona wysypały się na trawę. Przez dłuższą chwilę stała nieruchomo, wpatrując się w przestrzeń. Potem przykucnęła i powoli zaczęła zbierać lśniące wśród zieleni owoce. Szklarka pospieszyła z pomocą.

Czuła się nieswojo, bo raz po raz podnosząc głowę, napotykała uważne spojrzenie tamtej. Koszyk był już prawie pełen, kiedy Chamomilla odezwała się półgłosem:

- Możesz liczyć na moją pomoc.

- Och! - Szklarce zaschło w gardle z podniecenia. - Wiesz coś o...

- Nie, nie wiem - przerwała jej w pół słowa. - Ale moja matka powiedziała mi przed śmiercią, że jeśli spotkam dziewczynę szukającą herbaty szczęścia, to mam jej udzielić wszelkiej pomocy.

Szklarka poczuła zimny dreszcz biegnący jej wzdłuż krzyża. Było to takie samo odczucie jak wtedy, gdy panna Grim wspomniała o jej rodzicach.

- Mm... matka? Znałaś swoją m... matkę?

To było nie do pojęcia. Żadne dziecko z Wyspy nie wiedziało, kim są jego rodzice. Taka była zasada. To dlatego Chamomilla jest taka inna, taka silna i nic sobie nie robi z instruktorek... Znała swoją matkę... I w dodatku ta matka wiedziała o herbacie szczęścia. Wiedziała, że ona, Szklarka, tu przyplynie i będzie jej szukać. Jak to możliwe? Może na tym polegała tajemnica, o której mówiła bibliotekarka?

- O tak. Pewnie, że ją znałam. Była mleczarką. Mieszkałyśmy na farmie za wzgórzem Takar. Codziennie dostarczałyśmy mleko i masło do waszej kuchni. Zmarła, jak miałam osiem lat. Instruktorci wzięły mnie na wychowanie. Prawdopodobnie dlatego, że wywachały mój talent do serów. Gdyby nie to, pewnie zostałabym pod opieką Horyny Knaps, dość nieprzyjemnej osoby, która przejęła zarządzanie farmą.

- Dlaczego zostałaś na Wyspie? - Szklarka nareszcie miała okazję zadać nurtujące ją od dawna pytanie. - To takie przerażające miejsce.

Mówiąc te słowa, zdała sobie sprawę, że dla niej jako dziecka, życie tutaj wypełnione było nieustannym, nieokreślonym lękiem.

- Żal mi było tych wszystkich dzieci hodowanych bez miłości, kształconych po to, żeby przynosić zyski instruktorkom. Wzrastają z ciężarem wymagań i oczekiwań. Nie mają wspomnień, z których mogłyby czerpać siłę. Kiedy tu trafiłam, zdałam sobie sprawę, że instruktorki nie mają nade mną takiej władzy jak nad innymi dziewczynkami. W każdej chwili mogłam zamknąć oczy i wywołać pod powiekami obraz całującej mnie mamy. Pewnego poranka, było to dokładnie w dzień moich szesnastych urodzin, zrozumiałam, że chcę tu zostać i dać dzieciom choć trochę takiej miłości, jakiej sama doznałam. I zupełnie nie interesowało mnie zbijanie fortuny na produkcji serów.

- Teraz rozumiem, dlaczego dziewczęta nie chcą opuszczać Wyspy. Mają ciebie. Drżącymi palcami obracała kiść jarzębinowych owoców. Chamomilla popatrzyła jej łagodnie w oczy.

- No więc jak mogę ci pomóc?

- A co dokładnie mówiła twoja m... mama.

- Była już bardzo chora. Leżała w łóżku. Zawołała mnie i kiedy podeszłam, wyszeptwała: „Jeśli spotkasz kiedyś dziewczynę szukającą herbaty szczęścia, musisz jej pomóc”. Spytałam, kiedy ta dziewczyna ma przyjść i co mam wtedy dla niej zrobić. Mama powiedziała, że prawdopodobnie będę już dorosła i że sama będę wiedziała, na czym ta pomoc ma polegać. Potem dodała, że nie wolno mi nikomu o tym mówić, zwłaszcza instruktorom. Potem nigdy już nie wracała do tego tematu. Wiedziała, że będę pamiętać.

Szklarka bezradnie potrząsnęła głową. Pojedyncze pasmo włosów wymknęło się spod spinki i poślaskotało ją w policzek. Bezwiednie nawinęła je na palec.

- Poszukuję po prostu pewnej rośliny. Im dłużej jej szukam, tym bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że ona nie istnieje... że jest takim samym wymysłem jak kwiat paproci.

- Ale moja matka także o niej słyszała!

- Tak... i na dodatek wiedziała, że zjawi się ktoś, kto będzie jej szukał... - Miała zamęt w głowie. Jak to możliwe, żeby mleczarka na ileś lat przed tą chwilą tutaj, wiedziała, że ona, Szklarka, przybędzie na poszukiwanie herbaty szczęścia? O co w tym wszystkim chodzi? W jaki sposób Chamomilla mogłaby jej pomóc? Stały naprzeciw siebie w ciszy. Czuła, że łączy je teraz delikatna, pajęcza nić sympatii i porozumienia. Coś jak cień przyjaźni.

Chamomilla poprawiła kosz na ramieniu.

- Muszę wracać do moich dzieci. Gdybyś mnie potrzebowała, po prostu przyjdź. Mieszkam w pawilonie dla najmłodszych. Nie rób takiej miny. Chyba nie przypuszczałaś, że śpiam w Rezydencji?

- Byłaś tam kiedykolwiek?

- Jeszcze mnie nie zaprosiły. Pilnie strzegą swoich tajemnic.

Kiedy Chamomilla odeszła, Szklarka bardzo wolno ruszyła w stronę pracowni. Próbowwała dojść do siebie. Bała się zagłębiać w rozmyślenia dotyczące znaczenia dopiero co zakończonej rozmowy. Skierowała wzrok na krzaki róż pootulane słomą w obronie przed mrozami. Szkoda, że to nie lato. Tak bardzo chciałyby zobaczyć Królową Clarissę obsypaną morelowymi kwiatami i jeszcze raz poczuć ich zapach.

Stała przed kamiennym budynkiem. Poczerniałe ze starości drzwi rzeźbione w gałęzie jabłoni, klamka w kształcie liścia wypolerowana dotknięciami setek dłoni. Nieoczekiwane wzruszenie sprawiło, że Szklarce łzy stanęły w oczach. Przesunęła dłonią po płaskorzeźbach. Chropowate ciepło drewna. Uchyliła drzwi. Znajomy przedsiónek z rzędami zapełnionych płaszczami wieszaków, podłoga wyłożona białymi i czarnymi płytami, ciemnozielone kotary zasłaniające wejścia do poszczególnych sal. Odsloniła ciężki welur i nacisnęła klamkę Pracowni Malarstwa na Szkle i Porcelanie. Najpierw poczuła zapach farb i rozpuszczalników. Cisza panująca we wnętrzu, zakłócana jedynie sporadycznym brzęknięciem szkła albo skrobaniem zbyt wysuszonego pędzla, świadczyła o tym,

że zajęcia prowadzi Delena, która nie znosiła rozmów i śmiechów podczas pracy. Ita wręcz przeciwnie, na każdych ćwiczeniach gawędziła wesoło z uczennicami i pozwalała im bez ograniczeń porozumiewać się ze sobą. Jedna z siedzących najbliżej drzwi dziewczynek zauważyła Szklarkę. Trąciła łokciem koleżankę zajmującą miejsce przy sąsiednim stole. W następnej chwili dziesięć par oczu wpatrywało się w niespodziewanego gościa jak w tęczę. W końcu spostrzegła ją Delena.

- Witaj, moja droga. Miło, że przyszłaś nas odwiedzić.

Szklarka nie była pewna, czy instruktorce jest miło. Skłonna była przypuszczać, że wręcz odwrotnie, mimo że koścista twarz Deleny przyoblekła się w coś na kształt uśmiechu.

- Nie chciałam przeszkadzać. Czy mogę tu chwilę posiedzieć? Mój stół jest dziś jak widzę wolny.

- Czuj się swobodnie. - Delena skinęła głową. - A wy wracajcie do pracy.

Instruktor malarstwa nic się nie zmieniła przez te wszystkie lata. Czarne, gładko zaczesane włosy spięte w ciasny węzeł z tyłu głowy, prosta fioletowa suknia wystająca spod ochronnego fartucha. I ani jednej zmarszczki na twarzy... Delena, mimo swej oschłości, była dobrą nauczycielką. Potrafiła wpoić uczennicom zasady budowania perspektywy i tworzenia kompozycji. Pod jej bezlitosnym okiem nie było mowy o żadnych niedokładnościach. Szklarka z niechęcią musiała przyznać przed sobą, że wiele jej zawdzięcza.

Całą jedną ścianę pracowni zajmowała szafa z mnóstwem przegródek na farby, pędzle, szklane naczynka do płukania, miseczki do mieszania barwników i inne przybory. Szklarka popatrzyła na stos porcelanowych naczyń zgromadzonych na dolnej półce. Jak dawno nie malowała niczego dla przyjemności! Wybrała czarną filiżankę, pięć słoiczków z farbami i dwa pędzelki. Tak wyposażona usiadła przy stole, na który padało światło z okna umieszczonego w dachu. Dziesięć par oczu pilnie śledziło każdy jej ruch. Starannie uczesane główki dziewcząt, niby to pochylone nad pracą, co i raz unosiły się, żeby skontrolować, co robi dawna wychowanka Wyspy. Szklarkę to bawiło, a Delena nie interweniowała. Widocznie uznała, że osoba, która zyskała tak dużą sławę, może stanowić obiekt chwilowej adoracji. Dziewczęta pożerały wzrokiem jej strój, fryzurę, sposób, w jaki trzyma pędzel i miesza kolory. Patrzyły, jak w skupieniu wpatruje się w filiżankę, a potem szerokim pędzlem nanosi podkład wiążący pigment. Po krótkiej chwili Szklarka przestała być świadoma tego, że jest obserwowana. Przestała myśleć o Chamomilli i herbacie szczęścia. Skupiła się wyłącznie na wykonywanej czynności. Zaczęło ją ogarniać błogie uczucie rozluźnienia. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak bardzo brakowało jej malowania, i jak bardzo zmęczyło ją bezowocne grzebanie w starych księgach. Zaczęła przenosić na porcelanę wizerunek gałązki jarzębiny. Czerwone owoce kontrastujące z ciemnym tłem zdawały się świecić własnym światłem.

- Jakie to piękne!

Szklarka uniosła głowę i napotkała pełne bezgranicznego zachwyty spojrzenie

czarnookiej dziewczynki. Wydawała się młodsza od innych. Może była węższej budowy.

- Nigdy nie nauczę się tak malować - wyszeptała z rozpaczą.

- Musisz po prostu więcej ćwiczyć, Ottino - odezwała się sucho Delena.

Szklarka odłożyła pędzel.

- Mogę obejrzeć twoją pracę?

- Och! - Dziewczynka zarumieniła się z wrażeń. - Proszę bardzo.

Lekko ociągając się, podniosła ze stołu szybkę z namalowaną do połowy lilią.

- To kopia z atlasu - wyjaśniła.

Szklarka pochyliła się nad połyskującą taflą.

- Ile masz lat, Ottino?

- Osiem.

- Te posuwiste smugi bieli na płatkach są bardzo odważne. Masz zadziwiająco pewną rękę. Malujesz zupełnie inaczej niż ja, ale twój styl mi się podoba. Twoje dzieła będą miały w przyszłości niepowtarzalny charakter.

Ottina rozpromieniła się jak małe słońeczko.

- A cóż to jest? - Wzrok Szklarki padł na ułożony niedbale na brzegu stołu stos papierowych kartek.

- Ach, to takie moje szkice z dzisiejszych zajęć z akwareli. Ita powiedziała, żebyśmy malowały z wyobraźni.

Szklarka wzięła do ręki plik arkuszy i zaczęła się przyglądać plataninie baśniowych roślin. Były tam kwiaty, które zdawały się oddychać i poruszać, łodygi wijące się jak węże, liście o metalicznie lśniącej powierzchni odbijającej światło niewidocznego słońca. Wielkie sześciokrzydłe motyle namalowane były tak realistycznie, że wydawało się, iż za chwilę oderwą się od kartki i poszybują nad ich głowami. Łzy napłynęły jej do oczu. To dziecko jest geniuszem, pomyślała.

- Podobają ci się, Szklarko?

Ukucnęła przed dziewczynką i mocno ją objęła.

- Bardzo - szepnęła. - Nawet nie wiesz, jak bardzo!

Bliskość tego drobnego ciała uświadomiła jej, że po raz pierwszy w życiu przytula dziecko. Zaczynała rozumieć Chamomillę.

- Cieszę się, że cię poznałam, Ottino - powiedziała, wstając.

Dziewczynka ułożyła szkice w równy stosik, po czym wręczyła je Szklarce.

- Dla ciebie, na pamiątkę - wyrzekła uroczyście.

- To bardzo hojny dar. Czy zechcesz przyjąć w zamian moją filiżankę?

- Och, Szklarko! - Oczy dziewczynki zrobiły się okrągłe ze zdumienia i radosnego niedowierzania.

- Doprawdy, uważam, że... - zaczęła ostrym głosem Delena.

Szklarka uśmiechnęła się uprzejmie.

- Niezwykle miło mi było posiedzieć tutaj parę chwil. Dziękuję, że na to pozwoliłaś, Deleno. Jutro już wyjeżdżam, a ta godzina spędzona z wami będzie najmiłym wspomnieniem z pobytu na Wyspie. - Jej wzrok powędrował ku

Ottinie tulącej w dłoniach filiżankę pomalowaną w gałązki jarzębiny. - Kiedy będziesz dorosła i stąd wyjedziesz, odwiedź mnie koniecznie.

Opuściła kamienny gmach, nie zaglądając już do innych pracowni. Spotkanie z Ottiną obudziło w niej nieznane pokłady uczuć. Wymieniała je sobie półgłosem: troska, czułość, wzruszenie... Gdyby mogła, zabrałaby dziewczynkę ze sobą. Wstawiłaby drugi stół do pracowni i malowałyby razem. Verka rozpieszczałaby małą, piekąc dla niej czekoladowe ciasteczka i ptysie... Potem odwiedziłyby je Scaber i... Tu zatrzymała strumień wyobraźni. Scaber ich nie odwiedzi. Scaber ożeni się z Pepperią, a Ottina pozostanie pod opieką instruktorek jeszcze przez dziesięć lat. Westchnęła. Życie wydało jej się smutne i pozbawione sensu.

Skierowała się ku pałacowi dla gości. W pokoju, który służył jej wyłącznie jako sypialnia, panował chłód. Wyciągnęła na środek kufer podróżny i zaczęła się pakować. Akwarele Ottiny wsunęła ostrożnie pomiędzy ubrania.

Nastał wieczór. W porze kolacji Wyspę spowijała już ciemność. Szklarka szła szybko w stronę biblioteki. Właściwie była prawie pewna, że panna Grim jest szalona, a możliwość wejścia do książki - absurdalna. Jednak iskierka nadziei, że to, o czym mówiła bibliotekarka, może okazać się prawdą, pchała ją w kierunku archiwum. Chciała spróbować... Co do herbaty szczęścia... rozmowa z Chamomillą utwierdziła ją w decyzji, że w tej materii nie należy korzystać z pomocy panny Grim. Ta sprawa stawała się coraz bardziej osobista. To już nie była realizacja zwykłego zlecenia. To było coś, co dotyczyło jej samej... Nie ufała bibliotekarce na tyle, żeby ją do tego dopuścić.

Panna Grim była wyraźnie zdenerwowana. Natychmiast po wejściu Szklarki zamknęła drzwi na klucz. Przez chwilę krzątała się za stołem, przekładając z miejsca na miejsce zgromadzone tam papiery.

- W porządku - odezwała się w końcu, a w jej głosie dało się wyczuć lekkie napięcie. - Myślę, że możemy zaczynać. Najlepiej będzie, jeśli na początku przeprowadzę cię do naszej wioski.

- To znaczy gdzie?

Panna Grim wyciągnęła książeczkę o Avenidach.

- Nie wiem, czy pamiętasz, ale na końcu znajduje się opis miejsca, które jest najliczniej zamieszkałe przez mój lud.

- Xtilac?

- Widzę, że uważnie czytałaś. - Bibliotekarka uśmiechnęła się. - To właśnie tam chcę cię przeprowadzić. Pójdę pierwsza.

Otworzyła książkę i położyła dłoń na jednej ze stron. Powiedziała coś, co trudno było zrozumieć, wzięła głęboki oddech i... znikła. Szklarka podbiegła do otwartej broszurki, podświadomie spodziewając się, że zobaczy rozplaszczoną pannę Grim w postaci dwuwymiarowego obrazka, ale stronicę pokrywały tylko rzędkie liter.

- Nie wygląda to na bardzo skomplikowane, prawda? - Kobieta zmaterializowała się na nowo.

Szklarka oszołomiona zamrugła powiekami. To było niewiarygodne. Tymczasem panna Grim nic sobie nie robiła z jej osłupienia. Pospiesznie, nieco nerwowo, objaśniała:

- Z tobą może być trudniej, bo nie jesteś Avenidą. Zrobimy tak: będę cię trzymać za rękę i przejdę pierwsza. Gdy poczujesz mocniejszy uścisk dłoni, nabierzesz powietrza i wyraźnie wypowiesz swoje imię.

Szklarka powstrzymała się od wzruszenia ramionami. Nie chciała być nieuprzejma. Bez słowa skinęła głową. Podała bibliotekarce dłoń. W chwili gdy poczuła, że palce panny Grim wzmacniają nacisk, a ona sama znika, wzięła głęboki oddech i powiedziała „Szklarka”. Miała wrażenie, jakby nagle oblepiła ją biała masa... Kleista, obrzydliwa substancja była wszędzie. Zalepiła jej oczy, zatykała nos i wciskała się do ust. Szklarka wstrzymała oddech. Może to uczucie za chwilę minie. Nie mijało. Czuła, jakby tonęła w bagnie. Nie mogła już dłużej wytrzymać na wdechu i zachłysnęła się białą mazią. Ogarnęło ją przerażenie. Wydawało jej się, że za chwilę umrze z braku powietrza. Próbowała uwolnić rękę z uścisku. Ostatkiem sił szarpnęła się do tyłu. Udało się! Ciężko dysząc, oparła się o blat stołu.

- Chciała... mnie... pani zabić? - wyszeptła z wysiłkiem, patrząc na bibliotekarkę, która pojawiła się obok niej czerwona i zmieszana.

Szklarka po raz pierwszy widziała pannę Grim tak zakłopotaną. Ta zawsze opanowana i trzymająca się na dystans kobieta stała teraz przed nią, z twarzą oblaną krwistym rumieńcem, jak uczennica złapana na gorącym uczynku.

- Ja... ja nie wiem, co się stało... Powinno się udać. Nie rozumiem... - wyjąkała.

- Nie udało się. - Głos Szklarki był chłodny. - Nie mówmy już o tym więcej. Jestem pani wdzięczna za dobre intencje. Na mnie już czas.

Była wyczerpana, zła i czuła się oszukana. Pragnienie, żeby uciec jak najdalej od tej dziwnej kobiety opanowało ją bez reszty. Nie potrafiła jednak stanąć o własnych siłach. Musiała trzymać się stołu. Za bardzo kręciło jej się w głowie, żeby mogła dokądkolwiek iść.

- Nie! Proszę, daj mi jeszcze jedną szansę - błagała panna Grim. - Sprowadzę mojego brata. On jest Przewodnikiem. Ja robiłam to po raz pierwszy, myślałam... to znaczy nie myślałam, że to będzie takie trudne. Wybacz... Ale mój brat ma doświadczenie. Poczeka!

Znikła. Szklarka przyknęła oczy. Mogłaby teraz opuścić archiwum, korzystając z nieobecności szalonej bibliotekarki. Wciąż jednak była dziwnie ociężała i bezwładna.

- Jesteśmy. To mój brat Vernet.

U boku panny Grim stał wysoki mężczyzna o zapadniętych policzkach i gorejącym spojrzeniu czarnych oczu. Ubrany był w długą, spłowiałą szatę nieokreślonego koloru.

- To pani jest Szklarką - stwierdził.

Jego głos brzmiał głucho.

- Proszę uważnie posłuchać instrukcji. Trzymamy się za ręce. Kiedy poczuje pani

uścisk, mówi pani głośno swoje imię.

- Właśnie tak zrobiłam poprzednim razem i o mało nie zostałam uduszona. - Szklarka obdarzyła go nieufnym spojrzeniem. - Nie mam zamiaru znów ryzykować.

Naprawdę nie chciała próbować po raz drugi. Pragnęła wydostać się na powietrze. Ogniste spojrzenie Verneta przygważdżało ją jednak do miejsca, w którym stała. Nie potrafiła stawić mu oporu.

- Proszę się nie bać. Moja siostra - tu mężczyzna zerknął na uśmiechającą się niepewnie pannę Grim - nie jest profesjonalnym Przewodnikiem i nie powinna podejmować próby przeprowadzenia pani na drugą stronę. Nieprzyjemne uczucia, których pani doznała, nie pojawią się już więcej.

Ale się pojawiły. Były jeszcze gorsze. Biała lepkość zwała się na nią z siłą kilkumetrowej fali. Odebrała jej jakąkolwiek możliwość nabrania powietrza. W ostatniej chwili zdążyła zacisnąć powieki i teraz przed oczami wirowały jej purpurowe kręgi. Czuła, jak ciężka masa napiera na nią i uciska jej klatkę piersiową. Vernet wciąż ciągnął ją za rękę, a ona szarpała się i szarpała, bezskutecznie próbując się uwolnić... Czym naraziła się Avenidom, że chcą ją zabić? Bo że chcieli pozbawić ją życia - to było pewne. Ból w płucach. Powietrza! Śmierć przez uduszenie jest straszna...

Kiedy odzyskała przytomność, zorientowała się, że leży na ławie okryta kilkoma ciepłymi kocami. Nadal znajdowała się w bibliotece. Poszukała wzrokiem brata bibliotekarki.

- Omal nie umarłam - szepnęła, patrząc mu w oczy.

Panna Grim stała obok z dłonią przyciśniętą do ust. Wyglądała na przerażoną.

- Wiem, dlaczego nie udało mi się pani przeprowadzić - odezwał się Vernet, mierząc ją surowym spojrzeniem. - Szklarka to nie jest pani prawdziwe imię.

17.

Wiosła rytmicznie zanurzały się w wodzie. Płynęli już ponad godzinę. Mgła była tak gęsta, że nie widzieli ani brzegów wyspy, ani statku, który pozostał gdzieś z tyłu.

- Upiornie - mruknął Cecil, daremnie usiłując przebić wzrokiem mleczne opary. - Mam nadzieję, że nie rozbijemy się o jakieś przybrzeżne skały.

- Jestem prawie pewien, że nic takiego się nie stanie - odpowiedział wiosłujący rytmicznie Ross. - Gdyby wybrzeże było skaliste i trudno dostępne, nie byłyby potrzebne sztuczki z mgłą.

- W jaki sposób zamierzasz szukać herbaty szczęścia, skoro nawet nie wiesz, jak wygląda? - spytał Scaber pracujący drugą parą wiosł.

- Będę rozglądał się za czymś, co przypomina z grubsza krzew herbaciany - odparł beztrąsko botanik. - Albo... popytam tubylców.

- Zakładasz, że będą mówić w którymkolwiek ze znanych nam języków? - W

głosie Rossa pojawiła się nuta ironii.

Cecil prychnął tylko i nie odpowiedział. Scaber co jakiś czas sprawdzał głębokość. Starał się nie myśleć, co ich czeka, gdy już dopłyną. Niesamowita cisza wokół budziła grozę. Tafla wody była nieruchoma, jakby ciężka od zapachów mgła stanowiła zaporę dla wszelkich podmuchów wiatru. Dno zaczęło się podnosić.

- Coraz płycej - zameldował.

- I nadal nic nie widać - jęknął Sarotian.

Wiosłowali coraz wolniej. W pewnym momencie poczuli, że łódź zaczyna szorować po piasku.

- Chyba mielizna - stwierdził Scaber.

- Zejdź do wody i zorientuj się, jak daleko sięga ta płycizna - rozkazał Claith.

Woda była ciepła. Przeszedł kilka kroków i zaczęła mu sięgać zaledwie do kolan. Wyglądało na to, że dalej jest jeszcze płycej.

- Chyba jesteście na miejscu! - krzyknął. - Pójdę sprawdzić.

- Nie! - zaprotestował Ross. - Nie powinniśmy się rozdzielać w tej mgle. Wsiadamy wszyscy i wyciągamy łódź na brzeg, jeżeli to jest brzeg, a nie rozległa piaszczysta łacha.

To był brzeg. Wypchnęli łódź na widmową plażę. Jediną realną i widzialną rzeczą był piasek. Drobne, płowe ziarenka kwarcu i pokruszone muszelki pod ich stopami.

- Mogliby już przestać nas okadzać - rzucił Ross.

Wyciągnęli z szalupy najpotrzebniejsze rzeczy, które mogli od razu zabrać ze sobą. Cecil z żalem musiał zrezygnować z niesienia trzylitrowego słoja wypełnionego żółtawą cieczą.

- Wróć po niego, jak tylko założymy jakiś prowizoryczny obóz.

Szli blisko siebie, grzęznąc po kostki w sybkim piasku. Wkrótce zamajaczyły przed nimi jakieś niewyraźne, ciemne kształty.

- Chyba dochodzimy do linii drzew - powiedział z ulgą Sarotian.

Tymczasem mgła stawała się coraz bardziej skoncentrowana, niemal dotykalna w swej intensywności. Mieszanka zapachów przybrała na sile. Mieli wrażenie, że wdychają jakiś drażniący gaz. Mrużyli łzawiące oczy, czując szczypanie pod powiekami. Coraz mocniej piekły ich gardła.

- Zdaje się, że postanowili nas otruć. - Ross zakaszłał.

Scaberowi łyzy przesłaniały widok. Dawno zniknęły miłe skojarzenia z pracownią Szklarki. Marzył o łyku czystego powietrza. Postawienie każdego następnego kroku było coraz trudniejsze. W pewnym momencie potknął się i upadł na piasek. Nie miał siły wstać, więc posuwał się dalej na czworaka. Nie zauważył nawet, że pozostali też utracili pozycję pionową i pełzną obok niego. Po co się tu pchał? Po co? Mógł zostać na statku i powiedzieć, że nie interesuje go oglądanie wyspy. Wyszedłby na tchórza. A zresztą to nie byłaby prawda. Ciekawił go tajemniczy ład, ciekawiło go to, co znajduje się za mgłą. Jeżeli w ogóle istnieje jakieś „za mgłą”. Przesunął prawą dłoń po szorstkim piasku. Potem lewą. Teraz nogi. Ile

czasu mogło upłynąć od opuszczenia łodzi? Dziesięć minut? Dwadzieścia? To chyba niemożliwe. Plaża nie powinna być aż tak szeroka. Chyba że zgubili kierunek i posuwają się teraz wzdłuż brzegu. Z wysiłkiem uniósł głowę. Nie... ten ciemny pas jest wciąż z przodu. Jakby trochę wyraźniejszy. Oczy cały czas łzawiły. Otarł je wierzchem dłoni. Poszukał wzrokiem Rossa. Claith znajdował się pół metra przed nim. Jego nogi wyłobily w piasku dwie koleiny. Krzyknął coś niezrozumiałego. Scaber nie potrafił rozróżnić poszczególnych słów. Z uporem, centymetr po centymetrze, posuwał się po piachu. Jeszcze jeden rzut ciała do przodu... Nagle oślepił go blask słońca. Zaskoczony zamrugął powiekami. Łapczywie wciągnął w płuca czyste, pachnące powietrze. Przed nim pysznił się soczystą zielenią tropikalny las. Świetliste, jasnoblękitne niebo pozbawione było najmniejszej chmurki. Z tyłu, jak zły strażnik, stała gęsta, bura mgła. Z jej kłębow wynurzyła się ręka botanika. Palce rozpaczliwie drapały piasek.

- Ross! Pomóż mi wyciągnąć Sarotiana! - wrzasnął Scaber.

Z wysiłkiem przeciągnęli po piachu bezwładne ciało. Cecil odetchnął spazmatycznie i otworzył oczy.

- Udało się - szepnął wzruszony. - Jak tu pięknie!

Widok skłębionej roślinności sprawił, że siły wracały mu szybko. Podniósł się z wysiłkiem i chwiejnym krokiem, nie czekając na pozostałych, ruszył w kierunku drzew. Jak urzeczony przesuwając wzrokiem po płataninie pędów, liści i kwiatów, recytując półgłosem ich nazwy i przynależność gatunkową.

- Wygląda, jakby znalazł się w raj - powiedział Scaber, otrzepując się z piasku.

- Las tropikalny naprawdę może być rajem dla botanika - potwierdził Ross, wyciągając lornetkę z przewieszanej przez ramię torby. Przyłożył ją do oczu i uważnie przepatrywał brzeg lasu.

Dla Scabera był to krajobraz urzekający egzotyką. Purpurowe kiście kwiatów zwieszające się z gałęzi, szkarłatne kielichy przywabiające błękitne, metalicznie lśniące motyle, pnąca okręcone wokół pni drzew. Niektóre rośliny wydawały mu się podobne do tych, które malowała Szklarka. Jakże byłaby zachwycona, mogąc je wszystkie zobaczyć w takiej obfitości.

- Wydaje mi się, że po lewej stronie widnieje jakiś prześwit. To może być ujście strumienia. Lepiej pójść tam, niż pchać się na oślep przez dżunglę - powiedział Ross, odejmując od oczu lornetkę.

Dogonili Sarotiana i ruszyli wzdłuż linii lasu. Botanik zatrzymywał się co chwila. Miętosił w dłoniach liście, oglądał kielichy kwiatów, a na jego twarzy utrzymywał się wyraz radosnego obłędu. Słońce przypiekało coraz mocniej. Marzyli o łyku chłodnej wody. Ta, którą nieśli w blaszanych manierkach, była ciepła i przesiąknięta zapachem rozgrzanego metalu. Mieli szczęście, bo w miejscu wskazanym przez Claitha rzeczywiście wypływał strumień. Nie było tu jednak żadnej ścieżki. Po zaspokojeniu pragnienia sprawdzili, czy na ziemi nie ma węży, po czym zrzucili z ramion torby i usiedli w cieniu.

- Dobra woda. Można by zawiadomić kapitana. Niech przyśle marynarzy z

beczkami dla uzupełnienia zapasów. - Sarotian popijał z manierki, z rozmarzeniem patrząc na otaczające ich kłębowiska pnączy.

- Żeby skontaktować się ze statkiem, trzeba wrócić do łodzi. - Przykucnięty nad strumieniem Ross ochlapywał sobie twarz. - Prawdę mówiąc, nie mam na to ochoty.

- Ani ja. - Scaber pokręcił głową. - Nie mam zamiaru nurzać się w tej przeklętej mgłę. Poza tym chętnie zobaczę, co jest dalej.

Cecil skoczył na równe nogi.

- Czekajcie! Przecież my w ogóle nie wiemy, gdzie zostawiliśmy łódź! Mój słój z roztworem Paliusta! Jak ja go odzyskam!? - W głosie botanika zabrzmiała prawdziwa rozpacz. - I jak wrócimy na statek? Nawet nie mamy pojęcia, w którym miejscu plaży wylądowaliśmy!

- Ja wiem. - Ross leniwie śledził lot wielkiego jak dłoń motyla. - Oznaczyłem miejsce, w którym doszliśmy do lasu. Szalupa powinna być gdzieś na wprost niego.

Scaber popatrzył na Rossa z podziwem. Claith zauważył to i uśmiechnął się lekko.

- To kwestia pewnych nawyków - wyjaśnił.

- W tej sytuacji - Cecil się uspokoił - przychyliam się do propozycji Scabera. Wejdźmy trochę głębiej w dżunglę.

Ross zarzucił na ramię skórzaną torbę.

- Chodźmy więc.

Strumień był płytki. Szli wzdłuż jego brzegów, schodząc czasami do wody, która w najgłębszych miejscach nie sięgała im powyżej kolan. Będąc mieszkańcami północy, spodziewali się, że w cieniu drzew będzie chłodniej i przyjemniej. Tylko Ross zdawał sobie sprawę z tego, że duszna i wilgotna atmosfera dżungli może się okazać równie trudna do zniesienia jak palące słońce w odkrytych miejscach. Po mniej więcej godzinie marszu pojawił się przed nimi jakiś prześwit. Gdy do niego doszli, okazał się niewielką polaną. Na środku stały ruiny porośnięte grubym kożuchem mchów i płataniną kwitnących pnączy. Gdzieniedzie przez gęstwą roślin przelazła powierzchnia rzeźbionego kamienia.

- Niestety nie jestem historykiem - powiedział Scaber, podchodząc bliżej. - Te mury wyglądają interesująco i szkoda, że nic poza tym nie mogę o nich powiedzieć. A ty, Ross?

- Ja też nie jestem historykiem, ale spójrz na tę najwyższą ścianę, gdzie zachowało się podłużne, łukowato zakończone okno. Niemal identyczny kształt mają okna w starych klasztorach w okolicach Como, Senter i Daim, co oznacza, że dawni mieszkańcy wyspy musieli mieć kiedyś styczność z naszą kulturą.

Cecil przypatrywał się roślinom pokrywającym ruiny.

- Jest coś dziwnego w tych pnączach i mchach - wymamrotał pod nosem.

- Co masz na myśli?

- Wyglądają nienaturalnie, jakby nie do końca pasowały do okolicznej flory. Poza

tym, skoro budowla jest tak stara, jak mówicie, to dlaczego dżungla całkowicie jej nie pochłonęła? Skąd wziął się ten prześwit?

Obchodzili wokół milczące, nieodgadnione ruiny kryjące tajemnice pod bujnym zielonym kamuflażem. Gdzieśgdzie można było rozpoznać zarysy domostw i fragmenty czegoś, co mogło być pozostałością po okrągłej wieży. Znaleźli też kamienny prostopadłościan o ścianach wysokości ponad dwóch metrów, pozbawiony jakichkolwiek otworów. Nie potrafili odgadnąć jego przeznaczenia. Cecil wyciągnął z torby szkło powiększające i oglądał przez nie fragment muru porośnięty drobnymi żółtymi kwiatkami układającymi się w regularny falisty wzór. Jego blada, wrażliwa na promienie słońca skóra była czerwona i podrażniona. Z nosa i policzków płatami zaczynał mu schodzić naskórek.

- Musimy się zastanowić, czy wracamy, czy idziemy dalej - zarządził Claith.

Przeszli w miejsce, gdzie ruiny rzucały najwięcej cienia, dokładnie naprzeciwko dziwnej budowli, której powierzchnię badał przed chwilą botanik. Cecil z westchnieniem ulgi siadł na jednym z luźno rozrzuconych kamieni. W tym momencie rozległ się głuchy łoskot i tajemniczy prostopadłościan zadrżał. W osłupieniu patrzyli, jak kamienna ściana rozdzieliła się w miejscu, gdzie rosły żółte kwiatki, odsłaniając ziejący czernią otwór o falistych brzegach. Przez chwilę siedzieli nieruchomo, po czym jak na komendę poderwali się, żeby zajrzeć do wnętrza budowli. Nie było to żadne pomieszczenie mieszkalne. Od samego progu schodziły w dół masywne kamienne stopnie i ginęły gdzieś w atramentowym mroku.

- Zastanawia mnie - Ross w zamyśleniu tarł brodę - co spowodowało, że ściana się rozsunęła. Czy Cecil siadając na kamieniu, uruchomił przypadkowo jakiś mechanizm, czy też... zrobili to tutejsi mieszkańcy.

- Szkoda, że nie mamy światła - powiedział z zalem Scaber.

- Owszem mamy. - Ross poklepał się po wypchanej torbie. - Dwie nieduże latarnie naftowe.

- Twoja zapobiegliwość rzuca na kolana. - Scaber pokręcił głową.

- Chwileczkę! Najpierw może zastanówmy się, czy to bezpieczne tam włązić. - Cecil stanął między nimi a otworem, z którego wiało piwnicznym chłodem. - To przecież może być pułapka. Nie udało się im otruć nas mgłą, wobec tego postanowili zwabić nas do lochu.

- Gdyby tubylcy chcieli nas zabić, zrobiliby to już dawno, w dużo prostszy sposób. Wystarczyło dopaść nas, gdy ledwie żywi czołgaliśmy się po plaży - odpowiedział spokojnie Claith.

- Może masz rację. - Botanik niechętnie wzruszył ramionami. - Nie widzę jednak powodu, dla którego mielibyśmy się pchać do tej dziury. Interesują mnie rośliny, a nie piwnice. Pod ziemią nie znajdziemy herbaty szczęścia.

- W dżungli także jej nie znajdziemy. Przecież nie wiemy nawet, jak wygląda. Myślę, że rozsądnie byłoby porozumieć się w tej sprawie z mieszkańcami wyspy. Scaber w milczeniu przysłuchiwał się tej wymianie zdań. Ciekaw był, dokąd prowadzą widoczne w półmroku schody, ale argumentom Sarotiana nie można

odmówić słuszności. Z drugiej strony znużyła go przeprawa przez dżungłę i przesycone wilgocią parne powietrze. Czuł też narastające podniecenie wywołane niezwykłością sytuacji. Obudziło się w nim pragnienie przygody.

- Myślę, że moglibyśmy zaryzykować - powiedział.

Ross tylko na to czekał.

- A więc jest nas dwóch - stwierdził z nieukrywanym zadowoleniem.

Światło latarni nie było zbyt intensywne, ale wystarczało do rozświetlenia mroków korytarza. Pierwszy szedł Claith, za nim

Scaber, a na końcu Cecil, na którego twarzy malowała się niepewność.

- To naprawdę niezbyt rozsądne zapuszczać się do tych lochów - wymamrotał. Znacznie lepiej czuł się w otoczeniu kipiącej witalną siłą roślinności.

- Zupełnie nierozsądne - przytaknął Scaber, ale nawet się nie zatrzymał. Przepęniała go dziwna radość. Ta wyprawa była czymś zupełnie innym niż podróże odbywane w granicach cywilizowanego świata. Cieszyło go, że jego życie przestało być zaplanowanym ciągiem zdarzeń. Przyszłość stanowiła niewiadomą, a skoro tak, to może było w niej również miejsce na przyszłe życie ze Szklarką.

Schody się skończyły i szli teraz korytarzem, którego ściany wzniesione były z dużych, gładko obrobionych kamiennych bloków. Co jakiś czas mijali ziejące czernią łukowate otwory, wiodące prawdopodobnie do bocznych odgałęzień. Przy każdym z nich, zawsze po prawej stronie, widniały jakieś znaki namazane czerwoną farbą, która w świetle latarni wyglądała jak krew. Powietrze było zadziwiająco suche. Żadnej pleśni i śladów wilgoci na ścianach. Nie było też czuć piwnicznej woni, charakterystycznej dla takich miejsc.

- Dużo masz nafty? - spytał Scaber, patrząc na słabnący płomień swojej lampy.

- To zależy od długości czekającej nas trasy. Na wszelki wypadek używajmy tylko jednego światła.

Szli już jakieś trzy kwadransy. Dwa razy Ross dolewał nafty do swojej latarni. Idący z tyłu Cecil kłął z cicha. Droga była monotonna. Scaber czuł się coraz bardziej zmęczony. Co chwila potykał się o jakieś niewidoczne występy w podłożu. Męczyło go wytrzeszczanie oczu i śledzenie niosącego światło Claitha. Korytarz biegł wciąż prosto. Może przechodzi przez całą wyspę? Może nagle wynurzą się na jej przeciwległym krańcu i staną przed ścianą mgły? Już miał zaproponować Claithowi, żeby zawrócili, gdy ten zatrzymał się nagle.

- Panowie, schody - ogłosił.

- Całe szczęście - wystękał Cecil.

Odпочęli chwilę, a potem rozpoczęli mozolne wchodzenie. Scaber liczył stopnie. Kiedy doszedł do dwustu dwudziestu pięciu wspinaczka nagle się skończyła. Zasapani rozglądali się wokół. Znaleźli się w niezbyt dużym pomieszczeniu, którego sklepienie ginęło w mroku. Nie widać było żadnych drzwi ani przejścia do kolejnego korytarza.

- Mam nadzieję, że znajdziemy stąd jakieś wyjście? - Cecil z niepokojem

lustrował otoczenie.

- Co do tego nie ma wątpliwości, bylebyś tylko znów usiadł na właściwym kamieniu. - Claith wziął od Scabera latarnię i napełnił ją naftą. - Teraz przyda się więcej światła.

Ściany pomieszczenia pokryte były niewyraźnymi, częściowo otartymi malowidłami. W większości były to ornamenty roślinne, wśród których co i raz dało się dostrzec barwnie upierzonego ptaka. Zerknęli na nie pobieżnie, po czym zaczęli szukać czegoś, co dałoby im wskazówkę, jak się stąd wydostać. Scaber zauważył szczelinę podobną do tej, wzdłuż której rosły żółte kwiatki. Ross zaczął opukiwać ściany i kamienną posadzkę w nadziei, że trafi na coś, co uruchamia mechanizm otwierający wyjście.

- Lepiej zawróćmy. - Cecil się zniecierpliwił. - Szczerze mówiąc, wolałbym się zająć zbieraniem okazów tutejszej flory, a nie...

W tym momencie przerwał, bo posadzka lekko drgnęła pod ich stopami. Kilka sekund później oślepił ich snop światła, który wpadł przez powiększający się z każdą chwilą otwór. Wraz ze światłem uderzyła w nich fala gorącego powietrza. Spojrzeli po sobie. Nie ulegało wątpliwości, że to ktoś z zewnątrz umożliwił im opuszczenie podziemnego przejścia. Scaber i Ross wyszli pierwsi, Botanik wysunął się ostatni. Słońce świeciło jasno i musieli przysłonić oczy dłońmi, żeby rozejrzeć się po okolicy. Znajdowali się w kotlinie otoczonej ze wszystkich stron niewysokimi, ale stromymi górami, pokrytymi do połowy wysokości lasem. Wyżej sterczały w górę ostre iglice skał. Od ich gładkich powierzchni słońce odbijało się jak od gigantycznych lusterek. Przez dolinę porośniętą z rzadka drzewami o parasolowatych koronach przepływał leniwie nieduży strumień. Niewykluczone, że był to ten sam, z którego kilka godzin wcześniej czerpali wodę. Drzewa rzucały cienie przypominające niebieskawe jeziora.

- Patrz! - wyszeptał Cecil, chwytając Scabera za ramię. - Domy!

- Gdzie?

- Nad strumieniem, na skraju lasu.

- Tu bliżej także - włączył się Ross. - Pod największymi drzewami. Trudno je od razu zauważyć.

Kamienne budynki o małych oknach i płaskich dachach rozsiane były po całej dolinie. Z tej odległości wyglądały prawie identycznie. Jedne stały samotnie, inne zgrupowane były w małe zagrody. Na pierwszy rzut oka nie było widać żadnych oznak życia. Żadnych powiewających na wietrze firanek ani suszącego się prania. Nad doliną zalegała cisza.

Scaber otarł z czoła grube krople potu.

- Musimy zejść z tego słońca, bo dostaniemy udaru. Ty, Cecil, wyglądasz już jak sparzony pomidor.

Poszli w kierunku najbliższego drzewa, rozłożystego figowca. Jego nagrzane liście wydzielaly słodkawą woń. Dojrzałe owoce były na wyciągnięcie ręki. Siedli na zwieszających się nisko, wygiętych gałęziach i jak na komendę sięgnęli po zabrane ze statku zapasy jedzenia. Podeschnięte placki zagryzane świeżymi

figami smakowały dobrze. Cecil cały czas rozglądał się po okolicy i mamrotał coś pod nosem, kręcąc głową z niedowierzaniem.

- Idziemy się zapoznać z tubylcami? - Scaber popatrzył na Rossa pytająco.

- Lepiej poczekać. Mam wrażenie, że sami do nas przyjdą. Doskonale wiedzą, że tu jesteśmy. To przecież oni umożliwili nam wyjście z podziemnego tunelu. Jestem przekonany, że cały czas obserwują nas z ukrycia.

- Okolica wygląda na wymarłą.

- Puste domy mogą być punktami obserwacyjnymi.

- Kiedyś musieli tu mieszkać ludzie - odezwał się Cecil, usadowiony na wyższej gałęzi, skąd miał lepszy widok niż pozostali. - Cała dolina jest zagospodarowana. Układ drzew wyraźnie wskazuje na to, że zostały posadzone i przez pewien czas umiejętnie przycinane. Poza tym widzę jakieś pozostałości po poletkach uprawnych. Ktoś tu kiedyś żył, a potem wyniósł się gdzie indziej.

- Myślisz, że mają tu też plantacje herbaty szczęścia? - spytał zaciekawiony Scaber.

- Herbata szczęścia! - wykrzyknął Cecil. - Prawie o niej zapomniałem. Ross, pożycz mi swojej lornetki. Chciałbym się lepiej przyjrzeć tym uprawom.

Upał był obezwładniający. Gorące powietrze drżało i falowało. Scaber oparł głowę o pień i zamknął oczy. Słodki aromat figowych liści działał usypiająco jak kołysanka. Zdziwiło go to skojarzenie, bo nikt nigdy nie śpiewał mu na dobranoc. Niania Ritta czytała mu bajki o Kocie Kapultynie. Zasypiał zawsze w trakcie czytania i rano dopytywał się, jakie było zakończenie. Czy ktoś czytał Szklarcę bajki na dobranoc? Na pewno nie. Wyobraził sobie sypialnię ze stojącymi w rzędach małymi łóżeczkami. W jednym z nich leży dziewczynka o ciemnoszarych oczach. Jak to jest - być kimś bez domu, bez rodziców, bez nazwiska... z imieniem wymyślonym przez obce kobiety? Przypomniało mu się, jak był zdziwiony, gdy się okazało, że Szklarka to imię, a nie nazwa zawodu - skrót od określenia „malarka na szkle”. Brzmiało to tak samo, jak kucharka, kwaciarka albo mleczarka. Nawet powiedział kiedyś, że chciałby poznać jej prawdziwe imię. Spojrzała wtedy na niego, a jej brwi uniosły się w wyrazie zdumienia. Nie odpowiedziała. Poczł nagłą złość do kobiet, które ją wychowały i nadały tak dziwne, tak nieosobowe imię... Szklarka.

18.

- Co pan ma na myśli, mówiąc, że to nie jest moje imię!? - Próbowała się podnieść, ale za bardzo kręciło jej się w głowie. - Nie mam innego...

- Czy takie imię nadali pani rodzice? - Vernet przyglądał się jej badawczo.

- A skąd ja mogę wiedzieć. - Popatrzyła bezradnie na pannę Grim.

- Może na tym polega twoja tajemnica? - szepnęła bibliotekarka.

- Jaka znowu tajemnica? - burknął jej brat. Widać było, że nieudana próba przeprowadzenia Szklarki do krainy Avenidów wyprowadziła go z równowagi.

Panna Grim pobiegła do sekretarzyka i wróciła ze złotym płatkim.

- Zobacz! - zawołała triumfalnie, gdy arkusik rozjarzył się w zetknięciu z dłonią Szklarki.

Vernet przysunął sobie ciężki, drewniany stołek stojący pod przeciwległą ścianą i usiadł znużony.

- Proszę posłuchać - zaczął, patrząc na leżącą dziewczynę. Jego oczy były nieprzeniknione jak dwa czarne kamienie. - Jestem Przewodnikiem. Każdego, kto wypowie swoje imię, mogę przeprowadzić do rzeczywistości zawartej w księgach. To, co się zdarzyło, stanowi niezbity dowód, że imię, które pani podała, jest fałszywe, jest pseudonimem... Nie ma żadnej mocy!

Szklarka przeniosła wzrok z siedzącego obok niej mężczyzny na belkowany sufit biblioteki. Bezmyślnie przyglądała się malowidłom na stropie, które odruchowo oceniła na jakieś trzysta lat. Roślinne ornamenty, wymyślnie powywijane liście, kwiaty o spłowiałych barwach... Wszystko to tańczyło jej przed oczami. „...Och, chciałbym wiedzieć, jakie naprawdę jest pani imię...” A więc Scaber już wtedy wyczuł, że coś jest nie tak, że „Szklarka” to... pseudonim. I co teraz? Usiadła, a potem powoli stanęła na nogi. Sięgnęła po swój granatowy płaszcz wiszący na wieszaku i otuliła się nim szczelnie. Chciała stąd uciec. Natychmiast! Chciała być sama, z dala od tych dziwnych Avenidów i ich oczu, z których wyzierało współczucie.

- No cóż... - powiedziała, starając się, żeby jej głos zabrzmiał w miarę obojętnie. - Czas się pożegnać.

- Nie możesz teraz wyjechać! - Panna Grim chwyciła ją za ramię.

Oboje z bratem mieli śmiertelnie poważne miny. Patrzą na mnie tak, jakby przytrafiło mi się jakieś straszne nieszczęście, pomyślała. Strząsnęła rękę bibliotekarki i ruszyła w kierunku drzwi. Przypomniała sobie, że są zamknięte na klucz, oświadczyła więc wojowniczo:

- Chcę wyjść, proszę mi otworzyć!

- My chcielibyśmy... moglibyśmy... ci pomóc - wyjąkała panna Grim.

- Nie chcę już o tym rozmawiać. - Szklarka próbowała opanować narastającą złość. Nie będzie przecież wyładowywać frustracji na tej życzliwej bądź co bądź kobiecie. - Muszę to wszystko spokojnie przemyśleć - dodała łagodniejszym tonem.

Bibliotekarka wyjęła klucz i otworzyła drzwi. Przytrzymała je, kiedy Szklarka wychodziła. Jej brązowe oczy patrzyły żalobnie.

- Imię to bardzo ważna rzecz - szepnęła.

Dziewczyna skinęła tylko głową.

Noc była zimna. Wiał ostry północno-wschodni wiatr. Zarzuciła na głowę kaptur i ruszyła chwiejnym krokiem w kierunku pałacu dla gości. Wnętrze pokoiku było przytulniejsze niż zazwyczaj. Może dlatego, że ktoś rozpałił w kominku. Pewnie Janta, która zjawiała się czasami niespodziewanie i wykonywała jakieś drobne prace. Grube bierwiona jeszcze się żarzyły. Dorzuciła kilka szczap ze starego

miedzianego kociołka wypełnionego porąbanym drewnem. Płomienie strzeliły w górę. Usiadła na łóżku. Jej wzrok padł na stojący obok drzwi spakowany kufer podróżny. Jutro opuści tę przeklętą wyspę. Nie znalazła herbaty szczęścia i zgubiła imię... Nie, nie zgubiła. Zostało jej odebrane, a na jego miejsce podsunęto... falsyfikat. Rozebrała się i położyła do łóżka. Otuliła się kołdrą, ale wciąż czuła lodowaty chłód. W szafie leżały złożone w kostkę dwa grube, beżowe koce. Narzuciła je na wierzch i skuliła się pod wszystkimi przykryciami. Okrągły zegar z tarczą malowaną w pędy powoju wskazywał jedenastą w nocy. „Możesz liczyć na moją pomoc... Matka powiedziała mi przed śmiercią, że jeśli spotkam dziewczynę szukającą herbaty szczęścia, mam jej udzielić wszelkiej pomocy”. Wskoczyła z łóżka. Przy świetle padającym z dogasającego kominka nałożyła suknię i płaszcz, a głowę owinęła wełnianym szalem. Kiedy otworzyła zewnętrzne drzwi, podmuch zimnego wiatru pozbawił ją tchu i wycisnął łzy z oczu. Otarła je wierzchem dłoni i walcząc z falami lodowatego powietrza, pobiegła w kierunku pawilonu, w którym nocowały najmłodsze dzieci. Kiedy dotarła do położonego na uboczu budynku, zobaczyła, że we wszystkich oknach światła są już pogaszone. Nie pamiętała układu pomieszczeń. To było tak dawno... Jak we wszystkich domach na Wyspie, tak i tutaj drzwi nie były zamknięte na klucz. Cicho wsunęła się do środka. Tuż przy wejściu, w łukowatej niszy, stała świeca. Szklarka zapaliła ją i rozejrzała się po obszernym przedsionku. Pod ścianą w równych rzędach stały dziecięce buciki. W głębi korytarza zobaczyła dwoje drzwi. Jak przez mgłę pamiętała, że znajdowały się za nimi duże sypialnie. Po lewej stronie, bliżej wyjścia, było jeszcze jedno pomieszczenie. Domyśliła się, że właśnie tu musi się mieścić pokój wychowawczynie. Lekko nacisnęła klamkę. Drzwi skrzypnęły i coś zadzwoniło.

- Co tam? - odezwał się zaspany głos.

- Chamomillo, to ja, Szklarka...

Weszła do środka. Światło świecy, którą trzymała w ręku, wyłoniło z mroku spory stół przykryty pięknie haftowanym obrusem. Stał na nim gliniany dzban pełen gałązek jarzębiny. Wokół stołu nieco bezładnie ustawione były krzesła przykryte spłowiałymi i sfatygowanymi od częstego używania poduszkami. Pod oknem widać było starą sofę, mocno zagłębioną pośrodku i również zarzuconą poduszkami. W pokoju unosił się zapach ciasta i jabłek. Cała ich taca stała na blacie rzeźbionego kredensu w kącie. Nigdzie nie było widać łóżka i Szklarka zorientowała się, że musi tu być jeszcze jedno pomieszczenie, ukryte za zasłoną z koralików wiszącą na przeciwległej ścianie. Dobiegało stamtąd jakieś szuranie, a po chwili zza zasłony wychyliła się nieco potargana Chamomilla w długiej flanelowej koszuli nocnej. Rozpuszczone włosy spływały jej aż za pośladki i wyglądała jak pyzaty, zmęczony anioł.

- Czy coś się stało? - spytała tak spokojnie, jakby wizyty w środku nocy były dla niej rzeczą najzupełniej normalną.

- Tak... - wyszeptała Szklarka drżącym głosem. - Ja... nie wiem, jak się naprawdę nazywam i...

Próbowała się opanować, ale nagły szloch uniemożliwił jej dokończenie zdania. Czowała się zupełnie zagubiona. Po pierwszym szoku zaczęło do niej docierać znaczenie tego, co powiedział Vernet. Że nie jest Szklarką, że to fałszywe imię. Więc kim jest? I o co w tym wszystkim chodzi? Chamomilla podeszła do niej bez słowa, odebrała z drżących rąk świecę, po czym pomogła zdjąć płaszcz i szal. W milczeniu wskazała jej krzesło. Rozpaliła ogień w małym piecyku i ustawiła na nim czajnik. Wyjęła dwa różowe talerzyki ze wzorkiem w stokrotki i postawiła na stole. Za chwilę obok nich pojawiła się okrągła tacka z małymi ciasteczkami, z których każde ozdobione było wisienką. Szklarka cały czas płakała. Chamomilla zaparzyła herbatę w czarnych kubkach malowanych w gałązki tarniny. Przyniosła je do stołu i w końcu sama usiadła. Wsypała cukier do herbaty i mieszając łyżeczką gorący płyn, patrzyła na szlochającą dziewczynę. Pod tym spojrzeniem Szklarka powoli się uspokajała. Nie mogła jeszcze mówić, ale posłodziła herbatę i upiła mały łyżeczek.

- Nieźle, jak na wychowankę Wyspy - odezwała się Chamomilla.

Szklarka uniosła głowę zdziwiona.

- Chodzi mi o to, że potrafisz naprawdę się rozplakać. Wieloletnie nauki Emocjandy nie pozbawiły cię zdolności do okazywania uczuć. - Jasnoniebieskie oczy wychowawczynie patrzyły łagodnie. - Zjedz jeszcze ciastko. Zaczynasz opowiadać, jak będziesz gotowa. Mamy przed sobą całą noc.

- Nie będziesz zmęczona? Musisz przecież rano zająć się dziećmi.

- Myślisz, że ty jedna przychodzisz do mnie w nocy? Dzieciaki potrzebują kogoś, kto chciałby ich wysłuchać. Nie tylko te małe. Dziewczęta ze starszych grup również bywają w tej kuchni. Jestem przyzwyczajona.

- Instruktorzy wiedzą?

Chamomilla wzruszyła ramionami.

- Wątpię, żeby te nocne wycieczki umknęły ich uwadze. Z sobie znanych powodów wolą o nich jednak głośno nie mówić.

- Musisz czuć się bardzo samotna... Jakby zawieszona pomiędzy instruktorkami a wychowankami.

- Ty też jesteś samotna.

- To prawda, ale samotność w pobliżu instruktorek wydaje mi się trudniejsza do zniesienia.

- Ciekawe... Jest w tobie coś, czego nie obserwuję u innych dziewczyn. Stała wewnętrzna walka z tym, co pochodzi z Wyspy, Niby jesteś samodzielna, osiągasz sukcesy, ale w głębi ciągle się szamoczesz.

- Instruktorzy ukradły mi imię! - Szklarka uderzyła pięścią w stół.

Wstała i oparła się o ścianę. Gniewnym głosem, zdanie po zdaniu, wyrzuciła z siebie opowieść o Avenidach i tym, co wydarzyło się w bibliotece.

Chamomilla oparła brodę na splecionych dłoniach.

- Avenidzi... Mama opowiadała mi o nich, ale myślałam, że to bajka. Tymczasem naprawdę istnieją.

Szklarka siadła z powrotem i chwyciła kubek ze stygnącą herbatą. Dopiero teraz

mogła docenić w pełni jej subtelny kwiatowy aromat.

- To nie jest herbata szczęścia, prawda? - zażartowała.

Chamomilla z uśmiechem pokręciła przecząco głową.

- Twoje imię musi być niezwykle ważne - powiedziała. - Gdyby tak nie było, instruktorki pozwoliłyby ci je nosić. Możliwe też, że wcale go nie znają.

Szklarka gwałtownie odstawiła kubek.

- Mówisz poważnie?

- Twoja matka mogła w nim zawrzeć jakieś przesłanie, tajemnicę, którą chciała ukryć przed instruktorkami.

- Uważasz, że najpierw mnie urodziła, obdarzyła imieniem, a potem oddała na Wyspę? - Szklarka gniewnie ściągnęła brwi.

- Nie. - Chamomilla westchnęła ciężko, a jej zazwyczaj pogodna twarz powlekła się smutkiem. - Mogła przypuszczać, że się tu znajdziesz. Twoja matka była najprawdopodobniej którąś dawniejszych wychowanek.

Cisza, jaka zapadła po tych słowach, była ciszą pełną napięcia, której towarzyszy wstrzymany oddech i pełen zdumienia bezruch.

- Przecież... dziewczyny... z Wyspy... nie mogą... wychodzić za mąż... - wydusiła Szklarka przez zaciśnięte gardło, czując łoskot własnego serca, które dudniło natarczywie: „Scaber, Scaber, Scaber”.

- Wychodzą za mąż... czasami. I mają dzieci... Chcą się nimi cieszyć, może śpiewają im kołysanki, noszą je na rękach. Ale pewnej nocy dziecko znika i matka umiera z żalu albo ucieka na koniec świata. - Głos Chamomilli brzmiał głucho, a w jej oczach malował się ból.

- Jesteś pewna? A może ty też...

- Nie, nigdy nie miałam dziecka. Chciałabym... Chciałabym bardzo mieć takie swoje maleństwo. Patrzeć jak rośnie, jak się rozwija, przytulać je i kochać... ale nie przeżyłabym chyba, gdyby mi je odebrano. Nie wyobrażam sobie tego...

- Skąd to wszystko wiesz!? - Szklarka zacisnęła pięści, daremnie walcząc ze łzami. Poczula, że zaczynają ją wstrząsać dreszcze.

- Pamiętasz Sorbitę?

- Tak.

Sorbita była starsza od niej o jakieś dwa, trzy lata. Długie, proste, czarne włosy, oliwkowa cera i czarne oczy o migdałowym wykroju. Przepięknie malowała na jedwabiu. Zdobione przez nią chusty były sprzedawane poza Wyspą, jeszcze zanim ona sama ją opuściła. Szklarka dopiero teraz zdała sobie sprawę, że od kiedy żyje na własny rachunek, nie słyszała niczego o Sorbicie. A przecież jej jedwabie powinny być znane, poszukiwane i modne, tak samo jak wyroby Szklarki.

- Co się z nią stało?

- Jeden z noworodków, który pewnej nocy został do nas przyniesiony, z biegiem lat zaczął mi ją coraz bardziej przypominać.

Byłam już wtedy wychowawczynią. Poszłam do Estrelli i spytałam wprost, czy to dziecko Sorbity. Spojrzała na mnie... no, musiałybyś widzieć to spojrzenie, i

odpowiedziała nieco wymijająco, że dziewczynki dziedziczą zdolności po matkach i pozwalanie na to, by takie talenty rozprzestrzeniały się w sposób niekontrolowany, byłoby czystym marnotrawstwem, a poza tym zmniejszyłoby znaczenie Wyspy Sierot. Nie dodała oczywiście, że same instruktorki poniosłyby wtedy dotkliwe straty finansowe.

Szklarka doznała nagłego olśnienia.

- To Ottina?

- Nietrudno się domyślić, prawda?

- Zawsze czułam, że są groźne, ale żeby posunąć się do takiego okrucieństwa... - Przypomniała sobie ufne spojrzenie czarnookiej dziewczynki. - A co z jej matką?

- Nie wiem, panie z Wyspy niechętnie dzielą się swymi tajemnicami.

- A ojciec?! Przecież ona musi mieć jakiegoś ojca! Nie szukał jej? Mógłby oskarżyć instruktorki o porwanie. Przecież nie stoją ponad prawem!

- Moja droga, one działają bardzo precyzyjnie. Mają swoje sposoby, żeby wymazać z pamięci mężczyzny zarówno żonę, jak i dziecko.

- Powiedziały ci to!? - nie dowierzała Szklarka.

- Wypytywałam ostrożnie, wsłuchiwałam się w różne aluzje i niedopowiedzenia, łowiłam strzępki rozmów... Stąd moja mocno niepełna wiedza.

Szklarka odchyliła się na krzesło. Czuła narastający ból głowy. Wiele by dała, żeby zapaść teraz w twarde sen i nie być zmuszoną do myślenia. Nie zastanawiać się, nie wiedzieć... Powstrzymać tę falę pytań, które napływały jedno za drugim, a odpowiedzi na nie mogły stanowić jedynie źródło udręki.

- Twoja matka musiała być niezwykłą kobietą - odezwała się zniecka Chamomilla. - Ukryła w tobie imię, które, według tego, co mówią Avenidzi, ma moc. Na dodatek przysłała cię tutaj, żebyś dowiedziała się, że je masz, i zapewniła ci moją pomoc.

- O czym ty mówisz!? - Szklarka ścisnęła dłońmi skronie. Nieprzyjemne pulsowanie w głowie nasilało się, utrudniając myślenie.

Chamomilla popatrzyła na nią z troską.

- Nie powinnyśmy teraz rozmawiać. Jesteś zupełnie rozbita i najlepiej będzie, jak się zaraz położysz. Ta sofa jest całkiem wygodna. Rano spróbuję ci wszystko wyjaśnić.

- Jutro wyjeżdżam - jęknęła Szklarka.

- Nie musisz.

- Muszę... Chcę...

Ból jak ciemna chmura zaćmiewał jej myśli. Chamomilla podeszła do kredensu i wyciągnęła kryształową flaszeczkę z zielonkawą cieczą. Ostrożnie wylała na łyżkę kilka kropel i podała Szklarce. Płyn był potwornie gorzki, ale zadziałał prawie natychmiast. Dziewczyna poczuła, że jej głowa staje się lekka, rozlewa się po niej jasność i nie ma już miejsca na ból. Wstała z krzesła, ale zaraz potem zachwiała się i runęła w objęcia Chamomilli, która nie wydawała się tym faktem zaskoczona. Pokiwała głową z zadowoleniem, ułożyła Szklarkę na sofie i przykryła szydełkową narzutą. Potem usiadła przy stole i zapatrzyła się w

płomień świecy.

19.

Otworzył oczy i przez chwilę nie wiedział, gdzie się znajduje. Zielonkawe światło otaczało go łagodną kopułą. Powoli przypominał sobie drogę w tunelu i odpoczynek w cieniu figowca. Ach, więc ta zieleń to liście dobroczynnego drzewa. Próbował się poruszyć, ale ręce i nogi miał zupełnie bezwładne.

- Do diabła! Co się stało z moimi nogami! - Usłyszał wściekły okrzyk Sarotiana.

- Spokojnie, Cecil - rozległ się beznamiętny głos Claitha. - Jesteśmy po prostu sparaliżowani. Nie wiem tylko, czy na stałe, czy chwilowo.

- Po prostu sparaliżowani! Mówiłem, żeby nie wchodzić w ten przeklęty tunel!

- Przestań się wściekać i przygotuj się na spotkanie z gospodarzami tutejszej krainy - ciągnął z niezmaconym spokojem Ross.

Scaber przekręcił z wysiłkiem głowę.

- Gdzie widzisz gospodarzy? - spytał, wymawiając słowa z pewnym wysiłkiem.

- O, biedaku, masz zaburzenia mowy. Widocznie dostałeś więcej środka paraliżującego niż my. Idą ku nam dwie kobiety i mężczyzna. Jedna z nich jest w takim wieku, że mogłaby być moją matką. Pozostali są młodsi.

- Nic nie widzę - jęknął botanik.

- Chcesz powiedzieć, że oślepieś? - zaniepokoił się Claith.

- Nie, ale leżę twarzą do ziemi, a to znacznie ogranicza moje horyzonty. Mam nadzieję, że tubylcy nie są ludożercami, którzy po skutecznym unieruchomieniu ofiary w triumfalnym marszu niosą ją do kotła.

- Wyglądają na cywilizowanych - mruknął Ross.

Do uszu Scabera dobiegł odgłos trzeszczących pod stopami kamyków. Czyjeś ręce chwyciły go i usadziły pod drzewem. To samo zrobiono z Cecilem, który kłął pod nosem z bezsilności i upokorzenia. Mogli za to bez przeszkód przyjrzeć się mieszkańcom wyspy. Kobiety miały długie, rozpuszczone włosy i nosiły proste w kroju, ale bardzo bogato wyszywane suknie. Spodnie i koszula ogorzałego, wysokiego mężczyzny również pokryte były haftami. Wszyscy troje spokojnie przyglądali się leżącym pod figowcem podróżnikom.

- Nieznani przybysze - odezwała się starsza z kobiet, o spalonej słońcem twarzy, silnie kontrastującej z jasnoniebieskimi oczami i zupełnie siwymi włosami. - Jesteście zapewne na tyle inteligentni, by domyślić się, że nie jesteście tu mile widziani. Nasza mgła miała was zniechęcić do opuszczenia statku. Mimo to przybiliście do brzegu i ruszyliście w głąb wyspy. Sądziliśmy, że chodzi wam jedynie o uzupełnienie zapasów wody, ale nie mieliśmy racji. Pozwoliliśmy wam więc skorzystać z naszego podziemnego przejścia i chcemy usłyszeć, dlaczego zakłóćcie nasz spokój.

Scaber zauważył, że staruszka mówiła ich językiem w sposób zupełnie pozbawiony obcego akcentu. Wydawało się więc niemożliwe, żeby była

wyspiarką od urodzenia. Może jakiś okręt rozbił się kilka lat temu u brzegów wyspy, a załoga i pasażerowie osiedlili się tutaj? Ale w takim razie powinni witać radośnie każdy statek dający im szansę powrotu do domu.

- Jesteśmy ekspedycją naukową - dumnie odpowiedział Cecil. - Przybyliśmy tu w celu odnalezienia pewnej rośliny. Nazywam się Cecil Sarotian i jestem botanikiem. Nie podoba mi się to, że traktujecie nas jak najeźdźców. Mam nadzieję, że środek paralizujący, którym nas potraktowaliście, wkrótce przestanie działać.

- A kim są pozostali? - spytała siwowłosa kobieta, nie odrywając wzroku od Claitha.

Wpatrywała się w niego bez przerwy.

- Hrabia Scaber Sedun i podróżnik Ross Claith - dokonał prezentacji Cecil.

Słyszając nazwisko Rossa, staruszka drgnęła. Przykucnęła przed nim i nieoczekiwanie delikatnym gestem odgarnęła mu z czoła ciemny kosmyk opadający na oczy.

- Syn Arista Claitha? - spytała.

- Znała pani mojego ojca? - W głosie Rossa słyhać było ogromne zdumienie.

- Kochałam go.

Claith poruszył się z wysiłkiem. Coś zaczęło mu świtać w głowie.

- Była pani nawet... jego żoną. Mam rację?

Skinęła głową.

- Jak on się czuje?

- Nie żyje.

Kobieta spuściła głowę i podniosła się powoli.

- Przynajmniej miał syna - powiedziała jakby do siebie.

- A jakiej to rośliny poszukujecie? - spytał w tym momencie mężczyzna.

- Herbaty szczęścia - odparł krótko Cecil.

Na twarzach tubylców odmalowało się zaskoczenie. Przez chwilę patrzyli na siebie, jakby chcieli porozumieć się wzrokiem.

- No to będziemy musieli porozmawiać - odezwał się w końcu, lekko cedząc słowa, mężczyzna. Potem zwrócił się do młodszej, rudowłosej kobiety, która chroniła twarz przed palącymi promieniami słońca olbrzymim słomkowym kapeluszem.

- Irindo, zdejmij z nich unieruchomienie.

Z torebki, którą miała przewieszoną przez ramię, rudowłosa wyjęła przyrząd przypominający rozpylacz do perfum i prysnęła im w twarz różowym płynem pachnącym goździkami. Odrętwienie minęło dość szybko. Wstawali, rozmasowując sobie ręce i nogi. Dyskretnie rozglądali się dokoła. Nie było widać żadnych innych mieszkańców wyspy.

- Idźcie za nami - poleciała siwowłosa.

Tylko nie próbujcie uciekać, dodał w myśli Scaber.

- Możecie oczywiście uciec - uśmiechnęła się do niego - ale chodzi wam przecież o herbatę szczęścia, prawda?

Czyta w myślach, wzdrygnął się.

- Nie czytam w myślach, ale pan, hrabio Sedun, ma niezwykle wyrazistą twarz. Szli w poprzek doliny. Ku zaskoczeniu podróżników, prowadzono ich wcale nie w stronę skupiska domów, ale w stronę lasu. Nadal było potwornie gorąco. Zanim doszli do pierwszych drzew, ich ubranie zdążyło przesiąknąć potem. Z niedowierzaniem patrzyli na idących przodem mieszkańców wyspy. Panujący upał zdawał się nie robić na nich żadnego wrażenia. W głębi dżungli zabrzmiał przenikliwy śpiew jakiegoś ptaka. Odpowiedziały mu następne. Z najbliższych gałęzi zwieszały się girlandy różowych i kremowych kwiatów.

- Orchidea różopłatkowa! - wykrzyknął Cecil i puścił się biegiem.

Zanim do niego doszli, on już wachał i głaskał opuszkami palców mięsiste różowe kwiaty.

- To nieprawdopodobne! Ta roślina wyginęła przed dwustu laty i jest uznana za okaz historyczny, niewystępujący współcześnie w przyrodzie! - Botanik nie ukrywał podniecenia. - Muszę ją koniecznie zabrać ze sobą! Ha! Ci zasuszeni profesorkowie z Królewskiego Towarzystwa Botanicznego pospadają ze stołków na widok takiego okazu!

Cieszył się jak dziecko. Z podręcznej torby wyjął zielnik i ostrożnie umieścił roślinę między kartkami. Potem w notesie sporządził rysunek, który, choć pozbawiony walorów artystycznych, wiernie oddawał szczegóły budowy kwiatu. Scaber i Ross przysiedli na zwałonym pniu i bez pośpiechu gasili pragnienie. Miejscowi z wyrozumiałym uśmiechem obserwowali poczynania botanika. Wyglądali, jakby mieli mnóstwo czasu i nigdzie im się nie spieszyło. Sprawiali wrażenie grupy pozującej do obrazu. Jasne suknie kobiet odbijały się od ciemnej zieleni kauczukowców. Dopiero teraz było widać, że osoba, która haftowała ich stroje, czerpała inspirację z nieposkromionej roślinności dżungli. Kobieta w kapeluszu miała na całej długości rękawów wyszyte orchidee różopłatkowe, a ozdoby na koszuli mężczyzny do złudzenia przypominały wijące się pnącza.

- Carina yugo-yugo - szeptał tymczasem w nabożnym uniesieniu Cecil, głaszcząc niebieskawe, nitkowate wypustki jakiegoś porostu. - Nawet nie wiecie, co to jest - zwrócił się do obserwujących go z lekkim rozbawieniem towarzyszy. - Carina yugo-yugo to jedna z najstarszych roślin używanych do farbowania odzieży. Wzmianki o niej znajdowano na ścianach wielu starożytnych świątyń. Do tej pory wszyscy uważali, że nie dotrwała do naszych czasów, a tymczasem proszę! Jaka obfitość!

- Rozumiem, że znalazłeś się w rajku dla botaników - przerwał mu chłodno Ross. - Ja jednak chciałbym ruszyć dalej pod przewodnictwem naszych niezwykle cierpliwych gospodarzy.

- Mamy czas - uspokoiła go siwowłosa. - Niechże się pan Sarotian nacieszy.

Scaber nie mógł się nadziwić zachowaniu tych ludzi. Najpierw nasyłają na nich mgłę, potem obezwładniają środkiem paralizującym, a w końcu zapraszają na rozmowę i uprzejmie czekają, aż Cecil dokładnie obejrzy jakieś porosty. Ta stara kobieta była kiedyś dziewczyną z Wyspy Sierot. Dlaczego opuściła męża? Czy

Szklarka też by odeszła? Czy ukryłaby się w takim niedostępnym zakątku, wypuszczając na przybywających trującą mgłę? Jego wzrok powędrował ku olbrzymim pniom drzew oplecionym roślinami o wåtleszych łodygach. Jakiś bajecznie kolorowy ptak sfrunął na gałąź na wprost jego twarzy. Miał gruby, metalicznie lśniący dziób, żółto-czerwone skrzydła i długi zielonkawy ogon delikatny jak welon. Rudowłosa Irinda wyciągnęła rękę i ptak, jakby tylko na to czekając, usadowił się na jej przedramieniu.

- Iricea caracea - mruknął Ross. - Jedyne egzemplarz tego gatunku widziałem na dworze króla Arundii. Siedział w złotej klatce i stroszył pióra. Nie był w połowie tak piękny jak ten, a mimo to uważano go za najcenniejszy okaz w królewskiej ptaszarni.

- Byłeś na dworze króla Arundii? - zdziwił się Scaber. - Przecież tam nie wpuszczają obcych.

- Obcych nie. - Ross się zaśmiał. - Ale ja jestem honorowym obywatelem tego państewka.

- Interesujące. Chętnie bym usłyszał, jak to się stało.

- To dłuższa historia, a moment nie jest dobry na snucie opowieści.

- Spodziewasz się, że Cecil zakończy oględziny tego skrawka lasu przed zachodem słońca?

Claith tylko się roześmiał i podszedł do botanika.

- Dość tego, Sarotian. Myślę, że jeżeli nam pozwolą, będziemy tu mogli zostać wystarczająco długo, abyś zdążył narysować i opisać każdy listek.

Cecil spojrział na niego półprzymtomnie.

- Co mówisz? A tak, dobrze, chodźmy...

Miejscowi jakby czekali na ten sygnał. Bez słowa zagłębili się w wąską ścieżynkę wydeptaną w poszyciu. Otoczył ich zielony półmrok tropikalnego lasu i cierpki zapach butwiejących liści. Wydawałoby się, że wędrują przez obszar nietknięty ludzką ręką, ale przeczyły temu równo ułożone kamienne płyty stukające głucho pod ich stopami. Trudno im było nadążyć za idącymi przodem ludźmi. Po miesiącach spędzonych na morzu ich nogi odzwyczyły się od dłuższych marszów. Cecil i Scaber ciężko dyszeli i spływali potem w dusznej atmosferze dżungli. Ross był znacznie mniej zmęczony dzięki porannym biegom, jakie odbywał codziennie wzdłuż pokładu, co było okazją do złośliwych docinków ze strony załogi statku. Claith wiedział, co robi i Scaber żałował, że nie przyłączył się wtedy do niego. Opadał już z sił. Chwilami jasne suknie przewodniczek wydawały mu się sennym przywidzeniem.

Szli długo. Droga powoli pięła się w górę. Gdzieś z przodu musiał być prześwit, bo z każdym krokiem robiło się jaśniej. Nagle wyrósł przed nimi mur z kamiennych bloków ułożonych do wysokości człowieka. W szczelinach między kamieniami krzewiły się bujnie jaskrawoczerwone kwiatki, na które Cecil rzucił się jak drapieznik na z dawna upragnioną zdobycz.

- Celijanty! Mityczne rośliny królowej Medii!

Ross i Scaber wymienili spojrzenia i jednocześnie wzruszyli ramionami.

W murze była mała furtka zrobiona z jakiegoś poczerniałego ze starości metalu. Jej powierzchnię pokrywały wypukłe, przeplatające się linie. Dłuższe śledzenie tej płataniny przyprawiało zawrót głowy. Furtka nie miała klamki, tylko cztery miedziane koła umieszczone jedno nad drugim. Starsza kobieta pokręciła nimi, później pchnęła drzwiczki i z lekkim uśmiechem powiedziała:

- Wejdźcie, proszę.

Najpierw poczuli zapach. Odurzający, słodki zapach nagrzanym słońcem kwiatów. A potem to zobaczyli. Róże pięły się wzdłuż muru, płożyły po ziemi, wspinały się na pergole albo tworzyły krzaczaste zagajniki. Scaber od razu pomyślał o Szklarce i zamówieniu, jakie wykonywała dla księżnej Morgenrose. Różany pałacyk, o którym długi czas plotkowano podczas towarzyskich spotkań, miał być wyzwaniem rzuconym królowej Kewenie i jej szklanej wieży. Te dwie wysoko urodzone kobiety rywalizowały ze sobą niemal od dziecka. Owocem owej rywalizacji były między innymi unikalne dzieła Szklarki... i to, że się spotkali - ona i Scaber.

Było to latem, w czasie serii balów organizowanych z okazji czternastych urodzin bliźniąt - najstarszych z czworga dzieci królowej. Zazwyczaj podczas uroczystości tego typu towarzyszyła mu Pepperia, ale tym razem była chora, a on przyjechał sam. Scaber pamiętał dobrze to leniwe popołudnie, kiedy szedł przez ogród z nieodstępującą go Alladą Pasilią, która korzystała z nieobecności Pepperii, żeby ściągnąć na siebie uwagę, pokazując się u boku dziedzica fortuny Sedunów. Jej towarzystwo było niezwykle męczące. Mówiła bez przerwy, kierując co jakiś czas pytanie do idącego obok Scabera. Zazwyczaj stawiała pytania retoryczne, tylko czasami wymagały one odpowiedzi „tak” lub „nie”, i nie angażowały zbytnio jego uwagi. W pewnym momencie usłyszał:

- Widziałeś już Szklarę?

- Nie - odpowiedział, nie zastanawiając się nawet, co to takiego owa szklarka.

- No to popatrz. Stoi tam i rysuje. - Głos Allady zniżył się do szeptu.

Scaber podążył za jej wzrokiem. Na wprost pergoli obsypanej kwiatami wiciokrzewu stała tyłem do nich młoda kobieta w ciemnoniebieskiej sukni. Coś szkicowała w dużym bloku. Ciemne włosy spięte miała na karku w ciężki węzeł i wyglądała jak postać z nastrojowych obrazów Terbaskii.

- Kto to jest? - spytał półgłosem.

- No mówiłam ci przecież - Szklarka!

- Ale kim ona jest?

- Nie wiesz? - Allada była zachwycona, że może udzielić wyczerpujących informacji. - To dziewczyna z Wyspy Sierot. Maluje szklane panele do wieży królowej. Podobno jest niezwykle uzdolniona. Mogłeś o niej nie słyszeć, bo mieszka na wybrzeżu, w Como. Siedzi tu już trzy miesiące. Przebywa głównie w pracowni, we wschodnim skrzydle zamku, ale czasem szkicuje w ogrodzie. Niesamowite, prawda? Mam na myśli to, że całe życie spędziła na Wyspie pod opieką tych dziwnych kobiet, które podobno żyją tysiąc lat. A te jej malowidła! Składają je na razie w pustej oranżerii, bo szkielet wieży nie jest jeszcze do końca

gotowy. Podobno pnącza namalowane są jak żywe.

Scaber słuchał paplaniny podnieconej Allady, nie odrywając wzroku od rysującej dziewczyny. Słońce migotało w złotych nitkach haftu przy jej szyi i rozświetlało ciemnobrązowe włosy. Spinka podtrzymująca kok wysadzana była maleńkimi perełkami. Z postaci malarki emanowały spokój i koncentracja. Poczul, że coś ściska go za gardło. Ten widok obudził w nim uczucie nieznanego dotychczas wzruszenia i zachwytu. Mógłby tak stać i patrzeć godzinami.

Coś szarpnęło go za rękaw.

- Chodźmy już. - Allada wygięła kapryśnie usta. - Chce mi się pić i muszę trochę odpocząć przed kolacją.

Nie od razu zareagował na jej prośbę, więc szczypnęła go lekko w rękę.

- Hej! Bo powiem Pepperii, że zachwyciłeś się panną z Wyspy Sierot! Nie będzie zadowolona.

Imię narzeczonej otrzeźwiło go natychmiast. I kiedy szedł z Alladą u boku w kierunku pawilonu, w którym cały dzień serwowano napoje, zaczął się zastanawiać, czy duża część uroku Szklarki nie polegała właśnie na tym, że wydawała się tak bardzo różna od Pepperii.

Od tamtej chwili w ogrodzie, niezależnie od tego, co robił, z kim rozmawiał albo tańczył, nieustannie nosił w sobie obraz szkicującej w skupieniu dziewczyny i pragnienie, żeby zobaczyć ją raz jeszcze. Kiedy więc królowa Kewena zaproponowała gościom wycieczkę do pracowni i obejrzenie pomalowanych już szklanych tafli, był pierwszym, który ochoczo przystał na tę propozycję. Mała grupka zainteresowanych została poprowadzona do oranżerii, gdzie leżały gotowe szyby pokryte malowidłami.

- To mają być wyłącznie pnącza - mówiła dźwięcznym głosem Kewena. - Spójrzcie, jak się pięknie przeplatają! Niemal trudno dostrzec, gdzie kończy się jedna roślina, a zaczyna inna.

- Czy zobaczymy także pracownię? - spytał Scaber pozornie obojętnym tonem.

- Odnoszę wrażenie, że nasza artystka preferuje samotność. - Królowa uśmiechnęła się. - Nie powinna mieć jednak nic przeciwko krótkiej wizycie.

Kewena szła wolno w kierunku wschodniego skrzydła. Fałdy jej ciemnoczerwonej sukni kołysały się majestatycznie. Idący tuż za nią Scaber dokładnie zapamiętał wytłoczony na mięsistym materiale wzór. Chciał zmusić królową do przyspieszenia kroku. Niemal następował jej na pięty, wbijając wzrok w fałdy sukni. Weszli osobnym wejściem prowadzącym wprost na klatkę schodową.

- Pracownia jest na poddaszu - wyjaśniła królowa. - Trochę to niewygodne, jeśli chodzi o transport szyb, ale okna dachowe dają najlepsze oświetlenie i przedłużają czas pracy co najmniej o godzinę.

- To ona cały czas tam maluje? - spytała z niedowierzaniem i lekkim rozbawieniem jakaś kobieta.

Scaber odwrócił się gwałtownie. To była markiza Edita Rostend, wysoka i chuda dama o kościstej, inteligentnej twarzy, na której często gościł wyraz ironii.

- Przeważnie tak - wyjaśniła Kewena. - Czasem tylko zjawia się w ogrodzie, ale wówczas też pracuje. Moim zdaniem po prostu to lubi.

Cztery kondygnacje schodów ciągnęły się w nieskończoność. Towarzystwo bynajmniej się nie spieszyło, rozmawiając z ożywieniem o zwyczajach różnych znanych artystek. Dotarli w końcu do drzwi. Królowa zapukała i nie czekając na odpowiedź, nacisnęła kłamekę.

- Możemy? - spytała, wsuwając głowę do pracowni.

To pytanie stanowiło jedynie formalność. Kewena weszła do środka, a za nią goście. Scaber zatrzymał się. Chciał być na końcu, osobno od reszty. Nad leżącą na ogromnym stole taflą szkła pochylała się dziewczyna. Włosy upięte miała w ten sam sposób, co wtedy. Suknię przykrywał szary fartuch poplamiony farbami. W jego szerokim wycięciu, pod szyją, lśnił bielą koronkowy kołnierz. Obok stołu stał regał zastawiony słoiczkami farb. Z dużych glinianych kubków sterczały pędzle, jak dziwaczne, suche bukiety. Towarzystwo rozpełzło się po pracowni. Scabera opanowało nagle rozdrażnienie. Kiedy patrzył, jak zaglądną w różne kąty, dotykają pędzli i gapią się na Szklarkę, miał ochotę po kolei, niezależnie, czy to kobieta, czy mężczyzna, pozrzucać ich wszystkich ze schodów, aż na sam dół.

- Ile godzin dziennie pani maluje? - spytał hrabia Dargin.

- Około dziesięciu - padła zwięzła odpowiedź. Malarka nawet nie podniosła oczu.

- To musi być niezwykle męczące! - wykrzyknęła Lotta Kronung.

- Nie mów tak, droga Lotto. - Królowa pogroziła jej palcem. - To brzmi, jakbym wykorzystywała pannę Szklarkę.

- Myślę, że raczej wolałabyś, żeby panna Szklarka siedziała tu jak najdłużej i pracowała jak najwolniej. - Markiza Rostend zaśmiała się. Była kuzynką królowej i mogła mówić jej na ty.

- Dlaczegoż to? - Kewena uniosła brwi.

- Bo jak tylko skończy wykonywać twoje zamówienie, natychmiast zatrudni ją Ilse Morgenrose.

Królowa wyduła wargi i wzruszyła ramionami.

- Myślę, że powinniśmy już dać spokój naszej artystce - powiedziała, kierując się w stronę drzwi.

Scaber ociągał się z wyjściem. Fascynowała go Szklarka, jej skupienie, jej dłonie trzymające pędzel, którym pewnie nakładała kolejne warstwy farb. Dopiero teraz zauważył, że roślina, nad którą pracuje, to wiciokrzew. Na krawędzi stołu leżał otwarty szkicownik. Nie był pewien, czy dziewczyna zdaje sobie sprawę z jego obecności. Obserwował jej subtelny profil i cień rzęs padający na policzki. Chyba wyczuła jego wzrok, bo podniosła oczy i ich spojrzenia się spotkały. Niezmieszana patrzyła na niego przez chwilę, po czym wróciła do przerwanej pracy.

- Przepraszam, panno Szklarko, czy będę mógł czasem przyjść i popatrzeć, jak pani maluje? Obiecuję, że nie będę przeszkadzał.

Ponownie na niego spojrziała. Dopiero teraz zauważył, że jej oczy są

szaroniebieskie.

- Tak.

I znów płynny ruch pędzla i złotawy błysk na włosach tam, gdzie padało na nie światło z dachowego okna.

- Wspomnienia? - Ross go szturchnął.

Scaber uśmiechnął się cierpko.

- Czytasz w myślach jak twoja niedoszła matka.

Popatrzyli na siwowłosą, która stąpała lekkim krokiem między różanymi krzewami.

- Nawet nie znam jej imienia. - Claith wzruszył ramionami.

- Mam na imię Nella. - Staruszka odwróciła głowę i popatrzyła na nich z kąpiącym uśmiechem.

- Dobry słuch - powiedział z uznaniem Scaber.

- Patrz! - Ross chwycił go za ramię.

Ścieżka, którą szli, nagle skręciła, a krzaki róż stały się niższe. Przed nimi załśnił w słońcu biały marmurowy pałacyk przypominający cukrowy tort. Kolumny, kolumnienki, daszki, wieżyczki, koronkowo rzeźbione balkony, pnące się w górę spirale schodów. I wszędzie marmurowe żardiniery wypełnione kwiatami.

- Kto to wszystko podlewa? - zdziwił się Cecil. - W tym upale...

- Mamy urządzenia rozpraszające wodę - wyjaśnił uprzejmie wciąż nieznany im z imienia mężczyzna.

Nella wchodziła już po szerokich schodach. Otworzyła wrota pałacu i zapraszająco wyciągnęła rękę. Przechodząc, Ross musnął dłonią powierzchnię drzwi.

- Drewno srebrnej gruszy intarsjowane masą perłową. Piękna robota - zauważył. Powitał ich szmer fontanny. Znaleźli się na wewnętrznym dziedzińcu otoczonym z czterech stron krużgankami. Po balustradach pięły się wiciokrzewy i powojniki, a w bardziej zacienionych miejscach - bluszcze. Wokół fontanny porozkładane były grube, wzorzyste poduchy. Kolorowy ptak, który do tej pory siedział spokojnie na przedramieniu Irindy, zatrzepotał skrzydłami i pofrunął na najwyższy z krużganków. Przez chwilę straszyl pióra, a potem wybuchnął radosną kaskadą dźwięków. Nella zniknęła za zasłoną z bluszczów i za moment pojawiła się znowu, niosąc tacę pełną dojrzałych owoców. Śpiew ptaka, aromat dojrzałych brzoskwiń, szmer fontanny... Niewiele myśląc, Scaber opadł na miękką poduszkę i sięgnął po kiść winogron.

- Poczekaj! - wstrzymał go Ross. - Tu jest bardzo miło, ale...

- Zatrzymał wzrok na Nelli. - Chciałbym mieć pewność, że nie padniemy ofiarami kolejnej sztuczki, takiej jak czasowy paraliż.

Nella przysiadła na ciemnozielonej poduszce z aksamitu.

- Gdybyście mieli wrogie zamiary - mówiła spokojnie - gdybyście chcieli zaatakować mnie, Irindę, albo Rena, byłibyśmy rzeczywiście zmuszeni was unieszkodliwić. Chcemy was traktować jak gości, mimo że przybyliście

nieproszeni. Gwarantuję wam, że owoce nie są zatrute.

Jakby na dowód prawdziwości jej słów, mężczyzna zwany Renem sięgnął po leżącą na samym wierzchu brzoskwinę i zatopił w niej zęby. Owoce były soczyste i słodkie. Scaber rozkoszował się ich smakiem, który znacznie przewyższał smak sprowadzanych z południa specjałów, pojawiających się czasami na stole jego rodziców. Rodzice... Jak zareagują, gdy dotrze do nich jego list? Po powrocie będzie musiał im wszystko wyjaśnić. I tak go nie zrozumieją. Będą go uważać za szaleńca. Może najpierw powinien porozmawiać ze Szklarką? Po powrocie. Jeżeli w ogóle będzie jakiś powrót... Popatrzył na trójkę ludzi z wyspy Nut. Mogą nie chcieć ich wypuścić. Być może ten pałac stanie się luksusowym więzieniem. Na myśl, że mógłby już nigdy nie zobaczyć Szklarki, poczuł zimno, jakby nagle wpadł do lodowatej wody. Wzdrygnął się i natychmiast wychwycił uważne spojrzenie, jakim obrzuciła go Nella. Jedli w milczeniu, mierząc wzrokiem gospodarzy, którzy ze spokojem raczyli się owocami. Cecil, z natury rozmowny, nie potrafił długo znieść pełnej napięcia ciszy.

- To jak? Macie tu herbatę szczęścia? - spytał bez ogródek.

- A do czego jest wam potrzebna? - odezwała się stojąca na uboczu Irinda, pochłonięta dotychczas uważnym obserwowaniem barwnego ptaka.

- Człowiek, który pokrył koszty naszej wyprawy, jest zainteresowany zdobyciem tej rośliny - wyjaśnił krótko Ross. - Wykonujemy jego zlecenie.

- Jeśli mam być szczery - wtrącił Cecil - to bardziej mnie interesują inne okazy tutejszej flory, ale czuję się zobowiązany odnaleźć herbatę szczęścia.

- Jak nazywa się człowiek, o którym mówicie? - zacięła się Nella.

- Nie wiemy. - Ross wzruszył ramionami. - Wszystkie ustalenia omawialiśmy z jego pełnomocnikiem, małym człowieczkiem o nazwisku Rieze.

- A pan, hrabio Sedun, także został wynajęty? - zainteresowała się Irinda.

- Nie - odparł krótko Scaber. - Po prostu lubię podróże.

Nella zaśmiała się z niedowierzaniem.

- Nie podoba mi się, że odbiegamy od tematu - powiedział beznamiętnie Ross. - Mówiliśmy o herbacie szczęścia. Odnoszę wrażenie, że wiecie o niej państwo dużo więcej niż my.

- A co wy wiecie? - odpowiedziała pytaniem na pytanie Nella.

- Legendarna roślina lecząca wszystkie choroby i przynosząca szczęście - wyrecytował Cecil i zaraz zastrzegł: - Oczywiście ja w to nie wierzę. Mam na myśli cudowne właściwości. Jednak po tym, co dotychczas tu widziałem, przypuszczam, że jeśli herbata szczęścia w ogóle istnieje, to znajduje się na tej wyspie.

- I nie myli się pan. - Ren uśmiechnął się zdawkowo.

Zamarli z wrażenia.

- Naprawdę? - Aż do tej chwili Scaber wątpił w powodzenie misji, z jaką tu się zjawili.

- Kiedy moglibyśmy ją zobaczyć? - Cecil zatarł ręce.

- Nigdy. - W oczach Nelli zamigotały psotne ogniki.
Zapadła cisza naładowana oburzeniem i rozczarowaniem.
Naigrawa się z nas, pomyślał Scaber.
- Nie możecie jej zobaczyć. - Starsza kobieta popatrzyła każdemu z nich w oczy. -
Bo herbata szczęścia jest niewidzialna.

20.

Chamomilla wpatrywała się w uśpioną dziewczynę i walczyła z myślami. Czy powinna użyć swego Daru? Czy to nie jedyny sposób, aby pomóc Szklarce? Nie wykorzystywała go nigdy w stosunku do osób dorosłych. Tylko raz, z matką...
Miała wtedy może z sześć lat. Matka siedziała na ławce przed domem i patrzyła przed siebie. Była wiosna, pełnia prac ogrodniczych i Chamomillę dziwiła ta niezwykła beczynność. Zazwyczaj kobieta krzątała się niemal bez przerwy. Doiła krowy, robiła sery, pielęła grządki, sadziła kwiaty albo piekła chleb. Teraz i rwała w bezruchu i dwie pojedyncze łzy toczyły jej się po policzkach.

- Mamo, czy coś się stało? - spytała, trąc ją w kolano.

- Tak, ale dawno temu. - Kobieta westchnęła. - Jeszcze chwila na wspomnienia i zaraz biorę się do pracy.

I wtedy Chamomilla poczuła przemożne pragnienie, żeby dowiedzieć się, co to za wspomnienia. To pragnienie zamieniło się w falę, która sięgnęła oczu matki, a przez oczy do jej głowy i nagle zobaczyła uśmiechniętego brodatego mężczyznę, który mówił: „Kocham cię, Lysso, wrócę niebawem. Nie martw się”. Wyciągnął rękę, jakby chciał kogoś pogłaskać.

- To tata?! - wykrzyknęła Chamomilla.

Obraz znikł. Matka zerwała się z ławki i patrzyła na nią z zaskoczeniem, oburzeniem i niedowierzaniem. Chwyciła córkę za ramię i wciągnęła do domu.

- Umiesz czytać w myślach? - spytała pełnym trwogi szeptem.

- Chciałam tylko zobaczyć, dlaczego płaczesz - odpowiedziała przestraszona dziewczynka.

- Nigdy więcej mi tego nie rób.

- A innym?

Matka zagryzła wargi.

- Czasem może się to okazać konieczne, gdy będziesz chciała komuś pomóc, a nie da się tego zrobić w inny sposób.

- Chciałabym wiedzieć, co myślą instruktorki... - rozmarzyła się Chamomilla.

Matka aż przysiadła. Ich oczy znalazły się teraz na jednym poziomie.

- Nigdy, przenigdy tego nie próbuj. Panie z Wyspy są niebezpieczne jak jadowite węże. Od razu poczują, że szperasz im w głowach i dobiorą się do ciebie tak, że zapomnisz, jak się nazywasz i kim jesteś.

- Jak Agda?

Agda była starą, upośledzoną umysłowo kobietą, wykonującą najbardziej

niewdzięczne prace w imperium instruktorek.

- Jak Agda. Lepiej zachowaj istnienie Daru w tajemnicy. Tak będzie bezpieczniej dla ciebie.

- Daru?

- Czytanie w myślach jest Darem, który pojawia się co jakiś czas w naszej rodzinie. Wiem, że miała go moja babka.

- I co?

- I nic, umarła, jak każdy człowiek. - Matka wstała i strzepnęła fartuch. - Dość już tych pogaduszek. Muszę posiać nasturcje.

- Mamo! - krzyknęła z oburzeniem dziewczynka.

Stojąca już w drzwiach matka odwróciła się.

- Jeśli chcesz, porozmawiamy o tym wieczorem. Teraz naprawdę nie mam już czasu.

Cały ten dzień Chamomilla spędziła na wzgórzu, z którego widać było morze, i napawała się możliwościami, jakie dawał jej nowo odkryty Dar. Mimo przestróg matki wyobrażała sobie, jak przenika do myśli nieprzystępnych i groźnych instruktorek. Na przykład do pani Anid Verdy, którą widywała dość często, kiedy razem z matką zanosila do kuchni sery, śmietanę i mleko. Anid Verda miała piękne suknie w pastelowych kolorach i jasne włosy upięte w wysoki kok. Jej szare, chłodne oczy zatrzymywały się na moment na twarzy Chamomilli. Dziewczynka rumieniła się zakłopotana, a wtedy instruktorka uśmiechała się leciutko i odwracała głowę. Teraz, zamiast się rumienić, spojrzałaby w te szare oczy, a przez nie prosto do głowy, i nareszcie wiedziałaby, co Anid Verda myśli, kiedy tak na nią patrzy. Nie potrafiła dokładnie wyobrazić sobie, co mogłoby zajmować umysł instruktorki, więc wyimaginowaną scenę kończyła słowami: „Wiem dokładnie, co pani sobie pomyślała”. Wtedy na twarz kobiety wypływał szkarłatny rumieniec, a ona, Chamomilla, oddalała się z lekkim uśmieszkiem. Tę scenę odgrywała w wyobraźni całe przedpołudnie. Podczas obiadu kusilo ją, żeby zajrzeć do głowy mamy. Mieszkały na uboczu i nie było w pobliżu nikogo, na kim mogłaby wypróbować swoją umiejętność. Była jednak z natury posłusznym dzieckiem, więc nie odważyła się postąpić wbrew zakazowi. Wieczorem, kiedy po kolacji zasiadły na ławce przed domem, matka przytuliła ją i powiedziała:

- Moja babka miała na imię Chamomilla.

- Tak jak ja!

- Tak jak ty... Prosiła mnie, żebym swoją córkę nazwała jej imieniem. Może przypuszczała, że będziesz kolejną dziedziczką Daru.

- Opowiedziała ci o nim?

- Nie, ale wszyscy wiedzieli. Mieszkaliśmy we wsi u podnóża Jastrzębich Gór. To była zamożna wieś. Co tydzień odbywały się tam targi, na które zjeżdżali ludzie z całego pogórza. Raz na miesiąc przybywał złotnik, który wyrabiał, a potem sprzedawał piękne naszyjniki i pierścienie. Zawsze zjawiał się z czterema zbrojnymi, którzy stali po bokach straganu i pilnowali, żeby nikt niczego nie ukradł. Na noc złotnik zatrzymywał się u któregoś z gospodarzy. Obawiał się

nocować w gospodzie, gdzie zawsze kręciło się zbyt wielu nieznanym gotowych zniknąć z cudzym mieszkaniem pełnym złotych monet. Pewnego razu gościł też u moich rodziców. Miał wtedy wśród swoich wyrobów przepiękny naszyjnik zrobiony ze złotych kóleczek. W środku każdego z nich tkwił ogniste czerwony rubin. Byłam wtedy mała i ten naszyjnik wydawał mi się najpiękniejszą rzeczą na świecie. Ktoś inny też tak pewnie uważał i zapragnął go mieć. Krótko mówiąc - naszyjnik został skradziony. Złotnik wpadł we wściekłość i oskarżył domowników. Moja babka siedziała spokojnie na ławie pod oknem i łuskała strąki fasoli. Co jakiś czas podnosiła głowę i przyglądała się wszystkim zgromadzonym w izbie. Potem wstała i poszła, jak się później dowiedziałam, do stodoły, gdzie nocowali strażnicy pilnujący złota. Wróciła po małej chwili. Stała przed złotnikiem, popatrzyła mu w oczy i powiedziała: „Jeden z twoich ludzi przywłaszczył sobie naszyjnik. Chce go ofiarować córce burmistrza z Brego, żeby zgodziła się zostać jego żoną.”

„Który to?” - ryknął złotnik.

„Ten z szramą na brodzie” - odpowiedziała babka.

Złotnik wybiegł na zewnątrz, a ja patrzyłam jak urzeczona na babkę, która spokojnie wróciła do łuskania fasoli. Kucnęłam koło niej i spytałam, w jaki sposób udało jej się rozpoznać złodzieja. Zanim zdążyła mi odpowiedzieć, złotnik wpadł do izby, ciągnąc za sobą podejrzanego strażnika.

„Nie znalazłem przy nim naszyjnika, a chłopak przysięga, że jest niewinny. I co na to powiesz, stara kłamczucho?!” - wrzasnął.

Struchlałam. Otaczaliśmy babkę wielkim szacunkiem i słowa tego człowieka wydały mi się strasznym bluźnierstwem. Babka długo patrzyła mu w oczy.

„Pierścionek z traw” - powiedziała w końcu i stojący przed nią złotnik okropnie się zaczerwienił. Potem dodała: „Naszyjnik jest ukryty w żłobie, pod owsem dla konia.”

Mężczyzna znowu wybiegł i tym razem wrócił, niosąc swoją własność. W tym czasie strażnik z blizną wyskoczył za drzwi. Mój ojciec chciał go gonić, ale babka wstrzymała go jednym słowem: „Zostaw!”. Złotnik zaczął się awanturować, że pozwoliliśmy uciec złodziejowi, ale nikt się tym specjalnie nie przejął. Cały dzień kręciłam się obok babki, ale nie wiedziałam, jak ją zagadnąć. W końcu kazała mi usiąść obok siebie. Wręczyła mi nóż, żebyśmy razem z nią obierała ziemniaki.

„Posłuchaj, Lyso” - powiedziała. - „Mam taki dar, który pozwala mi czytać w ludzkich głowach. To stąd wiedziałam, kto ukradł naszyjnik”.

Przez chwilę pracowałyśmy w milczeniu, a ja zastanawiałam się nad tym, co powiedziała babka. To było coś cudownego, ale i niepokojącego zarazem.

„Wiesz, o czym myślę teraz?” - spytałam.

„Nie, nie wolno zaglądać do głowy człowieka ot tak, z ciekawości i dla zabawy. To tak, jakbyś kradła komuś jakąś cenną rzecz”.

„Na przykład naszyjnik?”

„Znacznie cenniejszą.”

Teraz cała sytuacja ze złotnikiem stała się jasna. Domyśliłam się, że babka

zajrzała do głowy winowajcy. Nie rozumiałam tylko, dlaczego pozwoliła mu uciec. Spytałam ją o to.

„Gdy czyta się w czyichś myślach, lepiej się tego kogoś poznać i rozumie” - odpowiedziała. - „Ten chłopak nie ma łatwego życia. Po co skazywać go na więzienie albo szubienicę?”

Chciałam się jeszcze dowiedzieć, o co chodziło z tym pierścieniem z traw, ale babka pokręciła głową i spojrzała na mnie surowo.

„To jest tajemnica złotnika. Nie pytaj mnie o nią”.

Nagle przyszła mi do głowy niezwykła myśl - może ja też mam taki dar. Zapytałam o to babkę. Popatrzyła na mnie w skupieniu, a potem powiedziała, że nie posiadam Daru, ale może go mieć moja córka. To wtedy po raz pierwszy zażyczyła sobie, żebym nazwała cię jej imieniem.

Chamomilla była bardzo poruszona.

- I naprawdę takie zagłębienie do głowy to kradzież? - spytała z niepokojem.

- Tak mówiła moja babka, a była najmądrzejszą osobą, jaką znam.

- Mądrzejszą od instruktorek?

- One nie są zwykłymi ludźmi... ale tak... nawet od nich była mądrzejsza.

Chamomilla znowu popatrzyła na śpiącą Szklarę. Dość często używała Daru, żeby pomóc dzieciom. Rozprawiała się z sennymi koszmarami, próbując zniszczyć ich źródło. Rozpoznawała blokady, jakie instruktorki umieściły w dziecięcych umysłach. Najsilniejsze były te dotyczące matek i ojców. Dziewczynki nawet między sobą nie fantazjowały na temat rodziców, nie zastanawiały się, kim byli i jak wyglądali. Nadkruszała te bariery, żeby dzieci były zdolne przyjąć choćby małą kroplę miłości, którą mogła im ofiarować. Nieraz płakała, odnajdując na dnie dziecięcych główek pamięć o oderwaniu od matki i ocean osamotnienia. Jeśli matka nadała Szklarce jakieś tajemne imię, to musiała je nad dzieckiem wypowiedzieć na głos. Tę chwilę trzeba będzie odszukać w pamięci śpiącej dziewczyny. Chamomilla westchnęła ciężko, podniosła się, wzięła krzeselko i postawiła je przy sofie. Skoncentrowała się i już po chwili znalazła się w świecie snów. Jakiś mężczyzna pochylał się nad stołem zastawionym słóczkami farb. „Chcę tylko popatrzeć, jak pani maluje, a potem popłynę na wyspę Nut”. Jego twarz rozmazała się na moment. Pojawił się znowu, mówiąc: „Przecież muszę się ożenić z Pepperią, a pani nawet nie ma porządnego imienia”. Znikąd nadeszła Anid Verda i jednym ruchem ręki zmiotła obraz mężczyzny. Chamomilla zeszła z poziomu snów i zagłębiła się we wspomnienia. Te najświeższe dotyczyły widzianego przed chwilą mężczyzny. Wycofała się z nich czym prędzej, nie chcąc naruszać intymności Szklarki. Z tego, co już zdążyła zobaczyć, wywnioskowała, że dziewczyna jest zakochana. Była zaskoczona. Nie spodziewała się tego po Szklarce, ale ostatecznie nie spodziewano się tego po żadnej wychowance Wyspy. A jednak się zakochiwały. I miały dzieci. I te dzieci zjawiały się tutaj, nie pamiętając swoich matek. To jest prawdziwy, a nie tylko senny koszmar. Wspomnienia z życia w mieście. Miłe, przytulne mieszkanie.

Jakaś dziewczyna niosąca herbatę na tacy. Ma na imię Verka. Pewnie służąca. Dalej... dalej... Wyspa, szkoła, instruktorki... Zobaczyła nawet samą siebie - małą Chamomillę z jasnymi warkoczami idącą gdzieś pospiesznie. Sypialnia młodszych dziewcząt. Rzędy łóżeczek i wierzące się pod pościelą ciała. Pawilon niemowląt. Biała siatka otaczająca kojec. Płacz noworodków. Dalej... dalej... już blisko. Bariera wyrosła nagle. No jasne, znała to. Teraz trzeba cierpliwie ją obejść, podważyć, przejść po nitkach skojarzeń. Gdyby ktoś spytał, w jaki sposób pokonuje te blokady ustawiane przez instruktorki, nie umiałyby wytłumaczyć. Mogłyby to opisać jako szukanie szczeliny albo bocznych drzwi. Delikatnie muskała zapieczętowaną komnatę wspomnień. Porządnie zapieczętowaną: „nic tam nie ma, nic tam nie ma”, „pustka i lęk”, „przerażenie”. Tego nigdy nie spotkała - bariery uzbrojonej w słowa broniące dostępu. Ale nie ona była osobą, do której zostały skierowane. Nie była Szklarką. „Tak, lęk... tak, przerażenie...” - wysyłała sygnał zgody na przeżycie tego, przed czym ostrzegęła bariera. I nagle weszła w nią. Znalazła się w miejscu, gdzie niczym podstępny wąż czaił się lęk. Coś przerażającego czyhało na nią. Czyjeś lodowate palce wchodziły w jej umysł, a razem z nimi uporczywe szepty, słowa, których nie umiała rozpoznać. Poczula, że poci się ze strachu. Nigdy nic takiego jej się nie przytrafiło. Chciała się wycofać, ale przecież dalej, poza blokadą, ukryte jest imię Szklarki. Zaczęły ją otaczać bezcielesne potwory, mgliste twarze wykrzywione w potwornych grymasach. Wyłupiaste oczy kołyszące się na długich szypułach i wpatrujące się w nią oskarżycielsko. Poczula wzbierającą falę mdłości. „Tak, lęk... tak, lęk...”. I nagle, zupełnie niespodziewanie, znalazła się po drugiej stronie. Poza nią został mglisty, zimny obszar bariery. I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie fakt, że po drugiej stronie nie było nic. Żadnych wspomnień, żadnych obrazów, żadnych słów... Jakby nie było aktu narodzin, jakby Szklarka wzięła się znikąd. Nie... coś jednak jest. Następna bariera? Ale jakaś inna, przyjazna, świecąca błękitnym blaskiem i wysyłająca słowo „tajemnica”. To jest to. Za tą zasłoną matka ukryła prawdziwą Szklarkę przed instruktorkami. Panie z Wyspy posiadały podobną umiejętność jak Chamomilla. W ich przypadku nie był to jednak Dar, ale Władza. Dzięki niej mogły szperać w umysłach dzieci i odcinać niewygodne obszary pamięci. Znalazły na pewno w umyśle Szklarki tę zasłonę opieczętowaną „tajemnicą” i nie mogły jej złamać. To było powodem zbudowania wokół niej bariery lęku i przerażenia. Dobrze, ale co teraz? Skoro instruktorki nie sforsowały przeszkody, to jak ona ma to zrobić? „Tajemnica” - opalizująca błękitna zaporą zdawała się falować i uśmiechać. Chamomilla też zaczęła się do niej uśmiechać. Próbowwała przesyłać sygnały miłości i akceptacji. Zasłona falowała coraz mocniej, coraz intensywniej. Wydawało się, że zaraz się rozstąpi, ale nic takiego się nie stało. Chamomilla poczuła łzy w oczach. „Mamusiu” - wyszeptęła bezwiednie. I oto nagle błękit ustąpił całej gamie kolorów, które ułożyły się w twarz młodej kobiety, zadziwiająco podobnej do Szklarki. Twarz przybliżyła się, teraz cały świat zaczyna się kołysać, a miły głos śpiewa: „Moje kochanie, moje kochanie...”. Mężczyzna całuje kobietę w policzek. Uśmiechają się. Jakaś

mgielka. Znowu twarz kobiety. Tym razem poważna. Mówi z naciskiem: „Zapamiętaj, nazywasz się Thea Felicitatis. To jest twoje prawdziwe imię”. Szklarka głęboko odetchnęła przez sen. Chamomilla zaczęła wycofywać się z jej umysłu. A więc na tym polega tajemnica. Thea Felicitatis - imię pochodzące ze starożytnego języka Latów. Ten lud, który wyginął tysiące lat temu, pozostawił po sobie piękny język, w którym nadano nazwy wszystkim roślinom i zwierzętom. Chamomilla, jak wszystkie wychowanki, musiała się go nauczyć. I dlatego od razu zorientowała się, co oznacza ukryte imię Szklarki.

21.

- Nie ma niewidzialnych roślin - powtórzył chyba po raz setny Cecil.
- Już to słyszeliśmy. - Ross patrzył na rozpryskujące się w fontannie krople i leniwym ruchem zanurzał rękę w wodzie.
- Cierpliwości, botaniku - odezwał się uspokajająco Scaber. - Przecież obiecali, że nam pokażą, gdzie rośnie. Oczywiście „pokażą”, to nie jest dobre słowo w przypadku czegoś, co jest niewidzialne.
- Siedzieli wokół fontanny. Gospodarze poszli sobie, życząc im miłego dnia i zachęcając do swobodnego poruszania się po Domu Róż, jak nazwali pałac.
- Skoro rosną tu okazy, na widok których odbierało ci rozum ze szczęścia, to czemu nie miałoby być niewidzialnej herbaty? - argumentował Claith.
- Sarotian kroczył nerwowo tam i z powrotem.
- No dobrze. - Stał nad rozciągniętymi leniwie na poduszkach mężczyznami. - Jest jeszcze jedna sprawa. Powinniśmy jakoś zawiadomić załogę statku, że jesteście żywi i powiedzieć im, żeby czekali.
- Nie minęła jeszcze doba. Birn Holman to porządny człowiek, będzie na nas czekał tak długo, jak będzie mógł.
- Marynarze są przesądni. Dojdą do wniosku, że ta wyspa przynosi pecha i czmychną szybciej, niż myślisz.
- Słuchaj, Cecil. - Ross uniósł się na łokciu. - Czy nie mógłbyś na chwilę przestać wymyślać problemy. Ciesz się luksusem albo pospaceruj sobie. Może znajdziesz kolejną fascynującą roślinkę.
- Widzę, Claith, że nie dociera do ciebie fakt, że jesteśmy więźniami.
- Gośćmi, mój drogi. Ci ludzie zachowują się całkiem życzliwie.
- Sparaliżowali nas!
- Były to, jak sądzę, niezbędne środki ostrożności. Może tubylcy nie mają zbyt dobrych doświadczeń z przybyszami.
- Jakimi przybyszami!? Wszyscy, którzy rzekomo odwiedzili wyspę Nut, wypisują niestworzone brednie. Żaden z nich na pewno nie zapuścił się tak daleko jak my. Wątpię, czy z powodu mgły w ogóle odważyli się lądować!
- Jeżeli zamierzacie dalej się kłócić - Scaber bez pośpiechu wstał i rozprostował ramiona - to ja skorzystam z propozycji gospodarzy i pozwiedzam ten uroczy

pałacyk.

Cecil oprzytomniał.

- Myślę, że nie powinniśmy się rozdzielać - powiedział z niepokojem.

- Wróć, nie martw się - rzucił przez ramię Scaber i zaczął wchodzić po schodach wiodących na najniższy krużganek.

Chciał być sam. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak bardzo męczyło go nieustanne przebywanie w towarzystwie innych ludzi. Na statku próbował się izolować w ciasnej i dusznej kajucie, ale cienkie ściany nie zagłuszały tupotu stóp marynarzy, głośnych rozmów, przekleństw i rozkazów. Cały czas czuł wokół siebie intensywną ludzką obecność. Teraz biały marmur poręczy miło chłodził skórę na jego dłoniach. Z góry dziedziniec wyglądał jeszcze bardziej bajkowo. Szmerząca woda, kolorowe poduszki, egzotyczne rośliny... Zupełnie jak ilustracja do starożytnych poematów o miłości. Na piętrze, pozasłaniane kotarami z grubej, białej koronki, znajdowały się przejścia do sąsiednich pomieszczeń lub korytarzy. Zawahał się przed odsunięciem pierwszej zasłony. Czy nie czeka tam na niego jakaś przykra niespodzianka? Przypomniał sobie zachętę Nelli. Nie wydawało mu się, aby staruszka chciała zastawić tu na nich jakąś pułapkę. Zdecydowanym ruchem odgarnął kotarę. Zobaczył szeroko otwarte drzwi, a za nimi nieduży, jasny pokój. Była to prosto umeblowana sypialnia. Łóżko, przy nim stolik nakryty haftowaną serwetą, komoda z lustrem, krzesło i fotel. Przez błękitną zasłonę wiszącą w oknie przesączał się nieco przytłumiony blask słońca. Wyjrzał na zewnątrz. Jak okiem sięgnąć - morze zieleni upstrzonej plamkami kwiatów. Kłębiące się różane krzewy wysyłały ku niemu symfonię słodkich zapachów. Gdzie jest morze? Czy za tymi błękitnawymi wzgórzami na horyzoncie? Odszedł od okna. Pościel kusiała chłodną bielą. Właściwie czemu nie miałby się przespać? Ściągnął buty i położył się w ubraniu. Materac ugiął się pod nim przyjaźnie. Tylko na kilka minut, pomyślał i zamknął oczy.

Śniła mu się cała przeprawa przez wyspę. Najpierw aromatyczna, a zarazem dusząca mgła, strumień, ruiny, podziemny korytarz, tubylcy, różany ogród i marmurowy pałac. Wchodził po białych schodach, które wiodły wcale nie na dziedziniec z fontanną, ale prosto na dach. Jego powierzchnia była płaska, wyłożona różowymi kamiennymi płytami i otoczona balustradą. Na poręczy siedział okrakiem maleńki stary człowieczek, kompletnie łysy.

- Nieźle, nieźle. - Uśmiechnął się do niego, kiwając się jednocześnie w tył i w przód. - Wdrapałeś się aż tutaj, aby uciec przed narzeczoną. Dzielny, dzielny hrabia Sedun.

Zaczął chichotać, a osadzona na chudej szyjce głowa trzęsła się groteskowo. Potem zeskoczył z balustrady i rozłożył szeroko drobne rączki.

- Dobrze trafiłeś! Bardzo dobrze trafiłeś! Oto wyspa uciekinierów! Witamy w naszym gronie!

- Ale ja chcę wrócić! - zaprotestował Scaber.

- Wracać? Och mój drogi, mój drogi... - Staruszek chwycił się za głowę. - Tam

przecież śliczna narzeczona cała we łzach i rodzice zagniewani...

- Pepperia nigdy nie płacze, tylko się złości.

- Och mój drogi, mój drogi... - Głowa człowieczka kołysała się coraz bardziej.

Scaber poczuł, że od tego kołysania robi mu się słabo. Niepostrzeżenie zaczęła wirować podłoga z różowych płyt, a staruszek zaczął skakać na jednej nodze, uważając, żeby nie nastąpić na żadną spoinę. Nagle na jego miejscu pojawiła się Pepperia. Była w białej ślubnej sukni z welonem.

- Nareszcie! - zawołała tryumfalnie, wyciągając ramiona ku Scaberowi.

Chwyciła go za rękę. Rozległy się dźwięki trąb. Nie wiadomo skąd pojawiła się przed nimi grupa kobiet w szmaragdowych szatach.

- Oto ślubny prezent - oznajmiła ta, która stała na czele, i wręczyła mu szklaną kulę.

- To dla mnie - zawołała Pepperia.

Odebrała kulę i spojrzała na nią ze złośliwym uśmieszkiem. Scaber z przerażeniem zauważył, że we wnętrzu kuli siedzi skulona Szklarka. Miała rozpuszczone włosy, które opadały jej żalobnie po obu stronach twarzy. Patrzyła na niego ze smutkiem. Pepperia zaczęła ze śmiechem podrzucać kulę.

- Zostaw! - krzyknął Scaber. - Zrobisz jej krzywdę!

Kula poszybowała wysoko. Pepperia opuściła rękę.

- Zaraz się roztrzaska - powiedziała spokojnie.

Scaber rzucił się na ratunek uwięzionej Szklarce, ale potknął się o wysuniętą nogę Pepperii. Kula z hukiem uderzyła o posadzkę.

- Szklarka!

Obudził się, ciężko dysząc. W pokoju panował mrok. Sceny ze snu wirowały mu w głowie. Ciągle miał przed oczami spadającą kulę z przerażoną Szklarką zamkniętą w jej wnętrzu. Powoli docierało do niego, gdzie się znajduje. Podeszedł do okna i rozsunął zasłony. Noc była jasna. Na niebie migotały tysiące gwiazd, a nad wzgórzami wschodził księżyc. Scaber zacisnął rękę na framudze. Księżyc był różowy, a ciemne plamy na jego powierzchni nie układały się jak zwykle w zarys twarzy. Tworzyły dziwne, do niczego niepodobne esy-floresy. Zaczął gorączkowo szukać na niebie jakichś znajomych gwiazdozbiorów, ale gwiazdy śmiały się z niego, pogrupowane w obce konstelacje. Czuł, że włosy jeżą mu się na karku. Uczucie, które nim zawładnęło, to nie był strach, ale wszechogarniająca panika. Nie śmiał myśleć, co oznacza fakt, że ma nad sobą zupełnie nieznaną niebo. Nie potrafił jednak uciec przed świadomością tego, co wzdragał się przyjąć jego rozum - że wyspa Nut znajduje się w nieokreślonej przestrzeni poza ich światem. Czy Ross już to widział? Wybiegł z pokoju. Dziedziniec tonął w różowawej poświacie. Kolumny podtrzymujące kolejne kondygnacje krużganków lśniły mlecznym blaskiem. Na dole, przy fontannie, zwinięty w kłębek spał Sarotian. Gdzie jest Claith? Nie miał ochoty wędrować po pałacu i przeszukiwać wszystkich pomieszczeń, mając wokół siebie upiorne różowe światło obcego księżyca. Najchętniej skuliłby się w jakimś kącie i czekał, aż ta

noc się skończy. Scaber po raz pierwszy doświadczał tak śmiertelnego przerażenia. Wszystkie inne lęki i strachy, jakie w całym swoim życiu przeżył, były niczym w porównaniu z tym uczuciem wszechogarniającej paniki i bezradności. Claith, gdzie do diabła jesteś?! Rozglądał się wokół i nagle zauważył leżący kilka metrów od niego but. Znajomy but. Pod nim karteczka przyciśnięta obcasem. Scaber pochwycił ją niecierpliwie i w niezwykłym świetle odczytał: Śpię tutaj. RC. Szarpnął koronkową zasłonę i wtargnął do sypialni niemal identycznej jak ta, w której spał.

- Ross! Wstawaj natychmiast! - Potrząsnął śpiącym przyjacielem.

- Toniemy? - zamruczał przez sen Claith.

- Nie, coś znacznie gorszego! - Scaber szarpał Rossa, aż ten usiadł na łóżku i spojrzął na niego zaszokowany.

- Uspokój się. O co chodzi?

- Wyjrzyj przez okno i spójrz na niebo. - Scaber ciężko usiadł na łóżku i ukrył twarz w dłoniach.

Ross wstał i rozsunał zasłony.

- A niech to jasny piorun... - wymamrotał zdumiony. - To robi wrażenie.

- Robi wrażenie?! - wykrzyknął zdławionym głosem Scaber. - Ross! Gdzie my jesteśmy?

- Myślę, że nazwa „inny świat” będzie jak najbardziej adekwatna.

Stoicki spokój Claitha podziałał na niego kojąco. Scaber potwornie bał się podejść do okna, ale przynajmniej przestał drzeć na całym ciele.

- Zaczynam rozumieć, skąd się wzięła awaria wszystkich urządzeń nawigacyjnych. - Ross cofnął się do wnętrza pokoju. - Nie można określić położenia wyspy, która nie istnieje... a raczej istnieje gdzieś... - Wykonał nieokreślony ruch ręką.

- Słyszałeś już kiedyś o czymś takim?

- Ludzie tworzą wiele legend. Niektóre są tak fantastyczne, że wydają się czystym wymysłem, ale kto wie, może dawno temu były prawdą... W tej sytuacji różne sprzeczne ze sobą opisy wyspy Nut mogą być jak najbardziej autentyczne.

Scaber przyglądał się Claithowi, na którego sylwetkę padała upiorna, różowa poświata. Ross nie wyglądał na przestraszonego ani zdruzgotanego. Początkowe zaskoczenie minęło i teraz siedział rozluźniony w fotelu, snując przypuszczenia na temat lokalizacji wyspy.

- Ross, czy ty się nie boisz, że utkniemy tu na zawsze? Pod tym dziwnym niebem i różowym księżycem?

- Szczerze mówiąc, nie miałbym nic przeciwko temu.

- Nie mówisz tego poważnie!

- Jak najzupełniej poważnie. Oczywiście nie mam ochoty siedzieć cały czas w marmurowym pałacu czy różanym ogrodzie, ale jeśli ten nieznan świat sięga gdzieś dalej, poza wyspę, to chętnie bym się z nim zaznajomił.

- A twoja matka?

- Myślę, że ludzie stąd byliby w stanie przesłać jej wiadomość, że żyję i mam się

dobrze. Nie martw się, nie jest samotna. Kilka ulic dalej mieszka jej ukochana młodsza siostra z rodziną. Matka ma więc nawet namiastkę wnuków.

- Dlaczego się nie ożeniłeś, Ross?

- Może dlatego, że nie spotkałem swojej Szklarki, a panny, z którymi mnie swatano, były mdłe jak źle zaparzona herbata. Zresztą, ze względu na mój powszechnie znany tryb życia polegający na przemieszczaniu się z miejsca na miejsce, dość szybko przestałem być pożądaną partią.

Ross znowu podeszedł do okna.

- Miło pomyśleć, że można podróżować dalej niż obejmuje nasz świat - powiedział w rozmarzeniu. - Czytałem kiedyś o ludziach, którzy mogą przechodzić do książek i żyć w opisanej tam rzeczywistości. Nazywają siebie Avenidami. To oczywiście legenda, ale ogromnie mnie wtedy zafascynowała. Miałem jedenaście lat. Siedziałem w bibliotece ojca i przeglądałem grube ilustrowane tomy, wyobrażając sobie, jakby to było znaleźć się nagle wśród tych baśniowych stworów i heraldycznych bestii. I kiedy już jako dorosły, po jednej z pierwszych podróży, zacząłem spisywać swoje wrażenia, zdałem sobie sprawę, że w pewnym sensie realizuję marzenia, którym oddawałem się we wnętrzu biblioteki... Umieściłem siebie w książce.

Scaber stanął obok Claitha. Próbował patrzeć na to obce niebo tak jak on. Raczej z zaciekawieniem niż z obawą.

- Nie mówmy na razie nic Sarotianowi - zaproponował, zerkając nieufnie na różowy księżyc.

- Nie mówmy. Niech w spokoju ducha cieszy się okazami tutejszej flory. I... jeśli nie masz nic przeciwko temu, to chciałbym jeszcze pospać.

Scaber w milczeniu skinął głową i opuścił sypialnię Rossa. Nie widział już, jak Claith wyjmuje swój notes i pośpiesznie szkicuje w nim położenie kilku najbardziej charakterystycznych gwiazdozbiorów. Wróciwszy do swojego pokoju, szczerze zaciągnął zasłony. Mimo wszystko chciał się jakoś odgradzić od zewnętrznego świata. Położył się, ale był zbyt poruszony, żeby zasnąć. Myślał o Rossie. Zazdrościł mu stoickiego spokoju i zimnej krwi, z jaką akceptował wszelkie niespodzianki losu. Czy człowiek rodzi się z takim sposobem przyjmowania tego, co przynosi życie, czy też nabywa go w toku kolejnych przygód i doświadczeń? Ale przecież on sam także wiele podróżował. Były to jednak podróże do znanych miejsc, do malowniczych miast słynących z pięknych pałaców, leczniczych wód i łagodnego klimatu. Można tam było spotkać tych samych ludzi, którzy kręcili się wokół dworu królowej Keweny. Nigdy nie wychylił nosa poza granice cywilizowanego świata. Dopiero niemożliwa do rozwikłania sprawa nieszczęsnego narzeczeństwa pchnęła go do wzięcia udziału w prawdziwej wyprawie. Przez moment zastanawiał się, kiedy Thunberengowie otrzymają jego listy. Od razu niechciana pojawiła mu się przed oczami twarz rozszuszczonej Pepperii. Odpędził ją i próbował wyobrazić sobie Szklarkę. Jak zareaguje na wiadomość, że zerwał zaręczyny? Nie odważył się napisać, że ją kocha. Nie odważyłby się tego nawet powiedzieć. Chciał, żeby wiedziała, że nie

łączą go już żadne zobowiązania. Chyba domyśli się, dlaczego ją o tym zawiadomił. Czy zechce się z nim zobaczyć? Zobaczyć... Przecież nie wiadomo, czy w ogóle zdołają się stąd wydostać. Wcisnął głowę pod poduszkę, żeby ani jeden, promień różowego światła nie dotarł do jego oczu.

22.

Szklarka budziła się. Był bardzo wczesny świt. Szare światło poranka wpadało przez okna i rozjaśniało wnętrze pokoju. Mieszkanie Chamomilli. Czy spędziłam tu całą noc? Miała wrażenie, jakby ktoś przeczesał jej umysł. Coś się stało... Powoli przypominała sobie wydarzenia wczorajszego dnia. Spotkanie z bratem panny Grim. Rozmowa z Chamomillą... Na czym skończyły? Jak to się stało, że zasnęła?

- Dzień dobry. Cieszę się, że już wstajesz. - Usłyszała przyciszony głos Chamomilli. - Za pół godziny zacznę budzić dzieci, lepiej, żebyś do tego czasu była już u siebie.

Szklarka powoli wygrzebywała się spod koców. Odszukała na poduszce spinki i usiłowała jako tako uporządkować potargane włosy. Chamomilla siedziała przy stole i nie spuszczała z niej wzroku. Z całej jej postaci biło jakieś napięcie.

- O co chodzi? - Szklarka stanęła po przeciwnej stronie stołu.

- Usiądź.

Usiadła.

- Dowiedziałam się, jak brzmi twoje prawdziwe imię.

- Co??? - Szklarka szeroko otworzyła oczy. - W jaki sposób?

Chamomilla westchnęła.

- Wybacz, musiałam przeszukać twoją pamięć.

Scaber, pomyślała Szklarka i zalała ją fala gorąca. Zerwała się z krzesła. Nawet nie zastanawiała się nad niezwykłością tego oświadczenia.

- Jak mogłaś! Jak śmiałaś!

- To był jedyny sposób, żeby ci pomóc - powiedziała ze znużeniem Chamomilla. - Nie przyglądałam się dokładnie wszystkiemu, co nosisz we wspomnieniach. Chciałam dotrzeć do chwili, w której nadano ci imię, do samych początków twojego życia - mówiła coraz szybciej, bojąc się, że Szklarka przerwie jej wybuchem złości. - Okazało się to trudne, bo pamięć o tym wydarzeniu chroniona była aż dwiema barierami. Udało się. Widziałam twoją matkę.

- Widziałaś moją matkę? - powtórzyła z zazdrością Szklarka i dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że po raz pierwszy nie czuje złowrogiego dreszczu, który pojawiał się, ilekroć wspominano o jej rodzicach. Niezwykłość tego, co przed chwilą usłyszała, powoli do niej docierała. Było to tak samo nieprawdopodobne, jak istnienie Avenidów. Chamomilla widziała jej matkę. Matkę...

- Jak ona wyglądała?

- Była podobna do ciebie... I bardzo cię kochała.

- Skąd wiesz?

- Ze sposobu, w jaki na ciebie patrzyła, z tonu głosu, jakim wypowiadała twoje imię.

Chamomilla zamilkła.

- No więc jak mam na imię? - Głos Szklarki drżał.

- Thea Felicitatis.

Szklarce cała krew odpłynęła z twarzy.

- Nie żartujesz, prawda?

- Wiesz dobrze, że nie.

- Trudno mi w to uwierzyć. - Zaśmiała się sucho. - Tyle czasu szukałam herbaty szczęścia... i w końcu okazuje się, że to ja nią jestem.

W tym momencie usłyszały jakieś głosy dobiegające z sypialni dziewczynek.

- Budzą się - szepnęła wychowawczynie.

Szklarka założyła szal i płaszcz. Może najlepiej będzie teraz szybko wyjść. Uciec od nagłego zażenowania. Od świadomości, że ktoś zgłębił tajemnice jej życia, do których ona sama nie miała dostępu.

- Dziękuję - powiedziała i podeszła do drzwi.

- Szklarko!

Odwrociła się. Chamomilla podeszła do niej i nagle mocno ją przytuliła.

- Uważaj na siebie.

- Ty też. Zdaje się, że jesteś kimś więcej niż tylko zwykłą wychowawczynią. I oby instruktorki dowiedziały się o tym jak najpóźniej.

Uściskały się raz jeszcze. Potem Szklarka chyłkiem wymknęła się z mieszkania Chamomilli i wyszła na mroźne powietrze poranka. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie pójść teraz do panny Grim i nie sprawdzić, czy nowe imię umożliwi jej przejście do krainy Avenidów. Jednak zrezygnowała z tego pomysłu. Chciała jak najprędzej opuścić Wyspę. Prom ruszał o dziesiątej rano. Bagaże miała spakowane. Powinna pojawić się na śniadaniu i uprzejmie pożegnać instruktorki... a przedtem jeszcze doprowadzić się do porządku po nocy przespanej w ubraniu. Przyszło jej do głowy, że wygląda jak duch, sunąc w ciemnym płaszczu między oszronionymi gałęziami krzewów.

Pokoik był wyziębiony. Drżąc z chłodu, przebrała się w wełnianą suknię w kolorze głębokiej zieleni i rozczesała włosy. Gong. Teraz wstają dziewczęta. Za pół godziny ostatnie śniadanie na Wyspie. Skupiła się na kolejnych czynnościach. Upinanie włosów. Sprawdzenie, czy nic nie zostało w szafie i szafce przy oknie. Rzut oka na zamknięty kufer. Absolutnie nie dopuścić do siebie myśli o Thei Felicitatis. Nie teraz. Miała poczucie, że gdyby zaczęła rozmyślać tutaj, na Wyspie, o swoim prawdziwym imieniu, stałoby się coś strasznego. Może w jakiś sposób dowiedziałyby się o nim instruktorki. A przecież jej matce bardzo zależało na tym, żeby je ukryć. Dlaczego? Musiało to być bardzo ważne. Na kilka najbliższych godzin pozostanie więc dawną Szklarką. Później będzie miała dużo czasu na myślenie. Podczas, śniadania starała się nie patrzeć na Chamomillę. Żuła w skupieniu cienką kromkę chleba posmarowaną borówkowym dżemem.

- Słyszałam, że wyjeżdżasz. - Ita trąciła ją w łokieć.

- Tak. - Szklarka przełknęła kęs kanapki. - Niestety, nie udało mi się znaleźć żadnych informacji o... tej roślinie. Zresztą już pierwszego dnia Cydonia powiedziała mi, że herbata szczęścia nie istnieje. Powinnam jej była od razu uwierzyć.

- Podobno narobiłaś wczoraj trochę zamieszania w pracowni Deleny? - Ita uśmiechnęła się figlarnie.

Główna opiekunka pracowni malarskiej przesłała jej przez stół piorunujące spojrzenie.

- Szkoda, że nie zaszłaś do mnie. Nie przeszkadza mi odrobina inspirującego szaleństwa.

- Nie miałam zamiaru zakłócać toku zajęć. To był odruch... Otworzyć drzwi, wziąć farby i namalować coś przy swoim dawnym stole.

- A więc jednak odczuwasz jakąś nostalgię za naszą Wyspą - odezwała się siedząca po drugiej stronie Szklarki Emocjanda.

- W pracowniach malarskich zawsze czułam się najlepiej i wiążą się z nimi miłe wspomnienia - wyjaśniła chłodno.

- Ja także chętnie bym już wyjechała. - Głos Tadei di Cornaro był tak donośny, że usłyszały go nie tylko instruktorki, ale i wychowanki w najdalszych kątach sali. - Tutejszy klimat jest nie do zniesienia. Myślę, że ma wpływ na sposób postrzegania świata. Zamyka was na możliwość smakowania radości życia. Muszę jednak dokończyć zadanie, jakie mam tu do wykonania. Niestety, potrwać to może jeszcze rok albo dłużej.

- Nie chcemy cię tu trzymać na siłę, droga Tadeo. - Estrella nachyliła się ku niej. Mówiła półgłosem i żadne jej słowo nie było słyszane poza stołem instruktorek. - Myślę, że błędem było nakłanianie cię do przyjazdu.

- Czuję się zobowiązana doprowadzić do końca to, co rozpoczęłam. - Tadea dumnie uniosła głowę. - Poza tym uważam, że powinnyście w końcu skorzystać z mojej sugestii. - Jej spojrzenie powędrowało ku Chamomilli, która właśnie smarowała chleb jakiejś chudziutkiej dziewczynce z warkoczami.

Szklarce przebiegł dreszcz po plecach. Niech nie zrobią jej krzywdy, pomyślała błagalnie.

- Tym problemem zajmiemy się w odpowiednim czasie. - Anid Verda uśmiechnęła się lekko.

Ita dostrzegła nagłą sztywność Szklarki i niepokój, jaki pojawił się na jej twarzy.

- Lubisz Chamomillę - odgadła.

- Odnoszę wrażenie, że jest bardzo dobra dla dzieci.

- Hmm... W pewnym sensie masz rację. Z drugiej jednak strony za bardzo je do siebie przywiązuje. Pomyśl, czy kiedykolwiek biegałaś do jakiejś dorosłej osoby, gdy miałaś problem?

Pokręciła przecząco głową.

- No właśnie. Ty i dziewczęta z wcześniejszych roczników same rozwiązywałyście trudności i przez to szybciej stawałyście się samodzielne.

Teraz dzieciaki będą płakać się w suknię Chamomilli. To nienormalne! Szklarka pomyślała o ośmioletniej dziewczynce, jaką kiedyś była i o tym, jak biegła płakać się na klif.

- Zamierzacie ją stąd wypędzić?

- Nie wiem. - Ita wzruszyła ramionami. - Nie zajmuję się sprawami tego rodzaju. Znam się na malowaniu i sposobach wydobywania indywidualnych cech talentu z każdej z uczennic. O sprawach personalnych decydują Anid Verda, Estrella i Loneray.

Chamomillo! - zawołała w myślach Szklarka. Skoro wychowawczynie była w stanie odkryć jej najdalsze wspomnienia, to może odbierze także ten bezgłośny przekaz. Chamomillo! One chcą cię skrzywdzić! Jeśli cię stąd wypędzą, przyjedź do mnie! Chamomilla ani razu nie spojrzała w jej stronę. Rozmawiała właśnie z jasnowłosą, piegowatą istotką, która nosiła ślady łez na policzkach. Śniadanie miało się ku końcowi. Szklarka podziękowała Estrelli za gościnę i z ulgą odeszła pierwsza od stołu.

Przed pałacem dla gości czekał na nią tragarz, który miał zabrać kufer. Poszła za nim w kierunku przystani. Kiedy już znalazła się na promie, na pomost wbiegła Chamomilla.

- Słyszałam! - krzyknęła. - Nie martw się o mnie!

Szklarka uniosła rękę w pożegnalnym geście. Odetchnęła głęboko. Słone morskie powietrze wypełniło jej płuca oddechem wolności. Brzegi Wyspy Sierot oddalały się z każdą chwilą. Obym już nigdy nie musiała tu wrócić.

CZEŚĆ II

1.

- Nie! - Okrzyk wściekłości zmącił ciszę panującą w oranżerii Thunberengów. Po chwili jedna ze służących usłyszała głuchy łoskot rozbijających się o terakotową posadzkę donic. Nie musiała sprawdzać, co się stało. Panna Pepperia wpadła w furię. Służąca zaczęła się dyskretnie wycofywać w przeciwnym kierunku, ale na swoje nieszczęście natknęła się na marszałka.

- Roberto, co tam się dzieje?

- Nooo... Zdaje się, że panienkę coś wyprowadziło z równowagi - odpowiedziała z ociąganiem.

- Należy więc pójść, zobaczyć, o co chodzi i... posprzątać oranżerię.

Roberta skuliła się ze strachu. Wolałaby stanąć przed stadem rozwścieczonych psów niż przed rozjuszoną dziedziczką rodu Thunberengów.

- Nie bój się, pójdę z tobą. - Marszałek pokiwał głową ze zrozumieniem.

Pepperia Thunbereng miotła się po oranżerii w ataku ślepej furii, niszcząc wszystko, co znalazło się w zasięgu jej wzroku. Deptała wyrzucone z donic egzotyczne okazy roślin, przewracała żardiniery i tłukła porcelanowe wazony. Wejście ojca i służącej nie umknęło jej uwadze.

- Masz! - wrzasnęła, ciskając w stronę marszałka wymiętą kurtkę papieru. - Masz, przeczytaj, co napisał ten twój Scaber, u którym miałeś tak wysokie mniemanie! Mężczyzna rozprostował list.

Droga Pepperio!

Wiem, że ten list może Cię zdenerwować. Właściwie powinienem z Tobą porozmawiać osobiście, ale nie chcę czekać aż do powrotu. Myślałem o naszej przyszłości. O Tobie i o mnie. Nasi rodzice zdecydowali dawno temu o naszych zaręczynach. I nie wątpię, że kierowali się słusznymi pobudkami. Ja jednak nie potrafię żyć według tego, co zaplanowali. Tu, na morzu, zrozumiałem, że zależy mi na małżeństwie z miłości. Oboje zdajemy sobie sprawę, że tego uczucia brakuje w naszym związku. Chciałbym zwrócić Ci wolność, droga Pepperio. Wiem, że nigdy mnie nie kochałaś, więc zraniona będzie raczej Twoja duma aniżeli serce. Nie wątpię, że wkrótce znajdzie się na moje miejsce odpowiedniejszy dla Ciebie mężczyzna.

Pozdrowienia. Scaber.

Marszałek powoli opuścił rękę z listem.

- Nic nie mówisz?! - krzyknęła napastliwie dziewczyna.

Odwrócił się i bez słowa ruszył w stronę biblioteki, będącej jego ulubionym azylem. Był zaskoczony swoją reakcją. Powinien czuć oburzenie, wściekłość...

może pogardę dla niedoszęłego zięcia. Tymczasem w głębi duszy rozumiał młodego Seduna i, o dziwo, nie miał mu za złe jego decyzji. I nie chodziło tu tylko o fakt, że świadom był paskudnego charakteru swojej jedynaczki. Wynikało to raczej z zupełnie niezrozumiałego poczucia więzi i solidarności ze Scaberem. To niesłychane, ale chyba go nawet podziwiał.

I dlatego, ku ogromnemu zdziwieniu rodziców Scabera, żadne wyrazy potępienia i oburzenia ze strony marszałka Thunberenga nie zostały nadesłane. Siedzieli przy stole nakrytym adamaszkowym obrusem, a służba bezszelestnie stawiała przed nimi półmiski z daniami, które wracały do kuchni prawie nietknięte.

- Nie rozumiem mojego syna - powtórzył po raz dziesiąty tego wieczoru Nevic Sedun.

Jego żona pochyliła głowę, żeby ukryć łzy.

- Zszargał honor rodziny! - Pięść ozdobiona pierścieniem z onyksu ciężko uderzyła w stół.

- Marszałek się nie odezwał - szepnęła Valerie Sedun. - Może Pepperia ma kogoś innego?

- Pepperia nie jest głupia! Nasz syn był zbyt dobrą partią! Co on sobie wyobraża! Miał zapewnioną przyszłość. Jego dzieci, będąc dziedzicami połączonych majątków Sedunów i Thunberengów, mogłyby wchodzić w związki z członkami książęcych rodów! Tyle zabiegów i wszystko na nic!

Valerie wołała nie negować słów męża, choć zdawała sobie sprawę, że nie potrzeba było żadnych szczególnych starań, żeby zaręczyć dwoje dzieci. Obie potężne rodziny widziały w tym korzyści dla siebie. W głowie ciągle kołatało się jej pytanie: „dlaczego?”. Przecież Scaber był zawsze posłusznym i dobrym synem...

- Czy uważasz, że powinniśmy wysłać jakiś list do Thunberengów? Jakies przeprasiny? - spytała.

- Nie będziemy się poniżać. - Hrabia nadział na widelec duży płat szynki. - To Scaber powinien błagać o przebaczenie.

2.

Od otrzymania listu minęły dwa tygodnie, a Pepperia wciąż nie mogła ochłonąć. Nie miała też na kim wyładować gniewu, bo zarówno ojciec, jak i cała służba, przezornie schodzili jej z drogi. Wciąż nie mogła zrozumieć - dlaczego?! Jej uporządkowane życie nagle runęło w gruzy. Nienawidziła zmian. Nienawidziła niespodzianek, nawet tych miłych. Kiedyś, gdy była dzieckiem, zaplanowały z Ranią zabawę w księżniczki. Wtedy przyszedł ojciec i powiedział, że ma dla niej prezent. Stajenny przyprowadził pięknego, czarnego kuca. Wybuchnęła płaczem, bo chociaż od dawna chciała mieć własnego konika, to w tej chwili zupełnie się go nie spodziewała i nie wiedziała, co ma zrobić. Czy bawić się z Ranią, czy odbyć pierwszą przejażdżkę wierzchem. Ta rozterka była prawdziwą udręką.

Ojciec stał zdumiony i lekko obrażony, nie rozumiejąc, skąd ten nagły wybuch. Od tej pory jednak o wszelkich prezentach, przyjęciach, wycieczkach i odwiedzinach zawiadamiano Pepperię z co najmniej tygodniowym wyprzedzeniem. Całe jej życie składało się z dopasowanych do siebie elementów, zazębiających się jeden o drugi, a jednym z nich było od dawna zaplanowane małżeństwo ze Scaberm. Dlaczego? Co się stało tam, na morzu, w drodze na jakąś przekłętą wyspę? Co pchnęło Seduna do zerwania zaręczyn? Zaraz... A może coś wydarzyło się wcześniej? Nagły wyjazd. Odroczenie terminu ślubu... Mocno ją to wtedy wytrąciło z równowagi. Kto mógłby wiedzieć? Rannia? Loretta? Terpina? Upokorzenie smagało ją niczym bicz. Czy przyjaciółki już znają jej sytuację? Ojciec niczego nie rozgłaszał. Sedunowie siedzą cicho jak myszy pod miotłą, ale służba... Na pewno plotkują jak najęci i całe miasto już wie. Różne lalunie, które kiedyś zazdrościły jej Seduna, bez wątpienia szaleją teraz z uciechy i obgadują ją bez litości. Och! Tak mocno szarpnęła naszyjnik z pereł, że jedwabna nić pękła i mleczne kulki ze stukotem rozsypały się po posadzce.

- Moje perły! - Rozpłakała się nagle.

Ktoś zastukał do drzwi.

- Panienko Pepperio. - Zalękniona Roberta zajrzała do pokoju.

- Czego chcesz?!

- Przyszła panienska Rannia. Pyta, czy może wejść.

Rannia nie może zobaczyć jej w takim stanie. Pomyśli, że ona, Pepperia, płacze po tym nędznym szcurze Sedunie. Otarła łzy. Lepiej, żeby nikt jej nie odwiedzał. Nie potrzebuje oglądać współczujących twarzy. Chociaż... Można by dyskretnie wypytać Rannię, czy nie słyszała o czymś, co pomogłoby w rozszyfrowaniu przyczyn absurdałnej decyzji Scabera.

- Możesz ją wpuścić.

Rannia wsunęła się ostrożnie. Jej twarz nie wyrażała współczucia. Raczej obawę. Boi się mnie, pomyślała Pepperia.

- Witaj, moja droga - odezwała się z krzywym uśmiechem.

- Nie wątpię, że słyszałaś już piorunującą nowinę i przyszedłaś popatrzeć, jak liżę rany.

Po co ja tu przyszedłam? - zastanawiała się w tym momencie Rannia. Przecież ona nie potrzebuje współczucia, tylko kogoś, na kim mogłaby się wyżyć. Ale... nie do wiary! Ona chyba płakała!

- Tak mi przykro. To okropne, co Scaber ci zrobił. I dlaczego?

Oczy Pepperii rozbłysły.

- No właśnie! Dlaczego! Może ty coś wiesz? - rzuciła napastliwie.

Ona jest szalona.

- Ja? - Rannia zaczęła się cofać w kierunku drzwi. - Co ci przychodzi do głowy? Czemu miałabym cokolwiek wiedzieć?

Pepperia przyskoczyła do niej i chwyciła ją za rękaw.

- Przestań się trząść jak galareta! Nic ci nie zrobię. Usiądź i porozmawiaj ze mną.

- Siłą posadziła ją na sofie. - Nie chcę, żebyś mnie pocieszała ani się nade mną

litowała. Chcę, żebyś pomyślała, co mogło pchnąć Scabera do zerwania zaręczyn. Mogłaś słyszeć jakąś rzuconą w przelocie uwagę. Może Loretta o czymś plotkowała?

Rannia się zastanowiła.

- Ktoś coś mówił, ale to było dawno... Może rok temu, może mniej...

- No myśl! Myśl! - Pepperia zacisnęła pięści.

- Nie mogę tak - jęknęła Rannia. - Patrzysz, jakbyś chciała ze mnie duszę wyssać. To mi nie pomaga w skupieniu.

- Och, daj spokój! - Pepperia zaczęła krążyć po pokoju. - Jak ja go nienawidzę! Taki zawsze uprzejmy! Taki rycerz bez skazy! Nigdy, nigdy nie można mu było nic zarzucić. A tu nagle jeden krótki list. Kompletnie idiotyczny, nawiasem mówiąc, i...

- Masz go?

- Zwariowałaś? Podarłam go na milion kawałków.

- Szkoda. Mogła tam być jakaś wskazówka...

- Nie sądzę. Same bzdury.

- Jakie bzdury?

- No... że nie chce się żenić bez miłości. I że on mnie nie kocha i wie, że ja go nie kocham...

- Czekaj! Allada!

- Co Allada?

- Pamiętasz, jak w zeszłym roku nie mogłaś jechać na obchody urodzin bliźniaków Keweny?

- Pamiętam. Koszmarne przeziębienie w środku lata.

- Scaber tam był.

- Wiem. Sama kazałam mu jechać. Ktoś nas... jak to teraz śmiesznie brzmi - „nas”, musiał reprezentować.

- No właśnie, ciebie nie było, a do niego przykleiła się Allada.

- Chcesz powiedzieć, że to myszowłose straszdyło zabrało mi narzeczonego?!

- Nie przerywaj mi co chwila, bo zgubię wątek. Allada wcale ci go nie zabrała, tylko kręciła się koło niego. Potem opowiadała, że okropnie interesował się pracami nad szklaną wieżą królowej. Ciągle chodził do pracowni, gdzie malowała artystka z Wyspy Sierot - Szklarka. Allada mówiła, że gdyby nie chodziło o wychowankę instruktorek, można by przypuszczać, że Scaber jest zafascynowany tą kobietą. To jednak wydawało się jej kompletnie niemożliwe, zwłaszcza że malarka nie zwracała na nikogo uwagi. Nawet na samą Kewenę. Cały czas zajmowała się pracą.

- Gdzie jest teraz Allada!?

- O tej porze wyjeżdża z rodziną do Ragut-Ebu. Ze względu na zdrowie jej matki rokrocznie spędzają zimę na południu.

- Mogłabyś sprawdzić, czy już pojechali?

- Nawet jeśli jeszcze są w domu, to zapewne się pakują. To nie jest odpowiedni czas na wizyty. Poza tym nie rozumiem, dlaczego to ja mam do nich chodzić.

Możesz wysłać gońca z bilecikiem.

Pepperia rzuciła jej wściekle spojrzenie.

- Dobrze - powiedziała po chwili. - Goniec będzie szybszy. Poproszę Alladę, żeby przyszła do mnie. Ta intrygantka zjawi się tutaj bardzo szybko, gnana pragnieniem ujrzenia porzuconej narzeczonej.

Opuściła blat sekretarzyka, wyjęła z niego arkusik ze złoconymi brzegami i pospiesznie skreśliła kilka słów.

- Nie wychodź - rzuciła rozkazująco w kierunku przyjaciółki i zniknęła za drzwiami.

Rannia wstała z sofy i zaczęła się przechadzać po saloniku zastawionym filigranowymi białymi mebelkami. Nieskazitelne i bezduszne - jak ich właścicielka. Właściwie po co tu przyszedłam? - ponownie zadała sobie to pytanie. Żeby mi rozkazywała? Albo wylewała na mnie złość? Chciałam ją, tylko jakoś wesprzeć. Nie... Nieprawda... Chciałam zobaczyć, jak wygląda Pepperia pokonana i upokorzona. Chyba miałam nadzieję, że przestanie zadzierać nosa. Po co w ogóle utrzymuję z nią kontakty, tworząc pozory przyjaźni? Bo znamy się od dziecka? Bo obracamy się w tych samych kręgach? Bo nasi rodzice dawno temu uznali, że będziemy dla siebie odpowiednimi towarzyszkami zabaw? Ta rzekoma przyjaźń jest takim samym sztucznym l worem jak narzeczeństwo Pepperii i Scabera. Gdybym nie przyszła tu dzisiaj, jutro przy śniadaniu usłyszałabym cierpką uwagę matki, że oczekuje ode mnie, bym nie zaniedbywała towarzyskich obowiązków i podtrzymywała kontakty z Thunberengami. Chyba dopiero małżeństwo wyzwoli mnie od wizyt w tym domu. Małżeństwo... Rannia oparła się czołem o szybę. Ze swoim narzeczoną widziała się dopiero trzy razy. Pochodził z południa kraju. Miał rozległe posiadłości na wzgórzach Reinch i tam spędzał całe życie. Hrabia Limm Gartun. Nawet przystojny. Oczywiście daleko mu do Scabera, ale tacy mężczyźni jak młody Sedun nie trafiają się często. Rannia westchnęła. Limm Gartun był nudny. Nie wiedziała, o czym z nim rozmawiać. Tańczył rozpaczliwie. Jego ruchy nie miały nic wspólnego z rytmem muzyki. A ona kochała taniec! Rodzice wybrali jej dobrą i dostatnią przyszłość, wołałaby jednak uciec od niej na daleką wyspę, tak jak Scaber. Może wcale nie miał innej kobiety? Może przerazili go perspektywa życia z Pepperią u boku?

Trzasnęły drzwi.

- Goniec wysłany! - oznajmiła rześko Pepperią.

- A co ci da obecność Allady?

- Chcę ją dokładnie wypytać, jak to było z tą Szklarką.

- To nie ma sensu! Szklarka jest dziewczyną z Wyspy Sierot.

Nawet gdyby była olśniewająco piękna, nikomu nie przyszłoby do głowy, żeby się z nią żenić. Przecież... - Rannia nie mogła znaleźć innego argumentu, więc tylko powtórzyła - ona jest z Wyspy Sierot.

- Scaber nigdy szczególnie nie interesował się sztuką - wysyczała Pepperia. - Oglądaliśmy prywatną kolekcję obrazów księcia Montiego, byliśmy razem w pawilonie rzeźb markiza Rentiatro... i w wielu innych miejscach. Sama wiesz,

każdy ma u siebie jakieś dzieła sztuki. Wierz mi, nie zauważyłam, żeby Sedun interesował się malarstwem! Skąd więc ta nagła fascynacja wieżą Keweny?

- Może pracownia tej malarki była jedynym miejscem, gdzie mógł bezpiecznie skryć się przed Alladą i podobnymi jej damulkami polującymi na męża? Nawet nie masz pojęcia, jak bardzo oblegany jest Scaber, kiedy ciebie nie ma w pobliżu...

- Myślisz?... - Pepperia rozjaśniła się na chwilę, ale zaraz znowu spochmurniała. - No to dlaczego napisał taki list?!

Może odgradzony od ciebie tysiącami mil oceanu nareszcie poczuł smak wolności i nie chciał go utracić? - pomyślała Rannia.

3.

Allada zjawiała się następnego dnia. Co za nijaka postać, pomyślała z pogardą Pepperia, lustrując gościa od stóp do głów. Przybyła miała jasne włosy nieokreślonego koloru, które nie prezentowały się zbyt dobrze nawet w najmodniejszym uczesaniu, twarz bladą, drobny lisi nosek i wąskie usta.

- Siadaj, proszę - Pepperia zaprosiła Alladę do okrągłego stolika, gdzie stały już filiżanki z parującą herbatą. - Paskudna pogoda na dworze. Wiem, że niedługo wyjeżdżasz. Tym bardziej się cieszę, że miałaś jeszcze chwilkę czasu, żeby tu zajrzeć.

- Słyszałam, co cię spotkało. To naprawdę okropne. - Allada westchnęła z fałszywym współczuciem. - Ten Scaber, taki miły i mądry...

Pepperia zgrzytnęła zębami. Ta dziewucha specjalnie się z nią drażni. Musiała jednak być uprzejma i opanowana. Allada to nie

Rannia. Miała cięty język i niegasnący zapach do roznoszenia plotek podlanych obficie jadowitymi komentarzami.

- No właśnie, sama się zastanawiam, jak taki rozsądny i świadom swoich obowiązków mężczyzna, może się zachować w sposób tak niemądry, zupełnie niepodobny do niego. Rannia podsunęła mi myśl, że to może być sprawka tej Szklarki. Podobno na przyjęciu u królowej Keweny bardzo sobie ze Scaberm przypadli do gustu?

Allada prychnęła.

- Na przyjęciu na pewno nie. Szklarka cały czas siedziała w pracowni na poddaszu i malowała szyby. Jak w transie. One chyba na tej wyspie są specjalnie tresowane, żeby tak pracować od świtu do nocy. Wyobraź sobie, wchodzimy do tej nory zawałonej szkłem i farbami, a ona nawet głowy nie podnosi. Ani „dzień dobry”, ani nic. Tylko suwa tym pędzlem. Na królową w ogóle nie zwraca uwagi.

- Na Scabera też nie?

- Na nikogo, mówię ci przecież.

- Czy jest ładna?

- Hm... Na pewno nie ładniejsza od ciebie... Jest inna...

- To znaczy?

- Jakaś taka surowa... poważna... Włosy ciemne. Oczy... nie zauważyłam. Cały czas była pochylona. Wydaje się nieprzystępna.

- Może właśnie to stanowi o jej atrakcyjności? - Pepperia przygryzła wargę. - Scaber często do niej chodził?

- Od pierwszej wizyty w pracowni, kiedy byliśmy tam w towarzystwie królowej, prawie codziennie.

- Och! - Pepperia wzięła głęboki wdech. - A więc wszystko jasne! Zakochał się w sierocie bez nazwiska. A ponieważ sierota okazała się niedostępną, zimną rybą, udał się na odległą wyspę. Sam nieszczęśliwy postanowił unieszczęśliwić mnie i zerwać zaręczyny. Jakież to żalosne!

- A co ci konkretnie napisał? - Spiczasty nos Allady zdawał się wydłużać z ciekawości.

- Już nie pamiętam - skłamała Pepperia, która tyle razy przeczytała list, zanim go zniszczyła, że każde słowo utrwaliło się w jej głowie ognistymi literami.

- Szkoda. - Allada westchnęła. - A wcześniej przysyłał ci jakieś wiadomości z podróży?

Niech ona już stąd idzie. Nie jest mi dłużej potrzebna. Cieszy się z mojego upokorzenia i zbiera informacje, które będzie mogła przekazać swoim przyjaciółcom. Pepperia zaczęła z uwagą przestawiać porcelanowe figurki stojące na kominku.

- Wybacz, Allado, ale od tego wszystkiego rozboleła mnie głowa - odezwała się sucho. - Chyba lepiej będzie, jak zostanę sama.

Allada poczerwieniała z oburzenia. Poczula się odprawiona jak pierwsza lepsza służąca.

- Oczywiście, jeśli sobie tego życzysz - odparła sztywno.

Głupia, wścibska kura, pomyślała ze złością Pepperia, kiedy za gościem zamknęły się drzwi. Rzuciła się na sofę i utkwiała wzrok w płaskorzeźbach na suficie. A tę Szklarkę jakoś dosięgnę...

4.

Dorożka wjechała w ulicę Cukrową. Śnieg pokrywał grubą warstwą wszystkie dachy, gzymsy i parapety. Wielkie brudnoszare pryzmy leżały po bokach drogi. Szklarka westchnęła. Nareszcie w domu! Nie było jej tak długo. Po opuszczeniu Wyspy Sierot nie miała jeszcze odwagi wracać do normalnego życia i w nagłym impulsive postanowiła pojechać do swojego domku nad morzem. Przesiedziała tam kilka tygodni, nie robiąc w zasadzie nic. Jedną z miejscowych kobiet dbała o rozpalanie ognia w jej kominku i gotowanie posiłków. Szklarka chodziła na długie spacerunki i godzinami patrzyła na wzburzone fale. Czasem brała się za książkę albo szkicowała coś od niechcienia. Pewnego dnia doszła do wniosku, że może się już zmierzyć z rzeczywistością, i zdecydowała się wrócić.

- To tutaj. - Zatrzymała woźnicę, który przyjął zapłatę i postawił kufer przed bramą kamienicy.

Zastukała kołatką i czekała, aż Verka zbiegnie na dół i jej otworzy. Popatrzyła w górę na fasadę domu i zobaczyła, że coś jest nie tak. Okna! Szyby pozbawione były jej witrażowych malowideł. Zaczęła się zastanawiać, czy to aby na pewno jej mieszkanie, gdy drzwi otworzyły się z impetem i wybiegła z nich Verka.

- Och, panno Szklarko! - zaszlochała.

Dziewczyna miała czerwoną, niezagojoną jeszcze szramę na czole.

- Verka! Co się stało? - krzyknęła przestraszona Szklarka. - Albo nie, czekaj, wejdźmy do domu i tam mi wszystko opowiesz.

Wtaszczyły kufer do środka. Było tu miło i przytulnie, jak zawsze. W sieni wyłożonej kamiennymi płytami płonęły lampy osłonięte szklanymi kloszami malowanymi w tulipany. Służąca już się opanowała i ze zdwojoną gorliwością zatroszczyła się o swoją panią. Odwiesiła jej płaszcz i podała suche domowe pantofle.

- Gdzie podać pani herbatę? W salonie czy w pracowni?

- Niech będzie w salonie. I zrób też coś dla siebie. Usiądziesz, napijesz się ze mną i spokojnie opowiesz mi, co się tutaj stało.

Verka pobiegła do kuchni w przekonaniu, że ma najdziwniejszą panią, jaką może mieć służąca. Bo kto to słyszał, żeby pani zapraszała swoją pokojówkę do wspólnego picia herbaty. W salonie!

Nareszcie u siebie! Szklarka z lubością rozsiadła się w fotelu i grzała dłonie o filiżankę z ciemnozłotym płynem. Herbata była taka, jaką lubiła najbardziej - gorąca, słodka, z cytrynową nutą. A do tego czekoladowe ciasteczka z bitą śmietaną. Popatrzyła z uśmiechem na siedzącą na brzeżku krzesła Verkę. Dziewczyna łypnęła na nią okrągłymi, zielonymi oczyma.

- Pani się śmieje, a tu był napad - powiedziała ponuro, odstawiając filiżankę na spodek. - Trzy dni temu wyłtukli w mieszkaniu wszystkie okna od ulicy. Jak usłyszałam brzęk, to pobiegłam zobaczyć, co się dzieje. Ale poleciała na mnie szyba i skaleczyła mnie w czoło. Krew mi się połała na oczy i nic nie widziałam. Więc zaczęłam wrzeszczeć tak głośno, że usłyszeli i pan Gustek, i służący Ronstedów. Zanim wybiegli, to łobuzów już nie było. Pan Gustek wezwał lekarza, żeby mi obejrzał ranę, a potem powiedział, że ktoś się pewnie zawziął na pannę Szklarkę i teraz trzeba uważać. Ale kto? Przecież pani tylko maluje i maluje, a od kilku miesięcy w ogóle pani w domu nie było. Więc jak tylko mi doktor to czoło opatrzył, to zaraz posłałam po szklarza i zaczęłam sprzątać. A tak płakałam nad tymi kwiatami, co pani malowała, a teraz wszystko potłuczone. Dobrze, że nie zniszczyli niczego w środku. Bałam się, że trafili w ten wysoki wazon, co go pani tak lubi, ale na szczęście stoi, jak stał.

- Bardzo byłaś dzielna. - Szklarka poklepała Verkę po ręce. - Cieszę się, że okna są już wstawione. Mamy ciepło i sucho. To najważniejsze. Jeszcze jakieś nowiny?

- Pan Rieze był dwa razy i pytał o panią. Powiedziałam, że pani jest na swojej

wyspie.

- Verko! Prosiłam cię tyle razy, żebyś nie nazywała Wyspy Sierot moją wyspą!

- Och, przepraszam, tak mi się powiedziało. No i są straszne plotki na mieście, bo państwo Lintornowie byli w Brittle na ślubie siostrzenicy pana Lintorna, a z kolei ich pokojówka jest kuzynką Roberty Brag, która służy u marszałka Thunberenga. No i to ona powiedziała, ta Roberta, że hrabia Sedun zerwał zaręczyny z córką marszałka.

- Wrócił? - przerwała jej Szklarka, blednąc gwałtownie.

- Nie, podobno przysłał list. Państwo Sedunowie i marszałek nic nie mówią, ale cała sprawa i tak się rozniosła. - Verka zaczerpnęła powietrza i zakończyła triumfalnie: - Do pani też jest list od pana Scabera. Poznałam, bo na kopercie jest herb Sedunów. Ale ja o tym nikomu nie mówię, bo pani jest dobra, a ja jestem uczciwą służącą i wiem, że pani nie chce, żeby o niej opowiadać. Więc nawet inne służące mnie nie lubią i mówią, że zadzieram nosa...

- Gdzie jest ten list? - wyszeptła słabym głosem Szklarka.

Dziewczyna zerwała się z krzesła i przyniosła kremową kopertę.

- Połóż go na stole.

Verka obrzuciła krótkim spojrzeniem pobladłą twarz swojej pani.

- Ja... pójdę rozpakować kufer i naszykuję kąpiel. Dziękuję za herbatę.

Wycofała się spieszenie. Pracowała tu na tyle długo, że bezbłędnie potrafiła rozpoznać, kiedy panna Szklarka chce zostać sama.

Droga Panno Szklarko!

Wychodzimy ze strefy statków pocztowych, więc będą to moje ostatnie słowa do Pani przed wylądowaniem na wyspie Nut. O ile W ogóle uda nam się tam dotrzeć. Pani list sprawił mi wielką radość. Prawdę mówiąc, nie spodziewałem się, że zechce mi Pani odpowiedzieć. Tu, na środku oceanu, w otaczającym nas bezmiarze fal, Pani słowa trafiały do mnie mocniej, niż gdybym czytał je w kraju, pomiędzy jednym przyjęciem a drugim. Nikt jeszcze nie pisał do mnie w tak osobisty sposób. Dziękuję.

Mogę nie wrócić z tej podróży, mimo to zależy mi na wyjaśnieniu Pani pewnej sprawy. Od dziecka, na mocy porozumienia między naszymi rodzinami, byłem zaręczony z Pepperią Thunbereng. Godzinę temu napisałem do niej list, w którym wyjaśniam, dlaczego nie mogę jej poślubić. Spotkanie z Panią i ta podróż odmieniły mnie. Już nie potrafię wyobrazić sobie życia z kobietą, do której nic nie czuję. Nic kocham Pepperii i nigdy nie kochałem. Jeśli chodzi o jej uczucia, to zerwanie zaręczyn zrani być może jej dumę, ale nie serce.

Wiem, że naraziłem rodzinę na wielkie rozczarowanie i z pewnością ściągam na siebie ogólne potępienie, jestem jednak szczęśliwy, że podjąłem taką decyzję. Po raz pierwszy w życiu czuję się naprawdę wolny.

Zależy mi, żeby Pani o tym wszystkim wiedziała, nawet jeśli nigdy się już nie spotkamy. Noszę jednak w sercu nadzieję, że nasza wyprawa będzie miała szczęśliwy koniec. Kiedy statek powróci do kraju i zawinie do portu w Como,

pragnąłbym zobaczyć się z Panią.
'Z całego serca pozdrawiam. Scaber Sedun

„...Nie kocham Pepperii... pragnąłbym zobaczyć się z Panią...”. Szklarka powoli odłożyła list na drewniany blat stołu. Scaber jest wolny. Scaber chce się z nią spotkać! Poglądziła dłonią kremowy papier i uśmiechnęła się do siebie. Poczula, jak ogarnia ją fala szczęścia. Podbiegła do okna i otworzyła je na oścież. Przez chwilę wdychała mroźne powietrze pachnące śniegiem, świeżym chlebem sprzedawanym w piekarni na końcu ulicy i mokrą końską sierścią. Patrzyła na przechodniów, na powóz, z którego wysiadała właśnie Regina Prett, żona adwokata, na wróble przycupnięte na gzymisie. W kamienicy naprzeciwko uchylły się drzwi i wyjrzał zza nich dozorca. Odruchowo zerknął w górę i uchylił czapki.

- Moje uszanowanie, panno Szklarko. Dobrze, że pani już wróciła.

- Dobry wieczór, panie Sterk - przywitała się wesoło.

- Panna Szklarka widzę w dobrym humorze, nic a nic nie zmartwiona, że jej łobuzy szyby wybili.

- Verka zatroszczyła się o nowe. - Zaśmiała się beztrąsko.

- Dobra z niej dziewczyna. - Dozorca pokiwał głową. - Lepszej służącej to i na końcu świata by pani nie znalazła.

- To prawda. - Szklarka zerknęła na nowiusieńkie, lśniące czystością szyby. Kto to mógł zrobić? Przecież naprawdę nie miała wrogów. Chociaż... była osoba, która miałaby powody, aby jej zaszkodzić. Pepperia. Ale ona nic przecież nie wie o cieniutkiej nici uczucia, która przedzie się między Szklarką a hrabią Sedunem. Niemożliwe, żeby Scaber jej o tym pisał. Jest zbyt... ostrożny. Nagły podmuch wiatru zmroził jej ramiona. Zamknęła okno i wycofała się w głąb pokoju. Zemsta porzuconej narzeczonej wydaje się najbardziej prawdopodobnym wytłumaczeniem napadu na jej dom. Szklarkę powoli opuszczało radosne podniecenie. Przecież dziewczyny z Wyspy nie mogą wychodzić za mąż. A jeśli nawet niektóre to robią... to przecież, gdy pojawia się dziecko... Przypomniała sobie śliczną buzię Ottiny. Na pewno Sorbita, jej matka, robiła wszystko, żeby zatrzymać córeczkę przy sobie. Jednak instruktorki okazały się silniejsze, albo przebieglejsze. A ona sama - Szklarka, a tak naprawdę Thea Felicitatis - też została odebrana rodzicom. Kim była kobieta, która ją urodziła? Co się z nią stało? Umarła? A ojciec? Każdy ma przecież jakiegoś ojca. Dlaczego jej nie bronił? Przeszła do pracowni. Jak dawno nie malowała! Na stole, jak wyrzut sumienia, leżała gruba, okrągła płytką, którą wieki temu przyniósł Rieze. Pokrywała ją warstewka siwego kurzu. Verce nie wolno było dotykać niczego, co znajduje się w pracowni. Widać, że przestrzegala tego zakazu. Szklarka przetała szkło. Trzeba będzie przyznać się do porażki. Przecież nie namaluje autoportretu, mówiąc, że to herbata szczęścia. Opadła na stojący pod ścianą fotel. Poczula się nagle ogromnie zmęczona. Kiedy Verka kilkanaście minut później zajrzała do pracowni, jej pani spała z głową na oparciu fotela.

5.

Słońce wydawało się zwyczajne. Równie palące jak poprzedniego dnia, nie sprawiało wrażenia, że pochodzi z innego świata. Na patio stała porcelanowa waza z owocami i kosz pełen świeżych bułek o lekko pomarańczowym odcieniu. Cecil przemywał twarz w fontannie, masując jednocześnie obolały po spaniu w niewygodnej pozycji kark.

- Zupełnie nie rozumiem, dlaczego uparłeś się spać na ziemi. - Ross przyglądał się przez chwilę botanikowi, po czym wgrzył się w złociste pieczywo. - Na górze są naprawdę wygodne łóżka.

Cecil nie odpowiedział. Z uwagą pochylił się nad stertą owoców i wyciągnął coś, co przypominało różowy banan.

- Wiecie, co to jest?

- Legendarny banan, którego istnienia dotychczas nie udowodniono? - zaryzykował Scaber.

- Nie zgadłeś. To, co trzymam w dłoni, jest owocem kaktusa karau. Podobno jest smaczny, ale wywołuje silne omamy wzrokowe. Spożywany przez plemiona zamieszkujące równinę Gosz. Głównie w celach rytualnych. A ty, Ross, jak widzę nadal trwasz w przekonaniu co do wielkodusznej gościnności tubylców.

Scaber cofnął rękę, którą sięgał po bułki.

- Te są w porządku - uspokoił go Claith, odgryzając kolejny kęs.

- Strąki żaborowca - Cecil zaprezentował kolejny okaz - mają właściwości halucynogenne. Mogą powodować utratę pamięci, zwłaszcza gdy są jedzone przez dłuższy czas.

- To się robi coraz bardziej interesujące. - Ross przyklęknął obok wazy z owocami. - Widzisz tu jeszcze coś ciekawego?

- Orzeszki pica. - Na dłoni Sarotiana zjawilo się kilka jasnozielonych kulek. - Bardzo stymulujące. Najesz się i możesz iść przez pustynię pięć dni i pięć nocy bez snu i odpoczynku. Potem oczywiście padasz jak nieżywy. I czasem nieżywy już pozostajesz. A oto wonna haliba. Smakuje jak kokos i powoduje paraliż.

- Chcieli nas wytruć? - Scaber z niedowierzaniem pokręcił głową.

- Może mieli na celu sprawdzenie moich kompetencji. - Cecil uśmiechnął się ironicznie.

- Jestem głodny - poskarżył się Ross.

- Figi, winogrona i morele nie powinny ci zaszkodzić, oczywiście, jeśli nie są nasączone trucizną.

Śniadanie nie przebiegało w beztrudnej atmosferze. Przeżuwali w milczeniu soczyste owoce, podświadomie oczekując niespodziewanych efektów.

- Co robimy dalej? - rzucił pytanie Cecil, ocierając usta.

- Jeśli chodzi o mnie - odpowiedział natychmiast Claith - chętnie poznałbym wyspę i jej mieszkańców. Niezależnie od tego, czy chcą nas otruć, czy nie. A ty,

Scaber?

- Chciałbym zdobyć herbatę szczęścia i wracać.

- Jestem tego samego zdania - przyłączył się botanik. - Chociaż nie ukrywam, że bardziej dogłębne przestudiowanie tutejszej flory jest nie lada pokusą.

- Dwa do jednego - skwitował Ross. - Wobec tego trzeba dogadać się z tubylcami, żeby nam pokazali, gdzie rośnie ta rzekomo niewidzialna roślina, zabrać kilka egzemplarzy i spróbować się stąd wydostać.

Scaberowi przyszło nagle na myśl, że przed opuszczeniem wyspy chciałby porozmawiać z Nellą i dowiedzieć się, dlaczego opuściła męża i co się stało z ich dzieckiem.

Zbliżało się południe. Nikt ze spotkanych wczoraj mieszkańców wyspy nie pojawił się w pałacu. Znudzeni mężczyźni snuli się po całym budynku, zaglądając do podobnie umeblowanych pokoi i wyglądając przez okna na rozciągający się poniżej ogród. Ross oparty o balustradę tarasu obiegającego pałac na wysokości drugiego piętra, uzupełniał notatki w swoim dzienniku. Cecil robił spis rzadkich roślin rosnących na patio, wzbogacając go szczegółowymi rysunkami. Scaber postanowił jeszcze raz przejść się po pokojach. Nie wiedział dokładnie po co. Podświadomie oczekiwał, że natknie się na jakiś przedmiot, napis czy obraz, które powiedziałyby mu cokolwiek na temat wyspy. Pomieszczenia wyglądały świeżo, nieskazitelnie i bezosobowo. Żadnych książek, listów, zapomnianych notatek, porzuconych chusteczek czy zostawionych portfeli. Czy ktokolwiek tu mieszkał poza nimi? Uważnie oglądał wyposażenie. Proste meble zrobione były bardzo solidnie. Niektóre ozdobiono finezyjnymi płaskorzeźbami, wśród których przeważały motywy roślinne. Zasłony i pościel pokryto bogatymi haftami. Wykonanie tego wszystkiego musiało zająć całe lata. W jednym z pokoi natknął się na haftowany obraz. Był to pejzaż miejski - perspektywa ulicy, rząd kamienic i postać mężczyzny wychylającego się z okna.

- Ross! Ross, chodź tu natychmiast!

- Co znowu? - Claithe przybiegł. Palcem zaznaczał stronę, na której przerwał pisanie.

- Ten człowiek na obrazie... Jest bardzo podobny do ciebie, nie uważasz?

Ross przez dłuższy czas przyglądał się rozpiętemu na ścianie haftowi.

- To mój ojciec... i nasz dom - powiedział w końcu.

- Dzieło Nelli?

- Na to wygląda. Ciekawe, czy wisiało tu już wcześniej, czy ktoś je zawiesił po naszym przybyciu. - Ross zmarszczył brwi. - Zagadki się mnożą. Paraliż na dzień dobry, luksusowy pałac, a potem szczególny wybór owoców na śniadanie... Właściwie skąd się wzięły? Cecil był cały czas na dole i nie słyszał, żeby ktoś wchodził. Obudził się i jedzenie już na nas czekało. Teraz ten obraz... I nie ma nikogo, kto mógłby nam co nieco wyjaśnić.

- Może gospodarze przyjdą później, sprawdzić, czy jeszcze żyjemy?

- A gdybyśmy tak przestali na nich czekać?

- Co masz na myśli?
- Moglibyśmy sami przejść się po wyspie.
- Cecil się nie zgodzi.
- A ty?

Scaber wzruszył ramionami.

- Wolę coś zrobić, niż siedzieć tu beczynnienie.

Botanik rzeczywiście nie był zachwycony pomysłem. Przyznał jednak, że jego także męczy bierne oczekiwanie na jakiś ruch ze strony tubylców. Zapakowali pozostałe ze śniadania bułki i te owoce, które nie budziły ich wątpliwości. Opuścili chłodne patio i wyszli na zewnątrz, zanurzając się w dusznym powietrzu przesyconym zapachem róż.

- Nie ma chyba sensu iść do furtki, przez którą weszliśmy wczoraj - stwierdził Claith. - Z tego, co widzieliśmy, zamykana jest skomplikowanym systemem pokręteł. Poza tym wiadomo, co znajduje się za nią - kręta ścieżyna w dżungli. Chyba nie tam należy szukać herbaty szczęścia.

- Nie bardzo wiem, jak mielibyśmy sami znaleźć coś, czego nie widać - mruknął pod nosem Scaber.

- Trzeba odszukać jakichś ludzi. - Orzechowe oczy Rossa błysnęły entuzjazmem.

- Wszystko jedno, czy to będzie Nella i jej towarzysze, czy ktoś inny. Spróbujemy wyciągnąć od nich potrzebne informacje.

- Dziwi mnie twój optymizm. - Cecil sceptycznie uniósł jasne brwi, które na tle spalonej skóry wydawały się zupełnie białe. - Specyficznie dobrane menu nie ostudziło jak widać twojego zapału do poznawania się z tutejszą ludnością.

- Ciebie fascynują rośliny, mnie - osoby - odpowiedział krótko Claith. - Czy mamy zresztą jakieś inne wyjście?

Wybrali jedną z wysypanych drobnymi kamykami drózek przecinających różany ogród.

- Ktoś dba o te krzewy - zauważył botanik. - Widać, że są regularnie przycinane. A odmiany! Jest ich więcej, niż namalowano na pałacyku księżnej Morgenrose.

Scaber drgnął. Ross zerknął na niego i uśmiechnął się nieznacznie. Przeszli kilkaset metrów i ścieżka raptownie się skończyła. Przed nimi pochylały się obciążone ciemnoróżowymi kwiatami pędy.

- Musimy się cofnąć do ostatniego rozwidlenia i wybrać inną drogę - powiedział Cecil.

- Poczekaj - wstrzymał go Ross. - Każda ścieżka musi dokądś prowadzić. Dlaczego ta urywa się tak nagle?

- Może to po prostu dojście dla ogrodnika?

- Może... - Claith nie wydawał się przekonany.

- Tak czy inaczej musimy zawrócić. - Scaber wycofał się pierwszy.

Po kilku minutach stanął przy dwóch odchodzących w bok ścieżkach.

- Którą wybieramy?

- Żadną - uciał krótko Ross. - Wracamy do pałacu.

Spojrzeni na niego ze zdumieniem.

- Dlaczego?

- Dlatego, że znaleźliśmy się w labiryncie. Cały czas się zastanawiałem, z czym kojarzy mi się ten układ alejek. Teraz wiem.

- O ile wiem, labirynty składają się z krętych przejść, a my szliśmy cały czas prosto.

- Są różne rodzaje labiryntów - potwierdził Cecil. - Ross ma rację. Wracajmy. Scaber nie potrafił ukryć rozczarowania.

- Nie mam ochoty siedzieć i czekać, aż Nella i cała reszta łaskawie przyjdą się nami zająć. - Kopnął kamyki na ścieżce.

Ross przysiadł pod rozłożystym krzewem, który dawał najwięcej cienia, i wyciągnął manierkę z wodą.

- Napijmy się. To słońce jest coraz straszliwsze.

Miał rację. W różanych alejkach wisiało gorące, ciężkie powietrze. Słońce paliło nieubłaganie. Mieli poczucie zamknięcia w rozżarzonej, nasyconej słodkim aromatem klatce. Wypili po łyku ciepłej wody. Pałac z szemrzącą fontanną stał się nagle upragnionym schronieniem. Ruszyli od razu dość szybkim marszem, spodziewając się za kilka minut ujrzeć marmurową fasadę pałacu. Upał sprawiał, że ogród wydawał się nie mieć końca.

- Zwolnijcie - nakazał Ross. - Nie możemy tak pędzić, bo za chwilę dostaniemy udaru.

- Coś ty się zrobił taki ostrożny? - zadrwił Cecil. - Za chwilę wcale nie dostaniemy udaru, tylko wsadzimy głowy do fontanny i będziemy się chłodzić przez resztę dnia.

- Nie bądź taki pewien.

- Sądzisz, że zgubiliśmy drogę? - zaniepokoił się Scaber. - Przecież nigdzie nie zbaczaliśmy!

Ross usiadł na kamykach.

- Trzeba odpocząć i zastanowić się, co dalej - powiedział sucho.

Cecil nie protestował. On także zdał sobie nagle sprawę, że w tym tempie powinni już dawno dotrzeć do pałacu. W milczeniu wyjęli bułki i ciepłe, lepiące się od soku owoce.

- Żałuję, że nie przyjrzałem się lepiej temu ogrodowi z wysokości tarasu - powiedział z goryczą Scaber.

- Ja patrzyłem dość uważnie, ale widziałem tylko morze róż. - Ross podparł pięścią brodę. - Z góry ogród wydawał się podejrzanie jednolity. Nie było widać żadnych alejek.

- Krzewy są wysokie i ścieżki najczęściej biegną pod gałęziami - próbował znaleźć wytłumaczenie Cecil.

Claith pokręcił głową.

- Mimo wszystko powinny być w jakimś stopniu zauważalne.

- Chwileczkę! - Scaber poderwał się na nogi tak gwałtownie, że aż zakręciło mu się w głowie. - Przecież pałac musi być niedaleko. Cecil, stań mi na ramionach i

wyrzyj ponad te przeklęte kwiaty. Będziemy przynajmniej wiedzieli, w jakim iść kierunku.

Scaber ugiął nogi, żeby botanik mógł się wywindować w górę.

- Ico?

Cecil zrobił z dłoni daszek nad oczami i rozglądał się na wszystkie strony.

- Długo jeszcze? - niecierpliwił się Scaber, któremu pot grubymi kroplami spływał po szyi.

Botanik zsunął się na ziemię. Jego ponure spojrzenie nie wróżyło niczego dobrego.

- Jak okiem sięgnąć równina porośnięta różami - powiedział.

- To niemożliwe! - wykrzyknął Scaber. - Z tarasu ogród wcale nie wydawał się tak rozległy. Wyraźnie widać było niedalekie wzgórze i pasmo dzungli.

Czuł, jak ogarnia go rozdrażnienie. Miał dość wyspy i jej zagadek.

- Przepraszam was - odezwał się cicho Ross. - Byłem potwornie nieostrożny. To nie jest zwykła wyspa. Nasze nocne obserwacje - zerknął w kierunku Seduna - powinny mnie ostrzec, a ja namówiłem was do opuszczenia bezpiecznego schronienia.

- Jakie nocne obserwacje? - zaciekał się Cecil.

Opowiedzieli mu. Ross był przygnębiony. Mimo że oficjalnie botanik był kierownikiem wyprawy, to on, mając największe doświadczenie w podróżowaniu, czuł się odpowiedzialny za bezpieczeństwo członków ekspedycji. Powinien przewidzieć...

- Ile mamy wody? - spytał.

- Wypiłem wszystko, sądząc, że niebawem będziemy przy fontannie - wyznał ze skruchą Scaber.

- Cecil?

- To samo.

- Weźcie po łyku ode mnie. Niestety, to resztką z dna.

Byli tak spragnieni, że nie protestowali. Patrzyli w otępieniu na otaczające ich kolczaste łądygi. Dalszy marsz wydawał się pozbawiony sensu. Zużyliby tylko resztki sił. Niebo było aż białe od upału. Cień, jaki rzucały różane krzewy, dawał niewielką ochronę. Słońce powoli przesunęło się po niebie. Siedzieli w półsennym odrętwieniu, marząc o łyku jakiegokolwiek płynu.

- Muszą kiedyś podlewać te kwiaty, prawda? - wychrypiął Scaber, oblizując spieczoną wargę.

- Może w nocy spadnie deszcz - wymamrota! Cecil, przymykając oczy.

- Powiedz, Ross, przeżyłeś kiedyś coś takiego? Umierałeś z pragnienia w różanym ogrodzie?

- Umierałem na pustyni Helin-Gar, ale wtedy wiedziałem, że muszę dotrzeć do oazy Garderów. Stykałem się z niebezpiecznymi ludźmi i musiałem z nimi walczyć albo pertraktować... - Westchnął przeciągle. - To miejsce jest inne... zaskakuje. Wszystkie moje doświadczenia wydają się nieprzydatne.

- Może tubylcy nas znajdą i odprowadzą do domu, jakbyśmy byli niesfornymi

dziećmi - odezwał się z niewesołym uśmiechem Scaber.

- Mam nadzieję, że tak - mruknął Ross.

- Oby prędko. - Cecil wcisnął się pod najgęstszy krzak, żeby chronić poparzoną słońcem skórę.

- Na ich miejscu uznałbym, że intruzom przyda się nauczka. Skoro zamiast czekać grzecznie w luksusowych apartamentach, wolą wybierać się na odkrywcze wyprawy, to niech trochę pocierpią... - Claith nie mógł sobie darować lekkomyślności.

Scaberowi wydawało się, że za chwilę oszaleje z pragnienia.

- Cecil, przyjrzyj się tym różom, może nie są trujące. Ich płatki na pewno zawierają wodę. Moglibyśmy je ssać...

Sarotian pochylił ku sobie jeden z pełnych cytrynowożółtych kwiatów. Rozchylił płatki, dotknął kolców na łodydze i pokręcił przecząco głową.

- Nie spotkałem nigdy takiej odmiany. Sądząc po tym, co nas spotkało, nie brałbym niczego, co rośnie w tym ogrodzie, do ust.

- A te różowe? - Scaber nie dawał za wygraną. - Wyglądają znajomo. Takie same rosną przy drogach w okręgu Turr.

- Daj spokój. - Ross chwycił go za ramię. - Te rośliny mogą być trujące. Radzę, żebyśmy spróbowali po prostu się przespać. Szybciej minie nam czas pozostały do zmroku. Wtedy nie będzie takiego upału i może zdołamy coś sensownego wymyślić.

Wyciągnął się na skraju ścieżki i przymknął oczy. Scaber poszedł w jego ślady, próbując znaleźć najbardziej ocienione miejsce. Nie mógł zasnąć. Próbował myśleć o Szklarce. Jej twarz gdzieś mu umykała i czuł tylko narastającą frustrację oraz wściekłość. To śmieszne i upokarzające - utknąć na równinie porośniętej ozdobnymi krzewami i czekać na wybawienie ze strony tubylców. Usiadł. Złość sprawiła, że na chwilę zapomniał nawet o dręczącym pragnieniu.

- Nie mogę tu tkwić - warknął. - Idę zobaczyć, co jest dalej.

- Stracisz tylko siły - sprzeciwił się Cecil.

- Niech idzie. - Ross otworzył jedno oko. - Bezczytność bardziej go wyczerpuje niż wędrówka. Też kiedyś taki byłem. Ale... Scaber, w mojej torbie znajdziesz kłębek mocnego sznurka. Przywiąż do tego krzaka jeden koniec. To da ci możliwość powrotu, gdy znudzi ci się oglądanie okolicy.

Scaber pochylił się nad sfatygowaną skórzaną torbą Claitha. Sznurek, porządnie zwinięty, leżał prawie na wierzchu. Było tam też wiele innych interesujących przedmiotów: dwa składane noże, dłuto, szeroki pas ze skóry, płócienny woreczek wypchany nieznaną zawartością, kompas, czarna, jedwabna chusta, luźno zwinięty miedziany drut...

- Może zakończyłbyś już te oględziny - odezwał się wyraźnie zirytowany Ross.

- Przepraszam. - Scaber szybko zamknął torbę. - Po co ci czarna chusta?

- Kiedyś na pustyni, podczas burzy, żałowałem, że nie mam czym obwiązać ust i nosa, żeby osłonić je przed wciskającym się wszędzie piaskiem. Dołączyłem więc chustę do mojego stałego ekwipunku.

- Rozumiem. - Scaber zacisnął gruby węzeł wokół zdrewniałego pędu. - Do zobaczenia.

Skierował się tam, gdzie, jak mu się wydawało, mógł być pałac. Upał był nie do wytrzymania. Po kilku krokach jego ubranie przesiąkło potem. Kłębek sznurka nie był duży. Kiedy odwinie się do końca, wróć i spróbuję pójść w inną stronę. Jeszcze kilka kroków i musiał stanąć. Krzewy były zbyt wysokie, żeby mógł się rozejrzeć po okolicy. Ich pędy wydawały się jednak na tyle grube, że powinny utrzymać jego ciężar. Postawił nogę w rozwidleniu gałęzi. Oparł się na niej całym ciężarem i wywindował się w górę. Jego głowa znalazła się kilkanaście centymetrów powyżej poziomu roślin. Coś majaczyło na horyzoncie. Zarys białej budowli drżał w gorącym powietrzu. Znajdował się co prawda zupełnie gdzie indziej, niż powinien, ale to wydawało się najmniejszym problemem. Scaber próbował wspiąć się jeszcze wyżej, ale pęd złamał się pod jego ciężarem. Dla zachowania równowagi chwycił najbliższą łodygę i natychmiast cofnął pokłutą dłoń. Przenikliwy syk przeszył powietrze. Rozejrzał się przestraszony, ale nie dostrzegł nikogo i niczego, co mogłoby wydać taki odgłos. Niespodziewanie zrobiło mu się słabo. Przysiadł ciężko na ziemi. Czuł pulsowanie krwi w uszach. Cały czas ścisnął koniec sznurka, dzięki któremu mógł wrócić do przyjaciół. Wziął kilka głębokich oddechów, po czym podniósł się z trudem. Woń róż stała się tak silna, że powodowała zawroty głowy. Łodyga, którą złamał, zahaczyła o nogawkę spodni. Oderwał kolce od materiału i zaczął iść. Jakaś obciążona kwiatami gałązka uderzyła go w twarz. Rękawem koszuli znów niechcący wplątał się w ciernie. Odwrócił się, żeby uwolnić rękę i w tym momencie jeden z górnych giętkich pędów wplątał mu się we włosy. Szamotał się z nim przez chwilę. Strumyczki potu ściekały mu po plecach. One się mszczą, pomyślał z niedowierzaniem, kiedy kolejna łodyga przejechała mu po przedramieniu, zostawiając na skórze krwawe zadrapania. Kwiaty nie mogą się mścić... Ale jak to możliwe, że się poruszają, skoro nie ma wiatru?... Szarpał się, nie zważając na ból. Powrotna droga była koszmarem. Grube, najeżone kolcami gałęzie nachylały się nad ścieżką, zagradzając przejście. Górne łodygi raz po raz wplątywały mu się we włosy.

- Przepraszam! - wrzasnął. - To było niechcący!

Ja wariuję. Przemawiam do roślin.

Kwiaty pozostawały obojętne na jego wołania. Szedł z trudem, w coraz bardziej poszarpanym ubraniu, centymetr po centymetrze nawijając sznurek. Zadrapania piekły, z niektórych sączyła się krew. Czasami jakiś cień zahaczał o istniejącą już ranę. Nie mógł wtedy powstrzymać okrzyku bólu. W pewnym momencie, z niewiadomego powodu, róże przestały atakować. Odetchnął z ulgą i zaczął iść szybciej. Szedł... i szedł... i szedł... Kłębek sznurka robił się coraz większy. Prawdę mówiąc był już znacznie większy niż ten wyjęty z torby Claita. Prawie nie mieścił się w dłoni. Scaber przystanął.

- Ross! Cecil! Słyszycie mnie?!

Cisza. Przejmująca, głucha cisza. I ten upał. Jak strasznie chce mi się pić...

Szklarko, przykro mi. Pragnąłem wrócić jak najszybciej do domu ze względu na ciebie. Malowałabyś szyby w naszej oranżerii... Nie wiesz, że zamek Versathis ma oranżerię. Pokazałbym ci widok, jaki się roztacza z najwyższej wieży. Ruiny starożytnego miasta Heng porośnięte bluszczem i kapryfolium... Och, Szklarko, los nie pozwala nam się spotkać ponownie. Już nigdy się nie dowiem... Ocknął się pod wpływem strumienia zimnej wody lejącej się mu na twarz. Woda! Otworzył oczy. Różowa tarcza księżycy zdawała się wisieć wprost nad jego głową. Cały ogród spowity był nieziemską poświatą. Gdzie ta woda? Znowu silna struga zmoczyła mu czoło i oczy. Usiadł i rozejrzał się uważnie. A więc to tak! Spod ziemi wystawały co kilka metrów małe rurki i to z nich w regularnych odstępach czasu wytryskiwały przejrzyste strumyki. Położył się na brzuchu i zaczął pić. Co za paskudny smak! Przemógł się jednak. Od tak dawna nie miał w ustach kropli płynu. Pił, krzywiąc się z obrzydzenia. Nie obchodziło go, czy woda jest zatruta, czy nie. W ogóle nic go nie obchodziło... różowy księżyc, różana równina, wielki kłęb sznurka leżący obok... Otarł usta i objął rękoma kolana. Albo mnie lii znajdą, albo umrę z głodu. Śmierć z pragnienia nie jest mi nu szczęście pisana. Położył się na środku ścieżki i zamknął oczy. Sen skróci czas oczekiwania.

- Co się z nim stało? Chyba musimy iść dalej.

Daj spokój, Cecil, zobacz, ile już sznurka nawinęliśmy. Jest go dwa razy więcej niż na początku. Coś tu się dzieje z przedmiotami i z całą przestrzenią... Nie ma sensu dłużej szukać.

Scaber leniwie słuchał prowadzonego gdzieś niedaleko dialogu. Dopiero po dłuższej chwili dotarło do niego, że to nie sen ani wytwór zmęczonej wyobraźni. Poderwał się na nogi.

- Ross? Cecil! - wrzasnął ochryple.

- Scaber! Gdzie jesteś?

- Tu gdzie wy! Wśród przeklętych kolczastych krzaków! Jak, do licha, mam podać swoje położenie?

- Pociągnij za sznurek!

Scaber podniósł kłębek i szarpnął.

- Nic nie poczułem! - krzyknął gdzieś spomiędzy kwiatów Claith. - Spróbuj nawijać! I odzywaj się co jakiś czas, żebyśmy mogli sprawdzić, czy nie oddalasz się od nas.

- Idę... idę... - powtarzał monotonnie Scaber, podążając za sznurkiem.

W końcu ich zobaczył. Wyłonili się zza zakrętu, ale było coś tak dziwnego w ich wyglądzie, że stanął jak wryty.

- Wyglądacie... śmiesznie - stwierdził.

Cecil uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Szkoda, że nie masz lustra. Założę się, że piłeś wodę, którą podlewają tutaj róże. Wstrętna, co? Zaprawili ją jakimś nawozem, który jak widać działa nie tylko na rośliny.

- Chcecie powiedzieć, że ja też mam takie włosy i...

- I paznokcie i rzęsy - dokończył Ross.

Scaber spojrzął na swoje ręce. Paznokcie miały zielonkawo obwódki, na kciukach powyrastały maleńkie listki. Dotknął włosów. Dopiero teraz zauważył, że urosły. Przybliżył do oczu końcówki, które pozieleniały i skręciły się jak czepne pędy winorośli.

- Kolejny żart naszych uroczych gospodarzy? - spytał kwaśno.

- Albo po prostu specyficzne właściwości wyspy. Coraz bardziej mi się tu podoba. - Claith z zadowoleniem popatrzył na kłęb sznurka w dłoni Scabera i porównał go ze swoim. - Widzę, że szukałeś nas co najmniej tak długo, jak my ciebie.

- Oprócz tego stoczyłem krwawą bitwę z różami. - Scaber pokazał zadrapania i opowiedział swoją historię.

Ross potarł ręką pozieleniałą brodę.

- Powinniśmy znów się rozejrzeć. Cecil, wejdź mi na plecy i zorientuj się, czy widać jakąś zmianę w krajobrazie.

- Jest pałac! Całkiem niedaleko! - wskazał ręką kierunek.

- Mam wątpliwości, czy jakaś ścieżka będzie wiodła w tę stronę. - Scaber pełen był sceptycyzmu. Na wszelki wypadek wołał nie oczekiwać niczego dobrego.

Wbrew jego przewidywaniom dotarli do pałacu dość szybko. W świetle księżycy ściany, schody i wieże mieniły się perłoworóżowym blaskiem. Szum fontanny był jak najpiękniejsza muzyka. Na ich widok śpiący na patio kolorowy ptak otworzył oczy i zaczął śpiewać.

- Jedzenie! - ucieszył się Ross, widząc wazę napełnioną świeżymi owocami i nową porcję bułeczek.

Nawet nie chciało im się myśleć kto, kiedy i w jaki sposób dostarczył to wszystko. Wygłodniali rzucili się na pożywienie. Stanowimy malowniczą grupę - ironizował w duchu Scaber. Trzech zarośniętych chłopów z włosami koloru młodej trawy i z liśćmi wyrastającymi spod paznokci.

- Cecil, do jakiego typu roślin się zaliczamy? - spytał, przyglądając się listkowi dziwnego kształtu, wyprodukowanemu przez serdeczny palec swojej lewej ręki.

- Myślę, że każdy z nas jest nowym, jeszcze nieodkrytym gatunkiem miejscowej flory - odpowiedział z udaną powagą botanik.

- Wobec tego ruszam zapuścić korzenie w pościeli. - Ross przeciągnął się i poszedł na górę.

- Idę w twoje ślady. - Scaber również wstał i ciężko wzdychając, udał się do swojej sypialni.

Następnego dnia żaden z nich nie miał ochoty na odkrywcze wyprawy po okolicy. Bez zdziwienia przyjęli obecność świeżych bułek. Cecil sprawnie oddzielił wszystkie budzące wątpliwość owoce. Zaraz po śniadaniu Scaber ogłosił, że wybiera się na poszukiwanie jakiegoś ubrania. Jego koszula i spodnie były w strzępach. Wyglądał jak zielonowłosy żebrak.

- Dałbym wiele za nożyce. - Ross szarpnął pokrywające jego głowę zielonkawę kudły. - Pocę się pod taką masą włosów.

Obaj poszli myszkować na górne piętra, podczas gdy Cecil pracowicie rysował to, co wyrastało mu spod paznokci.

- Oczywiście nikt mi nie uwierzy - mrucał do siebie - ale mniejsza z tym.

Łyknął trochę wody z fontanny i pracował aż do chwili, gdy Ross gromkim głosem zawołał do niego z galerii drugiego piętra.

- Cecil! Jak ci się to podoba?

Sarotian popatrzył w górę i oniemiał. Obok Claitha stał Scaber w jasnobłękitnych spodniach i o ton ciemniejszej koszuli haftowanej w złote ptaki.

- Chodź, znaleźliśmy garderobę. Możesz zrzucić stare ciuchy i przez chwilę poczuć się jak księżę!

Nie dał się długo namawiać. Chodzenie w brudnym, przesiąkniętym potem ubraniu nie należało do przyjemności. Pomieszczenie, które odkryli Scaber z Claithem, mieściło w sobie stopy koszul, spodni, kamizelek, płaszczy, różnego fasonu kapeluszy i innych części męskiej garderoby. Rzecz ciekawa, nie było tu żadnych strojów damskich. Cecil wybrał sobie ubiór utrzymany w odcieniach zieleni.

- A ty, Ross? Nie przebierasz się?

- W tych jaskrawych szmatkach czułbym się jak karnawałowy przebieraniec.

- A nie masz wrażenia, że znaleźliśmy się właśnie w środku jakiegoś karnawału?

- spytał Scaber. - Albo sztuki komicznej, w której obsadzono nas bez naszej wiedzy?

- Nawet jeśli w ten sposób interpretować rzeczywistość - odparł Claith - to do mojej roli nie ma kostiumu.

- A to? - Cecil wyciągnął z jakiegoś kąta czarne, pozbawione ozdób spodnie, cienką czarną koszulę i kamizelę z ciemnego szorstkiego materiału.

- Zgoda, w tym nie będę się czuł głupio. - Ross uśmiechnął się półgębkiem, biorąc ubranie.

Byli jeszcze ciągle w garderobie, kiedy ptak Iricea caracea rozspiewał się radośnie, wypełniając przenikliwymi trelami cały pałac.

- Oho, tubylcy raczyli się w końcu pokazać - mruknął Ross, naciągając spodnie.

Na dole siedziała jednak tylko Nella. Na ich widok uśmiechnęła się promiennie. Jadła odrzucony przez Cecila owoc haliby.

- Mówiłeś, że to powoduje omamy wzrokowe? - spytał półgłosem Scaber.

- Nie, paraliż - odpowiedział równie cicho botanik.

- Nella nie wydaje się sparaliżowana.

Schodzili powoli, patrząc nieufnie na staruszkę. Ta zaś nieoczekiwanie zachichotała.

- Widzę, że piliście panowie eliksir wzrostu, którym podlewamy nasze rośliny.

Zupełnie zapomnieli o swoich zielonych włosach. Scaber skrzywił się niechętnie.

- Mimo to wyglądacie bardzo elegancko - ciągnęła swobodnym tonem starsza pani. - Zauważyłam, że nie wszystkie owoce wam smakują.

- Z tego, co wiem - odezwał się chłodno Cecil - część z nich zawiera szkodliwe substancje.
- Doprawdy?
- Owoc haliby, który trzyma pani w dłoni, powoduje paraliż.
- W związku z tym uznał pan, że chcemy was otruć. - Nella uśmiechnęła się cierpko.
- Taki wniosek narzucał się sam. Doskonale wiem o właściwościach halucynogennych strąków żaborowca i o tym, że owoce kaktusa karau wywołują omamy wzrokowe.
- Jest pan świetnym botanikiem, panie Sarotian, nie uwzględnia pan jednak dwóch faktów. Po pierwsze, warunki panujące na naszej wyspie mogą znacznie zmieniać niektóre cechy roślin, a po drugie, ludzie żyjący tutaj dysponują wiedzą pozwalającą na modyfikację właściwości gatunków uznawanych gdzie indziej za trujące.
- Cecil podszedł do wazy z owocami i sięgnął po podłużny żółtawy strąk żaborowca. Otworzył go z trzaskiem i patrząc w oczy Nelli, włożył do ust pięć podłużnych, niebieskawych nasion. Kobieta uśmiechała się z leciutką ironią. Scaber i Ross usiedli obok Sarotiana i przypatrywali mu się z niepokojem.
- W porządku. - Botanik uśmiechnął się kwaśno. - Nic mi nie jest... Na razie.
- Rozumiem więc, że pomyślnie przeszliśmy próbę gościnności - odparła Nella, podnosząc się z haftowanej poduszki. - W takim razie, co panowie powiecie na spotkanie z herbatą szczęścia?
- Jesteśmy gotowi! - Cecil poderwał się.

6.

- Szklarka jadła późne śniadanie. Takie jak lubiła - ciepłe bułeczki z roztopionym masłem, a do tego konfitury. Cieszyła się każdym kęsem wkładanym do ust. Cieszyła się przytulnością swojego mieszkania. Verka postawiła na stole gorzką czekoladę.
- Przynieść jeszcze bułeczek? - spytała, z zadowoleniem obserwując znikające jedzenie.
 - Och, nie! Są pyszne, ale nie zmieściłabym już ani jednej. Stęskniłam się za twoim gotowaniem, Verko.
 - Żle tam panią karmili? - Dziewczyna nastroszyła się.
 - Oczy Szklarki błysnęły.
 - Okropnie! A do tego atmosfera panująca w jadalni zatruwała każdy posiłek.
 - Ale jedzenie nie było zatrute?
 - Nie. - Szklarka się roześmiała. - Dodają jednak do potraw przyprawy, których nie znoszę.
 - To te panie, co rządzą Wyspą, nie lubią dobrze zjeść? - zaciekała się Verka.
 - Nie wiem. Chyba po prostu nie przywiązują do jedzenia zbytnej wagi.

Rozmowę przerwał dzwonek do drzwi. Służąca zbiegła na dół, gotowa odprawić gościa, jeśliby miał zamiar niepokoić jej panią już pierwszego dnia po przyjeździe. Przybysz jednak upierał się i nie odchodził. Słychać było, jak Verku kłóci się z nim zawzięcie. Szklarka zaintrygowana zeszła na dół. W progu stał Rieze.

- Proszę, niech pan wejdzie do mojej pracowni - powiedziała ze znużeniem.

- Ależ pani nawet nie dopiła swojej czekolady! - zawołała z oburzeniem służąca.

- Zrobię to później, Verko. Teraz zostaw nas samych.

Kiedy znaleźli się w pracowni, Szklarka zajęła miejsce za stołem.

- Proszę, niech pan siada. - Wskazała wyściełane oliwkowym aksamitem krzesło przeznaczone dla klientów.

- Nie było pani bardzo długo - zaczął oskarżycielsko Rieze i dźgnął palcem okrągłą szybkę. - Obrazek, jak widzę, nawet nie został rozpoczęty.

- Doskonale pan wie, że wyjechałam tylko i wyłącznie z powodu zlecenia pańskiego mocodawcy! - wybuchnęła złością Szklarka. - Godzinami ślęczałam w archiwum, szukając czegokolwiek na temat herbaty szczęścia.

- I co? Znalazła pani? - Rieze wwiertł się w nią spojrzeniem.

Szklarka odetchnęła głęboko i odchyliła się do tyłu.

- Znalazłam - powiedziała powoli. - Ale nie jestem tego w stanie narysować. Właściwie...

- Jak to nie może pani narysować?! - Rieze skoczył na równe nogi - Moj pracodawca dość się już naczekał. Więc do roboty i proszę nie szukać wykrętów!

- Panie Rieze. - Szklarka również wstała. Oparła dłonie o blat stołu i pochyliła do się do przodu. - Tej herbaty szczęścia, którą znalazłam nie namaluję. Powody mogę wyjaśnić pańskiemu mocodawcy osobiście, podczas rozmowy w cztery oczy.

- Jak Pani nie wie... Pani nie wiem...

- Do widzenia, panie Rieze,

Wzięła do ręki okrągłą szybkę i oddała mężczyźnie.

7.

- Więc mówisz, Rieze, że ona chce się ze mną spotkać?

- Tak jest, proszę pana. Powiedziała, że nie zamierza malować tej herbaty szczęścia i oddała szkło.

- Coś jednak na tej swojej wyspie znalazła, prawda?

- Tak powiedziała.

- No dobrze, wobec tego przywieź ją do mnie, ale nie tutaj... Nie chcę, żeby domownicy cokolwiek zauważyli. Powiedzmy, do pałacyku myśliwskiego w Terrbrum.

- Jak pan sobie życzy. Na kiedy ją umówić?

- Jak najszybciej. Za trzy dni - myślisz, że się zgodzi?

- Nie wiem. To dość ostra panna. Wróciła wczoraj. Może nie mieć ochoty na podróże.
- To za pięć dni... Och, sam pojechałbym do niej, ale ktoś mógłby mnie rozpoznać.
- Może w przebraniu?
- Za stary jestem na maskarady.
- Ona może się nie zgodzić przyjechać do pana. Pałacyk myśliwski leży w pewnym odosobnieniu. Dziewczyna może się przestraszyć, że chcemy jej zrobić krzywdę.
- Chyba masz rację, Rieze. Ale na wszelki wypadek ją spytaj. Jeśli odmówi, będę musiał zjawić się w jej pracowni.

8.

Kiedy wyszli na zewnątrz, upał niemal przygiął ich do ziemi.

- Nienawidzę róż - warknął przez zaciśnięte zęby Scaber, gdy otoczyła go gorąca fala słodkiego zapachu.

Nella prowadziła ich dość szeroką aleją, której, byli prawie pewni, nie było tu poprzedniego dnia. Po kilkudziesięciu krokach dotarli do furtki w kamiennym murze. Spojrzeli po sobie zaskoczeni.

- Ogród uległ nagłemu skurczeniu. - Ross uniósł brwi.

Nella nie zwróciła uwagi na jego słowa.

- Bardzo proszę, zachowajcie dużą ostrożność - powiedziała, otwierając furtkę. - Idźcie panowie tuż za mną, tu jest trochę niebezpiecznie.

Nie byli przygotowani na taki widok. W odległości około pół metra od nich ziała przepaść. Ściany kanionu opadały pionowo ku płynącej w dole rzece. Wzdłuż muru biegła wąska skalna półka. Jeden fałszywy krok i można spaść na sam dół. Cofnęli się gwałtownie.

- Będziemy teraz iść górną krawędzią doliny, ale proszę się nie obawiać. W mur wbite są klamry, których możecie się panowie trzymać.

Cecil zbladł jak płótno.

- Wysokości to nie moja specjalność - wymamrotał.

- Idź w środku, między nami - zaproponował spokojnie Ross. - Będę cię ubezpieczał od tyłu.

Na kroczącej przodem Nelli znajdująca się po lewej stronie przepaść, jak się wydawało, nie robiła wrażenia. Staruszka poruszała się pewnie, nie korzystając z uchwytów. Mężczyźni szli znacznie wolniej. Cecil sunął tuż przy murze, stawiając ostrożnie stopy jedna za drugą i starając się nie zerkać w dół. Po jakimś kwadransie dotarli do szerokiej, półkolistej platformy. Botanik z westchnieniem ulgi opadł na wygrzane przez słońce kamienne podłoże.

- Teraz zejdziemy w kierunku rzeki - zapowiedziała Nella.

- O nie - wyszeptał Cecil, któremu strumyki potu ściekały po skroniach.

W miejscu, gdzie mieli schodzić, ściany kanionu były nieco umiej strome. Rządek równiutko wbitych klamer biegł aż na sam dół wąwozu, połyskując w słońcu miedzianą czerwienią.

- Poczekajcie. - Nella oderwała od skały garść jaskrawozielonych porostów. - Natrzyjcie sobie tym dłonie, żeby uniknąć poparzeń. Uchwyty są bardzo nagrzane.

Posłusznie nacierali ręce, aż przybrały żółtawy odcień. Kobieta skinęła głową zadowolona.

- Schodźcie za mną - rzuciła i zaczęła zwinnie opuszczać się w dół.

Gdyby nie pomarszczona twarz i siwe włosy, wydawałoby się, że to młoda dziewczyna. Z trudem dotrzymywali jej kroku. Klamry ich co prawda nie parzyły, ale żar bijący od skalistej ściany wąwozu przyprawiał niemal o utratę zmysłów. Scaberowi przed oczami wirowały purpurowe koła. Próbował skupić myśli na oczekującej ich chłodnej rzece i możliwości zanurzenia w niej całego, umęczonego upałem ciała. Nad głową miał schodzącego mozolnie Cecila, który po każdym kroku nieruchomiał na chwilę i z zamkniętymi oczami mamrotał coś do siebie. Kiedy po kilkunastu minutach zeszli na poziom, gdzie nie dotarły jeszcze promienie słoneczne, wszyscy naraz odetchnęli z ulgą. Ostatnie metry dzielące ich od dna kanionu pokonali w znacznie szybszym tempie. Dotarłszy do rzeki, padli jak nieżywi, oddychając ciężko po wyczerpującym zejściu. Nella siedziała na kamieniu, czekając, aż ochłona. Woda z bulgotem przepływała między obłymi kamieniami. Poza tym panowała cisza. Powietrze przesycone było wilgocią. Wzdłuż brzegów rzeki rosły niskie, ciemnozielone krzewinki o zwartym pokroju, i kępy trawy upstrzone gdzieś białymi i różowymi kwiatkami w kształcie gwiazdek. Skalne ściany wąwozu rzucały na ziemię głęboki granatowy cień.

- Byłbym zupełnie szczęśliwy, gdyby nie świadomość, że czeka nas potem droga w górę - powiedział Ross, patrząc na jaśniejący nad nimi skrawek błękitnego nieba.

- Nie musiałeś tego przypominać - jęknął Cecil.

Scaber wstał i na chwiejnych nogach podszedł do rzeki. Woda, wbrew jego oczekiwaniom, nie była zimna. Miała lekko siarkowy posmak i nie zaspokajała pragnienia.

- Kilkadziesiąt metrów dalej jest mniejszy strumień. Ma wodę znacznie lepszą od tej, którą pan właśnie wypił, hrabio Sedun. Ta rzeka bierze początek z gorących siarkowych źródeł. Nie jest smaczna, ale proszę się nie obawiać, nie powoduje zatruc.

- Co najwyżej lekkie zmiany w owłosieniu - rzucił półgłosem Cecil.

Z wolna dochodzili do siebie. Scaber nie mógł zrozumieć, jak to się dzieje, że Nella wcale nie jest zmęczona. Jej suknia w kolorze spłowiałego błękitu nie była poznaczona plamami potu. Pomarszczona twarz emanowała spokojem i zadowoleniem. Irytowało go to. Kobieta wstała i zaczęła iść w górę rzeki. Cecil był już w znacznie lepszej formie, więc zainteresowała go roślinność nadrzeczna.

Wlókł się na końcu, przyklękając co i raz, zrywając jakieś łodyżki i pakując je między kartki notesu. Zgodnie z zapowiedzią Nelli doszli do miejsca, gdzie spośród głązów wypływał cienki strumyczek krystalicznej wody. Po ugaszeniu pragnienia ruszyli znów dnem wąwozu. Kilkadziesiąt metrów dalej droga skręciła w wąski przesmyk między skałami.

- Dobrze ukryta jest ta plantacja herbaty - zauważył półgłosem Ross.

Nella jak zwykle usłyszała.

- To nie plantacja. Herbata szczęścia rośnie dziko w kilku miejscach wyspy, ale jej ilość jest wystarczająca.

- Do czego? - zaciekawił się Scaber.

Odpowiedź nie nadeszła, bo oto stanęli przed skalną ścianą zamykającą przejście.

- Wchodzimy do jaskini - poinformowała ich przewodniczka.

Wejście do groty, na pierwszy rzut oka niewidoczne, znajdowało się nieco z boku. Nella, zamiast od razu wprowadzić ich do środka, zatrzymała się, zerwała okazałą wiązkę wysokich roślin o baldaszkowatych kwiatach, po czym zaczęła mocno nią uderzać o poznaczony żółtymi żyłkami kamień.

- Co pani robi? - zainteresował się Cecil.

- Przygotowuję oświetlenie. Pan pewnie nie zna tych roślin. To lumenusy. Proszę spojrzeć! - Uniosła nad głowę sponiewierany pęk kwiatów i wtedy zobaczyli, że baldaszkowate korony jarzą się delikatnym żółtawym blaskiem.

- Czy mógłbym zabrać kilka egzemplarzy ze sobą? - spytał zafascynowany Sarotian.

- Może tak... - zawahała się. - Zobaczymy jeszcze.

Wiązka lumenusów nie dawała zbyt intensywnego światła, ale przynajmniej widzieli, co znajduje się pod ich stopami. Doszli do wykutych w skale schodów i zaczęli się po nich wspinać. Nie trwało to dłużej niż dziesięć minut. Wkrótce wewnątrz groty zaczęło się rozjaśniać i wyszli na zewnątrz. Mrużąc oczy, rozglądali się po okolicy. Stali w małej, idealnie okrągłej kotlinie, otoczonej ze wszystkich stron skałami. Porastały ją jedynie kępki siwej, ostrej trawy.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmiła Nella z figlarnym błyskiem w oczach.

Trzej mężczyźni milczeli, wpatrując się ponuro w jałową ziemię.

- No cóż, panowie. - Ross wzruszył ramionami. - Skoro roślina jest niewidzialna, to nie należało się spodziewać, że ją zobaczymy.

Scaber postąpił dwa kroki i poczuł nagle mięsiste łodygi ocierające się o jego nogi. Jak niewidomy wyciągnął przed siebie ręce. Pod palcami poczuł włochate, szorstkie liście. Zerwał jeden i roztarł go w dłoni. W powietrzu rozszedł się cierpki, orzeźwiający aromat.

9.

Zgodnie z przypuszczeniami Riezego, Szklarka nie miała zamiaru nigdzie jechać. Zgodziła się natomiast utrzymać w tajemnicy tożsamość swojego klienta.

Zastanawiała się, kto to jest. Na pewno osoba znana i bogata. Ciekawe, czy już kiedyś się spotkali? Znała z widzenia większość przedstawicieli arystokratycznych rodów. Może to księżę Pepinetti albo szalony ekscentryk, hrabia Durte. Patrząc na wirujące za oknem płatki śniegu, czekała na nieznanego klienta. Żadne dociekania i przypuszczenia nie przygotowały jej jednak na to, co miała ujrzeć. O umówionej godzinie na progu jej pracowni pojawił się wysoki mężczyzna w czarnej pelerynie z kapturem. Jednym ruchem odsłonił twarz i Szklarka zbladła. Stał przed nią marszałek Thunbereng, ojciec Pepperii. On także nie mógł oderwać od niej oczu. Ta dziewczyna była niewiarygodnie podobna do kobiety, która od wielu miesięcy dręczyła go w snach. Zawsze smutna. Zawsze z tym samym przesłaniem: „Musisz odnaleźć Herbatę Szczęścia!”. Noc po nocy ten sam sen. Udręczony podjął w końcu kroki, żeby uczynić zadość prośbie, a raczej nakazowi zjawy. Sfinansował nawet wyprawę na wyspę Nut. Musiał działać w tajemnicy. Wszyscy śmieliby się z niego, że ugania się za nieistniejącą rośliną. Najbardziej drwiłaby Pepperia. Prawdopodobnie wpadłaby w szal. Nie zniosłaby kolejnego upokorzenia. Nie dość, że zostawił ją narzeczony, to jeszcze ojciec okazał się goniącym za mirażami błaznem. A teraz oto stoi przed nim dziewczyna, która ukazywała mu się w snach. Wygląda, jakby przeraził ją jego widok. Drżą jej ręce... Te oczy... duże, szare... jednak inne, o kilka odcieni jaśniejsze niż u kobiety ze snów.

- Czy to panna Szklarka? - spytał, przerywając niezręczne milczenie, jakie zapadło po jego wejściu.

Przełknęła ślinę.

- Tak, panie marszałku, proszę usiąść.

- A więc zna mnie pani?

- Z widzenia. Proszę się jednak nie niepokoić. Wiem, że zależy panu na dyskrecji. Marszałek skinął głową. Postanowił od razu przejść do rzeczy.

- Co zatem ma mi pani do powiedzenia na temat herbaty szczęścia? - spytał tonem, któremu usiłował nadać obojętne brzmienie.

- Zanim panu odpowiem, chciałabym, żeby pan wiedział, iż ja również oczekuję, że to, co pan usłyszy, pozostanie między nami.

- Ma pani moje słowo.

- A więc dobrze. Nie znalazłam wzmianki o roślinie nazywanej herbatą szczęścia. Jak panu wiadomo, odwiedziłam nawet Wyspę Sierot, żeby sprawdzić, czy nie ma jakichś informacji w archiwum instruktorek. To, co odkryłam pod koniec pobytu tam, zaskoczyło mnie i do tej pory trudno mi się z tym oswoić.

Zaczerpnęła głęboko powietrza i kontynuowała.

- W sposób, którego nie będę tu opisywać, dowiedziałam się, że Szklarka nie jest moim prawdziwym imieniem. Tak naprawdę nazywam się Thea Felicitatis. Dosłownie znaczy to: Herbata Szczęścia. Wiem, że zależało panu na znalezieniu rośliny o tej nazwie. Z przykrością muszę wyznać, że nie jestem panu w stanie pomóc.

Thea! Miał wrażenie, że w jego głowie rozbłyskują jedna po drugiej potężne

błyskawice. Poplątane wspomnienia zaczęły wyskakiwać z jakiegoś zakątka umysłu, gdzie dotychczas spoczywały zamknięte i niedostępne. Nie był w stanie nad nimi zapanować, zastanowić się, co oznaczają. I kto to jest Lea? To imię dźwięczało mu w głowie i domagało się rozpoznania... skojarzenia z osobą. Próbował zatrzymać przepływające obrazy, próbował zrozumieć.

- Może napije się pan wody? - Szklarka podsunęła mu karafkę i kryształową szklaneczkę.

Przyglądała się z niepokojem marszałkowi, którego twarz bladła i purpurowiała na przemian. Wydawał się tak pochłonięty jakimiś tajemniczymi zmaganiem, że nie zauważał niczego wokół.

- Czy pan się dobrze czuje? - zawołała głośnie, przerażona, że mógłby tu, w jej pracowni, zasłabnąć, a nawet umrzeć.

- Najmocniej panią przepraszam... To... Ja nie wiem, co się stało.

Mężczyzna patrzył teraz prosto na nią. Jego oczy rozszerzyły się nagle w wyrazie najwyższego zdumienia.

- To nieprawdopodobne... - wyszeptał.

- Co takiego? - spytała nieoczekiwanie ostro.

Marszałek potrząsnął głową, po czym podniósł się ciężko z krzesła.

- Muszę przemyśleć kilka spraw - powiedział bardziej do siebie niż do niej. - Ale wrócę tu jeszcze. Są rzeczy, o których powinna pani wiedzieć... Sprawy aż do tej chwili pogrzebane w mojej pamięci. Pani imię, to prawdziwe... sprawiło, że zacząłem sobie przypominać.

Trzęsącymi się rękoma nałożył pelerynę i głęboko naciągnął kaptur na twarz.

- Do zobaczenia, Theo - powiedział cicho i wyszedł.

To wszystko działo się tak szybko, że Szklarka przez chwilę nie potrafiła sobie w ogóle uświadomić, co tak naprawdę się stało. Siedziała nieruchomo, powtarzając ostatnie słowa marszałka: „Do zobaczenia, Theo”. Theo... Theo... Był pierwszą osobą, która nazwała ją tym imieniem. Czowała miłe ciepło rozlewające się po całym ciele. I spokój. Jakieś przeczucie, że od tej chwili wszystko będzie dobrze. Zdjęła z półki dużą czarę z ciemnego szkła, którą kiedyś kupiła od handlarza starociami, bo zachwycił ją elegancki, egzotyczny kształt naczynia. Ustawiła na stole słóiczki z farbami i gliniany kubek pełen pędzli. Wybrała najcieńszy pędzelek i z czułością obróciła go w palcach. Tak, teraz wszystko będzie dobrze. Powóz kołysał się po wyboistej drodze, raz po raz szorując bokami o zasy. Rieze z niepokojem patrzył na swego pana, który od wyjścia z pracowni Szklarki nie odezwał się ani słowem.

- Panie marszałku?...

- Tak, Rieze?... - Zapytany ocknął się z zamyślenia.

- Czy... czy wszystko w porządku?

- Hmm... - Thunbereng wzruszył ramionami. - Potrzebuję dużo czasu i spokoju, żeby wszystko sobie przemyśleć. Może... Każ woźnicy wieźć mnie prosto do Terrbrum. Potem pojedziesz do domu i zawiadomisz Pepperię, gdzie jestem. Nie mów jej oczywiście, że byłem u Szklarki. I niech nikt mi nie przeszkadza.

- A co z tą herbatą szczęścia? - Rieze, zazwyczaj dyskretny i powściągliwy, nie potrafił tym razem zapanować nad ciekawością.
- To... tajemnica. - Marszałek uśmiechnął się smutno i zamknął oczy.

10.

Wspomnienia cały czas napływały. Imię Thea Felicitatis musiało być hasłem otwierającym tajemny skarbiec pamięci. Lea? Jak to się stało, że zapomniał o niej na tyle lat? Jak mógł o niej nie pamiętać? Była taka piękna i mądra. Jego pierwsza żona. Poznali się... Zdenerwował się nagle, że nie może sobie przypomnieć ich pierwszego spotkania. Właśnie dlatego przyjechał do tego ustronia, żeby wszystko sobie poukładać. Wyjrzał przez okno. Znowu padał śnieg. Osiadał na gałęziach świerków, znacząc je odświętną bielą. Tak! To było zimą! Zimą widzieli się po raz pierwszy. Przybyła do ich domu, żeby malować portret matki. To znaczy, że musiała być malarką... Och tak! Jak mógł zapomnieć. Przechodził akurat przez hol, kiedy ujrzał młodziutką dziewczynę w ciemnofioletowej sukni. Brązowe włosy z kasztanowym połyskiem spadały jej do pasa lśniąca falą. Któryś ze służących pokazywał jej drogę do apartamentów matki. Inny niósł sztalugi i naciągnięte na drewnianą ramę płótno.

- Kto to jest? - spytał głównego kamerdynera.
- To artystka z Wyspy Sierot. Ma namalować portret Jaśnie Wielmożnej Pani.
- Jak się nazywa?
- Lea.
- A nazwisko?
- Przecież mówiłem Wielmożnemu Panu, że to kobieta z Wyspy Sierot. One nie mają nazwisk.
- Ach tak...

Dziewczyna znikła z pola widzenia, a on wrócił do swoich zajęć, ale od tamtej chwili nie przestawał o niej myśleć. Starał się być w pobliżu, gdy wchodziła do ich domu z policzkami zaczerwienionymi od mrozu i włosami wilgotnymi od topiących się na nich płatków śniegu. Niby przypadkiem zaglądał do pokoju, gdzie malowała, żeby zapytać matkę o jakiś drobiazg. Wchodził po schodach akurat wtedy, gdy ona schodziła. Pewnego dnia spytał, dlaczego Lea nie siada z nimi do obiadu. Przecież pracuje aż do wieczoru.

- Nie życzyła sobie tego - odparła sucho matka.
 - To znaczy, że je ze służbą? - Ledwo udało mu się powstrzymać okrzyk oburzenia.
 - Z tego, co wiem, Marcella nosi jej posiłki do pokoju, w którym rozstawione są sztalugi. - Głos pani Thunbereng nabrał ostrzejszego brzmienia.
- Poczuł, że matka lustruje go bardzo uważnym spojrzeniem. Udało mu się przybrać obojętny, a nawet znudzony wyraz twarzy, ale to nie zwiodło jego rodzicielki. Kilka dni później został wezwany do gabinetu ojca. Matka też tam

była. Siedziała sztywno, otulona wełnianym szalem spiętym diamentową broszą.
- Mój drogi - odezwał się ojciec oficjalnym tonem. - Masz już dwadzieścia cztery lata i wypadałoby, żebyś za jakiś czas się ożenił. Nie zaraz oczywiście. - Podniósł uspokajająco dłoń. - Wiem, że potrzebujesz się jeszcze wyszumieć, ale narzeczoną wypadałoby wybrać już teraz.

- Dlaczego?! - wyrwał mu się spontaniczny okrzyk.

Matka spojrzała porozumiewawczo na męża.

- Dlatego, że znalezienie odpowiedniej kandydatki wcale nie jest takie łatwe - odparła, siłąc się na łagodny ton, co, jak widział, przychodziło jej z trudem. - W tej chwili jest jedna panna spełniająca wszystkie warunki i należy się pośpieszyć, żeby nikt cię nie ubiegł.

- Jakie warunki? - spytał ogłupiały.

- Młoda, ładna, majątna, z dobrej rodziny - wyliczała matka na palcach.

- Kto to taki?

- Patrycja von Sultzenrein. - Na wargach matki pojawił się blady uśmiech. - Widziałeś ją już kilkakrotnie i odniosłam wrażenie, że ci się spodobała.

Tak, to prawda. Patrycja była śliczną, złośliwą bestyjką o porcelanowobłękitnych oczach i złocistych lokach. Tańczył z nią kilkakrotnie podczas noworocznego balu i trochę ze sobą flirtowali. Jednak w porównaniu z Leą była jak rozpieszczony, poszczekujący piesek pokojowy i tyle dla niego znaczyła.

- Muszę się nad tym zastanowić - odpowiedział dyplomatycznie.

Wyszedł szybko, żeby nie zdążyli go zatrzymać. Tego samego dnia postanowił spotkać się z Leą. Dowiedział się od służącego noszącego sztalugi, gdzie jest jej pracownia. W środy matka przyjmowała stałe grono dam, a Lea miała wolne. Pamięta, jak bardzo biło mu serce, gdy pociągał za ozdobny sznur dzwonka wiszącego obok drzwi. Otworzyła mu tęga kobieta o rumianych, okrągłych policzkach i powiadomiła go, że panna Lea ma mieszkanie na drugim piętrze.

Marszałek zdziwił się, jak bardzo dokładne są te wspomnienia. Zapach kurzu na drewnianych schodach... ich poskrzypywanie. Gdyby się bardziej wysilił, mógłby odtworzyć rysunek słoików na drzwiach, w miejscu, gdzie pukał.

Przez dłuższą chwilę nikt nie otwierał. Myślał, że dziewczyny nie ma w domu i już miał odejść, gdy usłyszał lekkie kroki i szcęk ruszanej zasuwki. Lea. Stała przed nim w jasnoliliowej sukni z wysokim kołnierzem. Patrzyła na przybysza w milczeniu. Dopiero teraz dostrzegł, że jej oczy mają pochmurną grafitową barwę.

- Czy pozwoli mi pani wejść?

Bez słowa odsunęła się i wpuściła go do środka.

- Czy... chciał pan złożyć zamówienie na portret? - spytała tak cicho, że z trudem dosłyszał jej słowa.

Przez chwilę zastanawiał się, czy nie skorzystać z tego pretekstu, ale po krótkim namyśle odrzucił ten pomysł. Nie ma czasu. Musi mówić wprost, bo inaczej ożenią go z Patrycją.

- Nie, panno Leo. Nie przyszedłem po to, żeby mnie pani malowała. Chciałem z panią porozmawiać.

Wprowadziła go do niewielkiego salonu i wskazała mu jedno z krzeseł przy stole. Sama usiadła w drugim końcu pokoju, przy oknie. Nagle opuściła go odwaga. Co ma jej powiedzieć? Czuł zupełną pustkę w głowie. Dziewczyna jakoś to chyba wyczuła. Popatrzyła na niego dziwnie dojrzałym, współczującym wzrokiem.

- Wiedziałam, że któregoś dnia zjawi się pan tutaj - odezwała się niespodziewanie. - Zapewne pan wie, że jestem wychowanką Wyspy Sierot. Nie mam nazwiska i nie znam swoich rodziców. Dla ludzi z pańskiej sfery jestem tylko utalentowaną artystką, a poza tym - nikim. - Lekko wzruszyła ramionami.

- Dla mnie nie jest pani nikim! - Poderwał się. - Myślę o pani od pierwszego dnia, kiedy zjawiła się pani w naszym domu. Jest pani dla mnie najważniejszą osobą na świecie!... - Urwał, speszony tym nagłym wyznaniem.

- Może pan wycofać te słowa. - Lea uśmiechnęła się smutno. - Czasami człowiek mówi pod wpływem emocji coś, czego później żałuje.

- Nie chcę odwoływać tego, co powiedziałem. - Stał tuż przed nią. - Bo to prawda.

Była tuż-tuż. Tak blisko, że mógłby pocałować jej włosy w miejscu, gdzie rozświetlały je padające przez okno promienie słońca.

- Niech pan już idzie - wyszeptała.

- Ale proszę pozwolić mi tu jeszcze przyjść. - Chwycił ją za rękę.

Nie wyrwała dłoni. Popatrzyła mu prosto w oczy. Jej spojrzenie stało się twarde, niemal wrogie.

- Dziewczyny z Wyspy nie mogą wychodzić za mąż - powiedziała dobitnie.

Zabrała rękę i podeszła do drzwi. Otworzyła je na oścież.

- Do widzenia, panie Thunbereng.

- Mam na imię Jonan.

- Do widzenia, panie Thunbereng.

- Wrócę tu!

Zbiegł po schodach i wypadł na ulicę. Był wściekły. Miał wrażenie, że cały świat jest przeciwko niemu. Jednocześnie, gdzieś w głębi ducha, czuł radość. Może dlatego, że Lea nie od razu zabrała dłoń?

Marszałek Thunbereng opadł wyczerpany na fotel. Ręce mu drżały. Próbował zapalić fajkę. Przyszło mu na myśl, że odzyskuje teraz swoje życie i prawdziwego siebie. Takiego, jakim był, zanim Lea... Odepchnął od siebie obraz, który nagle przyplłynął do niego z przeszłości. Nie! Jeszcze nie teraz! Najpierw musi poczuć smak tamtych pierwszych tygodni, kiedy odwiedzał pracownię i kiedy ogarniało go coraz silniejsze zakochanie. Smak walki o swoje szczęście. Gdy Lea przychodziła do domu pracować nad portretem, on wychodził na miasto. Unikał choćby przypadkowego spotkania na rodzinnym terytorium. Miał nadzieję uspić czujność matki. Jednocześnie wypytywał różnych ludzi o Wyspę Sierot. Kim są instruktorki? Kim są wychowanki? Dlaczego nie mogą zakładać rodzin? Zbierał okruchy informacji, które nie wносиły zbyt wiele nowego. Tak często, jak tylko mógł, spotykał się z Leą w jej pracowni. Pomieszczenie to miało niezwykły urok. Półki z farbami, pęki pędzli w słojach, wisząca na kołku wbitym w ścianę paleta,

stojący na środku fotel z rzeźbionymi nogami (pewnie w nim usadzała pozujących modeli), zepchnięty do kąta wieszak, z którego spływały wielobarwne draperie... i w tym wszystkim Lea, taka piękna i taka niedostępna. Cały czas zachowywała się z dystansem. Czasami odnosił wrażenie, że walczy z jakimś lękiem.

- Czy moje wizyty są dla pani przykre? - spytał pewnego dnia.

Potrząsnęła głową.

- Nie, to nie tak. Lubię, kiedy pan tu przychodzi.

- Ale?...

- Ale dobrze pan wie, że nie mamy szans na wspólną przyszłość. - Mówiąc to, spuściła głowę, a długie włosy zupełnie skryły jej twarz.

Pojął wtedy, że Lea być może zaczyna go kochać, ale jednocześnie z całych sił broni się przed tym uczuciem. Pomyślał, że da jej trochę czasu, a potem się oświadczy. Najlepiej, gdyby wzięli ślub potajemnie. Wtedy rodzice zostaną postawieni przed faktem dokonanym. Pełen optymistycznych wizji przyszłości opuścił pracownię. Tymczasem w ciągu następnych dwóch dni Lea ukończyła portret, odebrała honorarium i znikła. Nawet teraz, po tylu latach, pamięta nagły chłód, jaki go ogarnął, gdy odźwierna powiedziała, że panna Lea wyjechała.

- A kiedy wróci?

- Kto to wie? - Kobieta wzruszyła ramionami.

- Czy zabrała dużo rzeczy?

- A co pan tak się wypytuje? - Odźwierna rozzłościła się. - Niepokoi pan sierotę, a przecież wiadomo, że się z nią pan nie ożeni. To po co pan jej życie zatruwa, co? Idź pan do swoich hrabin, a dziewczynę zostaw w spokoju.

Zatrzasnęła mu drzwi przed nosem.

Pykał fajkę, siedząc przed kominkiem, w którym płonął jasny ogień, i odgrzebywał w pamięci tamte dni pełne napięcia i oczekiwania. Lea nie wróciła już do swojego mieszkania. Nikt nie wiedział, gdzie się przeniosła. On sam zaciągnął się do Korpusu Królewskich Oficerów, co na jakiś czas zapewniło mu wygodną wymówkę usprawiedliwiającą odroczenie zaręczyn z Patrycją von Sultzenrein. Manewry, parady i bale. Widać było, że ojciec jest z niego dumny. Korpus Królewskich Oficerów to wrota do błyskotliwej kariery. Po cóż więc pośpieszać chłopaka do ożenku? Na dworze królewskim może pojawić się jeszcze lepsza partia. Matka zachowywała czujność, ale odkąd Lea znikła z miasta, przestała się tak bardzo niepokoić. Mniej więcej w rok od ich ostatniego spotkania wpadł mu do głowy pomysł, żeby pojechać na Wyspę Sierot. Liczył na to, że może tam trafić na jakiś ślad dziewczyny. Roił sobie nawet, że przekona tajemnicze instruktorki, żeby udzieliły Lei specjalnego pozwolenia na małżeństwo. Jakaż była jego wściekłość, gdy okazało się, że nie wolno mu nawet wejść na pokład promu płynącego na Wyspę.

- Nie jest pan wpisany na listę przewozową - wyjaśnił chłodno kapitan.

- To co mam zrobić, żeby dostać się na Wyspę?

- Należy uzyskać pozwolenie pań instruktorek.

Napisał więc list, pieczętując go herbem Thunberengów. Odpowiedź nigdy nie nadeszła.

Jakiś czas później król wybierał się na południe, do Andeisen. Wraz z nim, jako eskorta, wyruszał korpus oficerów. Władca, którego od jakiegoś czasu dręczyły reumatyczne bóle, chciał skorzystać z dobrodziejstwa leczniczych źródeł. Andeisen było cichą podgóorską miejscowością, którą przybycie królewskiego dworu wyrwało z błogiego odrętwienia. Bale, przyjęcia, konne przejażdżki, górskie wycieczki, odwiedziny u okolicznych magnatów - na takich zajęciach upływały kolejne dni. Jednym z pierwszych, który wydał przyjęcie na cześć znakomitych gości, był baron Cosimo Maimero. Baron nie miał rodziny, był za to zapalonym kolekcjonerem sztuki. Oprowadzał królewską świtę po obszernych salach wypełnionych rzeźbami, obrazami i drogocenną porcelaną. Król nie był wybitnym znawcą i doceniał raczej wartość materialną dzieł, a nie ich walory artystyczne. Baronowi jednakże wcale to nie przeszkadzało. Z dumą pokazywał zgromadzone przez siebie zbiory.

- A teraz coś specjalnego! - ogłosił uroczyście, otwierając drzwi do okrągłego salonu zamykającego ciąg pokoiów w południowej amfiladzie. - Zebrane tu obrazy to unikaty. Wszystkie zostały namalowane przez artystki pochodzące z Wyspy Sierot. Śmiem twierdzić, że to jedyna taka kolekcja na świecie.

Jonan Thunbereng wodził wzrokiem po ścianach, szukając obrazu, który mógłby być dziełem Lei.

- Oto mój najnowszy nabytek - mówił tymczasem Cosimo Maimero. - Nie zdecydowałem jeszcze, gdzie będzie się najlepiej prezentował.

Oparty o ścianę stał autoportret Lei. Piękna, smutna twarz otoczona włosami tak ciemnymi, że wydawały się prawie czarne. Tylko w jednym miejscu, tam gdzie padał na nie pojedynczy promień słońca, lśniły jak świeżo wyłuskany kasztan. W prawym dolnym rogu podpis autorki - LEA.

- Prawda, że piękny? - Właściciel portretu promieniał dumą.

- Kim jest dziewczyna z obrazu? - zainteresował się król.

- To malarka - Lea. Uprosiłem ją, żeby namalowała autoportret. Zapłaciłem ogromną sumę, ale za kilka lat obraz będzie wart dziesięć, albo i dwadzieścia razy więcej. Kobiety z Wyspy Sierot pojawiają się i odchodzą, pozostawiając po sobie perfekcyjnie wykonane dzieła. Po raz pierwszy jedna z nich dała się namówić na uwiecznienie samej siebie.

Jonan patrzył na obraz jak zahipnotyzowany. Mimo upływu czasu jego uczucie wcale nie osłabło. Pragnął tej dziewczyny bardziej niż czegokolwiek i kogokolwiek na tym świecie. Portret został namalowany niedawno. Może Lea jest gdzieś w pobliżu? Może mógłby ją zobaczyć? Chętnie pozostałby w okrągłej sali, ale Cosimo chciał im jeszcze pokazać swoją galerię ze zbiorem starożytnych rzeźb. Jonan doczekał cierpliwie do końca zwiedzania i kiedy schodzili do wielkiej sali jadalnej, zrównał się z gospodarzem.

- Gdybym chciał zamówić portret u tej malarki z Wyspy, to gdzie mógłbym ją znaleźć? - spytał od niechcienia.

- Chodzi o Leę? - upewnił się baron. - Ma pracownię w Grimstein. Muszę pana ostrzec: ta dziewczyna żąda nieprzyzwoicie wysokich honorariów.

- Wobec tego ma pewnie niewiele zamówień?

- Wystarczająco dużo, żeby dostatnio żyć.

Do Grunstein wyruszył konno. Świeciło słońce, niebo było oślepiająco błękitne. W krystalicznie czystym powietrzu każdy szczegół krajobrazu rysował się z niezwykłą ostrością. Wioska leżała w sąsiedniej dolinie, do której wjeżdżało się wąskim skalnym przesmykiem. Zobaczył domy z szarego kamienia, czerwone pelargonie na oknach i begonie w wielkich glinianych donicach przed drzwiami. Rosnące koło zabudowań niskie jabłonie były przygięte ku ziemi i poskręcane przez górskie wiatry. Panował tu nienaturalny spokój. Na uliczce biegnącej przez środek wioski nie było żywego ducha. Więc tu się ukryła... - pomyślał. Postanowił właśnie zapukać do pierwszego domu i spytać o pracownię malarki, gdy dostrzegł na końcu drogi jakąś góralkę idącą wolno pod górę. Popędził konia i zrównał się z nią.

- Czy może pani wie, gdzie mieszka artystka Lea?

Obróciła ku niemu twarz.

- Lea!

To, że w pierwszej chwili wziął ją za miejscową kobietę, spowodowane było być może odmienną fryzurą. Lea nigdy przedtem nie czesała się w warkocz. A może zmyliła go wiejska kwiecista chusta zarzucona na ramiona.

- Lea - powtórzył. - Szukałem pani.

- Nie zrezygnował pan?

Zeskoczył z konia. Opuszkami palców dotknął jej bladego policzka.

- Proszę, niech pani za mnie wyjdzie!

Spojrzała mu prosto w oczy. Miał wrażenie, że jej wzrok przeszywa go na wylot.

- Dobrze.

Jej nieoczekiwana zgoda była dla niego zupełnym zaskoczeniem. Przygotowany był na walkę, długie rozmowy i przekonywania. Patrzył na nią osłupiały.

- Zgadza się pani? Naprawdę? - wykrztusił.

- Zgadzam się, jest jednak kilka rzeczy, które musi pan wiedzieć przed podjęciem ostatecznej decyzji. - Jej twarz pobladła jeszcze bardziej. - Istnieją powody, dla których być może wolałby pan wycofać swoje oświadczenia.

- To niemożliwe.

- Najpierw niech mnie pan wysłucha. - Była śmiertelnie poważna.

Zaprowadziła go do swojego domu, który z zewnątrz wyglądał jak zwykła wiejska chata, ale w środku bardzo przypominał mieszkanie, które kiedyś zajmowała w mieście. Ten sam układ półek, poukładane równo tubki z farbami, ten sam wieszak na tkaniny. Siedząc na drewnianym krzeselku w pracowni, wysłuchał mrocznej opowieści o kobietach rządzących Wyspą Sierot.

- Jeśli któraś z nas wyjdzie za mąż i urodzi dziecko, instruktorki zabierają je matce! Byłam na Wyspie Sierot kilka miesięcy temu i rozmawiałam z pewną osobą... One traktują ją jak zwykłą mleczkę... Gdyby zdawały sobie sprawę, ile

wie tu dziewczyna, rozszarpałyby ją na strzępy.

- Nie pozwolę nikomu zabrać naszego dziecka, Leo - powiedział spokojnie, ujmując ją za rękę.

- Nikt nie wie, jak działają instruktorki. Mają moc, która daje im wielką władzę... Nie będziesz w stanie im się przeciwstawić. Poza tym... coś dzieje się z matką dziecka i jej mężczyzną. Ona znika... może po prostu umiera z żalu. A on... zapomina. Zupełnie zapomina o swojej żonie...

Marszałek zerwał się na równe nogi. To właśnie stało się z nim! Przysięgał, że nigdy nie zapomni Lei, a potem znikła z jego pamięci na ponad dwadzieścia pięć lat. Gdzieś zapodziały się jej suknie, obrazy, pamiątki... Nie wierzył jej wtedy. Poza tym tak bardzo pewny był swojej siły. Był królewskim oficerem, synem potężnego rodu Thunberengów. Któż mógłby mu zaszkodzić?

Kiedy zawiadomił rodziców o zamiarze poślubienia Lei, ojciec się wściekł, a matka leżała tydzień w zaciemnionym pokoju, mówiąc, że boli ją głowa. Żadne z nich nie pojawiło się na ślubie. Ponieważ matka nie życzyła sobie mieszkać z „tą znajdą” pod jednym dachem, młoda para wprowadziła się do położonego wśród lasów pałacyku myśliwskiego. Lei odpowiadało to odosobnienie. Jemu trochę brakowało przyjęć, spotkań i tętniącego życiem królewskiego dworu. Nie miało to jednak zbyt dużego znaczenia. Ważna była Lea i jej szczęście. A wydawała się rzeczywiście szczęśliwa. Martwił ją tylko brak zamówień na portrety.

- Pani Thunbereng nie musi zarabiać na życie - uspokajał ją.

- Gdy nie zarabiam, nie płacę też podatków na rzecz Wyspy - wyjaśniła.

- Nie przynależysz już tam. Nie jesteś własnością instruktorek.

- One tak nie myślą. - Uśmiechnęła się smutno i pogłaskała swój wypukły brzuch.

- A skoro ja nie przynoszę im już zysków, będą chciały, żeby robiła to ona.

Nie miał pojęcia, skąd Lea wiedziała, że dziecko będzie dziewczynką. Wiele rzeczy dotyczących jego żony stanowiło dla niego tajemnicę. Lea zdawała się żyć jakimś osobnym, tajemniczym życiem. Pisała coś na małych karteczkach, które skrzętnie gdzieś ukrywała. Czasami mówiła coś do siebie. Namalowała też autoportret, zupełnie inny niż obraz z kolekcji barona Maimero. Tamten emanował smutkiem i osamotnieniem. Ten nowy wibrował kolorami. Lea wyglądała na nim bardzo pięknie, jak ucieleśnienie pokoju i miłości. Tło obrazu wypełniały wirujące jesienne liście.

- To piękny portret - powiedział, przytulając ją do siebie. - Gdzie go powiesimy? Patrzyli w ciszy na stojące na sztalugach płótno. Lea westchnęła.

- Nigdzie. Schowam go dla naszej córki.

- Dlaczego?! Gdzie?

- Nie powiem ci gdzie. A dlaczego... dowiesz się niebawem, gdy nadejdzie czas. Przekonywał sam siebie, że kobieta w odmiennym stanie ma prawo zachowywać się dziwnie. Ma prawo do tajemnic, do spełniania swych niezrozumiałych zachcianek, takich jak ukrywanie przed ludzkim wzrokiem przejmującego pięknego obrazu. Ma prawo siedzieć w ogrodzie i trzymając go za rękę szeptać: „Thea Felicitatis, Thea Felicitatis...”.

- Co to znaczy? - pytał.

- Niedługo ci powiem. - Uśmiechnęła się tajemniczo.

Powiedziała w końcu. Było to pod koniec września. Drzewa rosnące wokół pałacu złociły się w promieniach słońca. Siedzieli na kamiennej ławce pod krzewem ciągle jeszcze kwitnącej herbacianej róży. Lea wyglądała jak ciemnowłosa anioł w bladożółtej, obszernej sukni, spływającej w fałdach aż do ziemi.

- Chciałabym dzisiaj wszystko ci wyjaśnić - powiedziała, biorąc go za rękę. - Wszystkie moje niezrozumiałe zachowania: ukrycie portretu, pisanie maleńkich karteczek... Może myślałeś, że pomieszało mi się w głowie.

Zaprzeczył gwałtownie.

- Wcale tak nie myślałem. Po prostu spodziewasz się dziecka.

Roześmiała się.

- Tak, spodziewam się dziecka i chcę je zabezpieczyć. Kiedy umrę, albo tuż przedtem, nasza córeczka zostanie zabrana na Wyspę Sierot. Instruktorci wymażą z twojej pamięci wszelki ślad po mnie.

- Leo, jesteś zdrowa, nie umrzesz!

- Wiem, że umrę i nie mówmy już o tym. Są ważniejsze rzeczy. Musisz wiedzieć, że posiadam pewną umiejętność... niektórzy nazwaliby to darem, umożliwiającą mi wnikanie do ludzkich umysłów. Mogę też ukryć w czyjejś pamięci coś ważnego... jak bym chowała zapieczętowany list.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym wcześniej. Czy...

- Tylko raz zajrzałam w twoje myśli - uprzedziła jego pytanie. - Wtedy na drodze, gdy szukałeś mnie w górskiej wiosce, Musiałam wiedzieć, czy ty na pewno... Potem już nigdy. - Westchnęła. - Gniewasz się?

- Trudno mi przyjąć, że mówisz mi o tym wszystkim dopiero teraz.

- Wiem, przepraszam. - Pogładziła go po policzku. - Czy jesteś gotów słuchać dalej?

W milczeniu skinął głową.

- Chcę, żeby nasza córka była kiedyś wolna od instruktorek, żeby odnalazła ciebie, a przez ciebie także pamięć o mnie. My, dziewczyny z Wyspy, nie znamy swoich rodziców. Nie mamy żadnych wspomnień z nimi związanych. Jakieś sekretne działania instruktorek sprawiają, że słowa „matka” i „ojciec” wywołują w nas dreszcz niepokoju. Na szczęście nie udało im się zabić w nas potrzeby miłości. Kochamy krótko i mocno... a potem umieramy.

Przytulił ją rozpaczliwie, nie wyobrażając sobie, że mógłby ją stracić. Lea mówiła dalej z niezmaconym spokojem.

- Nadałam naszej córce tajemne imię Thea Felicitatis. Zamknę je w twojej pamięci i opieczętuję tak, że nie odnajdzie go najsprytniejsza z instruktorek. Ani Estrella, ani Anid Verda. To samo zawrę w pamięci naszej córki, jak tylko się urodzi. Będzie być może pierwszym dzieckiem z Wyspy Sierot, nad którym Instruktorci nie będą miały pełnej władzy.

- Potrafisz to zrobić? Przecież tyle razy mówiłaś o potędze tych kobiet.

- Istnieje miłość. Coś, do czego instruktorki nie są zdolne. Miłością zapieczętuję pamięć naszego dziecka.

Ciekawe, kto był w stanie złamać te pieczęcie... bo przecież Szklarka... dowiedziała się... Szklarka. Trudno mu uwierzyć, że to właśnie ona była tym maleńkim stworzonkiem, którym cieszył się niewiele ponad trzy tygodnie. Śmieszne, cienkie paluszki, ciemne, zaskakująco poważne oczka, które uważnie lustrowały jego twarz, tak mu się przynajmniej wydawało. Lea cały czas nosiła i całowała to dziecko. Przytulała je do siebie i coś szeptała w maleńkie uszko. Czuł, że rozpaczliwie próbuje wykorzystać jak najlepiej czas, który został jej dany. Ale nie mówiła już nic na temat instruktorek. Wzmocnił strażę. Zatrudnił większą liczbę krzepkich służących, którzy mieli dniem i nocą pilnować wszystkich wejść. Nikt nie mógł się pojawić w pobliżu pałacu niezauważony. I rzeczywiście, nie zauważono nikogo tej nocy, kiedy w ich małżeńskiej sypialni zjawiała się postać w szarym płaszczu. Lea obudziła się natychmiast.

- Jonan! - zawołała.

Otworzył oczy i zobaczył parę centymetrów od swojej twarzy gładkie oblicze bardzo pięknej kobiety o nieco ostrych rysach. Chciał zerwać się z łóżka.

- Śpij! - nakazała ostro nieznajoma i ku swemu przerażeniu poczuł, że powieki same mu opadają.

Obudził się dopiero rano. Lea leżała obok niego. Po jej twarzy spływały łzy. Nawet nie spojrział w kierunku kołyski. Wiedział, że będzie pusta.

- Kochanie... - Pochylił się nad żoną.

- Taki ból - wyszeptała. - Nie wiedziałam, że to będzie aż tak bolało.

- Co cię boli?

- Puste miejsce po naszym dziecku.

Tego dnia Lea nie wstała z łóżka. Ani tego, ani następnego.

- Proszę cię, nie umieraj! - Klęczał przy jej pościeli. - Spróbuj żyć dla mnie.

- Nie mogę. Ona wyciągnęła ze mnie wszystkie siły.

- Kto?

- AnidVerda. Widziałeś ją przecież.

Skoczył na równe nogi.

- Złożę skargę u króla! Powiem, że instruktorki porwały nam dziecko. Służba poświadczy moje słowa.

- Służba? - Uśmiechnęła się smutno. - Przecież oni są otumanieni. Chodzą jak żywe cienie i niczego nie pamiętają. Czy tego nie zauważyłeś?

- Leo! Wezwę lekarza!

- Nie. Pozwól mi spędzić te ostatnie dni tylko z tobą! Lekarz wymęczy mnie tylko zabiegami, które i tak nie poskutkują. Chcę odejść w spokoju.

Lea umarta. Nie pamiętał, co stało się z jej ciałem, gdzie została pochowana. Nie pamiętał nic z tego, co działo się tuż po jej śmierci. Marszałek płakał. Łzy, wtedy niewylane, teraz mogły płynąć bez przeszkód. Ciemne chmury syjące śniegiem wisiały ciężko nad lasem, a on z całego serca oplakiwał dawno zmarłą żonę.

Przeżywając na nowo ból po jej stracie, czuł jednocześnie dziwną radość. Bo dzieło Lei się dopełniło. Odzyskał pamięć i odzyskał dziecko. Szklarka... Thea... jak bardzo podobna jest do matki. Portret! Przecież gdzieś tu musi być! Znajdź go i zawieź Szklarce.

Poszukiwania zajęły mu trzy kolejne dni i nie przyniosły rezultatu. Schowam go dla naszej córki - no tak, to Thea miała go odnaleźć. Nadszedł czas, żeby powiedzieć Szklarce, kim naprawdę jest.

11.

Cecil klęczał, dotykając niewidzialnych łądyg.

- Niewiarygodne! - szeptał.

Podniósł wzrok na stojącą nieopodal Nellę.

- Mam nadzieję, że będzie nam wolno zabrać ze sobą kilka egzemplarzy tej rośliny - powiedział. - Po to przecież tutaj przybyliśmy.

- Panie Sarotian, przykro mi rozwiewać pańskie nadzieje, ale herbata szczęścia nie może istnieć poza wyspą.

- Przewiozę ją w roztworze konserwującym - upierał się botanik.

Nella wzruszyła ramionami.

- Nie wierzy mi pan. No cóż, proszę więc próbować.

Patrzyła przez chwilę, jak Cecil podważa łopatką niewidoczne korzenie, po czym odwróciła się do niego plecami. Scaber rozcierał w palcach włochaty liść. Myślał, że tak oto zakończyła się ich misja. Znaleźli herbatę szczęścia, ale jeśli wierzyć Nelli, do domu mogli zawieźć tylko opowieść. Nella odeszła parę kroków i usiadła w cieniu. Ona też zerwała jedną z łądyg i wdychała cierpki zapach roślinnego soku. Scaber usiadł obok. Nawet jeśli nie do końca jej ufał, to czuł do niej lekką sympatię. Może dlatego, że pochodziła z Wyspy Sierot, tak jak Szklarka.

- Dlaczego opuściła pani Arista Claitha? - spytał nieoczekiwanie dla siebie.

Wypytywanie o sprawy osobiste nie było jego zwyczajem, ale ta podróż, wyspa i wszystko, co się z nią wiązało, sprawiały, że zachowywał się inaczej niż dotychczas. Bardziej bezpośrednio. Bez grubej otoczki tego, co można nazwać dobrym wychowaniem.

- Ciekawe, że to pan zadaje to pytanie, a nie Ross.

- Po prostu chcę zrozumieć. Podobno tak robią wszystkie kobiety wychowane na Wyspie Sierot.

- To znaczy jak? - spytała ostro.

- Opuszczają swoich mężów. Znikają...

- Tak naprawdę większość umiera - powiedziała szorstko.

- Ale dlaczego?

- Dlaczego to pana tak interesuje, hrabio Sedun? - Popatrzyli na niego z ukosa.

Sięgnął przed siebie, wymacał kosmaty liść i zerwał go. Właściwie nic nie stoi na

przeszkodzie, żeby jej powiedzieć... A jednak jakoś się tego obawiał. Nikt poza Claithem nie wiedział o jego uczuciach do Szklarki. Nie miał w zwyczaju opowiadania o swoich prywatnych sprawach dopiero co napotkanym osobom.

- Denerwuje się pan?

- Jest taka dziewczyna... - zaczął, przełamując wahanie. - Ona pochodzi z Wyspy... Z Wyspy Sierot, tak jak pani.

- Rozumiem...

Nella patrzyła przed siebie. Jej ogorzałą twarz powlekl cień smutku. Czekał, aż coś powie, ale wydawała się bez reszty pogrążona w rozmyślaniach. Spojrzał na pozostałych. Ross i Cecil pochłonięci byli sporządzaniem notatek.

- Jak ma na imię? - spytała zniecierpliwiona Nella.

- Kto? Ach tak... Szklarka.

- Szklarka? To dziwne...

- Prawda? - podchwycił. - Ona maluje kwiaty na szkle. Do tego zajęcia takie imię pasuje.

- Zamierza pan się z nią ożenić? - Głos Nelli znowu zabrzmiał ostro.

Scaber wzdrygnął się. Raziła go obcesowość tej kobiety. Ale sam przecież zaczął rozmowę. I też pytał o sprawy osobiste.

- Tak. Zamierzam. Jeśli tylko ona się zgodzi. Nie chcę jednak, żeby nasze małżeństwo skończyło się tak, jak związek pani i Claitha. Nie chcę, żeby Szklarka ode mnie odeszła. Nie rozumiem tego wszystkiego! Całej tej sprawy z instruktorkami! Pani też ciągle jest taka tajemnicza. Nie odpowiedziała pani na żadne z moich pytań!

- Odpowiedź na pańskie pytania nie jest tak istotna - odpowiedziała sucho. - Najważniejsze, by uratować Szklarkę... Uchronić ją przed utratą dziecka, przed tym bólem, którego doświadczyłam i ja, i wiele innych...

- Ross mówił mi...

- Ross... Widzi pan, gdybym nie odeszła... A raczej, nawet gdybym została, Aristo Claith i tak nie cieszyłby się długo moją obecnością. Ucieszyło mnie, że założył normalną rodzinę, że mógł patrzeć, jak dorasta jego syn.

- To pani twierdzi, że byli normalną rodziną. Z tego, co mówił Ross...

- Mój ojciec nie był szczęśliwy. Przez całe życie sprawiał wrażenie, że stracił coś ważnego, że coś zgubił, ale nie potrafił sobie przypomnieć, co to było - wtrącił się Ross, podchodząc bliżej. - Moja matka wiedziała o pani. Mieszkała tuż koło was, kiedy byliście małżeństwem. Widziała, jak szczęśliwy był ojciec wtedy... i nigdy potem.

- Gdybym umarła, byłoby tak samo. Dano mi szansę ucieczki i życia tutaj. Musiałam podjąć decyzję w ciągu paru sekund. Myślałam...

Podniosła się ze znużeniem.

- Czas już wracać! - zawołała głośno w kierunku pochylonego nad notesem botanika.

- Tak! - ucieszył się Cecil, podnosząc głowę. - Musimy wrócić na statek! Chciałbym jak najprędzej umieścić herbatę szczęścia w roztworze Quinca.

- Niech pan sobie nie robi nadziei. - Nella westchnęła ze zniecierpliwieniem. - Nie jest możliwe wywiezienie tej rośliny poza wyspę. A co do powrotu... Musicie panowie trochę poczekać.

- Dlaczego?

- Wyspa znajduje się w tej chwili zbyt daleko od waszego statku - odpowiedziała zdawkowo.

- Co to ma znaczyć?! - wybuchnął Cecil.

- Czyżby dryfowała po oceanie? - zaciekawił się w tym samym momencie Ross.

- Nie, panie Claith. - Nella uśmiechnęła się cierpko. - Dryfuje pomiędzy światami. Proszę się jednak nie obawiać. Mniej więcej za tydzień będziecie mogli dostać się na pokład okrętu. Do tego czasu chciałabym omówić jeszcze pewne sprawy z hrabią Sedunem.

- A herbata szczęścia!? - wykrzyknął z rozpaczą Cecil.

Nella wzruszyła ramionami.

- Jeśli panu tak zależy, mogę w dniu odjazdu dostarczyć świeży egzemplarz.

Wspinaczka po ścianie kanionu okazała się dużo łatwiejsza niż schodzenie. Słońce przesunęło się tak, że skała znalazła się w cieniu. Cała powrotna droga do pałacu wydała się im znacznie krótsza. Kiedy znaleźli się w różanym ogrodzie, Scaber przypomniał sobie nocne przygody.

- Jak to się dzieje, że ogród raz wydaje się bardzo rozległy, a w innym momencie kurczy się do zwyczajnych rozmiarów? - spytał. - Wczoraj w nocy...

- Nie jestem w stanie wyjaśnić panu wszystkich zjawisk zachodzących na wyspie - przerwała mu ze zniecierpliwieniem Nella. - Mieszkam tu od ponad czterdziestu lat i nauczyłam się z nimi żyć. Nie zgłębiam ich istoty. Ostatecznie jestem tylko gościem, czy też raczej rezydentką.

- Kim wobec tego są prawdziwi tubylcy? - zaciekawił się Ross. - Czy ta para, która towarzyszyła pani pierwszego dnia...

- Jesteśmy na miejscu. - Nella wskazała błyszczące bielą ściany pałacu. - Tu panów pożegnam.

Odwróciła się na pięcie i zanim zdążyli coś powiedzieć, skręciła w najbliższą ścieżkę i znikła im z oczu. Pałac wabił wspomnieniem cienistego patio i szemrzącej fontanny, a jednocześnie śnie nie wydawał się im niczym więcej, jak tylko więzieniem. Wchodzili z ociąganiem po gładkich schodach odbijających promienie słońca. Scaber czuł się upokorzony.

- Traktuje nas, jakbyśmy byli naprzykrzającymi się dziećmi - mruknął ze złością.

Ross się zaśmiał.

- Kto? Nella? Może masz trochę racji. Na szczęście nie mówi „poczekaj, aż dorośniesz”, gdy zadajemy pytanie, na które nie ma ochoty odpowiedzieć. Po prostu zmienia temat.

- Znowu te bułki - jęknął Cecil, oglądając zawartość koszyka,

- Wolisz jadalospis kucharza okrętowego? - Ross rzucił mu ironiczne spojrzenie.

Botanik w odpowiedzi tylko wykrzywił się z obrzydzeniem, Bez słowa sięgnął po

kiść winogron i nagle zamarł w pół gestu,

- Co się stało? Znowu coś niejadalnego? - spytał Scaber, nie kryjąc rozdrażnienia. Cecil pokręcił przecząco głową.

- Słuchajcie! - powiedział. - Jeżeli ta wyspa jakoś się przemieszcza, jeżeli znika w innym świecie, to... nasi na statku na pewno to widzą i... mogą pomyśleć, że my także zniknęliśmy... i to na zawsze.

Zapadło ponure milczenie.

- Mam nadzieję, że tubylcy jakoś kontrolują sytuację. - Ross przysiadł na krawędzi fontanny.

- Wszystko to jest podejrzane - wybuchnął Scaber. - Ta kobieta, która nie informuje nas o żadnych istotnych sprawach! Rzuca ot tak sobie, że wyspa dryfuje między światami! Co to u licha znaczy? Jakimi światami?

- Mnie z kolei najbardziej przeszkadza beczynność. - Ross zaczął chodzić tam i z powrotem po patio. - Zagadki nie byłyby takie przygnębiające, gdyby można było podjąć próbę ich rozwiązania. Chciałbym poznać innych mieszkańców wyspy.

Scaberowi nawet nie chciało się odpowiadać. Wszedł do sypialni na piętrze i rzucił się na łóżko. Nie mógł opanować rozdrażnienia i zniechęcenia. Może rzeczywiście winna temu jest przymusowa beczynność. A może po prostu złości go, że musi spędzić na wyspie jeszcze kilka dni, gdy mógłby już wracać do domu, do Szklarki. Będzie musiał powiedzieć o niej rodzicom. Wzdrygnął się na samą myśl o tym. Znienawidzą Szklarkę za to, że stała się powodem ich upokorzenia. Wywiezie ją jak najdalej. Zamieszkają daleko od całej rodziny... Najpierw jednak z nią porozmawia. Czy zgodzi się zostać jego żoną mimo zakazu instruktorek, przed którymi czuje lęk? A może lepiej, żeby odmówiła? Jeśli grozi jej niebezpieczeństwo... Nella mówiła, że najważniejsze to uratować Szklarkę. Przed czym? Czy ta kobieta nie mogłaby mówić jaśniej? Rzucił się w pościeli dręczony myślami i wątpliwościami, aż do momentu, kiedy na niebie ukazał się po raz kolejny różowy księżyc.

12.

Siedzieli osowiali na górnym tarasie. Zapach róż niósł się ku nim gorącą falą. Od rana nic się nie działo. Nie przyszła po nich Nella ani nikt inny.

- Idę. - Ross zerwał się na nogi. - Mam już dość jałowego czekania.

- Chcesz znowu posmakować wody, od której urosną ci listki za paznokciami? - zadrwił Scaber.

Po upływie kilkunastu godzin oznaki spożycia nawozów znikły, ale jeszcze jakiś czas spoglądali nerwowo na końcówki włosów.

- Wolę cały zzielenieć, niż siedzieć tutaj i czekać, aż Nela wyprowadzi nas łaskawie na spacer.

- Rób jak chcesz. - Cecil machnął ręką zrezygnowany. - Pomęczysz się trochę w upale, ale nic ci się nie stanie. Jak zrozumiałem, jesteś synem męża Nelli. Ona ma

do ciebie słabość i nic pozwoli ci umrzeć.

Scaber potorturował się w myślach wizją palącego słońcu i wojujących zaciekle różanych krzewów.

- Idę z tobą - powiedział na głos.

- Nie musisz.

- Ja też tu nie wytrzymuję, nie rozumiesz?

- Rzeczywiście jest w tym miejscu coś takiego, co raczej odpycha, niż zachęca do pozostania - zastanowił się Ross.

- Brak książek, brak konkretnego zajęcia, monotonia - wyliczał metodycznie Cecil.

- Tobie także jest tu źle? - zdziwił się Scaber.

- Opisałem wszystkie nieznane mi dotychczas gatunki roślin rosnących na patio, dodałem szczegółowy opis herbaty szczęścia i chcę wracać. Nie mogę się doczekać momentu prezentacji moich odkryć na najbliższym posiedzeniu Królewskiego Towarzystwa Botanicznego. I tak jak wy mam dość identycznych, nijakich pokoiów... O do licha! - Głos Cecila wyrażał najwyższe zdumienie.

- Co się stało?

Nie odpowiedział. Stał z wytrzeszczonymi oczami i pokazywał coś w dole. Podeszli do skraju tarasu. Ponad morzem róż, nie do tykając stopą ani jednego kwiatu, stąpała Nella. Kiedy znalazła się kilka metrów od wejścia do pałacu, zsunęła się wprosi na ścieżkę. Zbiegli na dół.

- Jak pani to zrobiła?!

- Czy wszyscy mieszkańcy wyspy potrafią unosić się w powietrzu?

- Czy można się tego nauczyć?

Zarzucili ją pytaniami. Nella umościła sobie siedzisko z kilku poduszek i usadowiła się wygodnie. Królewskim gestem nakazała im zrobić to samo.

- Nie jest dobrze, żebym wam panowie zdradzała wszystkie tutejsze tajemnice. Rozumiem jednak, że na część pytań powinnam odpowiedzieć. Wyspa Nut, jak już mówiłam, dryfuje między światami. Będąc w jednym świecie, nie zawsze widzi się to, co należy do innego. Droga, po której szłam, to przerzucony ponad ogrodem wiadukt. Dla panów niewidzialny, dla mnie... no COŻ... Moje oczy go nie widzą, ale nogi - tak.

- Czy to znaczy, że herbata szczęścia też należy do tego innego świata? - spytał Cecil.

- Tak. I dlatego znika, gdy zostanie wywieziona poza wyspę.

- I jest pani absolutnie pewna, że nie da się jej jakoś utrwalić? Mógłbym przywieźć ze statku...

Nella westchnęła ciężko.

- Proszę mi wierzyć, wielu próbowało... Och, nawet pan nie wie, jak bardzo nam zależało na wywiezieniu rośliny poza wyspę... Żadna z prób nie zakończyła się sukcesem.

- Dlaczego było to dla was takie ważne? - padło szybkie pytsnie Rossa, który wykorzystywał każdą okazję, żeby dowiedzieć się czegoś o ludziach

zamieszkujących wyspę Nut.

Nella milczała przez chwilę. Claith, patrząc na nią, próbował sobie wyobrazić, jak wyglądała, gdy zakochał się w niej ojciec. Jej twarz, teraz pomarszczona, musiała być kiedyś bardzo ładna. Może nie odpowiadała klasycznym kanonom urody, ale na pewno przykuwała wzrok.

- To jest właśnie sprawa, o której chciałam porozmawiać z hrabią Sedunem - odezwała się w końcu kobieta. - I to na osobności.

- Ale to ja jestem kierownikiem wyprawy i botanikiem! - rozżłościł się Cecil. - Wszystkie informacje dotyczące herbaty szczęścia...

- W tym wypadku nie chodzi o botanikę, panie Sarotian. To sprawa osobista.

- Czy wobec tego moglibyśmy zakosztować przechadzki po niewidzialnej drodze? - spytał Ross, zirytowany faktem, że Nella nie raczyła odpowiedzieć na jego pytanie.

- Oczywiście. - Kobieta uśmiechnęła się promiennie. - Na lewo od wyjścia, przy ścieżce biegnącej na południe, znajduje się pochylnia, po której wejdziecie na wiadukt. Pan Sarotian rozpozna to miejsce bez trudu, gdyż rosną tam wyłącznie żółte róże odmiany Persica.

Odpowiedź Nelli zaskoczyła ich. Nie spodziewali się, że bez żadnych oporów zezwoli im na korzystanie z tajemniczej drogi, Popatrzyli na siebie i bez słowa ruszyli do wyjścia.

- Woda! - zawołał za nimi Scaber.

Zawrócili, żeby napęlić manierki. Kiedy ich kroki ucichły, Nella poprawiła się na poduszkach i zapytała półgłosem:

- Naprawdę zamierza się pan ożenić ze Szklarką?

- Jeśli tylko ona wyrazi zgodę - odpowiedział jak poprzednio,

- Obawia się pan, że może odmówić?

- Wiem, że dziewczynom z Wyspy Sierot nie wolno wychodzić za mąż. Szklarka może pozostać posłuszna tej zasadzie.

Nella roześmiała się z goryczą.

- O to akurat bym się nie martwiła. Kiedy którejś z nas przydarza się prawdziwa miłość, przestajemy się przejmować nakazami instruktorek.

Nachyliła się ku niemu.

- Kiedy tylko się pobierzecie, natychmiast wynajmijcie statek i przypłyńcie tutaj. Najlepiej byłoby, gdybyście wzięli ślub dopiero na pokładzie.

- Przecież na wyspę Nut nie kursują żadne statki! Ta wyprawa to rejs wyjątkowy, opłacony przez jakiegoś zwariowanego bogacza, któremu zależało na herbacie szczęścia!

- Nie jest pan chyba ubogim człowiekiem, hrabio Sedun.

Nella przeszła go ostrym spojrzeniem.

- Nie jestem - przyznał z urazą. - Ale nie rozumiem, po co mielibyśmy tu przyjeżdżać.

- Żeby uchronić Szklarkę i dziecko, które być może będzie w sobie nosić. Wyspa Nut jest jedynym miejscem na świecie, gdzie nie grozi im niebezpieczeństwo.

- Jakie niebezpieczeństwo?

- Instruktorci. Tylko tu, gdzie rośnie herbata szczęścia, żadna z tych strasznych kobiet nie odważy się postawić stopy. Gdyby to zrobiła, natychmiast rozpadłaby się w pył.

- Więc to dlatego zależało wam na wywiezieniu tej rośliny - domyślił się Scaber.

- Tak, hrabio Sedun. Gdyby to się udało, żadna instruktorka nie mogłaby przekroczyć progu domu dawnej wychowanki. Nie mogłaby odebrać jej dziecka ani zabić jej samej.

- Trudno mi uwierzyć w to, co pani mówi. Dlaczego miałyby robić te wszystkie straszne rzeczy?

- Zastanawiałam się nad tym często. Na pewno spragnione są władzy. Na pewno w jakiś sposób potrafią przedłużać swoje życie i młodość. Być może jest to kosztowne. Potrzebują więc armii artystek, których praca przynosiłaby im zyski. Dziewczyna wychodząca za mąż przestaje być tak wydajna, ale... jej dziecko dziedziczy zdolności. Jeśli się je odpowiednio wykształci, będzie kolejnym źródłem zasilającym skarbiec instruktorek. Wiem, że to wszystko brzmi dziwnie i nieprawdopodobnie, ale same instruktorki są dziwne i nieprawdopodobne. Nie pochodzą z naszego świata. O nie! Nasz świat jest dla nich miejscem zesłania. Nie wiem, jakie przestępstwo popełniły te kobiety, że wygnano je stamtąd, skąd pochodzą. Było to ponad tysiąc lat temu... Wyspa Nut jest wrotami do ich świata. Żeby nie mogły wrócić, posadzono tu herbatę szczęścia.

- Skąd pani to wie? - Scaber czuł się przytłoczony. Przygnębiała go myśl, że miałyby się osiedlić w tej krainie, której obcość była dla niego wręcz nie do zniesienia.

- To nie jest ważne.

Znowu to unikanie odpowiedzi. Znowu to zbywanie go lekceważącym machnięciem ręki.

- Pani jednak żyje! - powiedział z pretensją. - Instruktorci pani nie skrzywdziły. Nella poczerwieniła z oburzenia.

- Ma pan mi to za złe? - spytała z goryczą. - Żyję. Zabrano mi dziecko. Nie wiem nawet, jak wygląda. Po jego stracie leżałam w łóżku i czułam, jak życie mnie opuszcza. To pewnie sprawka Anid Verdy, która przyszła po moją córeczkę. Na szczęście pewnej nocy zjawiała się u mnie stara kobieta z długimi siwymi włosami... Wyglądała tak, jak ja teraz. „Wiem, co ci zrobiły instruktorki” - powiedziała. „Teraz zabijają ciebie. Jeśli chcesz żyć, musisz iść ze mną, natychmiast. Za chwilę przejście zostanie zamknięte i szansa przepadnie”. Wyciągnęła do mnie rękę. Chciałam pobiec do Arista i się pożegnać, ale twarz nieznanym zaczęła się zamazywać, jakby przesłaniała ją jakaś mgła. Chwyciłam jej dłoń i... znalazłam się tutaj.

- Kim była ta kobieta?

- Mieszkanką wyspy Nut. Dawną wychowanką Wyspy Sierot. Czasami pojawia się przejście, dzięki któremu możemy uratować jedną z nas. Bardzo rzadko udaje

się zabrać również mężczyznę. Pan pierwszy ma szansę ocalić siebie i żonę, zanim skrzywdzą ją instruktorki.

Scaber siedział zasepiony. Przygniatała go nieodwołalność to go, o czym mówiła Nella i brak możliwości wyboru. Jak na to wszystko zareaguje Szklarka? Tak niewiele padło między nimi słów. Trudno wyobrazić sobie, jaką podejmie decyzję. Może nie zechce się z nim wiązać. A on? Czy naprawdę jest w stanie spędzić całe życie na tej okropnej wyspie? Jeszcze wczoraj wieczorem roił sobie, jak to zamieszka ze Szklarką z dala od rodziny, żeby mieć święty spokój. Nie wyobrażał sobie jednak, że miało by to być aż tak daleko.

- Myślę, że byłoby dobrze, gdyby poznał pan innych mieszkańców naszej wyspy i zobaczył, jak żyją. Niewielu niestety mamy mężczyzn... Nie nalegam, aby pan poślubił Szklarkę, ale jeśli pan to robi, to naprawdę, jedyną przyszłością dla was jest wyspa Nut. - Popatrzyła na niego ze współczuciem. - Dla mnie także życie tutaj było na początku nie do zniesienia. Strasznie tęskniłam za córeczką i za Aristem. Pan jednak nie będzie sam.

Wstała i wygładziła suknię. On także się podniósł.

- Chciałbym zobaczyć innych - wyszeptał przez ściśnięte gardło.

- Wobec tego chodźmy.

Kiedy wyszli na palące słońce, uświadomił sobie, że musi nauczyć się je akceptować. Nie może już myśleć: „Jeszcze kilka dni i zniknę stąd na zawsze”. Powinien teraz powtarzać sobie, że to jest jego miejsce. Jedyne bezpieczne miejsce dla Szklarki. Może i on z czasem przyzwyczai się do tego okropnego klimatu.

- Jak to jest, że nie męczy pani ten potworny upał?

- Uwaga, wchodzimy na wiadukt. - Nella swoim zwyczajem zignorowała pytanie. Zobaczył, jak stąpa po niewidocznym wzniesieniu. Próbował pójść w jej ślady. Wymacał stopą twarde tworzywo. Szedł ostrożnie, widząc pod nogami żółte kwiaty Rosa persica. Powierzchnia drogi była chropowata. Rozejrzał się w nadziei, że zobaczy Rossa i Cecila.

- Pańscy przyjaciele są już daleko - odgadła jego myśli Nella. - Może pan iść obok mnie, droga jest wystarczająco szeroka.

To nie było proste - stawiać kroki w powietrzu, nie wiedząc, jak daleko znajduje się krawędź. Musiał się powstrzymać przed kurczowym łapaniem ramienia Nelli. Pot strumyczkami spływał mu po plecach.

- Wolę jednak iść za panią - wydyszał kompletnie wyczerpany. - Będę widział, gdzie stawia pani stopy.

- Dobrze. - Nella wyrozumiale pokiwała głową.

Szedł tuż za nią, wpatrując się w skraj jasnej sukni. Droga była równa i biegła prosto, przecinając ogród. Kątem oka widział barwny kalejdoskop róż. Wkrótce dogonili Rossa i Cecila, którzy posuwali się znacznie wolniej, niepewni każdego kroku.

- Dość niezwykle przeżycie. - Claithe uśmiechnął się krzywo.

Scaber w milczeniu skinął głową.

- Dokąd prowadzi ten trakt? - zaciekał się Cecil.
- Do Doliny Kai, gdzie znajduje się nasze osiedle - odpowiedziała Nella.
- To znaczy, że zobaczymy tubylców - ucieszył się Ross.
- W większości kobiety, dawne wychowanki Wyspy Sierot, panie Claith.

Ross przysunął się do Scabera.

- Coś ci powiedziała? - zagadnął szeptem.

Scaber ponuro skinął głową.

- Niewesołe nowiny, jak sądzę?

- Zgadłeś. Mam się osiedlić ze Szklarką na wyspie Nut, inaczej po urodzeniu pierwszego dziecka zostanie zabita przez instruktorki.

- Aach... - westchnął przeciągle Ross.

Nella zatrzymała się nagle i popatrzyła uważnie na obu mężczyzn.

- Rozumiem, że łączy was przyjaźń, panowie, ale ostrzegam: w sprawie, o której rozmawiałam z hrabią Sedunem, należy zachować ścisłą tajemnicę. Od chwili gdy opuścicie wyspę Nut, nikt poza wami nie może o niczym wiedzieć. Pan Sarotian, jak widzę, nie jest wtajemniczony, ale słucha z uwagą.

Cecil oblał się szkarłatnym rumieńcem i zrobił nieokreślony gest ręką.

- Zdażyłem zauważyć, że macie jakiś sekret, ale mnie nie fascynują tajemnice dotyczące czyjegoś prywatnego życia. Tych urywków rozmów, które zdarzyło mi się usłyszeć, nie mam zamiaru nikomu powtarzać. Nikt natomiast mnie nie powstrzyma przed rozgłaszaniem wiadomości o tym, co odkryłem na wyspie. Nie chodzi tylko o herbatę szczęścia, ale również o gatunki, które współcześni botanicy uznali za dawno wymarłe. Nie, tego nikt mi nie zabroni! - Cecil poczerwieniał. Widać było, że daje upust skrywanym od dłuższego czasu obawom.

Nella przejrzała go natychmiast.

- A więc boi się pan, że uniemożliwimy panu ogłoszenie pańskich odkryć?

- Szczerze mówiąc, wy, wyspiarze, nie budzicie mojego zaufania. Pani, Nello, unika odpowiedzi na stawiane jej pytania. Mam poczucie, że czasami bawicie się z nami w kotka i myszkę. I... nic wiem, jakie jeszcze niespodzianki chowacie w zanadrzu. Bardzo możliwe, że w ostatniej chwili nie pozwolicie nam opuścić wyspy...

Nella zaśmiała się.

- I co byśmy z wami robili? Jeśli ktoś chce mieć więźniów, musi ich pilnować, a na to po prostu szkoda nam życia. Tak więc, panie Sarotian, może pan głosić swoje rewelacje o zaginionych gatunkach, byle tylko nie wspominał pan o zamieszkujących wyspę ludziach i o sprawach, które omawiam z hrabią Sedunem.

W milczeniu skinął głową.

Szli przez dłuższy czas, nie odzywając się do siebie. W pewnej chwili Ross przykucnął i dotknął palcami niewidzialnej nawierzchni.

- Z czego zbudowana jest ta droga?

Nella wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. To nie my ją zbudowaliśmy, tylko mieszkańcy Corredo.
- Corredo?
- Tak nazywa się ten drugi świat.
- Czy możemy zobaczyć kogoś z nich? - drążył zafascynowany Ross.
- Nie sądzę. - Nella pokręciła głową. - Zjawiają się tu rzadko i niespodziewanie.
- Jacy są? - teraz pytanie zadał Scaber. Pamiętał, co wcześniej mówiła mu Nella - że instruktorki pochodzą z tego obcego świata.
- Wyglądają tak jak my, ale żyją dużo, dużo dłużej. Mają umiejętności i wiedzę, o jakich nam się nie śniło, ale nie dzielą się tym chętnie. Jednak dzięki nim żyje nam się tutaj dość łatwo. Dostarczają nam wszystkiego, czego potrzebujemy.
- Czy była pani kiedyś w Corredo? - spytał Ross.
- Co noc jesteśmy wszyscy w Corredo.
- Mam na myśli ich miasta, domy...
- Nie.
- Czy nie czujecie się więźniami?
- Hrabio Sedun, lepiej być więźniem na pięknej wyspie niż martwym ciałem zakopanym w ziemi - odpowiedziała z wyraźnym rozdrażnieniem.
Wyczuli, że droga zaczyna się piąć lekko pod górę. Wkrótce pod ich stopami znalazł się kamienny mur okalający ogród i znaleźli się ponad usianym skałami płaskowyżem. Scaber obliczył w myślach, że droga do granicy ogrodu zajęła im około pół godziny.
- Już niedaleko - rzuciła Nella przez ramię.
Szlak wiódł ich ponad skalnymi rumowiskami. Było tu chłodniej i bardziej wietrznie. Słońce które odbijało się od kamiennych powierzchni, raziło wzrok. Wkrótce teren zaczął opadać. Na zboczach pojawiły się winnice, sady i małe pola uprawne. Schodzili w dolinę, której dnem płynęła nieduża rzeka. Po obu jej stronach rozrzucone były domy. W niczym nie przypominały prymitywnych kamiennych budowli, które widzieli pierwszego dnia. Podchodząc coraz bliżej, przyglądali się z zachwytem miniaturowym pałacykom rozsianym w dolinie. Każdy z nich był unikalnym dziełem sztuki architektonicznej i zdobniczej. No tak, pomyślał Scaber. Artystki z Wyspy Sierot nie mogłyby mieszkać w byle czym.
- Jak tu pięknie! - zawołał oczarowany Cecil.
- I co pan na to, panie Sedun? - Nella uniosła brwi i nie czekając na odpowiedź, dodała: - Uwaga, schodzimy!
Droga opadała ostro w dół. Ostrożnie stawiając stopy, posuwali się za przewodniczką. Nie widzieli żadnych ludzi.
- Nikt nas nie wita - zauważył Claith, rozglądając się dokoła.
Nella rozłożyła bezradnie ręce, a w jej oczach ukazał się smutek.
- Nie ma tu zbyt wielu mieszkańców, panie Claith. Spora liczba domów stoi pusta od śmierci ich właścicieli. Jak panu mówiłam, hrabio Sedun, nie zawsze udaje nam się zdążyć na czas, toteż nasza wyspa słabo się zaludnia.
Szli niezbyt szeroką, brukowaną drogą. Kamienie, z których ją wykonano, były

różnokolorowe i przemyślnie ułożone w kwiatowe rozety. Po obu stronach rosły obsypane różowymi kwiatami krzewy oleandrów. Ich słodki zapach wypełniał powietrze.

- Najpierw zapraszam do siebie. - Nella wskazała na nieduży jasnozielony domek pokryty brązową, glazurowaną dachówką. W jego rogi wbudowano cztery potężne kamienie. Były to właściwie skalne odłamy z licznymi pęknięciami i załamaniem. W których rosły bujnie rozmaite sukulentki pokryte jaskrawymi, drobnymi kwiatkami. W drzwiach nie było zamka. Nella nacisnęła klamkę i weszli do środka. Pokój, w którym się znaleźli, był przestronny i jasny, mimo płóciennych zasłon ograniczających dopływ światła. Ściany pokrywały haftowane kilimy. Olbrzymia, bogato wyszywana narzuta leżała na łóżku. Nawet dywanik przykrywający częściowo jasne deski podłogi był dziełem sztuki. Nella wskazała im leżące pod ścianą sterty puchatych poduch.

- Rozgośćcie się, panowie. Nie mam zbyt wielu mebli.

Wyszła do sąsiedniego pomieszczenia. Po chwili wróciła, niosąc tacę, na której stał szklany dzban pełen jasnożółtego płynu i cztery szklanki. Postawiła wszystko na niskim stoliku. Wlała napój do szklanek.

- Pijcie, panowie. To sok z owoców mango, kiwi i cytryny. Bardzo orzeźwiający.

- Pani sama to wszystko zrobiła, prawda? - Ross zatoczył szeroki łuk ręką.

- Większość. Niektóre rzeczy to dzieła Regny, kobiety, która mnie tu sprowadziła i z którą mieszkalam aż do jej śmierci. Byłyśmy jak matka i córka. Obie wychowane przez instruktorki i pozbawione bliskich, stworzyłyśmy sobie tutaj namiastkę rodziny.

Scaber podszedł do ściany, żeby z bliska obejrzyć gobeliny. Były na nich kwiaty, zwierzęta, krajobrazy przedstawiające dziką przyrodę albo widoki miast. Na osobnym miejscu wisiał mały portret noworodka. Dziecko Nelli - domyślił się, patrząc na precyzyjnie oddane odcienie delikatnej dziecięcej skóry. Ściegi były tak drobne, że gobelin wyglądał jak malowany cienkim pędzlem obraz.

Jak wygląda wasze życie? - Ross nie rezygnował z zadawania pytań. - Kto produkuje jedzenie i meble? Kto buduje domy? Kto uprawia pola i ogrody?

- Dzielimy się - odpowiedziała lekko Nella. - Każdy robi to, co lubi, albo to, co umie. Dbanie o owoce i warzywa nie jest uciążliwe. Tu wszystko samo rośnie. Mamy warsztaty, w których można prząść przędzę i tkać materiały. Mamy farbiarnię...

- A budowanie domów? Przecież to ciężka praca, a tu mieszkają, jak pani mówiła, prawie same kobiety.

- Kobiety potrafią budować, rzeźbić w kamieniu i drewnie, panie Clai. - Nella zaśmiała się. - Ale ma pan rację, bez specjalnych urządzeń byłoby to trudne. Domy pomagali dawno temu stawiać przybysze z Corredo. Oni też dostarczyli nam wielu maszyn, które służą po dziś dzień.

- Mogę je zobaczyć? - zapalił się Ross.

- Oczywiście, możemy przejść się do warsztatów - odpowiedziała uprzejmie.

I znowu wędrowali brukowaną drogą. Wszędzie pełno było kwitnących drzew i

krzewów. Scaber miał wrażenie, że spaceru ją po jakimś rozległym parku. Co jakiś czas mijali filigranowe kamienne mostki rozpięte nad rzeką. Na jednym z nich stała wysoka, czarnowłosa kobieta i wpatrywała się w wodę. Ubrana była w powiewny strój składający się z wielu warstw malowanego jedwabiu. Słyszając kroki, obróciła się w ich kierunku.

- Jaka piękna... - Ross westchnął.

Miała lekko oliwkową cerę, regularne rysy i wielkie, ciemne oczy w obwódce długich, czarnych rzęs. Nella wydawała się zaskoczona jej widokiem, ale szybko się opanowała i zaczęła dokonywać prezentacji.

- Oto nasi goście: pan Cecil Sarotian, hrabia Scaber Sedun i pan Ross Claith... syn mojego męża...

- Mam na imię Sorbita. - Ciemnowłosa piękność skinęło głową.

- Sorbita? - zastanowił się Ross. - Gdzieś słyszałem to imię.. Nawet chyba panią spotkałem...

- Musiało to być dawno. Mieszkam tu już od ośmiu lat.

Ross przypatrywał się jej uważnie.

- Sorbita... Sorbita... Heffield! Tak! Już sobie przypomniałem! Była pani żoną Ida Heffielda, syna ambasadora.

- Ma pan niezwykłą pamięć, panie Claith - powiedziała chłodno Sorbita.

- Nie chciałem sprawić pani przykrości. - Ross poważnie popatrzył jej w oczy.

Scaber miał straszną ochotę zapytać, czy zna Szklarkę. Są przecież zbliżone wiekiem. Może Sorbita jest trochę starsza, ale chyba niewiele. Jednak moment nie wydawał się mu odpowiedni.

- Idziemy do warsztatów - zabrzmiał rzeński głos Nelli. - Pan Claith bardzo chciał obejrzeć maszyny z Corredo.

- Kiedy będziecie wracać, zapraszam do mojego domu... - powiedziała z lekkim wahaniem Sorbita. - Ja... chętnie posłuchałabym, co się dzieje... w prawdziwym świecie. Przyrowadzisz panów, Nello, prawda?

- Oczywiście. - Głos starszej kobiety zabrzmiał sucho.

Scaber był niemal pewien, że dotknęła ją wzmianka o „prawdziwym świecie”. Dla niej to wyspa Nut była jedynym prawdziwym światem. Sorbita zeszła z mostu i skręciła gdzieś w bok. Oni poszli w przeciwnym kierunku. Budynek mieszczący warsztaty kryły się za zwartą kępą drzew laurowych i tamaryszków. Były to obszerne budowle z dużymi oknami wzniesione z jasnego kamienia. Maszyny stały na środku. Wykonane z nieznanego metalu, lśniły błękitnawo. Najeżone były gałkami i pokrętłami niewiadomego przeznaczenia. Nigdy nie widzieli czegoś podobnego. Scaber poczuł, jak zimny dreszcz przebiega mu po plecach. Maszyny budziły w nim podobne odczucia jak różowy księżyc i nieznanne gwiazdne konstelacje. Miałby tu żyć? Miałby obsługiwać te dziwne produkty obcej cywilizacji? Dla Szklarki... ze względu na nią... Zbliżył się do towarzyszy i zaczął słuchać wyjaśnień Nelli.

- To jest piec do wytopu szkła, a ten do metali.,

- Takie małe? - zdziwił się Ross.

- Nie potrzebujemy dużych.
- Ależ do uzyskania bardzo wysokich temperatur trzeba...
- To wszystko działa na innych zasadach, niż jest pan do tego przyzwyczajony, panie Claith. Mamy specjalne paliwo dostarczane z Corredo... i korzystamy ze słońca... Nie potrafię panu tego wszystkiego wyjaśnić. Ich wiedza jest naprawdę daleko większa niż nasza.

Ross błędził między maszynami, przeciągając ręką po lśniącej powierzchni metalu. W pewnym momencie podniósł głowę i spojrzał na Scabera.

- Są niesamowici. Masz szczęście - gdy tu zamieszkasz, będziesz mógł się z nimi spotkać. Mają takie możliwości...

- Nie mam ochoty. - Scaber odwrócił się i wyszedł na zewnątrz.

Usiadł na płaskim kamieniu i bezmyślnie gapił się na błękitne kwiatki wyrastające kępkami w trawie u jego stóp. Po chwili na kwiaty padł cień.

- Proszę się nie zamartwiać, hrabio Sedun. Może pan przez całe życie nie tknąć tych maszyn i nikt tego panu nie będzie miał za złe.

- Nie chodzi o maszyny - powiedział ze złością. - Tylko o... ich obcość. Ja... drażni mnie... Trudno znośzę fakt, że ta wyspa znajduje się częściowo w innym świecie. Nie potrafię zaakceptować tego, że w nocy budzę się i mam nad sobą zupełnie obce niebo.

Nella przysiadła obok niego.

- Jest pan niezwykłym mężczyzną, hrabio Sedun.

Spojrzał na nią zaskoczony.

- Ma pan kontakt ze swoimi uczuciami, a to rzadka cecha. Zwłaszcza u przedstawicieli pańskiej płci. Kiedy się tu znalazłam, przez pierwszy rok prawie cały czas płakałam. Straciłam wszystko, co miałam najdroższego, i znalazłam się w obcym miejscu. Ma pan rację, taka obcość może budzić przerażenie. Tylko że ja doświadczyłam większej grozy... Widziałam Anid Verde, jak zabiera moje dziecko i nie mogłam jej przeszkodzić. Do tej pory pamiętam uczucie paralizującego lęku, jakie mnie ogarnęło, kiedy na mnie spojrzała. Wyspa Nut jest jedynym terytorium, na które instruktorki nie mają wstępu. Kiedy to sobie dogłębnie uświadomiłam, zaczęłam akceptować różowy księżyc. - Uśmiechnęła się do niego.

Ross i Cecil wyszli z warsztatu.

- Jak to się dzieje, że maszyny, choć pochodzą z Corredo, są widoczne? - Dociekliwy umysł Rossa nie próżnował.

- Większość surowców użyta do ich budowy wydobywana była na wyspie.

- Niezwykłe! Niesamowite! Zrobiłem kilka szkiców...

- Tak? - W głosie Nelli zabrzmiała osobliwa nuta. - Mogłabym je zobaczyć?

Ross wyciągnął ku niej otwarty notes.

- Nie są zbyt dokładne - zaczął tłumaczyć - ale...

Przerwał. W osłupieniu patrzył, jak kobieta szybkim ruchem wydiera zarysowane kartki i drze je na drobne kawałeczki.

- Nie wolno wam przekazywać informacji o Corredianach i ich wyrobach do

waszego świata! - powiedziała z gniewem. - Wydaje mi się, że już to mówiłam.

- Nie tak radykalnie - odpowiedział szyderczo Ross, wrywając jej notes.

Zapadło milczenie. Nella wydała się im nagle kimś zupełnie obcym, wręcz wrogim. Poprzednia poufałość znikła.

- Zaprowadzę panów do Sorbity - powiedziała sztywno staruszka.

Szli szybko w nabrzmiałej urazą ciszy. Ross rozglądał się wokół, jakby chciał zarejestrować w pamięci wszystko, na czym spoczął jego wzrok. Dom, przed którym stanęli, przypominał miniaturowy pałacyk z różowego marmuru oznaczonego złotymi żyłkami.

- Jesteśmy! - zawołała Nella.

Drzwi wejściowe zrobione z grubego, mlecznego szkła otworzyły się na oścież.

- Wejdźcie, proszę.

Nietrudno było zgadnąć, czym się zajmuje Sorbita. Ze ścian i z sufitu zwisały jedwabne szarfy malowane w kwiaty i motyli', jedwabne zasłony przepuszczały przefiltrowane przez barwny materiał promienie słońca. Białe eleganckie krzeselka stojące wokół owalnego stołu obite były ręcznie malowaną tkaniną. Właścicielka tych dóbr obserwowała z uśmiechem, jak zachwyconym wzrokiem wodzą po całym wnętrzu.

- Widzę, że podoba się tu panom.

- Tworzy pani przepiękne rzeczy! - wykrzyknął spontanicznie Cecil.

Nieoczekiwanie Sorbita podeszła do Rossa.

- Czy pan coś wie o moim mężu? Co się z nim dzieje? - spytała. - Mówił pan, że go zna.

Claith nagle się zaczerwienił.

- Nie... nie znam za dobrze... - Wahał się przez chwilę. - Wiem, że ambasador Heffield został przeniesiony razem z rodziną na nową placówkę... do Aum. Dwa lata temu było tam trzęsienie ziemi. - Ross przełknął ślinę. - Rezydencja ambasadora.. uległa zniszczeniu. Cała rodzina zginęła pod gruzami.

Sorbita stanęła przy oknie.

- Wiedziałam... - szepnęła i dwie duże łzy spłynęły spod jej czarnych rzęs.

- Nie chciałem tego mówić. - Ross pokręcił głową. - Nie umiem oszukiwać... Proszę wybaczyć, może powinienem to powiedzieć w jakiś delikatniejszy sposób.

Niespodziewanie Sorbita wybuchnęła złością.

- Proszę mi się tu nie obwiniać! - krzyknęła. - Dlaczego pan mi się każe teraz pocieszać? Zapewniać, że nic się nie stało, że nie mam panu za złe!...

- Sorbito! - Nella objęła młodszą kobietę.

- Wiedziałam - szepnęła znowu Sorbita. - Czułam, że coś się z nim stało! Bałam się, że to instruktorki. Że go zabiły!

- Cii... cicho... - Nella kołysała ją w ramionach.

Scaber pociągnął Rossa za rękaw i ruchem głowy wskazał mu drzwi. Dali znak Cecilowi i po cichu opuścili dom. Stanęli w cieniu figowca wyrastającego tuż przy wschodniej ścianie budynku.

- Zdaje się, że Sorbita zaprosiła nas tylko po to, żeby dowiedzieć się czegoś o

swoim mężu - zauważył z ledwie wyczuwalną goryczą Ross.

- Czy moglibyście mi w końcu powiedzieć, o co chodzi z tymi instruktorkami? - zirytował się Cecil. - Atmosfera jest tak gęsta od tajemnic, że nie ma już czym oddychać.

Scaber opowiedział mu w skrócie o wszystkim, czego dowiedział się od Nelli. Sarotian pomilczał chwilę.

- A wystarczyłoby przenieść do nas herbatę szczęścia... - Pokręcił głową z niedowierzaniem. - Czy ci z Corredo, przy całej swojej wiedzy, nie mogliby rozwiązać tego problemu?

- Może nie próbowali. Im nie zależy - powiedział z goryczą Scaber. - Przecież to obcy! To oni zesłali do naszego świata instruktorki, zamiast sami się z nimi uporać! I wcale nie chcą, żebyśmy za pomocą herbaty szczęścia uwolnili się raz na zawsze od tych kobiet. Najprawdopodobniej uważają nas za istoty niższego rzędu!

- Być może ma pan rację. - Nella pojawiła się w drzwiach domu z Sorbitą u boku.

- Wiem jednak, że ocalili nam życie. A jeśli zamieszka pan tu ze Szklarką, zapewnią bezpieczeństwo także i jej.

- Szklarka? - zdziwiła się Sorbita. - Znam Szklarkę. Była w młodszej grupie. Malowała na szkle.

Spojrzała uważnie na Scabera.

- Pan... i ona... Pan ją kocha?

Scaber skinął głową.

- Więc musi pan ją tu przywieźć! Koniecznie! Obiecuję pan? Niech pan przysięgnie!

Widział wpatrzone w niego błagalnie czarne oczy.

- Niech pan przysięgnie, że jak tylko ją pan poślubi, to zaraz wsiądziecie na statek! Musicie tu się znaleźć, zanim...

Przerwała. Przez chwilę stała nieruchomo z rękami opuszczonymi wzdłuż ciała. Ledwie wyczuwalny wiatr poruszał jedwabnymi chustami, w które była spowita. Powoli zwróciła wzrok na Rossa. Ciemny rumieniec wypłynął na jej policzki.

- Przepraszam za mój wybuch, panie Claith. Przecież to nie pańska wina, że Id zginął. I tak nie mogłabym już nigdy z nim być. Instruktorki usunęły mnie z jego wspomnień jak niepotrzebny śmieć. Gdyby mnie zobaczył, nie wiedziałby, kim jestem. Ale tęskniłam za nim przez wszystkie te lata. - Głos jej zadrżał lekko, ale nie rozplakała się. Nabrała powietrza i spróbowała się lekko uśmiechnąć. - Nie byłam dotychczas zbyt gościnna. Wejdźcie ponownie do środka i spróbujcie moich różnych ciasteczek.

Scaberowi nie minął uraz związany z różami, toteż skrzywił się lekko na myśl, że miałby wziąć do ust kulinarny specjał Sorbity. Wszedł jednak ochoczo do saloniku. Miał nadzieję, że uda mu się porozmawiać o Szklarce. Chciał poznać najdrobniejsze szczegóły dotyczące jej dzieciństwa na Wyspie. Zasiedli na filigranowych krzeselkach. Sorbita postawiła przed nimi talerz z piramidą maleńkich różowych ciasteczek. Nella nie czekała na zaproszenie i poczęstowała

się pierwsza.

- Zachęcam, panowie - powiedziała, przełykając pierwszy kęs. - Te smakołyki dorównują kunsztem malowanym jedwabiom, które tu widzicie.

Sorbita oparła łokcie na blacie stołu i przypatrywała się im zachłannie.

- Tak dawno nie widziałam zwyczajnych ludzi.

- Nie są tacy zwyczajni - sprostowała Nella. - Zapominasz, że nie wystraszyli się mgły i przebyli podziemną drogę.

- Nie zapomniałam. Mówiąc „zwyczajni”, miałam na myśli to, że mieszkają poza wyspą Nut. I to, że nie wychowywali się na Wyspie Sierot. Instruktorzy nie miały wpływu na ich życie.

- Rozumiem, że pani też zabrały dziecko, tak jak Nelli. - Ross popatrzył na nią współczująco.

- Nie tylko! - Czarne oczy Sorbity błysnęły gniewnie. - Zabrały też męża, a wcześniej rodziców! Pozbawiły mnie ojca, matki i normalnego domu. Przecież ja też zostałam komuś odebrana, prawda? Mam tylko swoje umiejętności, talent... sztukę zamiast miłości. I moja córka też! Dorasta pod czujnym okiem Estrelli i innych... Anid Verdy... - Sorbita wstrząsnęła się. - Chodzi po Wyspie od jednego ponurego budynku do drugiego, uczy się panować nad uczuciami i żyć w samotności.

- Może mógłbym ją odnaleźć i przywieźć na wyspę Nut? - rzucił Ross, patrząc w przestrzeń.

- Panie Claith, córka Sorbity ma teraz osiem lat. Minie jeszcze dziesięć, zanim będzie mogła opuścić Wyspę i rozpocząć samodzielne życie - odezwała się surowo Nella. - Nie wiemy, jak wygląda ani jak ma na imię. Proszę nie wymyślać rzeczy, które wzbudzają nadzieje niemożliwe do zrealizowania.

- Myślę, że dziecko dałoby się łatwo rozpoznać, jeśli tylko odziedziczyło urodę po matce.

Ciemny rumieniec wypłynął na policzki Sorbity. Jak zahipnotyzowana wpatrywała się w Rossa.

- Chce pan powiedzieć, że za dziesięć lat przyplynie tu z moją córką?

- Sorbito! - Nella poderwała się nagle. - Ta rozmowa prowadzi donikąd! Czy pan myśli, panie Ross, że młodzianka dziewczyna popłynie z panem na nieznaną wyspę, dając wiarę mglistym obietnicom, że zawiezie ją pan do matki?

- Nie należy odrzucać jakiegось pomysłu tylko dlatego, że na pierwszy rzut oka wydaje się nierealny. - Ross odpowiadał na zarzuty Nelli, ale jego spojrzenie utkwione było w twarzy Sorbity. - Istnienie herbaty szczęścia jest tego potwierdzeniem. Wyruszyliśmy powodowani czyimś szalonym marzeniem o roślinie uważanej za nieistniejącą.

- I wróćcie bez niej. - Nella podparła się pod boki. - Bo herbata szczęścia nie należy do waszego świata. Mrzonka pozostanie mrzonką!

Ross nie odpowiedział. Przyglądał się uważnie Sorbicie, która siedziała ze spuszczoneym wzrokiem.

- Nic pani nie mówi? - spytał prawie szeptem.

- Muszę pomyśleć, panie Claith - odpowiedziała, nie patrząc na niego.
- Dobrze. - W głosie Rossa zabrzmiała niezwykła łagodność. - Myślę, że powinna się pani zastanowić. Proszę dać znać, gdy już podejmie pani decyzję.
Sorbity podniosła głowę. Ich spojrzenia się spotkały.
- Czas wracać, panowie - rozkazała ostro Nella i od razu skierowała się do wyjścia.
Ross obrzucił ją drwiącym spojrzeniem.
- Sprawy wymykają się pani z rąk, nieprawdaż, Nello? - powiedział, po czym zwrócił się do Sorbity: - Zobaczymy się jeszcze.
Znow szli po niewidzialnej drodze. Nella była wzburzona. Scaber odnosił wrażenie, że chętnie zepchnęłaby ich z wiaduktu prosto w kłujący gąszcz róż.
- Nie powinien pan rozbudzać w niej nadziei! - wybuchnęła w końcu, zwracając rozzłoszczoną twarz w kierunku Claitha. - Nie powinien pan mówić do niej w ten sposób! Teraz będzie się żywiła mrzonkami i to jeszcze bardziej utrudni jej zaakceptowanie życia na wyspie.
- Przecież jest tu osiem lat! - wykrzyknął Scaber. - I jeszcze się nie przystosowała?
- Życie tutaj nie jest zbyt fascynujące... Żadnych niespodziewanych zdarzeń, wciąż ta sama garstka poranionych przez instruktorki ludzi. - Nella spojrzała mu w oczy. - Tak. Trudno jest zaakceptować fakt, że będzie się mieszkać na odciętej od świata wyspie już do końca życia.

13.

- Panno Szklarko, znowu ten dziwny mężczyzna w kapturze.
- Dobrze. Poproś go na górę, Verko.
Znow marszałek Thunbereng? Zaledwie tydzień minął od jego pierwszej wizyty. Co go opętało wtedy? Patrzył na nią tak dziwnie... I to pożegnanie... „Do zobaczenia, Theo”. Taka poufałość...
- Proszę usiąść, panie marszałku.
Ona sama siadła po drugiej stronie stołu. Na wszelki wypa dek wołała odgrodzić się od gościa. Popatrzyła na mężczyznę z ciekawością i obawą.
- Chciałbym coś ci opowiedzieć, Theo - zaczął trochę niepewnym głosem.
- Widzę, że spodobało się panu moje tajne imię - powiedziała sucho, reagując niechęcią na to, że bez żadnego widocznego przyzwolenia z jej strony zwraca się do niej na „ty”.
- Za chwilę przestaniesz mówić do mnie „proszę pana”. - Marszałek zaśmiał się z zażenowaniem. - Daj mi tylko chwilę, żebym mógł ci opowiedzieć pewną historię.
W milczeniu skinęła głową, zastanawiając się jednocześnie, czy marszałek z jakiegoś powodu nie postradał zmysłów. Kiedy zaczął szczegółowo opisywać dzieje swojego pierwszego małżeństwa z dziewczyną z Wyspy Sierot, pomyślała,

że chce ją zniechęcić do związania się ze Scaberem. Jednak w miarę jak mówił, słuchała go z coraz większą uwagą. To nie o Scabera chodziło, ale o coś zupełnie innego... coś nieprawdopodobnego... cudownego i strasznego zarazem.

- Kobieta, która ukazywała mi się we śnie i kazała szukać herbaty szczęścia, była Lea. W trakcie tych poszukiwań znalazłem ciebie, Theo. Tak jak to zaplanowała twoja matka. Jesteś do niej bardzo podobna.

Szklarka siedziała nieruchomo. Zorientowała się, że od dłuższej już chwili wstrzymuje oddech. Więc to jest jej ojciec. Marszałek Thunbereng jest jej ojcem, a Pepperia... przyrodnią siostrą.

- Trudno mi w to wszystko uwierzyć - wyszeptała.

- Wiem.

Siedzieli odgradzeni stołem i bali się wykonać jakikolwiek gest. Szklarka nie wiedziała, jak się zachować. Czy marszałek oczekiwał, że rzuci mu się na szyję z okrzykiem „tato!”?

- Ja... nie wiem, jak się postępuje z ojcami - powiedziała w końcu.

Marszałek parsknął śmiechem.

- Nie oczekuję szczególnych wybuchów entuzjazmu, ale chciałbym, żebyśmy się lepiej poznali. Pojedź ze mną do Terrbrum. Wiem, że Lea ukryła tam dla ciebie jakieś listy. Nie udało mi się ich znaleźć, ale nic dziwnego. Przeznaczone są przecież dla ciebie.

Powinam mu powiedzieć o Scaberze, pomyślała. Ale jeszcze nie teraz. Ojciec. Miała prawdziwego ojca. Nie była znikąd. Nie była anonimową sierotą z Wyspy. Zna imiona swoich rodziców. Jak by to było, gdyby pojechała teraz na Wyspę i rzuciła w twarz Estrelli albo Anid Verdzie: „Ukradłyście mnie mojej matce! Jestem córką Lei i Jonana Thunberengów! Nie należę już do was!”? Mogłyby już nigdy jej nie wypuścić. Mogłyby... och.

Szklarkę ogarnęło nagle przerażenie. - Mogłyby zabrać jej pamięć o tym, co właśnie odkryła. Poderwała głowę i rozszerzonymi ze strachu oczami spojrzała na marszałka.

- Nie możemy nikomu o tym mówić - wyszeptała. - Instruktorci...

- Wiem. - Westchnął. Wyciągnął rękę i delikatnie poklepał ją po dłoni. - Nikt nie wie tego lepiej niż ja.

Szklarka drgnęła pod tym dotykiem. Nie była przyzwyczajona do takich poufałości. Zażenowana cofnęła dłoń.

- Pojadę do Terrbrum... Wolałabym jednak podróżować osobno, wynajętym powozem. Proszę mnie zrozumieć. Potrzebuję przemyśleć to wszystko w samotności. Pana obecność... Przepraszam, ale nie potrafię tak od razu przerzucić się na mówienie „ojcze” albo „tato”.

- Oczywiście, Theo - powiedział miękko marszałek i pokręcił głową jakby z niedowierzaniem. - Nawet nie wiesz... - Głos mu się załamał. - Nawet nie wiesz, jak bardzo podobna jesteś do Lei. Nie tylko z wyglądu... Ona też często mówiła: „Potrzebuję to przemyśleć w samotności”.

Szklarka pomyślała, że każda dziewczyna z Wyspy została nauczona, że do

podjęcia decyzji potrzeba spokojnego namysłu w odosobnieniu. Ale przecież nie będzie tego mówić marszałkowi. Tak bardzo go cieszy każdy rys podobieństwa łączący ją ze zmarłą Leą.

14.

Powóz jechał przez zaśnieżone pola i kołysał się na wybojach. Szklarka otuliła się futrem. Było jej zimno. Przypuszczała jednak, że dreszcze, które co jakiś czas nią wstrząsają, spowodowane są raczej emocjami niż chłodem. Nie potrafiła zebrać myśli. Wbrew temu, co mówiła marszałkowi, potrzebowała rozmowy... ale nie z nim. Z Chamomillą. Jej matka musiała znać Leę, być może podczas jakiejś rozmowy na Wyspie zapadła decyzja o jej imieniu. Bo niby skąd to dziwne polecenie, że Chamomilla ma udzielić pomocy osobie szukającej herbaty szczęścia? Lea ofiarowała jej tożsamość. Zrobiła coś, o czym nie pomyślały inne matki dziewczyn z Wyspy Sierot. Po raz pierwszy w życiu Szklarka poczuła, że ktoś naprawdę się o nią zatroszczył, że była kochana i ta miłość rozciągała się aż na chwilę obecną.

- Och, Chamomillo! Tak bardzo chciałabym z tobą porozmawiać! - powiedziała głośno.

Ale Chamomilla jest na Wyspie, która wydawała się teraz Szklarce najniebezpieczniejszym miejscem na świecie. Przypomniała sobie chłodne spojrzenie szarych oczu Anid Verdy. Z opowieści marszałka (nawet w myślach nie potrafiła nazywać go ojcem) wynikało, że to Anid Verda zabrała dziecko i była odpowiedzialna za śmierć Lei. Właśnie ta, która ze wszystkich instruktorek budziła największy lęk. To ją omijało się pospiesznie ze spuszczonej oczami, żeby tylko nie wykryła w nich jakiejś buntowniczej myśli albo śladu drobnego wykroczenia. To ona potrafiła bezlitośnie wywlekać na światło dzienne słabości i potknięcia każdej z wychowanek. Jaką siłę musi mieć Chamomilla, żeby tam wytrzymać! Podsyiała i budziła się, pozwalając spletanym myślom swobodnie krążyć po głowie. Zapadał wczesny zmrok. Kiedy powóz stanął w końcu przed oświetlonym latarniami frontem pałacyku, na niebie świeciły już gwiazdy.

- Witaj, moja droga. - Uśmiechnięty marszałek wyszedł, żeby ją przywitać. Wprowadził ją do obszernej sieni obwieszanej wypchanymi głowami dzikich zwierząt. - Cecylia zabierze twój bagaż i pomoże ci się rozpakować.

Starsza kobieta o surowym wyrazie twarzy bez słowa odebrała od niej torbę podróżną i poprowadziła ją na górę po masywnych, kamiennych schodach. Weszły do dużego pokoju z kominkiem, na którym wesoło płonął ogień.

- Dziękuję - Szklarka zwróciła się do służącej. - Zazwyczaj sama rozpakowuję swoje rzeczy.

Cecylia nie ruszyła się z miejsca. Założyła ręce na piersiach i przyglądała się jej z ustami zacisniętymi w wąską kreskę.

- Paniąka jest bardzo młoda - odezwała się w końcu z wyraźną dezaprobatą.

Szklarka posłała jej zaskoczone spojrzenie.

- Panienska mogłaby być córką pana marszałka.

I jestem nią - miała na końcu języka. Zastanawiała się, o co chodzi tej kobiecie, na której twarzy malował się wyraz niechęci i potępienia.

- Rzeczywiście, mogłabym być jego córką - powtórzyła słowa służącej.

Cecylia wzięła się pod boki.

- Panienska nie ma wstydu, co? Lepiej dla panienski złapać bogatego, starego kochanka, niż uczciwie wyjść za mąż, za człowieka z tej samej sfery? O pieniądze się paniencie rozchodzi, tak?

Szklarka stała jak wmurowana, a potem nagle wybuchnęła śmiechem. Ona, niezależna, samodzielna wychowanka Wyspy Sierot posądzona o to, że chce być utrzymanką bogatego arystokraty! Do głowy jej nie przyszło, że jej przyjazd do ustronnej siedziby marszałka może być tak odczytany.

- Nie zamierzam zostać kochanką marszałka, Cecylio - powiedziała w końcu.

Na twarzy służącej malowało się niedowierzanie, ale już więcej się nie odezwała. W milczeniu skłoniła głowę i wyszła. Szklarka rozejrzała się po przydzielonym jej pomieszczeniu. Pokój był surowy i pozbawiony ozdób. Proste, szerokie łóżce z piętrzącymi się na nim poduchami, toaletka z wysokim lustrem i mnóstwem malutkich szufladek, rzeźbiona w sceny polowań szafa - to całe wyposażenie. Żadnych obrazów, serwetek, kolorowych narzut, Żadnych osobistych drobiazgów. A jednak coś jej mówiło, że ten pokój zamieszkiwała kiedyś kobieta. Może tapeta z drobnymi bukietami róż, może kształt toaletki... Podeszła do okna i oparła łokcie na szerokim, drewnianym parapecie. Na zewnątrz niepodzielnie panowała noc. W świetle księżycy srebrzyły się zasy śniegu. Szyby chyba od dawna nie były myte, bo doskonałość surowego krajobrazu zniekształcały zacieki i plamy. W prawym dolnym rogu widniała rysa, jakby ktoś przeciągnął czymś ostrym po powierzchni szkła. Poczowała lekki dreszcz przebiegający wzdłuż kręgosłupa. Pochyliła się i opuszkami palców zaczęła badać zarysowanie. Było coś znajomego w tym kształcie... Znak „len”, który w tajemnym piśmie dziewcząt z Wyspy oznaczał „szukaj pod spodem”. Pod spodem? Gdzie? Ukucnęła, zaglądając pod parapet. Między drewnem a ścianą widniała wąziutka szczelina, z której wystawał rozek papieru. Niecierpliwie wyszarpnęła z włosów jedną ze spinek i wysunęła ją w szparę. Kartka spadła na podłogę. Była pożółkła i pomarszczona od wilgoci. Znaczyły ją szare plamki pleśni, ale pismo dawało się odczytać bez trudu,

Kochana Theo,

To mój czwarty list do ciebie. Kocham cię tak bardzo, a tak niewiele mogę dla ciebie zrobić. Rozkładałam listy do ciebie po całym pałacu w nadziei, że kiedyś je poznajdziesz. Mam nadzieję, że nie wykryją ich instruktorki, gdy przyjdą cię zabrać. Pocięsza mnie myśl, że nad tobą nigdy nie będą miały władzy, bo nie znają twojego imienia. Moje maleństwo, wierzysz się teraz we mnie, a przecież jeśli to czytasz, to znaczy, że jesteś już dorosłą kobietą. Tak bardzo chciałabym,

żebyś była szczęśliwa.

Twoja mama Lea

...Twoja mama Lea... Twoja mama Lea...

Pukanie do drzwi.

- Pan marszałek prosi panienkę na kolację.

- Tak. Za chwilę zejść.

Twoja mama Lea... Trzeba zdjąć podróżny strój i przebrać się na kolację. Twoja mama Lea. Granatowa suknia z koronkowym kołnierzem wydaje się odpowiednia. I szal. Trzeba wziąć szal, bo w pałacu jest raczej chłodno. Twoja mama Lea. Drzwi, schody, jadalnia. Stół nakryty białym obrusem. Świece, marszałek, krzesło. Trzeba usiąść. Twoja mama Lea.

- Theo! Theo? Dobrze się czujesz?

Dobrze, bardzo dobrze. Tylko trochę kręci mi się w głowie, panie marszałku, mój ojciec. Nie wiedziałam, że to tak jest, kiedy ma się matkę i kiedy czuje się, że ona kocha. Takie... ciepło i... oszołomienie...

- Theo! Co ci jest? Dlaczego nic nie mówisz? Cecylia!

- Proszę nie wołać służby - wyszeptala z wysiłkiem. - Wszystko w porządku...

Wyciągnęła do marszałka rękę, w której cały czas ścisnęła kartkę. Jak to możliwe, że jej nie wypuściła podczas przebierania? Mężczyzna przeczytał list.

- Tak szybko go znalazłaś - powiedział wzruszony.

- Lea posłużyła się tajemnym pismem używanym przez dziewczynki z Wyspy - odpowiedziała, patrząc przed siebie niewidzącym wzrokiem.

- Wiesz, że dałem ci jej pokój?

- Domyśliłam się. - Automatycznie kiwnęła głową.

Ostatnie zdania listu ciągle tańczyły jej w głowie. Siedziała nieruchomo, z rękami opuszczonymi wzdłuż ciała. Światło świec stojących na stole odbijało się w jej zasnutych łzami oczach.

- Theo? Wydajesz się jakaś dziwna. - Marszałek intensywnie wpatrywał się w jej twarz. - Nie cieszysz się z listu?

Westchnęła. Powoli odwróciła ku niemu głowę i ujrzała zatroskane spojrzenie niebieskich oczu ukrytych w sieci zmarszczek. Przyłożyła dłonie do policzków i bezradnie wzruszyła ramionami.

- Sama nie rozumiem, co się dzieje. Kiedy przeczytałam słowa *Twoja mama Lea*, poczułam, że staję się kimś innym, niż byłam dotychczas. Kimś ukochanym i jedynym. Kto nie spędził dzieciństwa na Wyspie Sierot, nie wie, co to znaczy dla osoby takiej jak ja. Tam robią z dziećmi coś takiego... że one nigdy nie myślą o rodzicach... ani nie mówią... I jest tak, jakbyśmy się wzięły znikąd... Albo jakby nas stworzyły instruktorki.

Jonan Thunbereng siedział bez ruchu i chłonał wszystko, co mówiła. Nawet sposobem, w jaki dobierała słowa, bardzo przypominała Leę. Jego żona tak samo marszczyła czoło i wpatrywała się w przestrzeń gdzieś ponad nim, gdy usiłowała wytłumaczyć coś, co dotyczyło jej przeszłości albo pogmatwanych uczuć.

- Theo, jesteś taka podobna do matki...
- Już to słyszałam. - Szklarka spojrzała na ojca nieco przytomniejszym wzrokiem. Ciągłe był dla niej kimś obcym. Nie budził takich uczuć, jak dawno zmarła Lea. A przecież matka na pewno chciała, żeby zbliżyli się do siebie i żeby jej córka mogła się cieszyć obecnością choćby jednego z rodziców. Marszałek... no cóż, na razie widzi w niej raczej kopię zmarłej żony niż odnalezione cudem dziecko. Uśmiechnęła się do niego przez stół.
- Jutro spróbuję znaleźć portret i resztę listów.

Zabrała się do poszukiwań zaraz po śniadaniu. Tajemne znaki były wszędzie. Nawet w kuchni i spiżarni, gdzie obecność myszkującej Szklarki wyraźnie irytowała Cecylię. Stos pomiętych, zniszczonych przez czas listów rósł. Nie czytała ich. Miała zamiar poukładać je potem w kolejności i rozpocząć lekturę od pierwszego. Nie trafiła na żaden ślad, który mógłby jej powiedzieć, gdzie znajduje się autoportret Lei. Listów było dwadzieścia. Wieczorem zasiedli z marszałkiem w niedużym pokoju z książkami, zwanym szumnie biblioteką. Szklarka rozprostowywała zmięte arkusiki. Znalazła ten pierwszy.

Kochana, maleńka Theo,

Kiedy to czytasz, jesteś już dorosłą kobietą. Mam nadzieję, że tak się stamie, że odkryjesz swoje imię i spotkasz się z Jonanem, twoim ojcem. Takie krótkie było nasze małżeństwo. Wkrótce umrę. Instruktorci odbiorą mi życie, jak tylko urodzę cię. Niczego jednak nie żałuję. Kocham cię.

Twoja mama Lea

Moja Theo,

To drugi list do ciebie. Żałuję, że nie wiem, kim była moja matka. Być może spokrewnione jesteśmy z rodziną Lyssy, która pracuje na farmie mlecznej. Jej babka miała dar podobny do mojego. Widziała ludzkie myśli. Ciekawa jestem, czy odziedziczysz go po mnie. Pewnie nie. Według Lyssy pojawia się on w co trzecim pokoleniu. To chyba dobrze. Trudno jest czasem żyć z czymś takim. Z drugiej strony, gdyby nie ten dar, nigdy nie zdecydowałabym się wyjść za mąż za twojego ojca. Kocham Cię.

Twoja mama Lea

Córeczko,

To trzeci list. Jeśli kogoś pokochasz, to nie przejmuj się tym, co mówiła Anid Verda. Wiesz, o co mi chodzi - że nam, wychowankom Wyspy, nie wolno zakładać rodzin. Idź za głosem serca. Napisałam to i zaczynam mieć wątpliwości. Nie chcę, żebyś umarła młodo, żebyś straciła dziecko... a to stanie się nieuchronnie. W ten sposób instruktorci zabezpieczają swój byt. To istoty nie z tego świata... kiedyś zerknęłam do myśli Deleny... To było podczas jednej z lekcji, kiedy podarła mój rysunek. Nie mogłam się powstrzymać... W jej głowie zobaczyłam przepaść

tysięcy lat, rzeczy przerażające i niezrozumiałe. To był moment, jak mgnienie oka. Gdybym to robiła dłużej, pewnie by się zorientowała, a wtedy... Nie byłoby tych listów ani ciebie, ani mojego życia... Krążyłabym obłąkana po Wyspie jak Agda. Znasz Agdę, prawda? Wiesz, kim była? Instruktorką. I to one zrobiły z nią coś takiego, że postradała zmysły. Od niej wiem, skąd się biorą sieroty na Wyspie. Agda przeciwstawiła się temu procederowi i została ukarana. Powiesz mi, że ta obłąkana kobiecina nie potrafi powiedzieć składnie jednego słowa? Że jej myśli ulatują jak ptaki, zanim zdąży je polapać? O tak, wszystko to prawda. Ale jest coś jeszcze. Agda potrafi rysować. Godzinami rysuje patykiem po plaży, u stóp klifów. Przychodzi przypyływ i zmywa te dzieła, ale ja je widziałam... Cały ciąg historii ludzkich nieszczęść spowodowanych przez instruktorki. Chowam ten list jak najgłębiej. Oby nie znalazł go nikt poza tobą. Kocham Cię. Twoja mama Lea

Kochanie!

To list siódmy. Pewnie dziwisz się, dlaczego wybrałam ci takie właśnie imię. To także sprawa Agdy. Na ostatnim rysunku, obrazującym czyny instruktorek, widniała dziwna roślina. Szukałam jej potem w atlasach botanicznych w bibliotece, ale niczego na jej temat nie znalazłam. Prawdopodobnie była wymysłem chorej wyobraźni obłąkanej kobiety. Obok tej rośliny leżały pokotem instruktorki. Chyba martwe. Agda widziała, że przyglądam się jej dziełu. Spojrzała na mnie, uśmiechnęła się tryumfalnie i powiedziała „Thea Felicitatis”, wskazując patykiem na roślinę. Podejrzewam, że wymyśliła sobie taką nazwę. Herbata szczęścia - roślina, która zniszczy instruktorki i pozwoli pokoleniom dziewcząt normalnie żyć i kochać. Ot, pomyślnie zakończenie strasznej historii wymyślone przez obłąkaną staruszkę. Od tej chwili jednak nazwa „Thea Felicitatis” wryła się w moją pamięć, aż w końcu stała się imieniem dla ciebie. Noś je szczęśliwie. Twoja mama Lea

List po liście odsłaniała się osoba jej matki. Niektóre treści powtarzały się. Być może Lea nie była pewna, czy wszystkie kartki zostaną odnalezione, może obawiała się, że część ulegnie zniszczeniu. Czytali niespiesznie. Najpierw Szklarka, potem marszałek. Jonan Thunbereng popadał momentami w długie zamyślenie. Równe linijki liter budziły coraz to nowe wspomnienia.

Moja najdroższa córeczko!

List dwudziesty. Zabrała mi ciebie. To była Anid Verda. Leżysz pewnie teraz wśród kilkorga innych noworodków w obcej sali. Beze mnie... To tak boli! Boli bardziej niż umieranie. Bo ja umieram. Nie wiedziałam, że odbędzie się to tak prosto. Anid Verda pochyliła się nade mną i wypowiedziała moje imię. Wypowiedziała je dziwnie, tak, jakby je w siebie wdychała. Poczułam, że jakaś część mnie odrywa się i szybuje w jej kierunku. Jestem coraz słabsza... Cieszę się,

*że instruktorki nie znają twojego imienia. Nie będą go mogły nad tobą wypowiedzieć. Kocham Cię, kocham, kocham!
Twoja mama...*

Szklarka ukryła twarz w dłoniach. Prawie przestała oddychać. Dławił ją żal pomieszany z gniewem. Jak mogły! Jak śmiały! Po raz pierwszy w życiu ogarnęło ją pragnienie zemsty. Paliło w środku jak ogień. I tak samo gorące łzy płynęły jej z oczu, zamazując obraz trzymanego w dłoni listu. Bez słowa podała go marszałkowi. Ojciec. Bała się spojrzeć w jego stronę. Dla niego musiało to być straszne. Widział, jak po trochu, dzień za dniem umierała... Jaką stratą musiała być dla niego jej śmierć. Ogarnęła ją fala współczucia. Wstała ze swojego fotela i powoli podeszła do siedzącego z opuszczoną głową marszałka. Z wahaniem położyła swoją dłoń na jego ręce trzymającej list.

- Theo...

Płomienie kominka odbijały się we łzach spływających po twarzy mężczyzny.

- Tato... - zaczęła i nagle z głębin podświadomości wypłynęło zdanie, które obracała w myślach od wielu dni. - Kocham Scabera Seduna.

15.

- Widziałeś dziś Rossa? - spytał Scaber porządkującego notatki Cecila.

Śniadanie zjedli we dwóch, a Claith jakoś się nie pojawiał.

- Nie, nie widziałem, ale kiedy zszedłem na dół, kosz z bułkami nie był tak pełny jak zazwyczaj. Pewnie nasz przyjaciel ruszył na wyprawę.

- Sam?

Zawsze trzymali się razem i informowali o swoich posunięciach. Nagłe oddalenie się Rossa wydało mu się podejrzane. Dlaczego nic im nie powiedział?

- Podejrzewam, że udał się z wizytą do osady tubylców - odezwał się chłodno Cecil.

- To jedyny sensowny kierunek - przytaknął Scaber. - Chyba do niego dołączę.

- Idź. Ja zostaję. I... jeśli byś mógł, spytaj kogoś, kto nie jest Nellą, jakie mamy szanse powrotu na statek.

- Nie ufasz jej?

- Ty też nie. - Cecil uśmiechnął się cierpko. - Naukowiec powinien czerpać informacje z różnych źródeł. To rada także dla ciebie. Jeśli masz tu zamieszkać, powinieneś porozmawiać z innymi mieszkańcami wyspy, a nie tylko z Nellą.

- Gdyby tylko istniał sposób, żeby tego uniknąć... - Scaber westchnął. - Mam na myśli osiedlenie się w tym okropnym miejscu,

- Istnieje. - Sarotian poważnie spojrział mu w oczy. - Trzeba przenieść herbatę szczęścia do naszego świata.

- Co jest niewykonalne! - krzyknął gniewnie Scaber i wybiegł na zewnątrz.

Wymacał niewidzialną drogę i już chciał się na nią wspiąć, gdy wpadło mu do

głowy, że czułby się znacznie pewniej, mając ze sobą coś w rodzaju laski, jaką posługują się niewidomi. Wyłamane różanego pędu ze zrozumiałych względów nie wchodziło w grę. Wrócił do pałacu. Wszedł na piętro i zaczął przeszukiwać pokoje. Jedyнным zdatnym do jego celów narzędziem wydawał się bambusowy drążek, na którym zawieszona była zasłonka.

- Będziesz się z kimś bił? - spytał Cecil, podnosząc wzrok znad stosu notatek.

- Nie. To laska niewidomego.

Stukając przed sobą bambusowym prętem, posuwał się dość szybko. Po drodze nie spotkał Rossa. Claith musiał wyruszyć bardzo wcześnie. Po niedługim czasie pojawił się przed nim bajkowy krajobraz doliny Kai, która być może stanie się jego domem. Potrząsnął głową. Nie, to niemożliwe. Jakoś nie mógł sobie wyobrazić mieszkania w jednym z tych filigranowych pałacyków. A Szklarka? Jak ona by się tu czuła? Zszedł z traktu. Gdzie może być Claith? Ochłodził twarz w potoku i zaczął się zastanawiać, dokąd pójść. Nie miał ochoty spotkać się z Nellą. Najchętniej porozmawiałby z mężczyzną, którego widzieli pierwszego dnia na wyspie. Szkoda, że nie przyszło mu wcześniej do głowy, żeby zapytać o niego Nellę. Może teraz jest na to czas. Wypatrzył wśród drzew zielony domek i zdecydowanym krokiem ruszył w jego kierunku. Nella siedziała w obrośniętej kapryfolium altanie i tkąła.

- Witam, hrabio Sedun. - Podniosła na niego jasne oczy. - Oswaja się pan z okolicą?

- Prawdę mówiąc, nie wyobrażam sobie życia tutaj. Chciałbym porozmawiać z jakimś mężczyzną. Mieszkają tu jacyś, prawda? Na przykład ten... - Przez chwilę nie mógł sobie przypomnieć imienia. - ...Ren. Gdzie mogę go znaleźć?

- Ren i Irinda mieszkają w sąsiedniej dolinie.

- Są małżeństwem?

- Tak.

- Mają dzieci?

- Nie... - Na twarzy Nelli pojawiło się coś na kształt poczucia winy.

- A inni?

- Co inni? - Spuściła głowę i skupiła się na robótce.

- Czy są tu inni mężczyźni? Inne rodziny?

- Mamy jeszcze dwa małżeństwa. Mówiłam już, że rzadko udaje się...

- Tak, wiem - przerwał niecierpliwie. - Rzadko udaje się zdążyć na czas. Czy ci pozostali mają dzieci?

- Nie.

- Ile jeszcze rzeczy ukrywa pani przede mną? - Scaber uderzył pięścią w drewniany słupek, aż zatrzęsała się altanka. - Chce mnie pani przekonać, żebym wrócił tu ze Szklarką i nie informuje o tym, że wszystkie małżeństwa na wyspie są bezpłodne!

- Zdaje mi się, że wyciągnął pan pochopny wniosek. Sądzi pan, że to warunki panujące na wyspie uniemożliwiają poczynanie dzieci? - Nella hardo uniosła głowę. - My jesteśmy zdania, że to wcześniejsze przeżycia są przyczyną

bezdzielnosci naszych kobiet. Odebrano im pierwsze dziecko i ledwie uszly smierci. Szklarka bedzie prawdopodobnie pierwsza, ktorej uda sie tu urodzic. I wtedy... pojawi sie nowe pokolenie wyspiarzy...

- Mamy wiec byc... - Scaberowi trudno bylo znalezc odpowiednie slowo. Ze wstrzetem odwrócil twarz od Nelli. - Gdzie moge znalezc Rena? Proszę mi dokladnie opisac droge.

- Trzeba isc w gore rzeki, wzdluz doliny Kai. Za skala w ksztalcie iglicy wejsc na sciezke skrecajaca w prawo. Jest tam niewielka przelecza. Z niej zobaczy pan dom Rena i Irindy. Kamienny, caly porośnięty bluszczem.

- Dobrze. - Odwrócil sie na piecie i zaczal isc we wskazanym kierunku.

Nagle zatrzymal sie i spojrzal przez ramie na Nelle.

- Jezeli ma pani jeszcze inne niezbyt przyjemne informacje na temat zycia na wyspie, to wolałbym uslyszec je od razu, a nie wyduszac z pani slowo po slowie.

- Zyjemy tu, bo nie mozemy gdzie indziej. - Nella wstala i wyszla przed altane. Slonce rozswietlilo jej siwe wlosy. - Jezeli zalezy panu na Szklarce, to pan takze nie ma wyjscia i musi dzielic nasz los. Boje sie, ze bedzie sie pan ludzil, ze przechytrzy cie instruktorki, ale to sie wam po prostu nie uda... i straci pan swoja dziewczynę.

Szedl powoli wzdluz strumienia. Ktory z tych domow bedzie jego? Moze tamten zolty z wiezyczka przykryta kopulastym dachem? A moze ten biały, ozdobiony malowanymi wokol okien i drzwi kwiatami? Dlaczego nie widać zadnych mieszkancow? Moze w ten upal nie chca wychodzic na zewnatrz? Moze tak jak Nella siedza w ukrytych altanach i tworza niesmiertelne dzieła, ktorych nie ma komu podziwiac. Dom za przeleczą byl wiekszy niz palacyki w dolinie Kai. Zbudowany z szarego kamienia, wygladal masywnie i nieco posepnie. Dwa stare swierki pelnily straz po obu stronach domostwa. Prawie cala okolica pograzona byla w cieniu rzucanym przez skały, co sprawialo, ze panowal tam miły chlod. Tu jest znośniej, pomyslal Scaber, schodzac ku domowi. Budynek przypominal troche stare kamienne budowle w okolicach Versathis. Poczul sie niemal jak w domu. Obszedl teren dookolą. Zdziwila go szachownica malych poletek obsadzonych watlymi roslinkami. Przed kazda grzadka sterczal palik zaopatrzony w tabliczke z jakimś napisem. Nazwy w dziwnym jezyku nic mu nie mowily. Zauwazyl, ze spora czesc grzadek byla pusta. Albo nasiona jeszcze nie wzeszly, albo ktos powyrywal to, co tam uroslo. Wrocil pod drzwi i zapukal. Nikt sie nie odezwal. Nie bylo zadnej kołatki and dzwonka. Mogli go po prostu nie uslyszec. Nacisnal klamke w ksztalcie splecionych ze soba galazek bluszczu i wszedl do srodka. Masywne meble, wytarty dywan na kamiennej podlodze, zielonkawe swiatlo przesaczajace sie przez liście bluszczu.

- Dzień dobry! - zawolal. - Czy jest ktos w domu?

Odpowiedziala mu glucha cisza. Rozgladal sie po obszernym pomieszczeniu, usilujac zgadnac, jaka galaz sztuki byla specjalnoscia Irindy. Nie bylo tu widać haftow, obrazow, gobelinow... jedynie kilka pieknie rzezbionych figurek stalo

nad kominkiem. Kominek! W tym klimacie! Czy w ogóle kiedykolwiek go używali, czy też służy tylko do ozdoby, do stwarzania złudzenia, że dom nie stoi na wyspie Nut, lecz wśród zielonych wzgórz hrabstwa Dyke albo Roosz? Rozsiadł się na miękkiej kanapie pokrytej spłowiałym materiałem. Kim byli Ren i Irinda? To na pewno nie przypadek, że osiedlili się z dala od pozostałych. W tym momencie otworzyły się drzwi i ci, o których przed chwilą myślał, weszli do środka. Nie zauważyli go. Kobieta ściągnęła z głowy kapelusz i westchnęła.

- Brakuje mi już motywacji do kontynuowania prób.

- Więc co? Będziesz rzeźbić? Hodować kwiaty?

- Wiem, masz rację... Ale to takie beznadziejne...

Scaber wstał, żeby nie przedłużać niezręcznej sytuacji.

- Przepraszam, że wszedłem bez zaproszenia, ale...

- Och! - Irinda drgnęła przestraszona. - To pan!

Ren zbliżył się do niego i wyciągnął rękę.

- Spotkaliśmy się w okolicznościach niezbyt sprzyjających zawieraniu znajomości, ale teraz jest szansa, żeby poznać się lepiej. I proszę mi mówić po imieniu. Jestem Ren.

- Mnie to również dotyczy. - Irinda uśmiechnęła się.

- Dziękuję. - Scaber uścisnął podaną dłoń.

- Idę po coś do picia - powiedział Ren. - Nie wiem jak ty, ale my jesteśmy okropnie spragnieni.

- Wyglądacie, jakbyście mieli za sobą pracowity poranek.

Irinda zerknęła na Rena.

- Taak... - odezwała się z wahaniem. - Nie wiem, czy warto o tym mówić, skoro i tak nic nie wychodzi.

Ren podał im lodowato zimny sok w szklankach z grubego szkła.

- Próbujemy wyhodować nową odmianę herbaty szczęścia powiedział. - Taką, którą można by posadzić poza wyspą.

- Wtedy moglibyśmy wrócić. - W głosie kobiety zabrzmiała tęsknota.

- A co na to Nella? - zaciekawiał się Scaber.

- Co ma do tego Nella? - Ren uniósł brwi. - Tu każdy robi, co chce. Ona oczywiście nie wierzy, że nam się uda i nie chce, abyśmy za dużo opowiadali o naszych eksperymentach.

- To ze względu na innych - dodała Irinda. - Żeby nie budzić w nich próżnych nadziei.

- Gdyby wam się udało... - Scaber westchnął.

- Wiem. - Irinda położyła mu rękę na ramieniu. - Wtedy nie musiałbyś tu przyjeżdżać ze swoją ukochaną. Ma na imię Szklarka, tak?

- Dużo o mnie wiecie.

- Nie dziw się. Jesteście dla nas wielką atrakcją, więc wszyscy się wami interesują.

- To dziwne, nie spotkałem tłumu gapiów podążających moim śladem.

Ren wzruszył ramionami i nic nie odpowiedział.

- Wasza obecność wytrąca nas z równowagi - powiedziała cicho Irinda. - Jesteście. Potem odpłyniecie. Zrobicie coś, o czym każdy tu skrycie marzy. Budzicie tęsknotę za niemożliwym. Sorbita po spotkaniu z wami długo nie mogła dojść do siebie.
- Dowiedziała się, że jej mąż nie żyje - wtrącił Scaber.
- Myślę, że to nie tylko to. - Kobieta potrząsnęła głową. - Kiedy zapominamy, że istnieje inny świat, poza wyspą, wtedy życie, jakie tu prowadzimy, wydaje się całkiem znośne. Ale gdy zdamy sobie sprawę, że praktycznie jesteśmy więźniami... No cóż, całkiem inaczej postrzegamy wtedy swoją egzystencję.
- Czy naprawdę nie możecie stąd odpłynąć? Przecież to niemożliwe, żeby instruktorki ścigały was po tylu latach.
- Wiesz, w jaki sposób testujemy nowe egzemplarze herbaty szczęścia? - spytała Irinda z gorzkim uśmiechem. - Biorę doniczkę z rośliną i idziemy do pobliskiej zatoczki. Wsiadamy do łodzi i wypływamy na morze. Cały czas dotykam sadzonki, żeby upewnić się, czy nie znikła. W pewnym momencie... i zawsze następuje to niestety w tej samej odległości od brzegu, czuję, że opuszczają mnie siły... jakbym umierała, a doniczka jest pusta. To jest tak, jakby ten śmiertelny akt, który zapoczątkowała Anid Verda, zabierając nam dziecko, zaczynał się dopełniać, gdy ustaje działanie herbaty szczęścia.
- I wciąż wierzycie, że za którymś razem wam się uda?
- To nas trzyma. - Ren zapatrzył się w okno. - Może gdzie indziej moglibyśmy mieć dzieci...
- Nella mówiła...
- Tak, wiem - prychnęła z irytacją Irinda. - Wiem, co twierdzi Nella, ale to są tylko przypuszczenia. Tak naprawdę nie wiemy, dlaczego każda z par zamieszkujących wyspę jest bezpłodna. Może to Corredianie nie chcą dopuścić do tego, byśmy zaczęli się rozmnażać.
- O! - zdziwił się Scaber. - Więc wy także nie darzycie ich sympatią!
- Zachowują się jak wszechmocne bóstwa. - Ren się skrzywił. - Wybrali sobie Nellę i tylko z nią raczą się kontaktować. Tylko ją wysyłają na ratunek, gdy jakiejś dziewczynie z Wyspy Sierot grozi śmierć.
- A poza - oczy Irindy zwęziły się jak u węża - to oni sprowadzili do naszego świata instruktorki.

Wracając doliną Scaber nie czuł się już tak bardzo przygnębiony. Wizyta u Rana Irindy podniosła go na duchu. Ich buntownicze poglądy i próby wydostania się z wyspy odpowiadały mu znacznie bardziej niż bierna uległość Nelli. Mogliby razem ze Szklarką zakładać nowe poletka doświadczalne, w nadziei, że kiedyś wyhodują roślinę, która przyniesie im wolność. Powoli zapadał zmrok i wszystko zaczynało przybierać liliową barwę. Najmniejszy powiew nie poruszał liśćmi figowców, oleandrów i drzewek pomarańczowych, obok których właśnie przechodził. Powietrze przesycone było zapachem kwiatów. Rozpoznał woń tytoni, które dopiero wieczorem rozchylały kielichy, Kępy tych kwiatów

wyrastały spomiędzy przydrożnych kamieni - dużo okazalsze niż te, które rosły na klombach jego matki.

Mijając kamienny mostek Scaber zobaczył Claitha opuszczającego właśnie różowy dom Sorbity. A więc to tutaj był!

- Widzę, że ty także postanowiłeś spędzić dzień poza naszą rezydencją! - Ross nie wydawał się zaskoczony jego widokiem.

- Odwiedziłem Rena i Irindę.

- Tę parkę, która nas tak elegancko unieruchomiła pierwszego dnia?

- To pierwsi normalni ludzie.

Kiedy weszli na niewidzialny wiadukt, Scaber zrelacjonował w skrócie przebieg swojej wizyty.

- Teraz powrót tutaj rysuje się w nieco jaśniejszych barwach - podsumował, wymacując laską drogę.

Claith przystanął i spojrzał mu w oczy.

- Przyjadę tu z tobą. Wrócę do... Sorbity. Zostałbym z nią już teraz, ale najpierw chcę podjąć próbę wyrwania jej córeczki z rąk instruktorek.

- Więc ty i Sorbita... - Scaber pokręcił głową. - Przecież wcale jej nie znasz...

Ross roześmiał się drwiąco.

- A ty znasz swoją Szklarkę?

- Na pewno dłużej niż jeden dzień.

- Nie rób takiej przemądrzałej miny. Wiem, co robię. Posłuchaj, podróżowałem po najdalszych zakątkach naszego świata. Widywałem księżniczki tak piękne, że aż trudno było uwierzyć w istnienie stworzeń tak doskonałych. Nigdy jednak nie spotkałem kobiety, która budziłaby we mnie takie uczucia jak Sorbita.

- Za chwilę okaże się, że i Cecil znajdzie sobie towarzyszkę życia wśród tutejszych artystek. - Scaber zaśmiał się.

- Cecil... - Ross zmarszczył brwi. - Z Cecilem trzeba porozmawiać o pracach Rena i Irindy. Będąc botanikiem, powinien mieć większą wiedzę niż oni.

- Jesteście nareszcie! - powitał ich zniecierpliwiony Sarotian, który już od dłuższego czasu krążył nerwowo wokół fontanny.

- Jesteśmy i mamy dla ciebie zadanie.

Pojadając owoce, przedstawili mu problem, nad którym pracują Ren i Irinda.

- Głupio zrobiłem, że nie zabrałem od razu ze statku wszystkich moich odczynników. - Cecil westchnął. - Myślałem, że będziemy sobie pływać łodzią tam i z powrotem, wożąc na statek Coraz to nowe okazy, a tymczasem całym plonem wyprawy są notatki i kilka zasuszonych łodyg.

Sarotian bębnił palcami o brzeg fontanny. Namyslał się chwilę, po czym z szerokim uśmiechem oznajmił:

- Panowie, wrócę tu razem z wami.

Przycisnęła dłoń do ust. Nie chciała tego powiedzieć. Nie teraz, nie w takiej chwili. Jak mogła być tak impulsywna! To jej się wcześniej nie zdarzało. Popatrzyła z obawą na ojca. Marszałek siedział nieporuszony.

- Po raz pierwszy nazwałaś mnie tatą - odezwał się w końcu.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć.

- Scaber Sedun zerwał zaręczyny z Pepperią, moją córką.

- Wiem.

- Z twojego powodu?

- Tak. Wydaje mi się, że tak.

- Pepperia jest podobna do swojej matki, Patrycji von Sultzhenrein. W końcu się z nią ożeniłem, jak to sobie wcześniej zaplanowali moi rodzice. I nie pamiętałem już o Lei. W ogóle nie pamiętałem, że miałem żonę.

- To nie twoja wina.

- Tak. Teraz rozumiem, dlaczego po śmierci Patrycji nie czułem żalu ani smutku. Jedynie ulgę. Żoną mojego serca była Lea i cały czas, nie będąc tego świadomy, nosiłem po niej żalobę. Zdziwiło mnie, że nie poczułem się zły ani urażony, kiedy Sedun zerwał zaręczyny. Wydawało mi się, że go rozumiem... Oczywiście nie mówiłem tego Pepperii. Wydrapałaby mi oczy. - Uśmiechnął się z przymusem. Wybiła mi szyby, pomyślała Szklarka, ale nie powiedziała tego na głos.

- Ledwo cię odzyskałem i zaraz znów stracę - wyszeptał ze smutkiem marszałek.

- Nie! Przecież Lea pisała, że prawdziwe imię mnie ochroni!

- Moje dziecko! Czy myślisz, że istnieje tylko jeden sposób zadawania śmierci? Można zabić sztyletem, trucizną, sznurem...

- Mama wiedziała, że umrze, a mimo to była szczęśliwa.

- Ja też to czytałem, Theo. - Przykrył dłonią stos kartek. - Jeśli Scaber powróci z wyspy Nut, to nie będę cię powstrzymywał. Wszystko się tak dziwnie splata... Przecież to ja sfinansowałem wyprawę Cecila Sarotiana. Młody Sedun przyłączył się tak nieoczekiwanie. Mają szukać herbaty szczęścia, a tymczasem ty nią jesteś. I już nie dręczy mnie w snach ta kobieta. Choć teraz chciałbym ją jeszcze raz zobaczyć. Moją Leę...

- No właśnie. - Szklarka chciała już zmienić temat. - Nie znaleźliśmy portretu. Może został ukryty poza pałacem?

- Tam nie ma żadnych miejsc mogących służyć za kryjówkę.

- To nic. I tak poszukam. Ciekawa jestem, czy portrety, które malowała dla swoich klientów, zostały zniszczone, czy też wiszą gdzieś wśród prywatnych zbiorów.

- Nie wiem. - Marszałek wzruszył ramionami.

- Przecież bywasz w różnych domach.

- Instruktorci wymazały wszelkie wspomnienia o Lei. Skoro nie mogłem jej rozpoznać, gdy ukazywała mi się w snach, jak mógłbym się zorientować, czy któryś z portretów wypełniających ściany pałacowych galerii wyszedł spod jej pędzla?

- Teraz już mógłbyś.
- O tak... - Marszałek pokiwał głową. - Teraz już tak.
- A portret twojej matki? Przecież Lea pracowała nad nim, gdy zobaczyłeś ją po raz pierwszy.

Thunbereng potarł czoło.

- To dziwne, nie przypominam sobie żadnego portretu... Mógł zostać usunięty. Matka mogła go ukryć w jakimś kufrze albo sprzedać. Chyba że spaliła go w przyływie złości... Ale to mało prawdopodobne. Niszczenie wartościowych rzeczy nie było jej zwyczajem.

Następnego dnia był silny mróz. Powietrze zdawało się trzeszczeć i wibrować. Cecylia tak porozpalała w kominkach, że aż huczało w przewodach kominowych.

- Naprawdę chcesz wyjść na zewnątrz? - upewniał się marszałek.

- Tak. Mam dość ciepłych ubrań.

Nie znosiła zimna. Nałożyła na siebie tyle warstw, że ledwie mogła się poruszać. Lodowate igły mrozu zaczęły ją szczypać w policzki i nos, gdy tylko wyszła za próg. Mamo, mamo! Co zrobiłaś z obrazem!? Przyglądała się rysom na ścianach i pęknięciom tynku. Studiowała pozornie przypadkowe odpryski farby. Może jednak przeoczyła coś w domu? Może jeszcze raz powinna przejść po zakurzonej strychu albo przeszukać piwnicę woniejącą wilgocią i pleśnią? Nie. Coś jej mówiło, że nie są to miejsca, które wybrałaby Lea. Jak zimno! Zaczęła przytupywać i dreptać w kółko dla rozgrzewki. Podczas tych ćwiczeń jej wzrok padł na kamienną ławkę zasłoniętą do połowy przez zaniedbany, nadmiernie rozrośnięty różany krzew. Nie bacząc na kolczaste gałęzie, odgarnęła śnieg z pozieleniałego od porostów siedziska. Niczego tu nie ma. Obejrzała ławkę ze wszystkich stron. Nic. To chyba fałszywy trop. Coś ją jednak niepokoilo i nie pozwalało kontynuować poszukiwań w innym miejscu. Odeszła parę kroków do tyłu i popatrzyła z pewnego oddalenia. Och! Teraz to było widoczne. Najstarsze pędy róży i górna część oparcia tworzyły znak „nad drzwiami”. Leo! Co za lekkomyślność! A gdyby ktoś wyciął krzak? O które drzwi ci chodzi? Wróciła pod główne wejście, nad którym pysznił się herb Thunberengów - głowa konia, topór i liść dębu. Płaskorzeźba była częściowo uszkodzona. Tego znaku Szklarka wcześniej nie zauważyła, a przecież kształt odkruszonej dolnej krawędzi liścia mówił wyraźnie: „Szukaj tego samego”. Czego szukać? Herbu, czy samego listka? Weszła do środka. O mały włos nie krzyknęła głośno: „Ojcze! Czy jest tu gdzieś jeszcze herb Thunberengów?”. W milczeniu oddała Cecylii futro i trzy szale.

- Gdzie pan marszałek?

- W bibliotece. Rieze mówił, że pani jest malarką.

Szklarka zauważyła, że twarz Cecylii pokryła się ceglastym rumieńcem.

- Rieze tu jest?

- On jest zawsze tam, gdzie pan marszałek. Czy panienka będzie tu coś malować?

- Nie... nie przypuszczam. - Szklarka uśmiechnęła się lekko, zdziwiona

życzliwym tonem, tak dotychczas nieprzyjaznej służącej.

- Ja... przepraszam. - Cecylia zmięła w rękę róg śnieżnobiałego fartucha. - Rieze mówił, że panienka jest z Wyspy Sierot, a ja podejrzewałam...

- ...Że złapałam bogatego kochanka, żeby mnie utrzymywał. Nie obraziłam się, Cecyljo. Raczej mnie to rozbawiło.

- Panienka nie powie panu marszałkowi, prawda?

- Oczywiście, że nie.

Już miała ruszyć w kierunku biblioteki, gdy zobaczyła na łukowym sklepieniu herby Thunberengów i rodów z nimi spokrewnionych. Bezsensowne wydawało jej się wcześniej wypatrywanie jakichkolwiek znaków na sufitach. Lea była przecież w ciąży. Gdyby laziła po drabinach, zaalarmowałyby to i służbę, i męża. A jednak... Na dębowym liściu widniało nietypowe żyłkowanie układające się w informację: „dokładnie pod lwem”. Gdzie tu jest lew? Rozejrzała się. Ach! Nieduża, trochę poobtłukiwana płaskorzeźba w kącie rzeczywiście przedstawiała lwa.

Marszałek siedział przed kominkiem i czytał listy Lei, trzeci albo czwarty raz... Kiedy Szklarka wmaszerowała energicznym krokiem, zrozumiał, że obraz został odnaleziony.

- Jest?

- Trzeba podważyć jedną z płyt posadzki w sieni. Tę, która znajduje się w kącie, pod płaskorzeźbą lwa.

- Jesteś pewna?

- Jak najbardziej.

- Wobec tego muszę zawołać Riezego.

- Nie możemy tego zrobić sami? - Szklarka skrzywiła się.

- Jestem już starym człowiekiem, Theo. Nie mam tyle siły, co kiedyś. Riezemu ufam prawie jak samemu sobie.

- Wobec tego, w jaki sposób Lea uniosła płytę?

W milczącym porozumieniu przeszli do przestronnej sieni, której podłoga ułożona była z czarnych i białych kamiennych kwadratów. Szklarka ukucnęła i dotknęła płyty.

- Ależ to wcale nie jest kamień! - wykrzyknęła zaskoczona.

Wykonany z drewna, wpasowany między inne płyty kwadrat był - na pierwszy rzut oka - doskonałą imitacją kamienia. Na czarnym tle wymalowano z wielką dokładnością kremowe żyłki i plamki jaśniejszych minerałów. Zakrzywionym końcem pogrzebacza podważyli płytę. Pod spodem znajdowało się prostokątne zagłębienie. Szklarka ostrożnie wyciągnęła owinięty kilkoma warstwami płótna pakunek.

- Obejrzyjmy go w bibliotece - wyszeptał marszałek.

Portret, był piękny. Nie tylko dlatego, że Lea odznaczała się niezwykłą urodą. Cały zdawał się przesycony migocącym ciepłym światłem, jakby przesączonym przez jesienne liście w kolorach złota i purpury.

- Jak mogły uśmiercić kogoś, kto tak malował? - wyszeptała ze zgrozą Szklarka.

17.

Scaber schodził leniwym krokiem po schodach, planując wyprawę w dalsze rejony wyspy. Chciał dotrzeć do innych mieszkańców. Ren powinien mu poradzić, z kim warto zawrzeć znajomość.

- Zbierajcie się, panowie. - Przy fontannie stała Nella. - Dziś musicie znaleźć się na statku.

- Jak to dziś! - wykrzyknął wzburzony Ross. - Przecież mieliśmy ruszać dopiero za parę dni!

- Nagle zmieniło się położenie wyspy i w tej chwili znajduje się ona najbliżej waszego okrętu. Panie Sarotian, tu ma pan świeże okazy herbaty szczęścia. Dotrzymuję obietnic, jak pan widzi. - Podała mu ciężką donicę wypełnioną ziemią.

Teraz przeniosła wzrok na Scabera.

- Dla pana, hrabio, mam propozycję. - Sięgnęła po leżący u jej stóp złocisty zwój jakiejś materii. - Proszę go zawiesić na głównym maszcie, gdy będzie pan wracał ze Szklarką. Cofniemy wtedy mgłę i ułatwimy wam przybicie do brzegu. Posilcie się przed drogą i ruszamy.

Stali w osłupieniu, patrząc jeden na drugiego. Scaber czuł się jak pionek przesuwany po szachownicy. Nella nie dawała im żadnego wyboru. Przez głowę przemknęła mu myśl, że być może pozbywa się ich tak szybko w związku z tym, co odkrył u Rena i Irindy.

- Chwileczkę! - Oczy Rossa migotały gniewnie. - Chcę się najpierw pożegnać z Sorbitą.

- Nie ma na to czasu, panie Claith.

- Możemy pożegnać się teraz, Ross - rozległ się dźwięczny głos Sorbity.

Nella odwróciła się gwałtownie. Ciemnowłosa kobieta lekkim krokiem podbiegła do Claitha i wyciągnęła ku niemu rękę.

- Sorbito... - wyszeptał z rozjaśnioną twarzą.

- Będę na ciebie czekała.

Patrząc na nich, Scaber poczuł palącą tęsknotę za Szklarką.

- Rozumiem, że pan także do nas wraca, panie Claith - rzuciła chłodno Nella. Mimo pozornie obojętnego tonu, nie udało się jej ukryć zaskoczenia.

- I ja również, jeśli pani pozwoli. - Cecil uśmiechnął się łobuzersko.

Nella popatrzyła na niego zirytowana.

- Nie wiem, czy zdaje sobie pan z tego sprawę, ale czasami warunki są takie, że miesiącami nie można opuścić wyspy.

- Ale co to konkretnie oznacza? - spytał Scaber ostrym tonem. - Że wyspa oddala się od statku? A jeśli udałoby się statek przycumować w jakiejś głębokiej zatoce znacznie bliżej brzegu? Albo gdybyśmy zbudowali port?

- Nie myśli pan chyba, że pozwolimy, aby banda nieokrzesanych marynarzy

plądrowała nam wyspę. - Nella zmrużyła oczy. Wyglądała na mocno wytrąconą z równowagi. Wystarczyło jej jednak kilka sekund, żeby się opanować. Odetchnęła głęboko i rozkazała:

- Proszę za mną, panowie.

- Dokąd nas pani prowadzi? - zdziwił się Cecil, widząc, że kobieta kieruje się w głąb patio.

- Tam jest jedno z podziemnych przejść - uspokoiła go Sorbita, ściskając przez cały czas dłoń Rossa.

- Pójdiesz z nami? - spytał Claith.

Pokręciła przecząco głową i wtuliła twarz w jego koszulę. Nella tymczasem podeszła do oplecionej pnączami kolumny i lekko w nią uderzyła. Rozległ się nieprzyjemny dźwięk, przypominający skrobanie paznokci po szkłe, i kolumna pękła na pół, ukazując ciemne, wydrążone wnętrze. Kobieta zaczęła schodzić krętymi schodami tworzącymi wąską spiralę.

- Chyba się porzygam - jęknął Cecil.

- Myśl o drogocennej donicy z herbatą szczęścia i ruszaj. - Scaber stuknął go w plecy.

Na dole czekał ich mroczny korytarz, którego ściany usiane były drobnymi świetlistymi punkcikami, w niewielkim stopniu rozjaśniającymi ciemność. Nella szła szybkim krokiem i nie odzywała się do nich. Widać było, że chce się ich jak najszybciej pozbyć. Scaber nie rozumiał tej kobiety. W jednej chwili przyjazna, a zaraz potem wroga i podejrzliwa. Snuła wokół nich jakąś sieć niedopowiedzeń i gdyby nie rzeczowa rozmowa z Renem i Irindą, wyjechałby przekonany, że wszyscy tubylcy zachowują się jak Nella. Dlaczego widzieli ich tak niewiele? Przyspieszył kroku i zrównał się ze staruszką.

- Ilu mieszkańców liczy cała wyspa? - spytał.

- Niewiele. - Wzruszyła ramionami.

- Trzydziestu - powiedział głośno Claith. - Dokładnie dwadzieścia siedem kobiet i trzech mężczyzn.

- Skąd wiesz? - zdziwił się Cecil.

- Długo rozmawiałem wczoraj z Sorbitą. - Ross uśmiechnął się szeroko. - Jedni unikają jasnych odpowiedzi, inni mówią wprost.

Zerknął na Nellę, żeby sprawdzić, jak zareaguje na tę aluzję, ale ona nie odezwała się ani słowem. Szła tak szybkim krokiem, że prawie biegli. Korytarz niespodziewanie zakręcił i stanęli przed ślepą ścianą. Nella wymacała ukryty mechanizm otwierający drzwi. Oślepił ich ostry blask.

- Morze! - ucieszył się Cecil, który pierwszy odzyskał zdolność widzenia.

Na piasku leżała ich łódź.

- Tak, morze - powiedział spokojnie Ross, robiąc nad oczami daszek z dłoni. - I mgła.

Rzeczywiście. Kilkadziesiąt metrów od brzegu widać było nieprzejrzystą ścianę mlecznych oparów.

- Za mgłą jest wasz statek. To tylko cienka warstwa zasłaniająca wyspę. Nic wam

się nie stanie. Jedynie pańska sadzonka, panie Sarotian...

Cecil przytulił do siebie donicę.

- Zobaczymy - mruknął.

Wyszli na piach i natychmiast wejście do podziemnego tunelu zostało zamknięte.

Nella zniknęła bez pożegnania.

CZEŚĆ III

1.

- Co to jest? - krzyknęła Pepperia, zatrzymując się gwałtownie na progu gabinetu ojca.

- Bardzo piękny obraz - powiedział spokojnie marszałek. - I bardzo wartościowy. Nie podoba ci się?

Pepperia gniewnie zmarszczyła brwi.

- Przypomina mi kobietę, której nienawidzę!

Kilka dni temu Pepperia specjalnie wybrała się do Como, żeby zobaczyć, jak wygląda jej rywalka.

- O! Myślałem, że nienawidzisz tylko Seduna.

- Drwisz ze mnie, prawda? - Pepperia potrząsnęła jasnymi lokami. - W ogóle się nie przejmujesz tym, że mnie rzucił! Nawet nie okazałeś swojego oburzenia starym Sedunom. Nie kochasz mnie i nic cię nie obchodzi! Ciągłe tylko spiskujesz z tym szczurem Riezem i wyjeżdżasz nie wiadomo gdzie! Służba szepcze po kątach, że pewnie masz kochankę. Może to właśnie ona?! - Wystawiła oskarżycielsko palec w kierunku portretu.

- Ta kobieta zmarła przed twoim urodzeniem, Pepperio.

- Jest okropnie podobna do Szklarki! Tej przybłądy z Wyspy Sierot.

- A jaki jest powód twojej do niej niechęci? - spytał marszałek, choć właściwie znał odpowiedź.

- Ukradła mi Scabera!

- Ale przecież on już od wielu miesięcy jest gdzieś na morzach południowych.

- To się stało wcześniej! Łaził do niej codziennie, gdy malowała szklaną wieżę Keweny. Tato... czy nie mógłbyś jej jakoś usunąć?...

Marszałek zerwał się zza biurka. Jego twarz spurpurowiała.

- Nie waż się tknąć tej dziewczyny! - Wyglądał tak, jakby chciał ją uderzyć.

Pepperia zmrużyła oczy, a na jej usta wypełzł drwiący uśmiešek.

- Więc to jest ta twoja kochanka... - Zachichotała. - A to Sedun będzie miał niespodziankę po powrocie.

- Jesteś głupia, Pepperio. - Mężczyzna odzyskał panowanie nad sobą. - Szklarka i inne wychowanki Wyspy Sierot są chronione przez grupę bardzo groźnych kobiet zwanych instruktorkami. Jeśli skrzywdzisz którąś z ich podopiecznych, wyczyszczą ci pamięć tak, że nie będziesz wiedziała, kim jesteś. Artystki z Wyspy dużą część swoich zarobków przesyłają do instruktorek, a te mogą zemścić się na kimś, kto likwiduje im jedno ze źródeł dochodu.

- A skąd ty to wszystko wiesz?

- Miałem wątpliwą przyjemność spotkać się osobiście z jedną z tych pań.

- I?

- Był to o jeden raz za dużo.

- Więc naprawdę nic cię nie łączy ze Szklarką?

Marszałek nie lubił kłamać.

- Tego nie powiedziałem.

Pepperia otworzyła oczy ze zdumienia.

- Więc jednak... - zaczęła.

- Nic z tego, co sobie myślisz, nie jest prawdą. - Wypchnął ją łagodnie za drzwi. - Ale podobnie jak ty, nie chciałbym, żeby poślubiła Scabera Seduna... ani kogokolwiek innego.

Złośliwe iskierki zamigotały w oczach Pepperii. Och, niech tylko Scaber wróci, a ona przywita go w porcie nowiną, że jego Szklarka została kochanką Jonana Thunberenga. Podskoczyła na jednej nodze jak mała dziewczynka. Marszałek siadł z powrotem za biurkiem. Męczyło go to, że nie może ujawnić prawdy. Tęsknił za Szklarką i chciałby ją mieć przy sobie. Z Pepperią nigdy nie czuł takiej więzi, jak z nowo odzyskaną córką. Jakie to niesprawiedliwe! Jeśli Thea wyjdzie za Seduna, utraci ją na zawsze. Trzeba będzie to chłopakowi powiedzieć. Może się wycofa, wiedząc, co czeka Szklarkę, gdy go poślubi. Jeśli ją kocha, zrozumie i odejdzie. A jeśli nie uwierzy? Tak jak on nie wierzył Lei?

2.

Szesnaście kwadratowych szybek do biblioteki hrabiego Cessourie schło na blacie stołu. Szklarka rozprostowała plecy. Zamówienie ukończone. Trzeba wysłać Verkę z wiadomością. Niech zabiorą te malowidła.

- Panno Szklarko, poczta dla pani. - Verka położyła na brzegu stołu niebieską kopertę.

To nie było pismo Scabera.

Droga Szklarko!

Instruktorci są zaniepokojone. Oczywiście nie informują mnie o niczym. Może ich zdenerwowanie ma źródło w tym, co odkryłyśmy ostatniej nocy Twojego pobytu na Wyspie... Wiesz, o co chodzi, wolę nie pisać jaśniej. Mam nadzieję, że list do Ciebie dotrze. Oddałam go do rąk własnych przewoźnikowi. Chciałabym wiedzieć, co u Ciebie, ale listów żadnych nie pisz. Krótkie wiadomości możesz mi przysyłać przez Avenidów. Instruktorci nie mają nad nimi władzy. Panna Grim powiedziała mi, że jednego z nich możesz znaleźć w Królewskiej Bibliotece. Nazywa się Jos Elt. Informacje przekazuj na hasło Beatrycze. To imię panny Grim, wyobrażasz sobie? Ściskam Cię serdecznie.

Chamomilla

3.

- Żeby skorzystać z Królewskiej Biblioteki, trzeba mieć specjalne pozwolenie. - Odźwierny wpuścił ją tylko do sieni i zagroził przejście na schody.

- Jak mogę je zdobyć? - spytała niecierpliwie Szklarka.

- Proszę napisać podanie do Królewskiego Bibliotekarza i wyjaśnić, jakie dzieło chciałaby pani wypożyczyć.

- Jak długo musiałabym czekać na odpowiedź?

- Jakies dwa tygodnie, nie dłużej. - Starzec uśmiechnął się łaskawie.

- Stanowczo za długo. - Szklarka potrząsnęła głową.

Odwróciła się na pięcie, ale nagle wpadł jej do głowy pewien pomysł.

- Gdzie znajdę Królewską Pracownię Atlasów?

- Sąsiedni budynek. Ten z rzeźbą giganta dźwigającego świat.

Wybiegła prosto w śnieżycę. Porywisty wiatr próbował jej zerwać z głowy kaptur. W pracowni atlasów także natknęła się na siwowłosego portiera w niebieskim uniformie Królewskiej Służby Cywilnej.

- Gdzie mogłabym zastać Robie... to znaczy pana Roberta Cayushu?

- Jest pani umówiona?

Co za formalisci! - krzyknęła w duchu Szklarka.

- Nie, ale pan Cayushu na pewno mnie przyjmie. Jestem Szklarka.

Portier potrząsnął mosiężnym dzwonkiem i zza najbliższych drzwi wyskoczył chudziutki, jasnowłosy chłopaczek.

- Lutti, biegnij do pana Cayushu i spytaj, czy przyjmie panią, która się nazywa Szklarka.

Żeby skrócić sobie czas oczekiwania, Szklarka ciekawie rozglądała się po przestronnym holu. Masywne kolumny, popiersia królów na postumentach, szerokie marmurowe schody wiodące na górne piętra. Na ścianach rozwieszono zabytkowe mapy ukazujące zmiany w granicach królestwa na przestrzeni wieków. Lutti wrócił, a za nim, stawiając długie kroki, szedł Robi, ubrany w szal i wełnianą, popielatą kamizelę. Na dłoniach miał rękawiczki bez palców.

- Słuchaj, Oste - zwrócił się do portiera. - Tę panią możesz do mnie wpuszczać o każdej porze. To moja nauczycielka rysunku.

- Och. - Portier skłonił się. - Nic pani nie mówiła.

- Pan Cayushu trochę przesadza. - Szklarka się roześmiała.

Robi pochylił się nad nią i pocałował w policzek.

- Nie mogę cię zaprosić do pracowni, bo jest tam przeraźliwie zimno. Coś zatkało komin i nie można palić w piecu. Kominiarze nie raczyli się jeszcze zjawić, mimo że posyłałem już po nich dwa razy. Chodźmy więc do pokoju kawowego.

Pokój kawowy okazał się klitką zaopatrzoną w kuchenkę, na której rysownicy mogli gotować sobie wodę na kawę. Dym odprowadzany był przez wychodzącą oknem rurę. Mocno kontrastowało to z monumentalnym holem, gdzie urzędował portier.

- Co cię sprowadza, Szklarko? - spytał Robi, gdy już usiedli na nieco rozchwianych krzeselkach.

- Muszę jak najszybciej dostać się do Królewskiej Biblioteki.
 - Potrzebujesz czegoś konkretnego?
 - Nie czegoś, ale kogoś. Chcę się spotkać z Josem Eltem.
 - Tym zasuszonym archiwistą?
 - Nie wiem, jak wygląda. Nigdy go nie widziałam.
- Robi zmierzwił rudą czuprynę.
- No cóż, może nie powieszą królewskiego rysownika za to, że poprowadzi pewną damę tajnym przejściem.
 - Robi! Nie chcę, żebyś się narażał. Poza tym, być może będę się z nim musiała widywać częściej. Potrzebuję jakiejś stałej przepustki.
 - O tym możemy porozmawiać później ze starym Josem. Chcesz iść od razu, czy wolisz najpierw napić się marnej kawy, jaką król przydziela swoim pracownikom?
 - Wolałabym iść.
 - Wobec tego zapraszam na wycieczkę po podziemiach.
- Wyszli na korytarz i Robi poprowadził Szklarkę do bocznej klatki schodowej.
- Musimy zejść do samych piwnic. Tam są przejścia łączące wszystkie budynki.
 - Nad czym teraz pracujesz?
 - Król zażyczył sobie dokumentacji okazów jego ptaszarni. Ma posłużyć do stworzenia atlasu *Ptaki Królewskie*. Całą pracę wykonuję w pracowni, z wyjątkiem szkiców z natury. Staram się je robić w jak najkrótszym czasie, bo przy wolierach smród jest okropny.
- Zagłębili się w płataninę łukowato sklepionych korytarzy, oświetlonych stojącymi w niszach oliwnymi lampami. Panował tam wilgotny, przenikliwy ziąb. Robi prowadził pewnie. Widać było, że nie po raz pierwszy pokonuje tę trasę.
- Jesteśmy na miejscu.
- Krętymi schodami wspięli się na drugie piętro.
- Jos przesiaduje zazwyczaj w archiwum. Musimy wejść na czwarte piętro inną klatką schodową.
 - Mówiłeś, że on jest stary. Jak daje sobie radę z pokonywaniem tych wszystkich schodów?
 - Tego nikt nie wie - Robi się zaśmiał. - Prawdę mówiąc nikt nigdy nie widział go poza archiwum.
- No tak - przypomniała sobie Szklarka. Panna Grim także nie opuszczała biblioteki.
- Robi zatrzymał się przed ciężkimi dębowymi drzwiami z napisem *ARCHIWUM*. Nacisnął klamkę, ale były zamknięte.
- Zawsze to samo - mruknął.
- Zastukał mocno kilka razy i dopiero wtedy usłyszeli odgłos człapiących kroków i zgrzyt klucza w zamku. W szparze ukazała się poźółkła, chuda twarz o ostrych rysach.
- A, to pan Robert - wyskrzypiał starzec i wpuścił ich do środka.

Jos Elt był niewysoki i przeraźliwie chudy. Łysą głowę przykrytą miał haftowaną, aksamitną mycką. Jego ubranie stanowiła ciągnąca się po ziemi opończa nieokreślonego koloru. Całość wyglądała tak dziwacznie, że można by go wziąć za nieszkodliwego wariata, gdyby nie czarne, głęboko osadzone oczy, które w tej chwili z uwagą lustrowały Szklarkę.

- Aha - powiedział, kiwając głową. - Chyba muszę zamienić z panią dwa słowa na osobności.

Poczłapał między regały. Szklarka niepewnie zerknęła na Robiego.

- Idź, ja tu zaczekam.

Ruszyła za Josem, który zatrzymał się w najdalszym kącie archiwum.

- Więc? - Popatrzył na nią wyczekująco.

- Mam do przekazania informację na hasło Beatrycze - wyrecytowała jednym tchem Szklarka.

- Słucham.

Zawahała się. Jak opowiedzieć Chamomilli o tym, co się stało? Jak sformułować zwięzły przekaz?

- Proszę powiedzieć, że Thea znalazła ojca i listy od matki... i jej portret.

- To wszystko?

- Hm... Jest jeszcze taka sprawa... Portier...

Jos Elt podszedł do zavalonego papierami biurka stojącego pod oknem. Wyciągnął z niego poźółkły papier, na którym coś szybko napisał i przyłożył dużą, okrągłą pieczęć.

- To przepustka - powiedział, podając papier Szklarce.

Machnął ręką w stronę wyjścia.

- Może pani już iść.

- Dziękuję... - wyjąkała zaskoczona.

Miała już odejść, kiedy przypomniała sobie o jeszcze jednej rzeczy.

- Gdyby była jakaś wiadomość od Beatrycze, to proszę ją przekazać panu Robertowi.

- Dobrze, dobrze. - Odwrócił się do niej plecami, definitywnie kończąc rozmowę.

- Już jesteś? - zdziwił się Robi.

- Nie jest zbyt rozmowny - szepnęła Szklarka - ale dał mi przepustkę.

Wyszli z archiwum.

- Wracasz ze mną, czy wychodzisz przez bibliotekę?

- Pożegnam cię tutaj. - Uśmiechnęła się szelmowsko. - Chcę zobaczyć minę portiera.

- No to do zobaczenia. Idę rysować królewskie papugi.

- Robi... Jos Elt może mieć dla mnie czasami jakieś wiadomości. Będzie przekazywał je tobie.

- Dla ciebie wszystko, Szklarko. - Spojrzał na nią badawczo. - Mam nadzieję, że nie wpłatałaś się w jakąś niebezpieczną aferę. Twoje zachowanie jest dość tajemnicze.

- Och, Robi! Czy wyglądam na aferzystkę?

Schodziła klatką schodową, myśląc, jak to dobrze mieć kogoś takiego jak Robi. Kiedyś traktowała go po prostu jak młodszego braciszka. Teraz braciszek urósł i stał się jej przyjacielem. Kiedy widziała jego pogodną piegowatą twarz, od razu robiło się jej raźniej na duszy.

4.

Scaber otworzył oczy. Do kajuty wpadały promienie słońca i zaczynało się robić duszno. Okręt kołysał się łagodnie na falach. Wracają. Ciągłe nie mógł uwierzyć, że udało im się bez przeszkód opuścić wyspę. Kiedy wiosłując w szalupie, przedarli się przez osłonę mgły, burty statku ukazały się im nagle w odległości kilkunastu metrów.

- Nie odpłynęli - odetchnął z ulgą Cecil, wyrażając na głos obawę, którą każdy z nich podświadomie nosił w sercu.

Marynarze witali ich okrzykami radości i niedowierzania.

- Myśleliśmy, że już panów nie zobaczymy - powiedział, ściskając im rękę, kapitan. - Jeszcze kilka dni i musiałbym podjąć decyzję o podniesieniu kotwicy. Ta przekłeta wyspa... Nigdy nie spotkałem się z czymś takim. W dzień skryta za mgłą, a w nocy...

- Co w nocy? - zaciekawiał się Cecil.

- Znika. Mgła opada, morze jest gładkie jak lód i ani śladu lądu.

- Wyspa dryfuje - poinformował go krótko Ross, nie dodając, że to dryfowanie odbywa się do zupełnie innego świata.

- Aha. - Kapitan popatrzył na niego spod oka, czując, że to tylko część prawdy. - Nie moja sprawa w końcu. A co z tą herbatą szczęścia?

Cecil triumfalnym gestem wskazał na donicę. Kapitan przyjrzał się jej, nic nie rozumiejąc. Była pusta.

- To niewidzialna roślina - wyjaśnił botanik.

- Sprawdź, czy tam jeszcze jest. - Ross ostudził jego zapał.

Sarotian pomacał dłonią i na jego twarzy odmalowało się rozczarowanie.

- Herbaty szczęścia nie da się wywieźć z wyspy - wyjaśnił Scaber kapitanowi.

- Mam jej odcisk w tuszu - powiedział Ross i otworzył notes.

Cecil był niepocieszony.

- Ja też odrysowywałem jej kontury, ale to nie jest żaden dowód. Bez żywego albo choćby zasuszonego egzemplarza nie mam się co pokazywać w Królewskim Towarzystwie Botanicznym.

- To jak, wracacie panowie na wyspę? - chciał wiedzieć kapitan.

- Ależ nie! Jedziemy do domu - wykrzyknął pośpiesznie Scaber.

- Kierownikiem wyprawy jest pan Sarotian - sprzeciwił się kapitan.

Botanik spojrział na niego zrezygnowany.

- Proszę podnieść kotwicę.

W ciągu pierwszych kilku dni marynarze szeptali między sobą na ich widok. Komentowali haftowane stroje o dziwnym kroju. Snuli przypuszczenia na temat samej wyspy; Uczestnicy wyprawy niechętnie opowiadali o swoich przeżyciach. Podczas posiłków oficerowie próbowali ich wypytywać, ale odchodzili od stołu nieusatisfakcjonowani, bo jedyne, czym raczono ich w obfitości, to entuzjastyczne opowieści Cecila dotyczące niezwykłych gatunków roślin. To akurat mało ich interesowało. W końcu przestali zadawać pytania, choć małowówność trzech mężczyzn wydawała im się wysoce podejrzana.

Scaber wyszedł na pokład i przeciągnął się. Przepelniała go radość. Był w drodze do domu, za kilka miesięcy zobaczy Szklarę, a w dodatku każdej nocy pojawia się na niebie poczciwy, stary, srebrny księżyc.

- Nie mogę sobie wyobrazić całego życia na wyspie Nut - powiedział do stojącego obok Rossa.

- Ja też nie. Dlatego podtrzymuje mnie na duchu działalność Rena i Irindy. Wyobraź sobie, nie oni jedni marzą o opuszczeniu wyspy. Kilkadziesiąt lat temu poprzednie pokolenie wyspiarzy zbudowało dużą łódź żaglową na kilka rodzin. Stoi w zatoce gotowa do wyruszenia. Może nasz Cecil coś wymyśli, żeby marzenia tych wszystkich ludzi w końcu się ziściły.

- Będziesz próbował odnaleźć córkę Sorbity?

- Oczywiście. Mam nadzieję, że przedstawiś mi swojej Szklarce. Chciałbym uzyskać od niej trochę informacji na temat Wyspy Sierot.

- Mojej Szklarce... - Scaber westchnął. - Coś się między nami zaczęło, ale nic nie zostało dopowiedziane... W dodatku męczy mnie ta cała sprawa z Pepperią i konieczność tłumaczenia wszystkiego rodzicom.

- Czego się boisz? Że cię wydziedziczą?

Scaber wzruszył ramionami.

- Nie o to chodzi. Po prostu zawsze było między nami dobrze. Nigdy dotąd ich nie rozczarowałem, nie sprawiłem im przykrości. Poza tym obawiam się, że mogli mieć duże kłopoty ze strony Thunberenga.

- Kiedy wrócisz i tak już będzie po wszystkim - pocieszył go Ross. - Powinni cię powitać z otwartymi ramionami po tak długiej rozłące.

- Powinni - powtórzył Scaber z bardzo sceptycznym wyrazem twarzy.

5.

Nadchodziło lato. W mieście robiło się coraz goręcej. Szklarka miała sporo drobnych zamówień, ale gdyby się z nimi szybko uporała, mogłaby sobie pozwolić na dwa tygodnie odpoczynku w swoim nadmorskim ustroniu. Nie chciała jednak opuszczać miasta. W każdej chwili mógł przyplłynąć Scaber. Przed kilkoma tygodniami dostała od niego list.

Droga Panno Szklarko,

Wracamy. Nie ukrywam, że ja wracam do Pani. Wiem, że niewiele padło między nami słów, ale już teraz, zanim jeszcze się zobaczymy, chciałbym powiedzieć, że nie wyobrażam sobie swojej przyszłości bez Pani. Wyruszyłem w podróż, by odwlec moment ślubu z Pepperią. Pewnego dnia zrozumiałem, że to Panią kocham. Piszę to już teraz, choć wolałbym uczynić to wyznanie osobiście. Chciałbym zobaczyć Pani twarz i odczytać z niej, czy moja miłość coś dla Pani znaczy. Nie chciałem jednak czekać. Trochę obawiam się naszego spotkania po takim czasie. W samotności i oddaleniu człowiek wyobraża sobie różne rzeczy, które mogą nigdy się nie spełnić. Do zobaczenia.

Scaber

Nosiła ten list przy sobie, powtarzając jak zaklęcie słowa: „Pewnego dnia zrozumiałem, że to Panią kocham”. Jakie to dziwne, że słowa miłości docierały do niej tylko za pośrednictwem listów. Najpierw od matki, potem od Scabera. Pootwierala szeroko okna, żeby wpuścić do środka rześki powiew nadmorskiego wiatru.

- Pani to by gdzieś wyjechała, zamiast się smażyć w tym mieszkaniu - burknęła Verka, wchodząc do pokoju. - Przecież tu wytrzymać nie można, a ten pani domek nad morzem to już pewnie pleśnią zaszedł od nieużywania.

- Nie mogę teraz nigdzie się ruszyć...

Zobaczyła przez okno powóz marszałka Thunberenga. Dawno się nie widzieli. Nie chcieli wzbudzać podejrzeń. Verka była wyraźnie niezadowolona z jego odwiedzin.

- Znowu ten stary pan - sarknęła. - Co on tak panią nachodzi?

Szklarka westchnęła. Już i Verka zaczęła ją podejrzewać o jakieś niemoralne kontakty z marszałkiem. Co to za świat, w którym nie można się przyznać do własnego ojca?! Nie, to nie świat. To one, instruktorki. Salonik był najchłodniejszym miejscem w domu, tam więc zaprowadziła ojca.

- Miło cię znów zobaczyć, Theo. Stęskniłem się za tobą. - Rozsiadł się wygodnie w fotelu. - Twoja służąca wita mnie z coraz kwaśniejszą miną.

- Tak jak wszyscy, podejrzewa nie wiadomo o co. - Uśmiechnęła się niewyraźnie.

- Och, Theo! Mnie też ciąży to ukrywanie. Dziś tu jestem, bo Pepperia wyjechała na parę dni, nawet nie wiem dokąd. Obawiam się, że coś knuje. Odkąd zobaczyła w moim gabinecie portret Lei, zachowuje się dość dziwnie. Jakieś uśmieszki, złowróżbne błyski w oczach. Mam nadzieję, że nie będzie chciała ci zaszkodzić.

- Problemy pewnie się zaczną, gdy wróci Scaber. Przysłał mi list. Zobacz.

Nareszcie ktoś, z kim mogła się podzielić swoją radością. Marszałek przeczytał i westchnął.

- Nie będę mówił, że się cieszę, bo to nieprawda. Przywiązałem się do ciebie, Theo. - Głos mu zadrzał.

- Tato. - Podeszła do niego i uklękła u jego stóp. - Jestem pierwszą dziewczyną z Wyspy Sierot, która zna swojego ojcu i wie, kim była jej matka. Mam imię,

którego nie znają instruktorki. Może mam też szansę na szczęśliwe życie. Może to, co uczyniła dla mnie Lea, sięga dalej, niż myślimy.

6.

Pepperia chodziła niecierpliwie tam i z powrotem. „Roxilona” ociężale przybijała do nabrzeża. To wszystko trwało strasznie długo. Za długo! Och! Tupnęła obcasem w ziemię i zaklęła pod nosem. Powinna być zadowolona. Jej informator sprawił się świetnie i przybyła do portu, zanim inni się dowiedzieli, że ekspedycja Sarotiana powróciła do domu. Jakiś mężczyzna w mundurze oficera marynarki zlustrował ją od stóp do głów. W jego oczach dostrzegła błysk uznania. Wyglądała prześlicznie w jasnobłękitnej letniej sukience i twarzowej fryzurze, podkreślającej delikatne rysy twarzy.

- Czy w czymś pani pomóc? - spytał.

- Nie! - Odwróciła się do niego plecami. Jak śmiał ją zaczepiać!

Nareszcie schodzą. Jest Scaber. Rozmawia z mężczyzną w czarnej koszuli. Za nimi marynarze znoszą bagaż. Stanęli na nabrzeżu. Kiedy wreszcie przestaną gadać? Mieli na to całą podróż. Postanowiła nie czekać dłużej. Lekkim krokiem podeszła do Scabera i klepnęła go w ramię.

- Witaj, mój drogi.

Na dźwięk jej głosu Scaber aż się wzdrygnął.

- Pepperia? Co ty tu robisz? Nie dostałaś mojego listu?

Uśmiechnęła się złośliwie, a w oczach pojawił się gniewny błysk.

- Dostałam, nie martw się... - Poczowała taką pogardę zmieszaną ze wściekłością, że najchętniej naplułaby mu w twarz. Opanowała się jednak. - Przyszłam tu ze względu na naszą długoletnią przyjaźń. Chciałam ci coś powiedzieć... zanim dowiesz się od innych... Po prostu chcę ci oszczędzić przykrości. Mój ojciec ma kochankę.

- A co mnie to obcho...

- Jest nią niejaka panna Szklarka.

Scaber zbladł.

- Nie wierz jej. - Ross położył mu rękę na ramieniu.

- Nie wtrącaj się, panie obrońco. - Ze złością popatrzyła Claihowi w oczy, po czym znowu zwróciła wzrok na Seduna. - Możesz pojechać teraz do niej, a sam się przekonasz.

- To nieprawda - wyszeptał Scaber.

- Sprawdź. - Uśmiechnęła się słodko.

- Ross, ja muszę tam jechać... - Z udręką spojrzął na przyjaciela.

- Nie wierzę ani jednemu jej słowu - powiedział spokojnie Ross. - Jeśli chcesz koniecznie teraz jechać do Szklarki, to zajmę się twoimi bagażami. Ona mieszka tutaj, w Como, prawda?

Sedun skinął głową i przywołał najbliższą dorożkę.

- Cokolwiek byś zobaczył, nie odchodź bez rozmowy ze Szklarką! - krzyknął jeszcze za nim Claith. - Marszałek mógł uknuć wraz z córką jakąś ponurą intrygę. Uważaj!

- Jakież pan jest sprytny, panie obrońco. - W głosie Pepperii brzmiało szyderstwo.
- Prawda jednak sama się obroni.

Ross nie odpowiedział. Nawet nie spojrzął na dziewczynę. Niezależnie od tego, co się teraz wydarzy, Scaber powinien dziękować losowi, że ta mała żmija nie została jego żoną.

- Kim pan właściwie jest, żeby się wtrącać? - ciągnęła kłótliwie Pepperia, chcąc zwrócić na siebie jego uwagę.

Claith dał znak tragarzom, żeby załadowali bagaże do oczekującej na klientów dorożki. Bez słowa usiadł za woźnicą i półgłosem podał mu adres hotelu, gdzie mieli się ze Scaberm zatrzymać. Dorożka ruszyła. Pepperia stała jak wmurowana, czując, jak gorący rumieniec upokorzenia wypływa jej na twarz. Nigdy w życiu nikt jej tak nie zlekceważył.

7.

- Proszę jechać szybciej! - krzyknął Scaber dorożkarzowi w ucho.

- Szybko jadę, panie - odpowiedział tamten.

Scaber opadł na siedzenie. Jeśli Thunbereng w jakiś sposób skrzywdził Szklarkę... Zacisnął pięści. Był przekonany, że Szklarka jest niewinna. Pepperia i jej ojciec mogli zrobić jego ukochanej coś złego, mszcząc się w ten sposób na nim za zerwanie zaręczyn. Skąd wiedzieli? Nieważne, teraz to nieważne... Byle tylko szybciej się z nią zobaczyć. Rzucił woźnicy garść monet i wyskoczył z powozu. To ta kamienica. Znał adres, ale nigdy tu nie był. Zastukał do drzwi. Otworzyła mu jakaś nadąsana dziewczyna.

- Nazywam się Scaber Sedun. Czy tu mieszka panna Szklairka, malarka?

Na twarz służącej wypłynął błogi uśmiech.

- Już pana prowadzę, panie hrabio.

Poszedł z nią na pięterko. Serce mu drgnęło, kiedy poczuł unoszący się w powietrzu lekki zapach farb i rozpuszczalników. Dziewczyna uchyliła biało malowane drzwi i zawołała dwa razy głośniejszym głosem niż było trzeba.

- Pan hrabia Scaber Sedun!

Nie czekając na zaproszenie, wpadł do pokoju i zatrzymał się w progu jak rażony gromem. To, co ujrzał, przekonało go w jednej chwili, że Pepperia nie kłamała. Szklarka klęczała u stóp marszałka i trzymała go za rękę. Na jej twarzy malował się spokój i oddanie... może nawet miłość. Nie było tu mowy o żadnej przemocy. Spojrzeli na niego oboje.

- Scaber! - Szklarka poderwała się na równe nogi. Nie zdążyła powiedzieć nic więcej, bo on już zbiegał po schodach, przeskakując po dwa stopnie.

- Scaber! Zaczekaj! Muszę ci coś wyjaśnić!

Nie chciał żadnych rozmów, żadnych wyjaśnień. To, co zobaczył, wystarczyło. Tyle sobie obiecywał po tym spotkaniu. Jakiż był głupi! Gdzie są drzwi na zewnątrz? Chyba tam. Nagle drogę zagroziła mu Verka.

- Moja pani wołała, żeby pan zaczekał - powiedziała hardo. - Drzwi zamknięte. Nie otworzę, dopóki pan się z nią nie rozmówi.

- Natychmiast mnie wypuść!

Dziewczyna założyła ręce na piersiach i patrzyła na niego spode łba.

- Panna Szklarka była taka szczęśliwa, jak dostała list od pana. Cały czas nosi go przy sobie. Więc co się pan przejmuje tym staruchem. On nachodzi pannę Szklarkę i nachodzi, ale ja wiem, że ona o panu tylko myśli...

- Dość już, Verko. - W połowie schodów stała Szklarka.

Była bardzo blada. Jej palce kurczowo ścisnęły poręcz.

- Nie tak wyobrażałam sobie pana powrót, hrabio Sedun - powiedziała cicho. - Chciałabym panu wyjaśnić pewne sprawy, ale oczywiście nie musi pan mnie wysłuchiwać. Verko, otwórz drzwi. Pan hrabia sam musi zdecydować. Nie będziemy go tu trzymać siłą.

Odwróciła się i zaczęła wchodzić na górę. Włosy upięte miała tak jak wtedy, gdy zobaczył ją po raz pierwszy. Poczł wręcz fizyczny ból na myśl, że w tej właśnie chwili prawdopodobnie utracił ją na zawsze. Verka przyglądała mu się wsparta pod boki. Przypomniały mu się ostatnie słowa Rossa: „Cokolwiek byś zobaczył, nie odchodź bez rozmowy ze Szklarką”. Przełknął ślinę i zaczął wspinać się po schodach. Na jego widok marszałek ciężko wstał z fotela.

- Byłbyś głupcem, gdybyś nie zawrócił, Scaber - powiedział, patrząc na niego z niechęcią.

- Pepperia mówiła...

- Panie Sedun - przerwała mu Szklarka. - Chciałam panu przedstawić mojego ojca.

Wskazała ręką marszałka, który lekko skinął głową i dodał:

- Musimy utrzymać ten fakt w tajemnicy, więc wszyscy, łącznie z moją córką Pepperią, podejrzewają, że łączą nas więzy podejrzanego natury. Teraz zostawię was samych. Myślę, że powinien pan w spokoju wysłuchać wszystkiego, co moja córka ma panu do powiedzenia.

Pocałował Szklarkę w czoło i wyszedł. Stali w milczeniu naprzeciw siebie. W końcu dziewczyna odezwała się cicho:

- Proszę usiąść, panie Sedun.

- Naprawdę jest pani córką marszałka Thunberenga?

Skinęła twierdząco głową.

Scaber czuł się jak głupiec. Szklarka, jego Szklarka, stała pod oknem milcząca i daleka. Słońce zapalało błyski w jej włosach. Dzieliły ich dwa kroki, których nie miał odwagi pokonać. Chciał ją przeprosić, ale nie potrafił znaleźć odpowiednich słów.

- Panno Szklarko - zaczął. - Czy może mi pani wybaczyć...

Powoli odwróciła głowę i spojrzała na niego oczami koloru wzburzonego morza.

Dalsze słowa uwieźły mu w gardle. Znowu zapadła ciężka cisza. Jak mógł być takim idiotą? Dlaczego tak łatwo wpadł w pułapkę zastawioną przez Pepperię. Czy da się to jeszcze naprawić? Gdyby nie ta służąca...

- Chciałabym panu opowiedzieć, co zdarzyło się tutaj w czasie pana nieobecności. - Głos Szklarki był chłodny i opanowany. - To długa historia, więc naprawdę radzę, żeby pan usiadł.

Opowiedziała. Przedstawiła po kolei i rzeczowo wszystkie fakty, starając się jednocześnie zapanować nad uczuciami, które kłębiły się w niej od chwili, gdy Scaber tak nagle wtargnął do jej domu. Czowała się upokorzona, że musiała biec za nim po schodach, że wołała, chcąc go zatrzymać, i że to Verka nie pozwoliła mu wyjść. Najgorsze było to, że tak łatwo uwierzył Pepperii. Prysnęło złudne uczucie bliskości. Tak naprawdę hrabia Sedun był kimś obcym. Po co zdradza mu teraz tajemnice swojego życia? Urwała w pół słowa.

- I znalazła pani portret matki? - spytał ciekaw dalszego ciągu.

- Tak. Znalazłam.

Stała tyłem do niego i wsparta o parapet wdychała zapach nagrzanego słońcem murów. Nie powinna go zatrzymywać. Chyba lepiej, żeby pozwoliła mu odejść z tego domu i ze swojego życia.

- Bałem się o panią. Kiedy Pepperia powiedziała mi... Przestraszyłem się, że marszałek panią krzywdzi... że oboje mszczą się na pani. A gdy zobaczyłem, jak pani klęczy u jego stóp... Skąd mogłem wiedzieć, że to pani ojciec? Bardzo czekałem na nasze spotkanie... Przez ostatnich kilka dni myślałem tylko o tym. Teraz nie wiem, jak się mam zachować. Wszystko, co sobie ułożyłem i zaplanowałem, zniweczył fatalny wstęp. Widzę, że bardzo panią uraziłem.

- Ja też inaczej to wszystko sobie wyobrażałam. Chyba za bardzo dałam się ponieść fantazji. Kilka spotkań w pracowni, kilka listów... Tak naprawdę wcale się nie znamy, prawda? - Wciąż na niego nie patrzyła.

Chciał podbiec do niej, wziąć ją w ramiona i przełamać ten dystans, który rozciągał się między nimi jak lodowe pole. Stał jednak po drugiej stronie pokoju, wpatrując się bezradnie w wypukłe kostki kręgosłupa rysujące się pod materiałem jej zielonej sukni. Nagle poczuł, że ma dość tego napięcia.

- Znamy się wystarczająco, żeby to właśnie z panią chciał spędzić resztę życia!

- wybuchnął. - Nawet gdyby to miała być ta przeklęta wyspa Nut!

- Naprawdę? - Odwróciła się ku niemu. Widział łzy drżące na końcówkach rzęs.

- Zazwyczaj hrabiowie Sedun nie oświadczają się w ten sposób, ale z pani powodu już po raz kolejny łamię rodzinną tradycję. Czy jest pani gotowa zaryzykować i zostać moją żoną?

Tyle razy przeżywała w wyobraźni ten moment, a teraz stała, niepewna tego, co chce powiedzieć. Czowała na sobie uważne spojrzenie Scabera.

- Tak, chyba tak - powiedziała z wahaniem.

Dopiero teraz zdobył się na odwagę, żeby do niej podejść. Przytulił ją do siebie.

- Theo... - Po raz pierwszy tak ją nazwał.

Obrzuciła go spłoszonym spojrzeniem.

- Pamiętaj, nie możesz tak mówić przy ludziach. Dla nich muszę pozostać Szklarką.

Odetchnął z ulgą, słysząc, że przestała się do niego zwracać oficjalnym „panie Sedun”.

- Wiem, dobrze wiem, dlaczego tak wiele rzeczy musisz zachowywać w tajemnicy - powiedział i zaczął jej opowiadać o wyspie Nut.

Usiłowała skupić się na jego słowach, ale czuła się tak dziwnie, tak niepewnie. Oto złożyła swoje życie w ręce obcego człowieka. Czy naprawdę tego chciała? To takie... niepodobne do niej. Niepokoiła ją jego bliskość. Powoli relacja z podróży zaczęła ją jednak wciągać. Niewidzialna roślina, różowy księżyc, tajemnicza kraina Corredo, uciekiniarki pochodzące z Wyspy Sierot.

- Sorbita! - wykrzyknęła zdziwiona, słysząc to imię. - Znam ją. W zimie rozmawiałam nawet z jej córką.

- Naprawdę? Skąd wiedziałas, że to jej córka?

- Jest tak bardzo podobna!

- Ross miał więc rację. Ucieszy się, jak mu to powiem. Jak myślisz, dałoby się ją stamtąd wyciągnąć?

- Przed osiągnięciem pełnoletności? - Potrząsnęła głową. Nigdy w życiu.

Scaber kontynuował opowieść. Zbliżał się nieuchronnie do momentu, kiedy musiał powiedzieć Szklarce, że według Nelli pozostałych wyspiarzy, powinni we dwoje zamieszkać na wyspie Nut. Wydusił to z siebie z trudem i zamilkł. Czekał, aż ona jakoś to skomentuje, ale nie odezwała się ani słowem.

- I co ty na to, Theo? - spytał w końcu.

- Jestem przerażona. - To było pierwsze, co przyszło jej na myśl.

Co zrobiłaby Lea na jej miejscu? Być może bez wahania ruszyłaby w nieznane, byle tylko uchronić swoje dziecko przed instruktorami i żyć długie lata z mężem. Ale Lea była osobą tak pełną miłości... Zupełnie inną niż jej córka. Szklarka popatrzyła na mężczyznę, który przez cały czas opowiadania nie wypuścił jej z objęć.

- Scaber, przepraszam... ale muszę teraz zostać sama... Chcę to wszystko w spokoju przemyśleć. - Odsunęła się lekko.

Puścił ją.

- Oczywiście. Theo, to wszystko stało się tak nagle...

Pochylił się, żeby pocałować ją w usta, ale Szklarka odwróciła głowę i tylko lekko cmoknął ją w policzek.

- Do zobaczenia. - Wyszedł, przygnieciony ciężarem nieokreślonego smutku.

8.

- Ona mnie nie chce... - Scaber oparł głowę na rękach i z rezygnacją wbił wzrok w podłogę hotelowego pokoju, przykrytą wytartym, burym dywanem.

- Daj jej trochę czasu. - Ross stał oparty o ścianę i próbował spokojnie

przeanalizować sytuację. - Właściwie to dobrze o niej świadczy, że nie rzuca ci się od razu na szyję, tylko chce się zastanowić.

- Myślałem, że kocha mnie bardziej...

- Ślepo?

- No nie, Ross, nie o to mi chodziło!

- Pepperia nie kochała cię wcale, a była zdeterminowana, żeby za ciebie wyjść. Nawet jeśli Szklarka nabrała trochę rezerwy, możesz sprawić, żeby pokochała cię na nowo.

Scaber westchnął ciężko. Nie dość, że ze Szklarką sprawa jest trudniejsza, niż myślał, to jeszcze czeka go przeprawa z rodzicami. Nie miał ochoty wracać do Brittle, do rodzinnego domu. Już widział matkę, jak patrzy na niego wzrokiem pełnym wyrzutu: „Synku, jak mogłeś!”. Na samą myśl o tym zalało go tamujące oddech poczucie winy.

- I do tego jeszcze muszę wytłumaczyć się rodzicom z całej sprawy z Pepperią - powiedział na głos. - A o Szklarce mam milczeć, bo według Nelli tak będzie bezpieczniej.

Ross przyglądał mu się spod zmrużonych powiek.

- Jesteś dorosły. Wiesz o tym?

Scaber spojrzał na niego ze zdziwieniem.

- O co ci chodzi?

- Możesz o sobie decydować. O sobie, o swoim życiu, o tym, z kim się żenisz, a z kim nie.

- Czytasz w myślach jak Nella?

Ross zaśmiał się, a potem spoważniał.

- Ja też byłem kiedyś zaręczony z odpowiednią dla mnie dziewczyną. Była słodka, ładniutka i z odpowiedniej rodziny. Moja matka ronila łzy szczęścia i wyszywała narzutę na nasze przyszłe małżeńskie łóżko. A ja byłem przerażony. Na rodzinnych przyjęciach próbowałem rozmawiać z Cariss - tak miała na imię ta panna - i urywałem w pół zdania na widok jej łagodnego, pustego spojrzenia, w którym trudno było dostrzec choć cień zainteresowania tym, co mówię. Kiedy chciałem ją bliżej poznać, dowiedzieć się, jakie ma upodobania, odpowiadała, że lubi dzieci i małe kotki, po czym rumieniła się i spuszczała głowę. Ponieważ od dawna fascynowały mnie podróże i marzyłem o dalekich krajach, podzieliłem się z nią tymi pragnieniami. Chyba źle mnie zrozumiała, bo ze słodkim uśmiechem odpowiedziała, że wielu mężczyzn dręczą podobne marzenia, ale to się podobno zmienia po ślubie, gdy mogą zasmakować kochającej obecności żony i gromadki dzieci. Rozumiesz? Moje pragnienia potraktowała jak nieszkodliwą i na szczęście przemijającą chorobę! I wtedy mój ojciec, który wówczas jeszcze żył, powiedział mi to samo, co ja dzisiaj tobie - że jestem dorosły i mam prawo decydować. Od razu zerwałem z Cariss.

- Mój ojciec również uważa, że mogę decydować o swoim życiu... pod warunkiem, że zgadza się to z jego wizjami. - Scaber roześmiał się gorzko.

- Przetrwaleś różowy księżyc, przetrwasz spotkanie z rodzicami. - Ross

pocieszająco klepnął go w łopatkę.

Różowy księżyc... Scaber uśmiechnął się smętnie.

- Skoro tak, to wynajmę na jutro powóz do Brittle. Chcę to już mieć za sobą.

9.

Po raz pierwszy w życiu zupełnie nie szło jej malowanie. Nie mogła nawet wziąć pędzla do ręki. Hrabina Cerlys-Huron zamówiła malowany porcelanowy serwis na prezent ślubny dla córki i teraz dwanaście delikatnych filiżanek stało rzędem na stole, a ich nieskalana biel aż kłuła w oczy. Strasznie brakowało jej Chamomilli. Pomyślała o starym Avenidzie z archiwum. Miałby nie lada problem, gdyby kazała mu przekazać Beatrycze całą litanię swoich uczuć i wątpliwości. Porozmawiać z ojcem? Lepiej nie... Marszałek wolałby zatrzymać ją przy sobie, więc będzie ją zniechęcał do małżeństwa ze Scaberem. Jak gorąco... Może przydałoby się wyjechać do Saliur, nad morze. Serwis hrabiny może poczekać. Zadzwoiła na służącą.

- Verko! Spakuj trochę niezbędnych rzeczy, ale nie za dużo. Jedziemy do Saliur.

- Teraz? - jęknęła rozczarowana dziewczyna. - Teraz, gdy pan hrabia Sedun przyjechał i panna Szklarka nareszcie będzie...

- Coś mi się zdaje, że za bardzo mieszasz się do moich spraw. - Szklarka zmarszczyła brwi. - Nie podoba mi się to. Za dwie godziny chcę być gotowa do drogi.

10.

Powóz wjeżdżał na przedmieścia Brittle. Ostatnie chwile samotności. Ogrody podmiejskich rezydencji pełne były letnich kwiatów. Scaber wzdrygał się lekko na widok wielobarwnych róż rozpiętych na pergolach. Znacznie bardziej wolał strzeliste ostróżki i kaskady powojników pnących się po ogrodzeniach. Zaśmiał się nagle, bo przyszło mu na myśl, że gdyby ujawnić pochodzenie Szklarki, rodzice w ogóle nie musieliby mieć pretensji. Po prostu jedna Thunberengówna zostaje zastąpiona inną i wszystko zostaje w rodzinie.

- Jesteśmy na miejscu, proszę łaskawego pana.

Scaber zapłacił woźnicy, poczekał, aż ten wyładuje kufer, po czym otworzył furtę i wszedł na teren posiadłości. Jeszcze przez chwilę chciał pozostać sam, ale odźwierny, który rezydował w stróżówce przy bramie, był czujny jak zawsze. Specjalnie nie oliwił zawiasów w furtce, żeby ich przeciągły pisk informował go o przybywających gościach.

- Młody pan hrabia! - zawołał teraz z radością, wysuwając pomarszczoną twarz przez okienko. - A to się wielmożni państwo ucieszą! Niechże pan zostawi ten

bagaż. Derk zaraz po niego przyjdzie.

- Witam cię, Feliksie. - Scaber uściśnął dłoń starego. - I proszę, nie alarmuj zaraz wszystkich. Chciałbym przez chwilę pospacerować sam po ogrodzie.

Zamiast pójść prosto w kierunku domu, skręcił w cisową aleję prowadzącą do zacienionego zakątka, gdzie między kamieniu mi przepływał zahaczający o posesję Sedunów strumyk. Scaber siadł na wilgotnym kamieniu i zanurzył palce w wodzie. Kiedy był mały, przybiegał tutaj i chował się pod paprociami. Mimo gorącego dnia powietrze było tu chłodne i rześkie. Gdyby zbudował dla siebie i Szklarki dom niedaleko Rena i Irindy, upał nie byłby tak dokuczliwy. Zauważył, że jego myśli mimowolnie wybiegają ku przyszłości. A przecież Thea nie podjęła jeszcze decyzji. Przyjęła oświadczyzny, ale jej „tak” było bardzo niepewne. Możliwe, że gdy spotkają się następnym razem, powie, że się rozmyśliła. Wszystkiemu winna jest Pepperia! Wstał gwałtownie. Paradoksalnie złość dodała mu odwagi. Ruszył w stronę domu. Po drodze skrzywił się, mijając ulubioną różaną altankę matki. Słodki aromat niósł ze sobą wspomnienie wyspy Nut.

- Panicz Scaber! - wrzasnęła jak oblana ukropem pokojówka Marisa, na którą natknął się, gdy tylko przekroczył próg.

Zrobiło się zamieszanie. Przez hol przebiegały służące, żeby choć tylko zerknąć na niego ukradkiem. Ktoś pobiegł zawiadomić „wielmożnych państwa”. Nie lubił tego zwyczajowego szumu wokół „panicza Scabera”. Poczul znajomy impuls, żeby natychmiast skryć się w swoim pokoju na piętrze i odgrodzić książkami od reszty świata. Zobaczył schodzącą po schodach matkę.

- Witaj, mamó. Pięknie wyglądasz. Miło być znowu w domu.

Objęła go mocno.

- Cieszę się, że już jesteś - wyszeptała.

Jej ciemne oczy nagle zaszły łzami.

- Ojciec jest w mieście. Zjawi się dopiero na kolację. Teraz możesz spokojnie sobie odpocząć. Ninno, powiedz kucharce, żeby na kolację przygotowała kurczęta w winie i krem czekoladowy na deser.

- Mamó, wolałbym, żebyś nie robiła takiego zamieszania - wtrącił Scaber, słysząc nazwy swoich ulubionych potraw.

- Nie było cię prawie rok - powiedziała z naciskiem, patrząc mu prosto w oczy. - Pozwól mi się cieszyć i świętować, zanim...

- Zanim wybuchnie straszna awantura o zerwane zaręczyny - dokończył za nią. Matka zerknęła na nadstawiającą uszu służbę.

- Odpocznij sobie, a ja natnę trochę róż do wazonu - powiedziała głośno.

- Tylko nie róże! - wyrwało mu się.

Spojrzała zdziwiona.

- Dlaczego?

- Tam, gdzie byłem, stanowczo przesadzono z uprawą tych kwiatów. Wybierz, proszę, coś innego.

- Jak sobie życzysz, mój drogi.

Prawie biegiem ruszył po schodach. Na razie nie było tak źle. Wyrzuty padną

zapewne przy deserze, gdy służący przestaną się kręcić. Z radością powitał widok swojego biurka i półek z książkami. Zasiadł w sfatygowanym fotelu, którego nie pozwolił zastąpić żadnym nowszym meblem. Poczł przemożną chęć napisania paru słów do Szklarki. Zdecydowanie łatwiej mu było przelewać swoje myśli na papier, niż rozmawiać z nią twarzą w twarz.

Droga Theo,

Siedzę przy biurku, w pokoju, który najbardziej z całego domu wydaje się moim. Podczas kolacji będę musiał stawić czoła ojcu, który, jak przeczuwam, wciąż nie może zaakceptować tego, że zerwałem z Pepperią. Będę musiał znosić jego niezadowolenie i wybuchy gniewu. To wszystko budzi jednak we mnie mniejszy niepokój niż wspomnienie naszego spotkania. Ciągle mam przed oczami Twoją twarz, gdy mówisz: „Tak... chyba tak”, w odpowiedzi na pytanie, czy zechcesz zostać moja żoną. Twarz, na której maluje się niepokój i niepewność.

Nie wyobrażam sobie życia z inną kobietą, nie chcę Cię jednak wiązać słowem, które dałaś tak niechętnie. Żeby przetrwać razem na wyspie Nut, musielibyśmy naprawdę pragnąć wspólnego życia, W przeciwnym razie każdy dzień byłby piekłem. Nieubłagane słońce, zwałający z nóg upał w dzień, a to nocy obce niebo nad głową... i świadomość, że kontrolują nas nieznanne istoty zwane Corredianami.

Jak czułabyś się na wyspie Nut ze mną, Theo? Myśl o Tobie towarzyszyła mi przez całą podróż. Sprawiała, że odważyłem się zerwać z Pepperią. Nie przestanę Ci być za to wdzięczny do końca życia. Kocham Cię.

Scaber

Pisanie zajęło mu ponad godzinę. Zastanawiał się nad każdym zdaniem, obracając je kilka razy w myślach, zanim zdecydował się przelać je na papier. Usłyszał gong wzywający na kolację i zdziwił się, że już tak późno. Popatrzył na ogród skąpany w promieniach zachodzącego słońca i z ociąganiem ruszył do jadalni. Biały obrus, świece w srebrnych kandelabrach, najlepsza zastawa, wyciągana tylko przy okazji szczególnych uroczystości. Matka w sukni koloru wina i w rubinowym naszyjniku wyglądała, jakby szła na przyjęcie do królowej Keweny. Uśmiechnęła się nieśmiało na jego widok, ale jej oczy pełne były niepokoju. Ojciec, w czarnym surducie, z siwymi włosami zaczesanymi do tyłu, nie raczył go zauważyć. Patrzył nieruchomym wzrokiem prosto przed siebie. Płaskorzeźba, pomyślał Scaber, patrząc na surowy profil starszego mężczyzny.

-Dobry wieczór, ojcze. - Postarał się nadać głosowi spokojne, pewne brzmienie.

- Dobry wieczór. - Usłyszał raczej suche chrząknięcie niż przywitanie.

Scaber zasiadł na swoim miejscu, nie ryzykując próby uściśnięcia ojca. Zaczęli jeść. Służące wносиły kolejne dania. Matka wypytywała go o wrażenia z podróży. On odpowiadał, udając entuzjazm i ożywienie. Starszy hrabia Sedun nie odzywał się ani słowem. Pojawiło się ciasto czekoladowe, owoce i kawa. Pytania padały z ust hrabiny jedno po drugim, coraz bardziej pospieszne i nerwowe. Kobieta

starala się odwlec chwilę, kiedy zapadnie cisza umożliwiająca starszemu Sedunowi włączenie się do rozmowy. Scaber nie chciał ciągnąć dalej tej gry. Kiedyś nie odważyłby się otwarcie stanąć do konfrontacji z ojcem, ale podróż na wyspę Nut zmieniła go nieodwracalnie.

- Ojciec - odezwał się nagle, gdy matka przerwała w pół zdania dla zaczerpnięcia oddechu. - Wydaje mi się, że masz mi za złe, że zerwałem z Pepperią.

Hrabina gwałtownie wciągnęła powietrze i przycisnęła upierścienione palce do ust. Nienaturalnie głośno zadzwieczała filiżanka odstawiona na spodek. Hrabia Sedun zwrócił ciężkie spojrzenie na syna.

- Co zamierzasz teraz robić? - spytał sucho.

Zaskoczyło go to pytanie. Przygotowany był na obronę swoich racji, a nie na odkrywanie zamierzeń dotyczących przyszłości. Zwłaszcza jeśli miały pozostać tajemnicą. Wzruszył ramionami.

- Muszę się zastanowić - mruknął niepewnie.

- Mam nadzieję, że nie będziesz oczekiwał, iż znajdziemy ci nową narzeczoną?

- Ależ ojciec! - Scaber nie krył zdumienia. - Nie przyszłoby mi to nawet do głowy!

- Oczywiście, że nie! Nic cię nie obchodzi ciągłość linii Sedunów! Jeśli nie będziesz miał dziedzica, cały nasz majątek przejdzie w ręce dzieci Eryka, które są największymi nieudacznikami, jakich nosi ziemia. - Hrabia huknął pięścią w stół.

- Pepperia jest inteligentna i ambitna. Potrafiłaby świetnie dbać o nasze interesy. Scaberowi stanęła przed oczami scena w porcie i przypomniał sobie słodki głosik Pepperii snującej insynuacje pod adresem Szklarki. Zalała go fala gniewu.

- Masz rację, ojciec. Pepperia jest bardzo wyrachowana - powiedział przez zaciśnięte zęby. - Ale ja nie potrzebuję żony, która prowadziłaby interesy, tylko takiej, która darzyłaby mnie miłością!

- Miłość! - prychnął hrabia. - Małżeństwa z miłości zazwyczaj nie trwają długo.

- Jesteś pewien?

- Jestem pewien. Znasz historię Ida Heffielda? Miał przed sobą świetną karierę polityczną, jego ojciec był ambasadorem Partu. Syn mógł spokojnie pójść w jego ślady i gładko kroczyć drogą dyplomacji. I co? Związał się z jakąś kobietą pochodzącą z Wyspy Sierot, a ona uciekła od niego zaraz po urodzeniu dziecka. Po tym wszystkim pomieszało mu się w głowie. Nie wspominał już o tej dziewczynie, ale nie chciał się związać z nikim innym. W końcu zginął podczas trzęsienia ziemi w jednym z południowych królestw. Oto krótka historia małżeństwa z miłości.

W pamięci Scabera ożyło wspomnienie szlochającej Sorbity obejmowanej przez Nellę.

- Nie masz prawa osądzać żony Heffielda, bo nie masz pojęcia, co naprawdę skłoniło ją do ucieczki! - wykrzyknął z gniewem.

- Rozumiem, że jesteś lepiej poinformowany. - W głosie ojca zadzwieczała drwina.

- Jestem - odpowiedział hardo Scaber.

- To może nam opowiesz - matce i mnie, co usprawiedliwia kobietę, która

opuszcza męża.

- Nie powiem. - Odsunął krzesło i wstał. - Zostałem zobowiązany do zachowania tajemnicy. Dziękuję za wspaniałą kolację. - Podeszedł do matki, pocałował ją w policzek i wyszedł z jadalni.

Skierował się ku schodom, ale po chwili wahania zmienił zdanie i wyszedł do ogrodu. Chciał ochłonąć po rozmowie, która przybrała tak nieoczekiwany obrót. Dręczyło go pytanie, które zadał mu ojciec: „Co zamierzasz teraz robić?”. Krążył po mrocznym ogrodzie, zastanawiając się nad odpowiedzią. Może do czasu aż Szklarka podejmie decyzję, przenieść się do Versathis, żeby być z dala od ojca. A jeśli ona nie zechce za niego wyjść? Taką ewentualność trudno mu było wziąć pod uwagę. Siadł na trawie, opierając plecy o pień sosny.

- Theo! - wyszeptał w ciemność.

11.

Fale wybiegają do przodu i cofają się z sykiem, zostawiając na piasku lśniące jak klejnoty drobne kamyczki. Woda jest ciepła i miękka w dotyku. Szklarka zdjęła buty i pozwoliła morzu obmywać sobie stopy. Skraj letniej liliowej sukni nasiąkł wodą, ale to nie ma znaczenia. Jest tak gorąco, że materiał zaraz wyschnie. To była dobra decyzja - przyjechać tutaj i odpocząć od wszystkiego. Usiadła na płaskim głazie i zapatrzyła się w wyrazistą kreskę horyzontu. Wiatr od morza spieniał grzywy fal i wyszarpywał jej włosy z ciasno upiętego wężła. Wkrótce wokół głowy tańczyła cała gromada niesfornych kosmyków. Czowała wielki spokój. Nawet list od Scabera, który otrzymała dwa dni temu, nie był w stanie go zmącić. I choć natrętnie wracało do niej pytanie: „Jak czułabyś się na wyspie Nut ze mną, Theo?”, to na razie odsuwała je od siebie. Daj mi trochę czasu, myślała leniwie. Muszę odpocząć. Przymknęła oczy i wdychała pachnące solą powietrze.

- Panna Szklarka, o ile się nie mylę?

Drgnęła i odwróciła się tak gwałtownie, że omal nie spadła ze skały. Wysoki mężczyzna o ogorzalej twarzy przypatrywał jej się uważnie orzechowymi oczami, w których tańczyły słoneczne iskierki.

- Kim pan jest? - spytała niezbyt przyjaźnie.

- Ross Claith. Myślę, że moje nazwisko powinno coś pani mówić.

- Scaber opowiadał o panu. Podróżował pan z nim.

- Zgadza się. - Przysiadł niedbale na krawędzi głazu. - Chciałbym z panią chwilę porozmawiać, czy można?

- Proszę bardzo.

Przyglądała mu się ciekawie. To tego właśnie mężczyznę Scaber darzy największym zaufaniem. Cóż... Claith budzi zaufanie.

- Wiem, że Scaber opowiadał pani o Sorbicie. Mówił mi, że poznała pani jej córeczkę... Czy jest pani pewna, że ...

- Ottina jest dzieckiem Sorbity! - przerwała mu żywo Szklarka. - Ma pan na to

moje słowo.

- Chcę ją wydostać z Wyspy Sierot i zawieźć do matki. - Claith pochylił się ku niej i zajął jej w oczy. - Jak mógłbym to zrobić?

Poruszyła się tak gwałtownie, że koronka, którą obszyty był dół sukni, zahaczyła o krawędź skały i oderwała się od materiału.

- Niech pan się nawet nie waży! To po prostu niemożliwe! Musi pan czekać, aż Ottina skończy osiemnaście lat i rozpocznie samodzielne życie.

- Nie chcę się poddawać bez podjęcia próby.

- Bez pozwolenia instruktorek nie zdoła pan postawić stopy na Wyspie.

- Mógłbym wziąć łódź i nocą podpłynąć do Wyspy od drugiej strony, z dala od portu - naciskał Ross. - Proszę mi tylko wskazać miejsce, gdzie mógłbym przybić do brzegu.

Szklarka wzruszyła ramionami.

- Wszędzie są strome klify. Nawet tam, gdzie znajdują się jakieś skrawki plaży, morze najeżone jest skałami.

- Jest pani pewna?

- Chodziłam często na długie spacerunki wzdłuż wybrzeża. Nie przypominam sobie ani jednego miejsca, gdzie łódź mogłaby bezpiecznie przybić.

Ross na chwilę zaprzestał zadawania pytań. Zapatrzył się w morze, marszcząc brwi. Była przekonana, że usilnie szuka innego pomysłu.

- A gdybym zatrudnił się na promie kursującym na Wyspę?

- Nic z tego. Anid Verda osobiście zajmuje się zatrudnianiem nowych pracowników. Oczywiście wie pan, kim jest Anid Verda?

- Chętnie bym jej skrzył kark. - Uśmiechnął się krzywo. Mimo wszystko podejmę próbę wdarcia się na Wyspę. Nie wierzę, że jest tak niedostępna. Czy jest tam ktoś zaufany, do kogo mógłbym się zwrócić o pomoc?

Zawahała się. Czy mogła mu powiedzieć o Chamomilli? Czy nie narazi jej tym samym na niebezpieczeństwo? Nie żeby ten Claith miał jej zaszkodzić celowo, ale wystarczy, że instruktorki sięgną do jego myśli...

- Nie mogę panu powiedzieć - rzekła stanowczo. - To zbyt niebezpieczne dla niej... dla tej osoby.

- W ten sposób zmniejsza pani szanse...

- ...na to, żeby stało się nieszczęście! - Zeskoczyła z głazu wprost w przybrzeżne fale. Cały dół sukni znowu był mokry. - Może jest pan wielkim podróżnikiem, ale w ciągu całego swojego życia nie zetknął się pan z instruktorkami. Będą czytać w pana myślach, znajdą tam Ottinę, Sorbitę, mnie i Scabera! Wtedy możemy już na zawsze pożegnać się z podróżą na wyspę Nut!

- Więc jednak zamierza pani płynąć? - Jego twarz wyrażała pogodne zaciekawienie.

- Och... - Szklarka stropiła się nagle i odwróciła głowę w kierunku morza.

- To ważne, żeby podjęła pani decyzję w ciągu najbliższych dwóch tygodni. - Ross chwycił ją za ramiona i obrócił twarzą do siebie. - Jest to najlepszy czas na wypłynięcie. Potem nadchodzi pora letnich sztormów i podróż trzeba będzie

odłożyć na kilka miesięcy.

Szarpnęła się do tyłu.

- Przecież dopiero co przyplłynęliście! - Wargi jej zadrżały i miała wrażenie, że za chwilę się rozplacze. Nie chciała już teraz zastanawiać się nad przyszłością.

- Rozumiem, że trudno się pani zdecydować. - Ross patrzył na nią łagodnie.

- Nasze spotkanie ze Scaberem... - Spuściła głowę, żeby nie widział łez, które nagle napłynęły jej do oczu.

- Nie było dokładnie takie, jak sobie pani wymarzyła. Wiem.

- On panu mówił?

- Tak. Był przygnębiony i pełen poczucia winy. Twierdził, że go pani nie chce.

Ross patrzył z uwagą na pochyloną głowę Szklarki. Zauważył kropelkę, która spadła na przód bladoliliowej sukni i wsiąkła w materiał, pozostawiając wilgotny, owalny ślad.

- Pani płacze? Nie dziwię się. To trudna decyzja.

- No właśnie... - wyszeptała ledwo słyszalnie. - A pan jeszcze mówi, żeby szybko. Podniosła na niego zamglone łzami oczy.

- Ja po prostu nie wiem... Nie znamy się ze Scaberem tak dobrze, żebyśmy mogła bez wahania jechać z nim na jakąś odciętą od świata wyspę...

Ross westchnął.

- A ja zdecydowałem się zamieszkać na wyspie Nut po jednej zaledwie rozmowie z Sorbitą. Była to co prawda długa rozmowa. - Roześmiał się. - Trwała cały dzień. I nie potrafię już sobie wyobrazić życia bez tej kobiety. A pani? Czy jest pani w stanie zaakceptować powrót do samotnego życia, wypełnionego wykonywaniem kolejnych zleceń i płaceniem podatków instruktorkom?

Przewiercał ją spojrzeniem. Szklarka schyliła się i podniosła leżące w piasku buty.

- Panie Claith?

- Tak?

- Myślę, że ma pan rację, powinnam zaryzykować. Potrzebuję jednak jeszcze trochę czasu.

- Dzień?

- Dwa.

- Dobrze. Zacznę się już rozglądać za odpowiednim statkiem. Nawet jeśli pani odpowiedź będzie odmowna, ja i botanik i tak wracamy na wyspę.

- A Scaber?

Ross wzruszył ramionami.

- Może popłynie z nami, żeby o pani zapomnieć.

Szklarka wzdrygnęła się.

Dwa dni. Wyciągnęła z hebanowej kasetki wszystkie listy matki i czytała je jeden po drugim, szukając jakiejś wskazówki. Verka patrzyła na nią z mieszaniną troski i niezadowolenia.

- Panna Szklarka miała odpoczywać, a zamiast tego znowu się czymś martwi.

- Nie przeszkadzaj mi, Verko... Idź lepiej na targ i kup świeżego melona.
- O tej porze na targ? Na targ chodzi się rano!
- Jest strasznie gorąco i mam ochotę na melona. Może jeszcze nie wszystkie zostały sprzedane.

Verka westchnęła. Zarzuciła koszyk na ramię i ruszyła w kierunku miasteczka, słusznie podejrzewając, że panna Szklarka po prostu chciała się jej pozbyć.

Lea nie żałowała, że poślubiła Jonana. W jednym z listów napisała, że gdyby miała podjąć decyzję raz jeszcze, postąpiłaby tak samo. Scaber! Scaber! Czy mogę ci zaufać? Ja nie wiem, jak to jest - być z kimś na zawsze. Może jednak poradzić się ojca?

Kiedy Verka wróciła z jednym, niezbyt urodziwym melonem, została obarczona następnym zadaniem. Miała znaleźć gońca, który szybko dostarczy list marszałkowi Thunberengowi.

- Po co znowu zadaje się pani z tym starym. Pan hrabia Sedun - to jest odpowiedni mężczyzna dla pani!

- Verko! Jeśli jeszcze raz wyrazisz się źle o marszałku, poszukam sobie nowej służącej!

Szklarka z trudem zapanowała nad gniewem, który nagle ją ogarnął. Przeciw komu był skierowany? Przeciwko wścibskiej Verce, przeciw Claithowi, czy przeciw Scaberowi? Może dotyczył ich wszystkich. A właśnie - Verka. Co z nią? Zwolnić w momencie wyjazdu? Sprzedać mieszkanie i dom nad morzem? A może zostawić wszystko pod opieką służącej w nadziei, że kiedyś tu powróci? Machinalnie pakowała listy Lei do szkatułki i sama sobie z tego nie do końca zdając sprawę, układała w myślach listę rzeczy, które powinna zabrać ze sobą na wyspę Nut.

12.

- Cóż ci mogę powiedzieć, Theo? - Marszałek obserwował zwrócony w kierunku morza profil córki. - Sama musisz podjąć decyzję. Jeśli kochasz Scabera, to pływ. Szklarka przeniosła na niego udręczone spojrzenie.

- Właśnie tego nie wiem.

- Myśl o rozstaniu z tobą, prawdopodobnie na całe życie, jest dla mnie trudna do zniesienia. Z drugiej zaś strony, gdybyś miała zaznać życia w radości, jakiej pozbawiona była Lea... Gdybyś mogła, jak w bajce, żyć długo i szczęśliwie...

- Lea cię kochała, prawda?

Marszałek westchnął, a potem się uśmiechnął.

- Mam wrażenie, że z początku była to z jej strony raczej odpowiedź na moją miłość... Spontaniczne i gorętsze uczucia pojawiły się później.

- Odpowiedź na twoją miłość - powtórzyła Szklarka z nutą rozczarowania w głosie.

- Instruktorci nie uczyły was, jak kochać. Uczyły raczej, jak żyć bez miłości.

Dlatego to jest dla ciebie takie trudne.

Skinęła w milczeniu głową. Marszałek rozejrzył się, czy nie ma w pobliżu Verki i mocno przytulił córkę.

- Mam nadzieję, że tamtej parze powiodą się próby z herbatą szczęścia i spotkamy się znowu, Theo.

- Będę za tobą tęsknić, tato.

- Wiem. Ja też. Ale lepiej tęsknić, niż nie pamiętać...

13.

Dwa dni. Claith dał jej dwa dni do namysłu. Powinien już tu być. Może coś się stało? Może wbrew jej ostrzeżeniom próbował dostać się na Wyspę? Zapadał zmrok. Verka spakowała prawie wszystko, mrużąc przy tym gniewnie, że nie rozumie, po co zabierać tyle rzeczy, skoro zaledwie kilka dni minęło, a znowu trzeba wracać do miasta i wszystko przez tych okropnych mężczyzn, co się koło panny Szklarki kręcą i ją niepokoją. Kiedyś tak nie było. Panna Szklarka malowała piękne rzeczy dla księżnych i dla samej królowej i żyła sobie w spokoju. Szklarka słuchała tego potoku żalów jednym uchem. Siedziała przy oknie i patrzyła, jak gwiazdy rozbłyskują jedna po drugiej na granatowym niebie. Czas spać. Jutro już będą w domu. Może tam czeka na nią wiadomość od Claitha... albo od Scabera.

Obudziła ją poranna krzątanina służącej - szcęk naczyń i zapach kawy.

- Zamówiłaś już Jaya, żeby przed południem zabrał nas stąd razem z bagażami? - spytała, podnosząc się z pościeli.

Verka zerknęła na ścienny zegar ozdobiony różowymi muszelkami.

- Przyjedzie za jakieś dwie godziny.

- To dobrze. - Szklarka przeciągnęła się. - Będę miała czas pożegnać się z morzem.

- Najpierw może panna Szklarka coś zje - burknęła służąca, ustawiając na obrusie w błękitno-białą kratę filiżankę z kawą i talerz z rogalikami.

- Verko... za kilka tygodni wyjeżdżam... na bardzo długo...

Dziewczyna znieruchomiała w pół gestu.

- Tak, proszę pani... - wyszeptała.

- Być może - ciągnęła z wahaniem Szklarka - nie będzie mnie kilka lat.

- Och! A... co ze mną?

- Chciałabym, żebyś opiekowała się mieszkaniem. Ustalę z moim bankierem, by wypłacał ci comiesięczną pensję. A jeśli... znajdziesz sobie jakiegoś narzeczonego i... będziecie chcieli założyć rodzinę, to po prostu zamknij wszystko na cztery spusty i zostaw.

- Panno Szklarko - wyjąkała Verka przez łzy. - Czy to dlatego, że rozgniewałam panią wczoraj?

- Ależ nie. - Szklarka pogłaskała dziewczynę po wilgotnym policzku. Po prostu muszę wyruszyć daleko... z hrabią Sedunem - jeśli to cię choć trochę pocieszy.

- A nie mogłabym pojechać z panią? Przecież pani będzie potrzebowała służącej. Verka miała rację. Trudno będzie się jej obejść bez dziewczyny do pomocy. Kto będzie gotował i sprzątał w nowym domu na wyspie Nut? Ale przecież nie może skazać Verki na życie w krainie, z której nie ma powrotu. Nie może przywiązać jej do siebie na całe życie. Pokręciła przecząco głową.

- Nie, Verko. Lepiej będzie, jak zostaniesz tutaj.

Dziewczyna ocierała oczy kraciatą chustką, ale łzy płynęły jej po twarzy nieprzerwanym strumieniem.

- Przecież ja oprócz pani nie mam nikogo! Pani sierota i ja sierota... To myślałam, że ja już będę z panią na zawsze.

- Verko, a nie chciałabyś mieć własnej rodziny? Męża? Dzieci? Jesteś miła, ładna i dobra. Jestem przekonana, że wielu mężczyzn marzy o takiej żonie.

Na to Verka wybuchnęła jeszcze większym płaczem.

- Ale on nawet na mnie nie spojrzy.

Szklarka zamruwała oczami zdezorientowana.

- Kto?

- Ro...obi.

- Robi? Nasz Robi?

Verka przytaknęła, zanurzając znowu twarz w chustkę.

- Jak on do pani przychodził, to ja przecież dopiero zaczynałam służbę. I jak pani pracowała u siebie, to ja siadałam z Robim i oglądałam jego rysunki. A on był taki miły i pytał, co o nich myślę, i jedliśmy ciasto, i chociaż byliśmy wtedy jeszcze dziećmi, to sobie myślałam, że Robi będzie kiedyś moim mężem. Potem on zaczął pracować dla króla i już go pani nie uczyła, więc ja trochę tęskniłam, a trochę myślałam, że to taka dziecinna miłość... Ale jak rok temu zjawił się u pani, tak niespodziewanie, to myślałam, że serce mi wyskoczy z piersi. A potem pomyślałam sobie, jaka ja jestem głupia, bo przecież on jest królewskim rysownikiem, a ja służącą, to gdzie mi tam do niego, więc niech mi pani nie mówi o mężach i rodzinach.

Wyrzucone niemal jednym tchem wyznanie uspokoiło Verkę. Przestała szlochać, zdecydowanym ruchem wetknęła chustkę do kieszeni fartucha i zaczęła sprzątać ze stołu.

- Możesz przecież zapraszać go na herbatę i ciasto - pogodnym głosem Szklarka wróciła do tematu.

- Zapraszać? Do pani domu? - zgorzyla się dziewczyna.

- To także twój dom. Sama mówiłaś - ja sierota, ty sierota...

- Ale to nie wypada...

- Och, Verko! Robi spędza całe dni wśród papierów i zasuszonych staruszków, popijając obrzydliwą kawę. Jest ostatnią osobą, która zaproszona na pogawędkę okraszona ciastem i uśmiechem miłej dziewczyny, zastanawiała się, czy to wypada.

- Naprawdę tak pani myśli? - Verka rozjaśniła się.

- Naprawdę.

Szklarka wyszła przed dom. Pomyślała, że to śmieszne żegnać się z morzem, skoro za parę tygodni będzie go miała w nadmiarze. Ale to nic. To tutaj, to było jej morze, jej towarzysz samotnych rozmyślań.

- Theo.

Obejrzała się. Przy południowej ścianie domu, oparty o nagrzane drewniane bale, siedział Scaber. Na jego twarzy malowało się znużenie. Miał zapadnięte policzki i cienie pod oczami. Usiadła obok niego. Przez chwilę nic nie mówili. Skrzeczące mewy nurkowały, wyławiając z morza jakieś resztki.

- Nie jesteś u rodziców? - zagadnęła Szklarka lekkim tonem.

- Już nie.

- Bardzo mieli ci za złe zerwanie zaręczyn?

- Theo! - Wyprostował się gwałtownie i chwycił ją za ramiona. - Nie chcę teraz rozmawiać o moich rodzicach! Przyjechałem, żeby cię spytać...

- Tak, pojedę z tobą. - Nie patrzyła na niego, tylko na przelewające się w oddali fale.

- To znaczy, że jednak chcesz zostać moją żoną? Proszę, spójrz na mnie. - Poglaskał ją po policzku, a potem delikatnie obrócił jej twarz tak, że ich spojrzenia się spotkały.

- Ja... nie wiem, czy potrafię cię kochać. Ojciec powiedział, że Lea, to znaczy moja matka, nie od razu darzyła go miłością... To przyszło później. Myślę, że ze mną może być podobnie...

Wierzchem dłoni otarł łzę, która nieoczekiwanie zaczęła staczać się po jej policzku.

- Nie jestem pewna, czy możesz coś takiego zaakceptować...

- Oczywiście, że mogę - powiedział łagodnie i scałował kolejne dwie łzy wymykające się spod jej rzęs.

Od strony miasteczka zbliżał się z kłopotem wóz starego Jayu, ciągnięty przez zmęczonego upałem karego konika.

- Nasz powóz zajechał - powiedziała, patrząc w pełne ciepła brązowe oczy swojego przyszłego męża.

CZEŚĆ IV

1.

Zbliżający się łódź był spowity mgłą. Słoneczne promienie odbite od grzbietów fal raziły oczy. Upał. Jeszcze dzień, a znajdą się na tyle blisko brzegów wyspy Nut, że jej mieszkańcy zobaczą łopoczący na wietrze złocisty proporzec, który Nella wręczyła Scaberowi na pożegnanie. Szklarka wpatrywała się w błękitnawe zarysy wzgórz widoczne na horyzoncie. Mimo gorąca czuła raz po raz przebiegające po jej plecach dreszcze. Czy to był strach? Bardzo prawdopodobne. Może bała się zmian? Dobrze jej było na statku i dobrze jej było ze Scaberm. Zadmowała się w ciasnej kajucie. Rozkoszowała się niezależnością od instruktorek. Wcześniej nie zdawała sobie sprawy, że pozornie wolna, cały czas była z nimi związana. Może sprawiały to odprowadzane na rzecz Wyspy Sierot podatki? Mimo że wszelkimi przelewami zajmował się jej bankier, to zawsze otrzymując wynagrodzenie, odruchowo obliczała, jaka część sumy należy się instruktorkom. Od kilku miesięcy Wyspa nie czerpie korzyści z jej pracy. Czy wiedzą już o jej ucieczce?

- O czym myślisz? - Poczwała na ramionach dłonie Scabera.

- Myślę... - Zastanowiła się przez chwilę. - O tym, że naprawdę uciekłam... I o tym, że wyspa Nut budzi mój niepokój.

- Ja też nie darzę jej szczególnym sentymentem, ale na razie to jedyne miejsce, gdzie możesz być bezpieczna. - Przyciągnął ją bliżej. - ...Moja ty cenna istoto.

- Cóż, państwo młodzi, kontemplujecie swoją przyszłą siedzibę? - Ross dokuśtykał do nich, opierając się na lasce.

- Coraz lepiej sobie radzisz - zauważył Scaber.

- Myślałem, że przed końcem rejsu będę już mógł chodzić bez kija, ale niestety... zamiast dzielnego bohatera, Sorbita zobaczy kalekę. - Uśmiechnął się krzywo.

- Dobrze wiesz, że tylko cudem ocalałeś - powiedziała poważnie Szklarka.

Wbrew jej przestrogom Claith próbował dopłynąć do Wyspy Sierot i przybić do brzegu w jakiejś skalistej zatoczce, z dala od głównej przystani. Jego łódź rozbiła się o podwodne skały, a on sam, poturbowany, ledwie uszedł z życiem.

- Panie instruktorki miały widać co innego do roboty, niż ściganie samotnego rozbitka. - Ross wzruszył ramionami.

- Może nawet nie zauważyły, że próbujesz wdrzeć się na ich terytorium - wysunął przypuszczenie Scaber.

Claith uniósł brwi w górę z miną wyrażającą powątpiewanie

- To, co się działo, kiedy próbowałem zbliżyć się do Wyspy, nie było zwykłą manifestacją sił natury, mówiłem już o tym ze sto razy. W jednej chwili morze było spokojne, a zaraz potem woda zaczęła się pieniać i burzyć bez żadnej widocznej przyczyny. Wycofałem się - wszystko ucichło. Ruszyłem naprzód -

znowu kipieli. Wynalazek rodem z Corredo, nie mam co do tego wątpliwości.

- Mimo to podtrzymuję twierdzenie, że instruktorki nie wiedziały o tobie. To, na co natrafiłeś, można porównać do pułapki na myszy. Zwierzę wchodzi i uruchamia mechanizm...

- Chciałbym się im dostać do skóry. - Ross zacisnął dłoń na lasce.

Szklarka zostawiła mężczyzn i zeszła do kajuty. Chciała jeszcze raz przejrzeć rzeczy, które spakowała do podręcznej skórzanej torby. Ubrań nie brała. Według słów Scabera strojów na wyspie jest pod dostatkiem. Za to z farb nie zrezygnuje. Ani z ulubionego zestawu pędzli. Osobiste drobiazgi, pamiątki Listy od Lei. Całe życie w jednej torbie.

Statek rzucił kotwicę następnego dnia o poranku. Proporzec błyszczał w promieniach wschodzącego słońca, jakby utkany był z litego złota. Mimo to gęsta mgła nadal spowijała wyspę, wydzielając odurzającą woń.

- Nella na pewno obiecała, że mgła zniknie? - upewniał się Cecil.

Scaber przytaknął w milczeniu.

- Może otrzymali inne rozkazy z Corredo? - poddał lekkim tonem Ross.

- O nie! - Botanik wyrzucił ręce w górę w geście rozpaczony. - Nie mam zamiaru drugi raz się przez to przedzierać. Mało się wtedy nie udusiłem.

- Podnosi się - wyszeptała Szklarka.

Mlecznobiałe kłęby mgły wyglądały tak, jakby coś wypchnęło je w górę. Zawisły kilka metrów nad powierzchnią morza i pozostały tam w postaci wieńca obłoków. Ustalili z kapitanem, że ma czekać dwa tygodnie. Jeśli nikt nie wróci na statek do tego czasu, będzie mógł odpłynąć. Ale za rok ma się znowu pojawić u brzegów wyspy, żeby zabrać Cecila.

- Wyplata przy odbiorze. - Botanik znacząco potrząsnął woreczkiem pełnym złotych monet.

Wsiedli do szalupy. Tym razem znacznie szybciej dobili do brzegu. Scaber miał wrażenie, że dzieje się tak nie tylko z powodu nieobecności mgły. Wydawało mu się, że wyspa sama się do nich przybliża. Stanęli na piaszczystej plaży. Ross obejrzał się za siebie.

- Spodziewałem się tego - powiedział, pokazując na wodę.

Mgła znowu opadła i broniła wstępu na wyspę. Szklarka wzdrygnęła się.

- Lepiej się czułam, mając na widoku nasz statek - wyznała półgłosem.

Scaber pocieszająco ścisnął jej dłoń.

- Nie widzę delegacji powitalnej - zauważył sarkastycznie Ross. - Musimy chyba znaleźć strumień, wzdłuż którego szliśmy wtedy. Nie wytrzymamy długo na tym słońcu.

Ruszyli ku linii drzew. Szklarka rozglądała się urzeczona bujnością świata roślin. Gatunki, które знаła tylko z rycin w starych atlasach, pyszniły się przed nią w całej okazałości, intensywnością barw przewyższając jej wyobrażenia.

- Jakże to piękne - szepnęła, wyciągając dłoń ku kaskadzie drobnych purpurowych kwiatków.

- Nie! - Cecil chwycił ją za rękę. - To rydania purpurowa, bardzo trująca. Westchnęła. Jakim wspaniałym dziełem byłyby wielkie szklane panele z wymalowaną na nich ścianą dżungli! Wyobraziła sobie wysokie wąskie okna, takie jak w klasztorze braci uzdrowicieli, i przefiltrowane przez wielobarwne malowidła zielonkawozłote światło wpadające do wnętrza. Jeśli kiedyś wrócę... Nieoczekiwanie ogarnął ją smutek. Tu, na wyspie Nut, nikt nie zamówi u niej malowanych szyb. Tu nikomu nie jest potrzebna jej sztuka. Zamrugwała powiekami, żeby przegonić natrętne łzy. Ma przecież Scabera. Może pojawi się też dziecko? Będzie mu wtedy pokazywać, jak studiować rośliny, jak rysować liście, łodygi i kwiaty. Nauczy je subtelnej sztuki dobierania barw. A pewnego dnia, kiedy Cecil z Irindą i Renem wyhodują odpowiednią odmianę herbaty szczęścia, wszyscy spokojnie wrócą do domu. Ani przez chwilę nie chciała uwierzyć, że może tu zostać do końca życia.

- Dziwne uczucie, znaleźć się po upływie roku w tym samym miejscu, prawda? - zagadnął Cecil, kiedy dotarli do strumienia.

- Niezbyt przyjemne. - Scaber skrzywił się, po czym z lekkim poczuciem winy zerknął na Szklarkę. Nie powinien tak manifestować swojej niechęci.

Złożyli bagaże na ziemi i przysiedli w cieniu, żeby napić się wody i chwilę odpocząć.

- Teraz pójdziemy w górę strumienia, aż dojdziemy do miejsca, gdzie znajduje się wejście do podziemnego tunelu - wyjaśniał Szklarce Scaber.

- Czy tu zawsze jest tak gorąco? - spytała, po raz kolejny przemywając sobie twarz chłodną wodą.

- Niestety tak, ale nie martw się, tam, gdzie osiedlili się Ren z Irindą, jest znacznie znośniej. - Scaber przyklęknął przed żoną i spojrzał jej w oczy. - Poradzimy sobie, zobaczysz.

- Czy ozdoba naszej wyprawy już odpoczęła? - spytał Ross, wstając z omszałego głazu.

- Masz na myśli Cecila? - odparowała z niewinną miną Szklarka, wskazując na botanika trzymającego w ręce kiść bladobłękitnych kwiatów.

- To dobrze wróży, gdy żona ma poczucie humoru - zwrócił się do Scabera Claith, wydymając wargi.

Wędrówka wzdłuż strumienia była uciążliwa i Szklarka żałowała, że nie ma na sobie męskiego ubrania, zwłaszcza solidniejszych butów. Jej pantofelki, najwygodniejsze jakie miała, nie nadawały się do brodzenia po wodzie i stąpania po śliskich, porośniętych glonami kamieniach. Mokry skraj jasnobłękitnej sukni ciągnął się po ziemi i zaczepiał o krzaki. Pot sklejał włosy i małymi strużkami spływał po plecach. Marzyła o kąpeli i świeżych, przewiewnych ubraniach. Pod sklepieniem gałęzi i liści było duszno. Z przerażeniem rozpoznała znajomy pulsujący ból w prawej skroni. Zacisnęła zęby. Teraz będzie coraz gorzej. Byle dotrzeć do tunelu. Tam powinno być chłodniej. Krok... i jeszcze jeden krok, chłupot strumienia, nasiąknięte wodą buty, irytujące trzeszczenie jakichś niewidocznych owadów. Zapachy. Teraz, kiedy rozboleła ją głowa, jej wdech

zaczął wychwytywać same nieprzyjemne wonie - butwiejących liści i gnijących łądyg. Nawet kwiaty zaczęły emanować jakiś duszący i wywołujący mdłości aromat.

- Widzę prześwit! - krzyknął Ross.

- Scaber, niedobrze mi. - Szklarka złapała męża za ramię i oparła się na nim całym ciężarem.

Zrobiło się jej ciemno przed oczami. Czowała, że ktoś bierze ją na ręce. Nie miała siły unieść powiek. Wydawało się jej, że kładą ją na ziemi, słyszała strzępy rozmowy, ale nie potrafiła rozróżnić słów. Ból przetaczał się po jej głowie tętniącymi falami. Z trudem oddychała wilgotnym, gorącym powietrzem. Walczyła z mdłościami... Pod powiekami wirowały jej czerwone koła. Ta wyspa mnie zabija, pomyślała. Znowu klucza w oczach, zsynchronizowane z rytmem serca. Znienacka spłynęła na nią delikatnie pachnąca, wilgotna mgiełka. Jak prysnięcie perfum. Bolesne pulsowanie ustało tak nagle, że aż mimowolnie krzyknęła ze zdziwienia. Otworzyła oczy. Zobaczyła nad sobą bardzo ładną, uśmiechniętą twarz okoloną kasztanowymi lokami.

- Dzień dobry. Jestem Irinda. Witaj na wyspie Nut, Szklarko.

- Tak naprawdę - wyszeptała półprzytomnie Szklarka - to mam na imię Thea... Thea Felicitatis.

- Herbata szczęścia. - Irinda aż przysiadła ze zdumienia. Widać było, że jest wstrząśnięta.

Thea nie wiedziała, dlaczego bez wahania ujawniła swoje imię tej kobiecie. Nie zdradziła go dotychczas nikomu poza ojcem i Scaberem. Nawet dla Rossa i Cecila była nadal Szklarką

- Cieszę się, że do nas przybyłaś, Theo. - Twarz Irindy ciągle wyrażała zaskoczenie.

Szklarka uniosła głowę i rozejrzała się dookoła. Znajdowali się na polanie pośród rozrzuconych beładnie kamiennych budowli. W jednej z nich ział duży otwór. Było to zapewne wejście do tunelu. Scaber i Cecil rozmawiali z jakimś mężczyzną ubranym w pracowicie wyhaftowaną koszulę, a Ross... Ross tulił do siebie ciemnowłosą piękność, która bez wątpienia była Sorbitą. Nieco dalej, przypatrując się wszystkim z dystansu, stała starsza kobieta w zielonej sukni wyszywanej w blad różowe lilie. Jej wzrok spoczął na Szklarce.

- Nie zdradzaj Nelli swojego prawdziwego imienia - nakazała szeptem Irinda.

- Dlaczego?

Irinda nie zdążyła odpowiedzieć, bo staruszka już była przy nich.

- Dobrze się czujesz, Szklarko? - spytała.

- Myślę, że tak. Piękną masz suknię, Nello.

Stara kobieta roześmiała się.

- Dziewczyna z Wyspy Sierot zawsze rozpozna mistrzowską rękę. Piękna robota, prawda? Ale to nie moje dzieło. Wyhaftowała ją Sara. Już jej nie spotkasz. Nie żyje od dwudziestu lat.

Szklarka uważnie przypatrywała się Nelli. Życzliwie uśmiechnięta twarz,

pogodne niebieskie oczy otoczone promykami zmarszczek. Irinda z jakiegoś powodu jej nie ufała. Scaber także nie wypowiadał się na temat staruszki zbyt pochlebnie. Staruszki? Nella miała pomarszczoną twarz i siwe włosy, ale sposób, w jaki się poruszała, przeczył jej wiekowi. Ile mogła mieć lat? Siedemdziesiąt? Pomyślała o długowieczności instruktorek, o ich nieprzemijającej młodości. Ale Nella nie była instruktorką. Miała zmarszczki, a jej wzrok nie miał w sobie nic z niebezpiecznego, zimnego spojrzenia Anid Verdy.

- Czy dasz radę iść? - spytała Irinda.

- Tak. Nie wiem, czego użyłaś, żeby usunąć ból głowy, ale czuję się cudownie.

- To olejek z płatków róży lamparciej - poinformowała Nella. - Irinda wyspecjalizowała się w przyrządzaniu z tutejszych roślin niezwykle skutecznych leków. Wasz botanik mógłby się od niej sporo nauczyć.

Szklarka wstała i razem z dwiema kobietami podeszła do wrót tunelu. Scaber ucieszył się bardzo na jej widok.

- Widzę, że postawiły cię na nogi. Jak się czujesz, The...

- Szklarka czuje się świetnie - wpadła mu w słowo Irinda. - Możemy ruszać w drogę.

- To nie będzie trwało długo - dodała Nella. - Poprowadzimy was znacznie krótszą trasą i nie będziemy musieli przechodzić przez dolinę Żaru.

- W którym miejscu wyjdziemy? - zainteresował się Ross.

- W pobliżu znanego już panom pałacu, oczywiście. - Nella uśmiechnęła się figlarnie.

Scaber zrobił zboląłą minę.

- Nie ma co się krzywić, panie hrabio. Szklarka musi odpocząć. Jutro będziecie mieli dość czasu, żeby wybrać sobie dom.

I właściwie... skoro będzie pan jednym z mieszkańców wyspy, proponuję, żebyśmy mówili sobie po imieniu.

Nie zaproponowała tego pozostałym. Ross skwitował to złośliwym uśmiechem skierowanym w stronę Cecila. Sorbita otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale Claith uspokajającym gestem położył jej rękę na ramieniu i szepnął coś do ucha. Szli, przyświecając sobie naftowymi lampami. Nella prowadziła. Ross z Sorbitą postępowali tuż za nią, a pozostali trzymali się w większej odległości. Ren i Irinda dyskutowali o czymś zawzięcie z Cecilem, ale dudnienie kroków w korytarzu zagłuszało ich słowa. Szklarka wspięła się na palce i szepnęła Scaberowi do ucha:

- Irinda powiedziała, że bym nie zdradzała swojego imienia Nelli.

- Wyjaśniła dlaczego?

- Nie zdążyła.

Scaber objął ją ramieniem i przytulił.

- Martwiłem się o ciebie. Wyglądałaś na krańcowo wyczerpaną. Irinda powiedziała, że się tobą zajmie i kazała mi odejść. Nie posłuchałbym, gdyby to była Nella.

- Nie rozumiem tych waszych podejrzeń. - Szklarka westchnęła.

Do tunelu wdarł się nagle snop słonecznego światła. Silny zapach róż wypełnił

wnętrze podziemnego korytarza.

- Jesteśmy u celu - ogłosiła Nella. - Mężczyźni wybrzydali na ten pałac, ty jednak, Szklarko, z pewnością docenisz jego piękno i wygodę.

Przede wszystkim zachwyciły ją róże, kwitnące tu w wielkiej masie i obfitości. Tak olbrzymiego rosarium nie widziała nigdy w życiu. Gdyby nie przygniatający upał, chętnie spędziłaby tu kilka godzin ze szkicownikiem i ołówkiem. Pałac natomiast nie wzbudził w niej entuzjazmu. Wydawał się zimny i bezosobowy. Budowla doskonała pod względem architektonicznym, ale pozbawiona życia. Rozejrzała się po cienistym patio.

- Gdzie tu można wziąć kąpiel? - Chciała się jak najszybciej pozbyć przeпоconego ubrania i odświeżyć w chłodnej wodzie.

- My... myśliśmy się w fontannie. - Scaber speszony spojrział na Rossa i Cecila. Nella parsknęła krótkim śmiechem.

- Panowie nie potrzebowali łazienek, ale to nie znaczy, że ich nie ma. Chodź, pokażę ci.

Poprowadziła Szklarkę wąskimi schodami wiodącymi do podziemi. Był tam szereg pokoików, przez które dwoma marmurowymi korytami przepływała ciepła i zimna woda. Światło wpadało tu przez okrągłe świetliki umieszczone pod sufitem.

- Ciepła woda płynie bezpośrednio z gorących źródeł - powiedziała z dumą Nella.

- W szafie pod ścianą znajdziesz ręczniki i czyste ubrania. Życzę miłej kąpieli.

Nella wyszła, zasuwając za sobą harmonijkowe drzwi złożone z wąziutkich drewnianych listewek. Szklarka zdjęła ubranie i weszła do ciepłego strumienia. Marmur lśnił łagodnym mlecznym blaskiem. Co za ulga móc tak leżeć bez ruchu i pozwalać się obmywać ciepłym falam. Szklarka zanurzyła się po szyję i przymknęła oczy. Jej myśli powędrowały ku Nelli. Ta kobieta chyba była tutaj szczęśliwa. Z taką dumą pokazywała pałac i podziemne łazienki... Irinda i Ren chcieli uciec z wyspy. Sorbita także. O pozostałych nie wiedziała nic, ale bardzo prawdopodobne, że w nich również tliła się iskierka nadziei na porzucenie wyspy. Być może tylko dla Nelli to miejsce stało się prawdziwym domem. I dlatego mogły ją niepokoić prace nad herbatą szczęścia. Obecność obcych mężczyzn, którzy przyplływają na wyspę, a potem odpływają, nie będąc skazanymi na pozostanie, na pewno wytrącała ją z równowagi. Szklarka wynurzyła się z wody i sięgnęła po pachnące mydło, leżące w owalnej miseczce z jadeitu. Zmyła z siebie cały pot i kurz. Pieniste mydliny spływały do niewidocznych, podziemnych kanałów. Wydawało jej się, że wraz z nimi odpływa całe jej dotychczasowe życie. Ociekając wodą, wyszła na marmurową posadzkę i otworzyła ażurowe, rzeźbione w morskie stwory drzwi szafy. Otuliła się białym ręcznikiem. Skąd mają takie puszyste, cudownie miękkie tkaniny? Przyjrzała się uważnie splotom nitek. Nigdy czegoś podobnego nie widziała. Czyżby materiał pochodził z Corredo? Przesunęła dłonią po sukniach zajmujących ponad połowę szafy. Odruchowo sięgnęła po blad różową, ale zaraz cofnęła rękę, zaskoczona swoim wyborem. Nigdy nie nosiła ubrań w tym kolorze. Była przekonana, że róż do niej nie pasuje.

Teraz jednak coś jej szepnęło: „A czemu nie?”. W szufladzie znalazła stopy bielizny z cieniutkiego jedwabiu, który miło chłodził skórę. Luksusy. Pławienie się w luksusie... oto czym była ta chwila. Suknię wyhaftowano w maleńkie, złote różyczki, które rzucały błyski przy każdym poruszeniu. Jeszcze buty. Były tu ich całe tuziny, poustawiane równiutko parami. Nie wierzyła, że mieszkańcy wyspy potrafili sami robić takie buty. Nie ulega więc wątpliwości, że to Corredianie zaopatrują wyspę Nut w różne rzeczy. Wsunęła stopy w nieprawdopodobnie wygodne złote sandały. Na marmurowym blacie będącym czymś w rodzaju toaletki znalazła duży zestaw grzebieni i szczotek do włosów. Jeszcze i to. Dlaczego? Skąd taka hojność? Czy w ten sposób chcą zadośćuczynić krzywdy wyrządzone przez instruktorki? Może świat Corredo jest pełen dobra i miłości? Podpięła włosy z boków, pozwalając całej reszcie spływać swobodnie na plecy. Nigdy tak się nie czesała. Była zdziwiona własnym zachowaniem i nagłą zmianą gustów, ale nie chciała teraz tego roztrząsać. Wolnym krokiem weszła po schodach i wkroczyła na patio. Nie zastanawiała się, jak na jej widok zareaguje Scaber. O pozostałych mężczyznach nie myślała w ogóle. Nie przypuszczała, że nagle przerwą rozmowę i będą na nią patrzeć w taki sposób... Jakby ujrzeli jakieś zdumiewające zjawisko. Ross pierwszy otrząsnął się z zauroczenia.

- Witamy królową wyspy Nut. - Skłonił się w pas.

Scaber podszedł do niej i dotknął rozpuszczonych włosów.

- Theo - wyszeptał. - Nigdy cię takiej nie widziałem. Wyglądasz... Ross ma rację, wyglądasz jak królowa.

- To przez tę suknię. - Poglądziła dłonią delikatny materiał i spuściła głowę, żeby pozostali nie widzieli, jak zalewa ją szkarłatny rumieniec.

- Usiądź z nami i zjedz coś.

- To im powiedz, żeby się tak na mnie nie patrzyli. - Ukryła twarz na ramieniu Scabera.

Roześmiał się.

- Panowie, wolałbym, żebyście z większym zaangażowaniem zajęli się jedzeniem.

Pojęli aluzję i zdjęli wzrok z zażenowanej Szklarki.

- Gdzie pozostali? - spytała.

- Zostawili nas, żebyśmy ochłonęli po podróży. Spotkamy się jutro w dolinie Kai.

- A przedtem pójde się wykąpać w tej podziemnej łaźni - mruknął Ross, wbijając wzrok w na wpół zjedzonego banana. - Może też wynurzę się stamtąd jaśniejący jak jutrzienka.

Szklarka parsknęła śmiechem i atmosfera nieco zelżała. Po monotonnym jedzeniu na statku, owoce stanowiły prawdziwą ucztę. Na dnie kosza odkryta swoje ulubione melony. Leżący na srebrnej tacy nożyk nadawał się świetnie do krojenia.

- Gdzie wyrzucamy śmieci? - spytała, odkładając na bok pustą łupinę.

Mężczyźni spojrzeli po sobie zdziwieni. Nigdy nie przyszło im do głowy zastanawiać się, co dzieje się z resztkami pozostawionymi na patio. Scaber

wzruszył ramionami.

- Zostawiamy wszystko tutaj... a potem chyba ktoś to sprząta.

- I nie zaobserwowaliście nigdy, kto to jest? I kto przynosi jedzenie? - spytała z niedowierzaniem.

- To się dzieje w nocy albo gdy jesteśmy poza pałacem.

- Niemniej jednak chciałabym wiedzieć - powiedziała stanowczo.

Scaber przez cały czas nie spuszczał z niej wzroku. Czy to na pewno jego Szklarka? Jego Thea? Ta, z którą kilka miesięcy temu wziął ślub na statku? Ta zamknięta w sobie dziewczyna z Wyspy Sierot? Zachwyt mieszał się z przerażeniem. Zupełnie nie znał tej nowej Thei.

2.

Przysięgłby, że kiedy poprzednim razem przeszukiwał pałac, nie było tego pokoju z podwójnym małżeńskim łóżem, nad którym rozpięto złocisty baldachim. Szklarka siedziała przy toalecie i szczotkowała włosy. Wyglądała na szczęśliwą i to go niepokoiło. Nie powinna się tu czuć aż tak dobrze.

- Widziałaś już ten księżyc?

Odłożyła szczotkę i stanęła obok niego przy oknie.

- Jest piękny - szepnęła.

Jej twarz oblana różową poświatą wyrażała prawdziwy zachwyt.

- I nie przeraża cię to zupełnie obce niebo?

- Nie, dlaczego? - Zaskoczona spojrzała mu w oczy.

Ujął jej twarz w dłonie.

- Chciałabyś tu zostać... już na zawsze?

Jej wzrok powędrował ku łanom róż wysyłającym słodki zapach w gorące, nocne powietrze.

- Myślisz, że coś mi się stało? - szepnęła. - Myślisz, że wyspa mnie odmieniła, albo oni... ci z Corredo? Wiem, że zachowuję się inaczej. Dobrze mi tutaj. Nareszcie mogę robić to, na co naprawdę mam ochotę. Jestem poza zasięgiem instruktorek, rozumiesz?

Znowu popatrzyła na niego. Ze zdumieniem dostrzegł drżące na koniuszkach rzęs ły.

- W porządku - powiedział, scałowując słone krople. - Muszę się po prostu przyzwyczaić.

3.

Kiedy wychodzili z pałacu, słońce stało już wysoko na niebie i powietrze drżało od gorąca. Ross i Cecil dużo wcześniej wyruszyli do doliny Kai, tak więc Scaber

i Szklarka byli sami.

- Mam nadzieję, że będę pamiętał, w którym miejscu znajduje się wejście na drogę - powiedział Scaber.

Podprowadził Szklarkę do charakterystycznego krzaka róży.

- To chyba tutaj.

- Och! Widzę! - wykrzyknęła uradowana.

- Co widzisz?

- No... tę drogę. - Zerknęła na Scabera i zmieszała się, ujrawszy jego minę. - To znaczy, nie tyle samą drogę, co tęczowe błyski na jej powierzchni.

Scaber wyteżał wzrok, ale widział tylko morze róż. Trzymanym w dłoni kijem wymacał wejście na wiadukt.

- Weź mnie pod rękę. Z tą laską będzie nam łatwiej - powiedział sucho.

Szklarka kontemplowała przez chwilę rozległą panoramę ogrodu, a potem popatrzyła na męża.

- Scaber - powiedziała z naciskiem. - Niepotrzebny nam kij. Ja naprawdę widzę, jak biegnie ta droga.

- No dobrze, to dlaczego nie widział jej ani Cecil, ani Ross, ani ja?

- Nie wiem? A Nella?

- Nella?

- No tak.

- Dlaczego akurat o nią pytasz? Nella poruszała się po tej drodze bardzo pewnie, w przeciwieństwie do nas.

Popatrzyli sobie w oczy.

- Trzeba to wyjaśnić. - Szklarka czubkiem sandałka stuknęła w chropowatą powierzchnię wiaduktu. - Kiedy patrzę w dół, widzę tylko kwitnące krzewy i mam wrażenie, że stoję na idealnie przejrzystej szybie. Wystarczy jednak, że spojrzę przed siebie, od razu dostrzegam ten połysk na powierzchni i światło rozszczepiające się na miniaturowe tęcze.

- Prowadź więc.

Trzymając się za ręce, posuwali się w szybkim tempie. Męczący był jedynie nieznośny żar. Scaber miał już ubranie zupełnie mokre od potu. Spojrzał na kroczącą raźnie u jego boku Szklarkę.

- Jak znosisz ten upał? - spytał.

- Jest rzeczywiście gorąco - odparła obojętnie - ale jakoś mnie to nie męczy. Chyba jestem zbyt przejęta, żeby zwracać uwagę na upał.

Scaber zaśmiał się z niedowierzaniem. Jak można nie zwracać uwagi na ten potworny, lejący się z nieba żar. On sam od dobrych kilkunastu minut marzył już tylko o tym, by znaleźć się w cieniu. Jego koszula nadawała się do wyżymania. Nagle coś mu się przypomniało. Zmarszczył brwi. Szklarka zachowywała się jak Nella. Tak samo nie męczyło jej gorąco. Popatrzył na delikatny profil żony, na jej zgrabną sylwetkę i swobodne, pewne ruchy. Poczł ucisk w gardle. Czy miałby ją stracić? Czy przywiózł ją tu tylko po to, by w ciągu kilku godzin stała się kimś obcym? Kimś takim jak Nella? Królową wyspy Nut?

- Theo...

Ciemnoszare oczy popatrzyły na niego ze smutkiem.

- Nie myśl, że tego nie widzę - powiedziała cicho. - Ty ciężko dyszysz i co chwila ocierasz pot, a ja tuż obok idę sobie bez żadnego wysiłku. To nienormalne. Ty nienawidzisz tej wyspy, ja czuję, jakbym nareszcie odnalazła swoje miejsce. Nie potrafię wytłumaczyć, co się ze mną dzieje. W jednej chwili jestem szczęśliwa, a w następnej zaczynam się bać. To wszystko oddala nas od siebie... Nie chcę cię stracić. - Westchnęła z głębi serca i do dała: - Muszę porozmawiać z Nellą.

- Dlaczego z Nellą!?! - wybuchnął.

- Nie krzycz, proszę. - Odsunęła się od niego. - Wydaje mi się, że tylko ona może wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi.

- Wie i nie mówi - rzucił z goryczą.

W milczeniu doszli do miejsca, gdzie droga zaczęła się obniżać. Panorama doliny Kai rozpościerała się przed nimi w całej okazałości. Szklarka chłonęła wzrokiem przepiękny widok.

- Podoba ci się, prawda?

Przytaknęła bez słowa. Ten krajobraz był jak wyjęty z baśni, jak jaśniejąca barwami iluminacja ze starych manuskryptów, które przeglądała w bibliotece braci uzdrowicieli.

- Które z tych domów są niezamieszkane? - spytała.

- Nie wiem, nie poznaliśmy wielu mieszkańców doliny. Tylko Nellę i Sorbitę. Ren z Irindą mieszkają dalej.

- To dziwne, nie chcieli was poznać? Zobaczyć?

- Zaczynam podejrzewać, że to Nella zabroniła im spotykać się z nami.

Szli ścieżynką wzdłuż potoku. Kolorowe domy lśniły jak klejnoty. Poza nimi nie widać było żywej duszy. Stanowiło to coś zupełnie nowego dla Szklarki, która przez ostatnich kilku lat mieszkała w gwarnym portowym mieście.

- Tu jest tak zawsze? - spytała, rozglądając się na wszystkie strony.

- Wydaje się, że tak... Przynajmniej gdy my tu jesteśmy. Chcesz teraz odwiedzić Nellę czy Sorbitę? A może wolisz pooglądać domy i wybrać coś dla nas? - Tę ostatnią propozycję wysunął wbrew sobie. Nie chciał mieszkać w dolinie Kai.

- Chodźmy do Sorbity. Wiesz przecież, że mam coś dla niej.

Potrząsnęła trzymanym w dłoni rulonem, który niosła przez całą drogę.

Przeszli przez mostek i po chwili stali już przed różowym pałacykiem. Scaber zapukał w szklane drzwi.

- Witajcie. - Sorbita obrzuciła Szklarkę uważnym spojrzeniem. - Zmieniłaś się od wczoraj.

Szklarka wzruszyła ramionami, czerwieniąc się lekko. Weszli do środka, przyjmując bez zdziwienia obecność Rossa w falującym jedwabiami salonie. Zostali posadzeni na białych krzesłach. Sorbita postawiła przed nimi kryształowe szklanki z sokiem. Szklarka wyczuwała jakieś napięcie. Może przyszli w nieodpowiedniej chwili? Nikt się nie odzywał. To Sorbita zniemacka przerwała milczenie. Pochyliła się ku Szklarce i odezwała się nabrzmiałym bólem głosem:

- Zazdroszczę ci, wiesz? Wyrwałaś się z rąk instruktorek, zanim wyrzuciły ci krzywdę. Przypląnąłaś tu z mężem, ze swoimi drobiazgami... Radośnie urządzisz się na wyspie i będziesz w spokoju wychowywać dzieci. Żadnej z nas nie było to dane!

- Instruktorzy zabiły mi matkę - powiedziała spokojnie Szklarka. - Ale rozumiem cię.

- Nie rozumiesz! - krzyknęła. - Nie wiesz, jak to jest, kiedy ci zabierają dziecko, a ty nie możesz nic zrobić! Nie możesz się ruszyć!

- Odzyskamy je - odezwał się milczący dotąd Ross.

Szklarka podała Sorbitce zwinięty ciasno rulon.

- Twoja córka ma na imię Ottina. Oto jej prace.

Cała wojowniczość opuściła Sorbitę. Nieśmiało wyciągnęła rękę po prezent. Przez chwilę w milczeniu gładziła papier, a potem podeszła do stołu i zaczęła na nim układać, kartka obok kartki, tętniące kolorami akwarelki.

- To dziecko jest genialne - wyszeptał Ross.

Sorbita nie mówiła nic. Stała nieruchomo, z rękoma opuszczonymi wzdłuż boków, a z jej oczu, kropla po kropli, spływały ciężkie łzy. Obróciła się w kierunku Szklarki.

- Dziękuję ci... i wybac, ja... - Rozłożyła bezradnie ręce.

Dwie kobiety patrzyły na siebie bez słowa. Szklarka wyciągnęła rękę i pogłaskała Sorbitę po ramieniu. Nie wiedziała, co powiedzieć. Nie miała do niej żalu o wcześniejszy wybuch. Rzeczywiście, nie miała pojęcia, jak to jest, gdy traci się dziecko. Sorbita otarła łzy wierzchem dłoni.

- Czy mo... ożesz mi o niej o... opowiedzieć? - poprosiła przerywanym głosem.

Szklarka przywołała w pamięci tę krótką wizytę w pracowni Deleny. Starła się odtworzyć każdy najmniejszy szczegół dotyczący Ottiny. Nie było tego wiele. Sorbita chłonęła każde słowo i co chwila muskała dłonią rozłożone na stole arkusze.

- Jakie piękne akwarelki! Ale to chyba nie twoje dzieło, Szklarko. Ty, jak słyszałam, specjalizujesz się w zdobieniu szkła i porcelany. O! Wyglądasz dziś... szczególnie...

Nikt nie słyszał, kiedy Nella weszła do pokoju. Dopiero gdy się odezwała, zauważyli jej obecność.

- Czy to tutejszy zwyczaj, że wchodzi się do kogoś bez pukania? - spytał Ross, unosząc brwi w wyrazie dezaprobaty.

- Jesteśmy jak rodzina, panie Claith.

- Zaczynam rozumieć, dlaczego inni zamieszkali w pewnym oddaleniu od tej „rodziny”. - Ross spojrzął znacząco na Scabera.

Nella nie raczyła odpowiedzieć, przyglądała się leżącym na stole szkicom.

- To prace mojej córki - powiedziała z dumą Sorbita.

Nella zmarszczyła brwi.

- Jak to - twojej córki? Skąd ten pomysł?

- To ja je przywiozłam - powiedziała spokojnie Szklarka. - Poznałam Ottinę,

córkę Sorbity, podczas mojej ostatniej wizyty na Wyspie Sierot. Dała mi w prezencie te akwarelki.

- Jesteś pewna, że to jej dziecko? - rzuciła oschłym tonem staruszka.

- Tak. Jestem pewna - odpowiedziała, patrząc jej w oczy, Szklarka.

Scaber uważnie przypatrywał się Nelli. Była wyraźnie niezadowolona, wręcz zaniepokojona. Nie wiedziała, co powiedzieć. Sorbita pieczołowicie składała zamalowane kartki.

- Takie rzeczy bardzo utrudniają akceptację życia na naszej wyspie - odezwała się w końcu Nella i wszyscy, nawet ona sama, poczuli, że była to bardzo niezręczna uwaga. Sorbita łypnęła na nią gniewnie.

- Co tam akceptacja. Zamierzam odzyskać moją córkę. Ross obiecał, że po nią wyruszy... za dziesięć lat, jak Ottina osiągnie pełnoletność.

- Czy do tego czasu zamierza pan korzystać z naszej gościnności, panie Claith? - Nella zmierzyła go wzrokiem. - Myśli pan, że statek będzie czekał na pana przez te dziesięć lat? Bo jeśli nie, to nie ma pan czym wrócić.

- To nie pani sprawa - odparował zimno Ross.

Mierzyli się wzrokiem.

- Nello, musisz wiedzieć... - Sorbita podeszła do Claitha i wzięła go za rękę.

- No właśnie - wszedł jej w słowo Ross. - Chciałem się dowiedzieć, jakie tu macie procedury dotyczące uroczystości ślubnych, gdyż zamierzam w jak najkrótszym czasie pojąć tę piękną kobietę stojącą u mego boku za żonę.

Nawet Sorbita wydawała się zaszokowana.

- Naprawdę chcesz...

- Oczywiście, że chcę. Inaczej po co bym tu wracał?

- Panie Claith, to poważna sprawa. - W głosie Nelli brzmiał gniew. - Jeżeli pan ożeni się z Sorbitą, to nie będzie pan mógł opuszczać wyspy, kiedy tylko się to panu spodoba.

- O, a dlaczegoż to?

- Bo mógłby pan potem nie wrócić, a to jej złamie serce!

- Myślę, że Sorbita i Ross mogą decydować za siebie - wtrącił spokojnie Scaber. - Są przecież dorośli.

- Uczucia was zaślepiają! - krzyknęła staruszka, tracąc resztki opanowania.

Dlaczego ona tak się wścieka? - zastanawiała się Szklarka, patrząc na trzęsące się ręce Nelli i jej wykrzywioną gniewnie twarz.

- Nello, o co chodzi? - spytała głosem, którego władcze brzmienie zaskoczyło wszystkich, łącznie z nią samą.

- Nie zrozumiesz tego, Szklarko. Jesteś tu dopiero od kilkunastu godzin. Nie wiesz, jak tu się żyje. Nie wiesz, jak pozornie drobne incydenty mogą na długo zburzyć spokój mieszkańców wyspy. Niestety jednej z nas przelewa się na pozostałych.

- Tak naprawdę to ty boisz się zmian - mówiła twardo Szklarka, patrząc staruszcze w oczy. - Nie chcesz dopuścić, by stało się coś ważnego, bo to zagroziłoby twojej spokojnej egzystencji. Pozostali mieszkańcy wyspy mogą myśleć inaczej niż ty.

- Teraz są szczęśliwi - wymamrotała Nella, spuszczać wzrok.

- Czy można być szczęśliwym, będąc więźniem? - Szklarka podeszła do okna, odsunęła zasłonę i mrużąc oczy, popatrzyła na zalaną słońcem dolinę. - Nawet luksusowe - więzienie pozostaje więzieniem.

- Nie mają wyjścia! - Nella zacisnęła pięści. - Gdyby opuścili wyspę, musieliby umrzeć.

- Jestem pewna, że niedługo to się zmieni - powiedziała Szklarka z przekonaniem, które zaskoczyło ją samą. Skąd wzięła się w niej ta pewność?

Scaber nie poznawał swojej żony. Stała z rękami założonymi na piersiach, wyprostowana, z oczami błyszczącymi jak dwie gwiazdy. Miał wrażenie, że cała jej postać jaśnieje. Nella także przypatrywała się jej z uwagą, a potem spytała:

- Kim ty naprawdę jesteś, Szklarko?

Już nie ciskała się w gniewie. Stała spokojnie, lekko przygarbiona, w skupieniu czekając na odpowiedź. Szklarka miała świadomość, że pozostali nie odrywają od niej wzroku. Co odpowiedzieć na to pytanie? Och, najprościej byłoby ujawnić swoje imię, ale wolała posłuchać przestrogi Irindy. Cisza przedłużała się. Lekki wiaterek wydał zasłony i poruszył wszystkie draperie, jakimi obwieszony był salon.

- Ja... widziałam drogę - wyszeptała w końcu pozornie bez związku.

- Niewidzialny wiadukt nad polem róż? - upewnił się Ross.

Skinęła głową. Nella opadła na stojące najbliżej krzesło.

- Zostałaś wybrana - powiedziała głucho.

- Wybrana?

- Dotychczas tylko ja kontaktowałam się z Corredo, teraz będzie to twoim zadaniem.

Szklarce przebiegł po plecach zimny dreszcz.

- Ale ja nie chcę!

- Wybrali ciebie. Nie masz się czego bać. Po prostu... - Nella wzruszyła ramionami. - Będiesz pilnowała, żeby wszystko odbywało się zgodnie z ich zaleceniami.

- Nic z tego! - Szklarka tupnęła nogą. - Nawet nie chcę ich widzieć.

Zaczęła drżeć, trochę ze strachu, a trochę z powodu innych, nie do końca sprecyzowanych emocji. Scaber przytulił ją mocno do siebie. Oparła głowę o jego ramię i odetchnęła głęboko.

- Nie po to uciekłam od instruktorek, żeby teraz spotykać się z ich pobratymcami

- wyjaśniła spokojnie.

- Oni są inni... - Słaby uśmiech przemknął po wargach Nelli.

- Jacy? - padło błyskawiczne pytanie ze strony Rossa.

Staruszka nie dała się zaskoczyć.

- Zobacz ich sama, gdy nadejdzie odpowiedni czas.

- Mam nadzieję, że nie nastąpi to zbyt szybko - mruknęła do siebie wciąż wtulona w Scabera Szklarka.

Ross mierzył Nellę oskarżycielskim wzrokiem.

- Nie mówiła nam pani, że widzi napowietrzną drogę.

Staruszka rzuciła mu kosę spojrzenie.

- A skąd ta pewność, że ją widzę? Nie dany mi był ten przywilej, który spotkał Szklarkę. Od samego początku, od pierwszego dnia na wyspie, moje stopy same wiedziały, dokąd iść. Bezbłędnie wyczuwały każdy niewidzialny trakt. No i... nie odczuwałam zmęczenia upałem. Czułam, że rozpiera mnie jakaś siła. I wtedy powiedziano mi to, co ja dziś powiedziałam tobie, Szklarko - że zostałam wybrana.

- Wobec tego proszę o wybaczenie. - Ross skłonił głowę. - I jeśli pani pozwoli, wrócę do tematu mojego ślubu.

- Proponuję urządzić go jak najszybciej, zanim wmieszają się w to obcy - powiedział ostrzegawczo Scaber.

- No to może dziś - rzucił niefrasobliwie Ross. - Chciałbym jednak, żeby na naszej uroczystości zgromadzili się wszyscy mieszkańcy wyspy. To przecież pierwszy ślub tutaj... a poza tym będzie okazja, żeby nareszcie ich zobaczyć.

Sorbita wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami.

- Ty chyba oszalałeś.

- Wcale nie. Tylko cię kocham i nie chcę, żeby ktoś pokrzyżował nam plany. Czy da się zaprosić na dzisiaj wszystkich tubylców? Wyspa nie jest chyba bardzo duża?

- To dałoby się zrobić - powiedziała z wahaniem Sorbita - ale trzeba by użyć...

Spojrzała niepewnie na Nellę. Ross zniecierpliwiony uniósł oczy ku górze.

- Znowu tajemnice! - westchnął.

- Mamy system wzywający w nagłych wypadkach - pospieszyła z wyjaśnieniem Sorbita. - Można go używać, gdy zaistnieją jakieś ważne powody.

- Nasz ślub jest bardzo ważnym powodem - powiedział stanowczo Ross.

- Nello? Czy możemy?...

- Nella nie jest gubernatorem wyspy - zabrzmiał twardy głos Scabera.

Szklarka popatrzyła na staruszkę. Poczowała nagły przypływ współczucia.

- Czy bardzo jesteś przeciwna tej uroczystości? - spytała, dotykając pomarszczonej dłoni.

- Scaber ma rację, nie jestem gubernatorem wyspy. Nie mam też mocy, która podtrzymywała mnie do tej pory. Jestem zwykłą starą kobietą. Teraz ciebie będą słuchać.

- Przecież ja nic nie wiem, nie znam waszych reguł, zwyczajów...

- To poznasz. - Nella podniosła się ciężko. - Pójdę już do siebie.

- Ale na nasz ślub przyjdiesz? - Sorbita zastąpiła jej drogę i zajrzała w okolone zmarszczkami niebieskie oczy. - Proszę...

- Naturalnie, że przyjdę.

Patrzyli, jak wolnym, trochę niepewnym krokiem opuszcza pokój.

- Ona... - wyszeptała przerażona Sorbita. - Ona się... zestarzała.

Szklarka miała wrażenie, że koniuszki jej palców wibrują od niezwykłej energii.

To ja odebrałam Nelli moc, pomyślała z poczuciem winy. Ale przecież tego nie

chciałam. Nie chciałam być wybrana. Przerazała ją perspektywa kontaktowania się z obcymi. Przerazała? Przyjrzała się uczciwie swoim uczuciom. Na początku rzeczywiście był lęk, ale teraz pojawiła się dziwna tęsknota... pragnienie, żeby ich zobaczyć.

- To jak, mogę wzywać ludzi na ślub? - rzuciła pytanie Sorbita.

- Dlaczego mnie pytasz? - Szklarka spłoszyła się. - Nie chcę tu rządzić. Nie traktuj mnie, jakbym była Nellą.

- No dalej, kochanie, nie wahaj się. - Ross pocałował Sorbitę w czubek głowy. - Jestem potwornie ciekaw, w jaki sposób przesyłacie sobie wiadomości.

- To nic skomplikowanego. - Kobieta wzruszyła ramionami.

Podeszła do ściany i odsunęła morelową draperię malowaną w herbaciane róże. Za zasłoną sterczał ze ściany srebrzysty rozek. Sorbita spojrzała za siebie, jakby oczekując, że ktoś ją powstrzyma. Wszyscy jednak wpatrywali się w nią z ciekawością. Dmuchnęła w róg dwanaście razy i z powrotem zaciągnęła zasłonę.

- To wszystko? - zdziwiła się Szklarka. - Nie było nic słyhać.

- Dźwięk rozlega się w każdym domu na wyspie. I nie pytajcie mnie, jak to się dzieje.

- Jak myślisz, ile czasu potrzeba, żeby wszyscy się zeszli? - spytał Scaber.

- Jakies dwie do trzech godzin.

- Chciałabym w tym czasie zobaczyć herbatę szczęścia. Jak daleko jest stąd do domu Irindy i Rena? - Szklarka popatrzyła pytająco na Scabera.

- Spokojnie zdążymy tam dojść i wrócić.

- Natomiast słowo „zobaczyć” - wtrącił się Ross - jest tu nieadekwatne. Powinnaś powiedzieć: „dotknąć”.

Szklarka potrząsnęła głową.

- Ciągle zapominam, że jest niewidzialna.

Wyszli z domu Sorbity i Scaber miał wrażenie, że zanurzyli się w kotle pełnym ognia.

- Co za potworny żar - jęknął.

- Tak, rzeczywiście - przyznała nieobecny głosem Szklarka. Na niej upał nie robił wrażenia. Z zachwytem rozglądała się na wszystkie strony. Cała dolina była jednym, wielkim, kwitnącym ogrodem. Różowe kwiaty oleandrów zdawały się wprost świecić na tle ciemnozielonych lancetowatych liści. Niektóre domy, obrośnięte bugenwillami, wyglądały jak purpurowe pochodnie.

I do tego te drzewka pomarańczowe z kulami złocistopomarańczowych owoców. I jeszcze jaskrawoniebieskie kielichy powojów. A tuż przy ziemi kobierce drobniutkich kwiatów, których nazwy nie znała. Co za bogactwo! Miała ochotę rozłożyć szeroko ręce i tańczyć z radości. Powstrzymała się, bo obok niej szedł Scaber - spocony, milczący i spięty.

4.

Cienista dolina, do której weszli, była oazą chłodu. Kamienny dom wyglądał swojsko i zapraszał, żeby w nim odpocząć. Szklarka od razu zrozumiała, dlaczego Scaber chciał, żeby zamieszkali obok Rena i Irindy. To miejsce przypominało mu rodzinne strony i pozbawione było egzotycznego uroku doliny Kai.

- Miło tutaj - zagadnęła pojednawczo. Wzrok jej padł na kwadratowe spłachetki upraw. - O! Widzę Irindę! Jest tam, przy tych niebieskich roślinkach.

- Co? - Scaber aż przystanął. - Co powiedziałaś?

- Że widzę Irindę.

- Przy niebieskich roślinkach?

- Tak. Ale o co ci chodzi? Dlaczego biegniemy?

Scaber ciągnął ją za rękę i pędził w kierunku plantacji.

- Irindo! Irindo! - wrzeszczał na cały głos.

Zwabiony okrzykami pojawił się również Ren.

- Co się stało? - spytał z niepokojem.

- Szklarka - wydyszał Scaber. - Szklarka widzi herbatę szczęścia...

- Och! - Irinda przyłożyła dłonie do policzków.

- Więc to jest herbata szczęścia? - Szklarka przykucnęła przy poletku obsadzonym roślinami, których nikt poza nią nie widział. Wzruszona dotknęła opuszkami palców włochaty niebieskawy liść.

- Thea Felicitatis - wyszeptala - teraz wiedziałabym już jak cię namalować.

- Ren... Ren, czy ty to widzisz? - spytała zdławionym głosem Irinda.

- Tak, kochanie, tak... widzę.

Szklarka obejrzała się na nich. Oboje płakali. Scaber wyglądał na wstrząśniętego.

- Co wam się stało?

- Theo, dzięki tobie herbata szczęścia stała się widzialna! - Scaber roześmiał się z całego serca. - Stało się to w momencie, gdy jej dotknęłaś! Nie rozumiesz? My też ją widzimy!

- Łódka! - Ren ocknął się z zauroczenia. - Natychmiast robimy próbę. Irindo, bierz roślinę i płyniemy!

- O co chodzi? - Szklarka ze zdziwieniem odprowadzała wzrokiem znikającą za skałami parę.

- Sprawdzają, czy teraz herbata szczęścia przetrwa poza wyspą. Jeśli tak... Theo... jeśli tak, to możemy wracać do domu. Wszyscy mogą.

Patrzył na nią wzruszony. Królowa wyspy Nut, jego Thea.

Możemy wracać do domu - Szklarka wcale nie była pewna, czy tego chce. Wyspa Nut jest taka piękna. Tyle rzeczy do oglądania, do malowania! I ta wolność! Świat bez instruktorek. A do tego tajemnicze, pociągające Corredo. Nie chciała stąd odpływać. Jeszcze nie teraz.

- Chodź, pokażę ci dom Rena i Irindy - powiedział Scaber. - Odpocznijmy sobie w środku. Trochę to potrwa, zanim wrócą.

Po drodze zerwał wysoką łodygę herbaty szczęścia obsypaną purpurowymi kwiatami i przyglądał się jej z niedowierzaniem. Ciągłe nie mógł się oswoić z tym, co się stało. I to dzięki jego żonie. Kiedy znaleźli się we wnętrzu, Szklarka

od razu opadła na zarzuconą poduszkami sofę.

- Bardzo tu przytulnie - westchnęła. - I tak swojsko z tym kominkiem. Musieli bardzo tęsknić za domem.

Scaber wyczuł jakąś sztuczność w jej głosie. Jakby myślami błądziła gdzieś daleko. Usiadł obok i objął jej szczupłe ramiona.

- Dokonałaś dziś wielkiej rzeczy.

- Hm... tak, chyba tak... - odpowiedziała wymijająco.

- Irinda i Ren pracowali nad tym przez wiele lat, a ty jednym dotknięciem...

Niespodziewanie usłyszeli kroki na schodach wiodących na pięterko. Ktoś schodził z góry.

- Ach! To wy! - zawołał Cecil, przechylając się przez balustradę. - A ja właśnie przeglądałem dokumentację dotyczącą kolejnych krzyżówek herbaty. Ren to bardzo skrupulatny człowiek. Wszystko ma pozapisywane. Że też na co dzień nie pracuję z takimi ludźmi. A co ty tam trzymasz w ręku, Scaber? Takiej rośliny jeszcze nie widziałem.

- Dotknij, a będziesz wiedział. - Scaber podał mu pęd herbaty szczęścia.

Cecil przesunął między palcami włochaty liść.

- Herbata szczęścia? - Popatrzył na nich z niebotycznym zdumieniem. - Skąd ją macie?

Opowiedzieli mu.

- Ależ to niesamowite! Niezwykłe! Muszę to zobaczyć! Muszę obejrzeć plantację! - Biegał tam i z powrotem. Nagle zatrzymał się w pół ruchu i z głębokim szacunkiem uklonił się przed Szklarką. - Ross miał rację, jesteś królową wyspy Nut.

Wybiegł na zewnątrz. Scaber poszedł do kuchni i znalazł tam dzban jakiegoś napoju. Nalał go do szklanki i zaniósł Szklarce. Siedzieli obok siebie w milczeniu.

- Teraz musimy czekać - powiedziała po dłuższej chwili Szklarka. - Nie będziemy szukać domu, nie będziemy zaprzyjaźniać się z wyspą, bo być może zaraz trzeba ją będzie opuścić.

- A tobie jest tu dobrze... - Głos Scabera był ledwie słyszalny. - Może wolałabyś zostać?

Zastanowiła się.

- Nie wiem. Na początku było mi przykro, że mamy stąd odjechać, że nie zdążę się nasycić tym pięknem, kolorami i słońcem... ale teraz czuję coraz większy niepokój, jakby coś strasznego miało się stać lada chwila. - Wstrząsnęła się. Scaber przysunął się do niej. Oparła głowę na ramieniu męża. Poczula wielkie znużenie. Nie rozumiała, co się z nią dzieje. Najpierw radość, rozpierająca ją energia, a teraz ten lęk. Skąd? Dlaczego? Przymknęła oczy i zaczęła przysypiać. To nie był głęboki sen. Zakłócał go głuchy niepokój, który powiększał się z minuty na minutę. Obudziły ją podniecone głosy dobiegające z zewnątrz.

- Wrócili - powiedział podniecony Scaber.

Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że cały ten czas wyczekiwał w napięciu na

wieści od Rena i Irindy. Nie musiał pytać o wynik. Irinda wbiegła z rozwianym włosom i rzuciła się Szklarce na szyję.

- Udało się, Theo! Udało się! Możemy wracać!

- Wy płynęliśmy dalej niż zazwyczaj - opowiadał tymczasem podniecony Ren. - Moglibyśmy tak płynąć i płynąć. Irinda cały czas czuła się świetnie. Żadnej słabości, żadnego omdlewania. A herbata szczęścia? Sami zobaczcie!

Podniósł nad głowę doniczkę z rośliną o niebieskich liściach.

- Musimy natychmiast wszystkich zawiadomić! - powiedziała gorączkowo Irinda, chłodząc sobie dłońmi rozpalone policzki.

- Możemy to ogłosić na ślubie Rossa i Sorbity. - Scaber roześmiał się.

- Jakim ślubie? - zdziwił się Ren.

- Nie otrzymaliście wiadomości? - zaniepokoiła się Szklarka. - Sorbita dmuchała w taki śmieszny rożek i powiedziała, że będzie go słycać we wszystkich domach.

- Byliśmy w tym czasie na zewnątrz. - Irinda zwróciła głowę w kierunku Cecila, który też przybiegł z plantacji, jak tylko zobaczył, że wracają znad morza. - Ty powinienes coś słyszeć. Przeglądałeś w tym czasie notatki Rena.

- Coś buczało. - Sarotian wzruszył ramionami. - Nie przypuszczałem, że to ważne.

- Właściwie powinniśmy już iść - stwierdził Scaber. - Uroczystość zacznie się lada moment.

- No to biegnę się umyć i przebrać. - Irinda pokazała ubrudzone ziemią ręce. Zakręciła się radośnie w kółko, cmoknęła Rena w policzek i pobiegła po schodach na górę. - Prawie nie wierzę w to, co się stało! - zawołała, przechylając się przez balustradę.

Wkrótce cała piątka maszerowała różnym krokiem w kierunku doliny Kai. Cecil piastował w objęciach donicę z herbatą szczęścia. Miał to być prezent ślubny dla nowożeńców. Na ramieniu niósł swoją wypchaną torbę, z którą, ślub nie ślub, nie miał zamiaru się rozstawać. Rozpierała ich radość. Co chwila ktoś wybuchał śmiechem - zupełnie bez powodu. Szklarka widziała, jak jej towarzyszy rozsada euforia i martwił ją własny stan ducha. Wciąż czuła narastający niepokój. Szła ze ściśniętym gardłem i ciężarem w żołądku. Momentami miała wrażenie, że ziemia drży pod jej stopami. W pewnej chwili aż przystanęła, chwytając Scabera za ramię.

- Czujesz?

- Co? - Popatrzył na nią zdziwiony.

- Wydawało mi się, że ziemia się trzęsie...

- Pewnie jesteś zmęczona.

- Mhm...

Wcale nie była zmęczona. Była przerażona. Kiedy wyszli na przełęcz, zobaczyli mieszkańców wyspy schodzących pojedynczo lub małymi grupkami w dolinę. W większości były to kobiety, ubrane w przepięknie haftowane suknie i przystrojone

rzucającymi błyski klejnotami. Szły w milczeniu i gromadziły się pod domem Sorbity. Witały się ze sobą lekkim skinieniem głowy. Mieniające się kolorami stroje miały w sobie więcej życia niż po zbawione wyrazu twarze ich właścicielek. Scaber pomyślał, że gdyby to były zwyczajne kobiety, zaraz rozpoczęłyby się pogaduszki i rozpytywania, o co w tym wszystkim chodzi. Dawne wychowanki Wyspy Sierot zachowywały rezerwę. Stały w wyczekującym milczeniu w cieniu drzew. Nie rozmawiały ze sobą. Niektóre rzucały ciekawe spojrzenia w kierunku Scabera i Szklarki, ale żadna nie podeszła, żeby zawrzeć znajomość. Było tak, jakby za wszelką cenę chciały zachować dystans między sobą a pozostałymi mieszkańcami wyspy. Tylko dwa starsze małżeństwa wymieniały się po cichu uwagami.

- Dziwne są te kobiety, nie uważasz? - szepnął Scaber.

Szklarka nie odpowiedziała. Przymknęła oczy i z niepokojem wsłuchiwała się w głucho dudnienie ziemi. Ross i Sorbita wyszli przed dom. Panna młoda wyglądała olśniewająco w srebrzystej sukni i srebrnym diademie na kruczoczarnych włosach.

- Drodzy przyjaciele! - Claith z szerokim uśmiechem rozejrzał się po twarzach gości i trochę spieszył go widok obojętnych spojrzeń. Odnalazł wzrokiem przyjaciół i kontynuował przemówienie, zwracając się już tylko do nich. - Chcę w waszej obecności pojąć za żonę tę oto piękną kobietę, która stoi u mojego boku. Ponieważ nie macie tu własnych formuł dotyczących zawierania związków małżeńskich, postanowiłem zdać się na własną intuicję oraz pomysłowość i zapoczątkować nową tradycję.

- Sorbito, czy zgodzisz się wziąć mnie za męża na całe życie?

- Tak. - Sorbita uśmiechnęła się.

- Ja także oświadczam uroczyście przed całą społecznością wyspy Nut, że pragnę cię wziąć za żonę i kochać do końca życia.

Wyjął z kieszeni małe pudełeczko.

- Przywiozłem obrączki - oświadczył - żeby wszystko było jak należy.

- Ależ on jest szybki - powiedział półgłosem Scaber.

- Tutejsze damy wydają się nieco zbite z tropu - szepnął Cecil.

Rzeczywiście, na dotychczas pozbawionych wyrazu twarzach zaczynały się rysować jakieś emocje. Zgromadzone kobiety patrzyły na młodą parę z niedowierzaniem i niepokojem. Może nawet z zazdrością. Nie było żadnych radosnych okrzyków i owacji. Wychowanki Anid Verdy, pomyślała Szklarka. Nieufne, zamknięte w sobie i odizolowane. Cecil zaczął bić brawo. Dołączyli się do niego Ren, Irinda, Szklarka i Scaber. Po chwili zabrzmiały słabe, grzeczne oklaski pozostałych.

- Czy tylko po to wezwano nas tutaj? - spytała ostrym głosem wysoka, chuda kobieta o przetykanych siwizną włosach związanych w gruby węzeł na karku.

Ross już otwierał usta, żeby odpowiedzieć, ale ubiegł go Cecil.

- Nie, nie tylko! - krzyknął, przepychając się do przodu z donicą w objęciach.

Staął obok Claitha.

- Oto herbata szczęścia! - zawołał, podnosząc roślinę wysoko w górę. - Dzięki niej możecie wszyscy opuścić wyspę i żyć w normalnym świecie bez strachu przed instruktorkami! Ren z Irindą to sprawdzili. To nasz prezent ślubny.

Zapadła głucha cisza. Wszyscy jak zahipnotyzowani wpatrywali się w Cecila, który wcisnął donicę w ręce zdumionego Rossa. Szklarka miała wrażenie, że za chwilę zemdleje. Ziemia drżała coraz mocniej, a w uszach narastał jej głuchy pomruk. Poszukała wzrokiem Nelli. Staruszka oparta na lasce stała w cieniu figowca. Oparta na lasce! A jeszcze wczoraj poruszała się jak młoda dziewczyna! Kobieta podniosła głowę i ich spojrzenia się spotkały. Szklarka zrozumiała w jednej chwili, że Nella też czuje to dziwne drżenie ziemi. Staruszka ruszyła powoli w kierunku młodej pary. Niewielki tłum rozstępował się przed nią z szacunkiem. Mieszkańcy wyspy patrzyli z przerażeniem, jak ta zawsze energiczna wybranka Corredo posuwa się teraz do przodu z wielkim trudem. Dotarłszy na miejsce, Nella zwróciła się twarzą do zaproszonych gości.

- Cieszę się - musnęła dłonią herbaciany krzew - że macie możliwość opuścić wyspę. Róbcie to jednak szybko, bo coś mi mówi, że Corredo nie pozostanie obojętne wobec przemiany, jaka się dokonała. Wyspa Nut, skoro przestała już być potrzebna, zostanie nam odebrana. Spieszcie się więc!

- A co z tobą? - zawołała jedna z kobiet.

- Chcę tu pozostać... do końca.

- No to się pakujemy - powiedział spokojnie Ross.

- Nie ma czasu na żadne pakowanie! - krzyknęła rozpaczliwie Szklarka. - Czy nie czujecie, że ziemia się trzęsie? Coś się dzieje z wyspą! Musimy ruszać natychmiast, inaczej za chwilę zginieemy!

- A kim ty w ogóle jesteś? - spytała niska kobieta o skośnych oczach.

- Jestem Szklarka... to znaczy... - Odetchnęła głęboko. - Jestem Thea Felicitatis.

Oczy Nelli rozszerzyły się ze zdumienia, a usta drgnęły, jakby chciała coś powiedzieć. W tym momencie wszyscy usłyszeli odległy grzmot. Niebo pociemniało. Mieszkańcy wyspy z niedowierzaniem patrzyli na gromadzące się chmury.

- Po raz pierwszy, odkąd tu jestem, zanoszą się na deszcz - powiedział ze zdziwieniem Ren.

- Na wyspie Nut nigdy nie pada - odezwała się sucho jedna ze starszych kobiet.

Znów zagrzmiało. Ziemia się zatrzęsła i teraz wszyscy to poczuli.

- Natychmiast uciekajcie! - krzyknęła rozkazująco Nella.

- Ale dokąd? - Tubylcy spoglądali po sobie bezradnie.

- Do Zatoki Okrętu! - Ren przejął dowodzenie i chwyciwszy żonę za rękę, zaczął biec.

Wszyscy ruszyli za nim. Trzeba przyznać wyspiarzom, że nie wpadli w panikę. Kobiety posuwały się szybko - ciche i zdyscyplinowane.

- Theo, na co czekasz? - Scaber szarpnął ją za ramię.

Szklarka obejrzała się do tyłu.

- Nello...

Staruszka wsparła się mocniej na lasce.

- Thea Felicitatis... Więc to prawda. Była taka przepowiednia, że kiedyś zjawi się ktoś, kto położy kres panowaniu instruktorek... Nie wiedziałam, że to będziesz ty, Szklarko. - Westchnęła głęboko. - Idźcie już. Zostało niewiele czasu.

Odwróciła się i wolnym krokiem zaczęła iść w stronę swojego domu.

- Nie możemy jej tak zostawić - jęknęła Szklarka.

- Musimy! Zobacz, co się dzieje!

Niebo nabierało odcienia głębokiego fioletu, a grzmoty przybierały na sile. Ziemia drgała tak, że co chwila tracili równowagę i upadali na ścieżkę. Zaczęli pędzić w kierunku skalnego przesmyku, za którym znikł Ren.

- Dokąd biegniemy? - wydyszała Szklarka.

- Nie wiem, Ren mówił, że do jakiejś zatoki.

Przemieszczali się pomiędzy skałami, gdzie ostre kamienie spadały na ścieżkę. Niektóre, na szczęście te mniejsze, trafiały także w nich. Z mrozącym krew w żyłach skrzekotem przeleciało nad ich głowami jakieś ptaszysko. W powietrzu rozlegało się głucho, szarpiące nerwy dudnienie. Pod ich nogami rozwarła się nagle szczelina.

- Skacz! - Scaber mocniej chwycił żonę za rękę.

- Nie mogę! Wszystko mnie boli! - Rozpłakała się. - Czuję, jakby mi ktoś rozrywał ciało na kawałeczki!

Ale skoczyła. Czubek buta zahaczył o krawędź rozpadliny i Szklarka upadła, raniąc sobie przy tym kolana do krwi. Scaber ostrożnie pomógł jej wstać. Jakiś ostry kamień przeleciał mu koło głowy i uderzył go w ramię. Syknął z bólu. Thea zwróciła na niego przerażone oczy.

- Jeszcze trochę, kochanie! Oprzyj się na mnie. - Nie wiedział, jak daleko jest cel, ale musiał jakoś pokrzepić Szklarkę, która słała się na nogach. Grad drobnych kamyków sypał im się na głowy. Skalne wierzchołki przechylały się nad nimi i Scaber starał się odsunąć od siebie myśl, co będzie, gdy któryś z nich zwali się na ścieżkę. Co kilka metrów droga gwałtownie skręcała. Mieli wrażenie, że znajdują się w jakimś skalnym labiryncie. Nagle zerwał się porywisty wicher i zaczął wrywać z korzeniami drzewa porastające zbocza tej krętej doliny. Parę razy w ostatnim momencie uniknęli uderzenia spadającej gałęzi. Skłębione wiązki traw wirowały w powietrzu, podrywane wściekłymi podmuchami. Od wejścia do przesmyku minęło już ponad pół godziny i Scaber zaczął się obawiać, że zabłądzili, ale za kolejnym zakrętem, zupełnie niespodziewanie odsłoniła się przed nimi otwarta przestrzeń oceanu. Jasne słońce odbijało się od powierzchni fal. Fioletowy mrok nie obejmował morza. Mała szalupa, obsługiwana przez Rossa i Rena, dopływała właśnie do brzegu, żeby zabrać ostatnią garstkę uciekinierów na staroświecko wyglądający statek, kołyszący się na wodzie kilkaset metrów od brzegu. Scaber i Szklarka wsiedli na końcu.

- Dobrze, że jesteście - ucieszył się Ross. - Martwiłem się, co się z wami dzieje.

- Nella została - powiedziała Szklarka, szcękając zębami.

Kiedy tylko odbili od brzegu, wyspą wstrząsnął huk. To skały otaczające

przesmyk, którym przed chwilą szli, zwały się na siebie. Mężczyźni wiosłowali jak szaleni. Byle dalej od szarpanego podziemnymi dreszczami ładu. Po sznurowej drabince wspięli się na statek i tak jak wszyscy pozostali, stanęli przy burcie, wpatrując się w spowitą fioletową chmurą wyspę Nut. Wierzchołki gór drżały i przemieszczały się jak żywe stworzenia, żeby za chwilę zapaść się w dolinę, wzbudzając wysokie fontanny pyłu. Szklarka drżała. Całe jej ciało przenikały ostre igły bólu. Każdy wstrząs, który targał wyspą, odzywał się echem w jej wnętrzu. Miała wrażenie, że to ona jest rozszarpywanym ładem. Odeszła od burty i usiadła skulona na pokładzie. Objęła rękoma kolana i zacisnęła zęby, żeby nie krzyczeć. Znowu huk i kolejny spazm bólu. Pomyślała o Nelli. Czy wiedziała, że czeka ją śmierć? Czy liczyła na to, że obcy ocalą jej życie. Zdała sobie nagle sprawę, że ktoś się w nią wpatruje. Szare, spokojne oczy, których spojrzenie przenikało do jej wnętrza. Ból ustał. Przestała też widzieć i słyszeć cokolwiek z tego, co działo się wokół. Znalazła się poza czasem i przestrzenią. Przed oczami wybuchła jej fontanna szalonych barw, które zaczęły się układać w kalejdoskop szybko po sobie następujących obrazów. Fantastyczne ogrody, zielone doliny, jaśniejące blaskiem pałace z kryształu i złota, unoszące się w powietrzu istoty podobne do aniołów. To było Corredo. Jakie piękne! Jej serce wyrывało się tam, ale wszystko znowu przysłoniły szare, spokojne oczy, które miały identyczny odcień jak oczy instruktorek. Powieki istoty z Corredo przymknęły się i Szklarka upadła na pokład. W pierwszej chwili nikt, tego nie zauważył, bo wszyscy z zapartym tchem obserwowali niezwykle widowisko, jakie rozgrywało się przed ich oczami. Niebo rozdzieliło się na pół i cała wyspa znikła, wessana w szczelinę, z której buchały jaskrawozielone płomienie. Zdumiewające, nieprawdopodobne wręcz, było to, że wokół nich morze było spokojne. Żadna większa fala nie zakochała statkiem.

- Irindo! Thea zemdlą! - zawołał Scaber, pochylając się nad żoną.

Kobieta podbiegła i ukucnęła obok leżącej Szklarki.

- Musimy ją przenieść w cień - powiedziała.

Ross odciągnął Rena na bok.

- Jesteś pewien, że to pudło jest zdatne do pływania?

5.

Coś się działo. Chamomilla była tego pewna, choć na pozór życie na Wyspie toczyło się według ustalonej od wieków rutyny. Dzieci budziły się na dźwięk gongu, posiłki podawano o tych samych porach, lekcje odbywały się według harmonogramu. A jednak... To w instruktorkach zaszła zmiana. Bardziej pospieszne ruchy, szybka wymiana spojrzeń, nagle zamyślenia... Gdyby tak dobrze nie знаła tych kobiet, sądziłaby, że trawi je jakiś tajemny niepokój. Ale czegoż miałyby się bać? Co im zagrażało? Cokolwiek to było, miała nadzieję, że nie dotyczy dzieci. Odprowadziła wzrokiem ostatnią grupę udającą się na

poranne zajęcia. Chwila wolnego. Wahala się przez moment, czy zostać w domu i posiedzieć spokojnie, popijając herbatę, czy też wybrać się na krótki spacer nad morze. Mimo chłodnego dnia zdecydowała się na to drugie. Morze było niespokojne. Kolejne fale z głośnym rykiem rozbijały się o skały. Wąska plaża u stóp klifu była prawie zupełnie zalana wodą. Chamomilla wystawiła twarz na podmuchy wiatru. Jej myśli mimowolnie powędrowały ku Szklarce. Gdzie teraz jest? Ostatnia informacja od niej była zaskakująca. Że wychodzi za mąż za Scabera Seduna i wyjeżdża z nim na wyspę Nut, bo tam nie dosięgną jej instruktorki. Co to za miejsce ta wyspa Nut? Chciała się o niej czegoś dowiedzieć i spytała pannę Grim, czy nie ma w bibliotece jakiejś książki na ten temat. Bibliotekarka uśmiechnęła się ironicznie i oświadczyła, że instruktorki nigdy by nie pozwoliły, żeby cokolwiek dotyczącego tej wyspy znajdowało się na ich terytorium. Na pytanie dlaczego, panna Grim wzruszyła ramionami. Mogło to znaczyć zarówno, że nie wie, jak i że nie chce powiedzieć. Zimno. Chyba dość nałykała się świeżego powietrza. Zaczęła iść wzdłuż krawędzi klifu i nagle zauważyła na dole jakąś drobną figurkę stojącą po kolana w wodzie. Wyteżyła wzrok. Niemożliwe, żeby to była któraś z dziewczynek! Serce zabiło jej z niepokoju. Pobiegła w kierunku wąskiej ścieżynki, którą można było zejść na plażę. W myślach robiła przegląd swoich podopiecznych i przekonywała samą siebie, że to nie może być żadna z nich. To rozsądne dzieci. Po pierwsze, nie mają zwyczaju uciekać z lekcji, a po drugie, tylko ktoś szalony mógł stać po kolana w lodowatej wodzie. Szalony... już wiedziała, kto to jest. Kiedy znalazła się w końcu na plaży, przekonała się, że odgadła prawidłowo. Stara Agda, przemoczona do suchej nitki, kiwała się w przód i w tył, nie zwracając uwagi na oblewające ją fale. Chamomilla zrzuciła buty, podwinęła spódnicę i weszła do lodowatej wody. Gruby materiał ubrania po kilku mokrych chluśnięciach nasiąknął wodą i krępował ruchy. Z trudem dobrnęła do staruszki.

- Chodź do domu, Agdo! - zawołała, przekrzykując wiatr.

Staruszka spojrzała na nią. Jej bezzębne usta wykrzywione były w groteskowym uśmiechu.

- Chodź, zmarzniesz tu i się rozchorujesz!

Objęła ją wpół i próbowała wyciągnąć z wody. Kobieta, na pierwszy rzut oka krucha i drobna jak dziecko, nie dała się ruszyć z miejsca. Uśmiechnęła się tylko jeszcze szerzej, jakby triumfująco. Chamomilla była zupełnie bezradna. Wyglądało na to, że obłąkana postanowiła coś w swym chorym umyśle i nie pozwoli nikomu popsuć swoich planów. Czy chciała się zabić? A może wymyśliła sobie, że idąc po falach, opuści Wyspę raz na zawsze. Dlaczego akurat dziś? W tym momencie między chmurami pojawił się niebieski prześwit. Jasne promienie słońca oświetliły szarpiące się kobiety. Agda wydała z siebie przejmujący okrzyk, schyliła się i prysnęła wodą prosto w Chamomillę. Krople zawisły w powietrzu kilka centymetrów od jej twarzy. Powoli, jakby poruszane niewidzialną siłą, ułożyły się w tęczy napis. To była tylko krótka chwila. Chmury znów przysłoniły słońce i słona woda dostała się do oczu Chamomilli.

Zapieкло. Po omacku zaczęła szukać chusteczki. Kiedy w końcu udało jej się wytrzeć twarz, zdała sobie sprawę, że Agda znikła. Na powierzchni fal, tuż przy skałach, unosiła się tylko jej burozielona chusta.

- Agdo! - Ryk wichru zagłuszył jej okrzyk. Wiedziała, że woła na próżno.

Przemoczona wydostała się na brzeg i drżąc z chłodu, weszła na klif. Oglądała się co chwila za siebie, chociaż zdawała sobie sprawę, że nikogo nie zobaczy. Dopiero teraz zaczęły się jej tłoczyć w głowie pytania, które powinna zadać sobie dużo wcześniej. Kim tak naprawdę była Agda? Skąd się wzięła? Dlaczego instruktorki trzymały ją na Wyspie - one, które pogardzały wszelką ludzką ułomnością? Już w domu, otulona ciepłym kocem, z kubkiem gorącej herbaty grzejącej dłonie, wróciła myślą do tego, co przez mgnienie oka zobaczyła dzisiejszego poranka. To na pewno nie była halucynacja. Tęczowe krople, którymi prysnęła jej w twarz Agda, ułożyły się w imię THEA FELICITATIS. I te same słowa wykrzyczała staruszka, zanim odeszła na zawsze. Dziwne, że Chamomilla tak dobrze je usłyszała mimo ryku fal.

6.

Statek miał chyba ze sto lat i należało się dziwić, że jeszcze unosi się na wodzie. Nigdy niekonserwowany popadł w ruinę. Drewno w wielu miejscach zbutwiało, liny rozpadały się w rękach. Ross obchodził wszystkie zakamarki z coraz posępniejszą miną. Był jedyną osobą mającą doświadczenie żeglarskie.

- Nie dopłyniemy daleko - zwierzył się chodzącemu za nim krok w krok Renowi.
- Kadłub przecieka w wielu miejscach, liny i żagle nie nadają się do użytku. Doceniam zapobiegliwość budowniczych okrętu, ale... - Z troską patrzył na zgromadzonych na pokładzie byłych mieszkańców wyspy Nut.

Wszyscy zachowywali godny podziwu spokój. Jedni stali przy burtach i wpatrywali się w błękitne fale oceanu, inni zwiedzali statek. Starsze osoby siadły w cieniu i rozmawiały półgłosem.

- Coś jednak musimy zrobić! - gorączkował się Ren.

- Dobrze by było, żeby ktoś zaopiekował się tymi ludźmi. Może ty? Trzeba im dać coś do roboty, zanim zaczną pytać, dlaczego nie stawiamy żagli i nie odpływamy. Niech przeszukają statek i wyniosą na pokład wszystko to, co wyda im się użyteczne - kawałki lin, tkaniny, narzędzia, deski, beczułki... Część tego może posłużyć do uszczelnienia kadłuba.

Ren skinął głową ze zrozumieniem. Od razu podszedł do najbliższej grupki kobiet i zaczął im przekazywać polecenia Rossa. Ubrane w absurdalnie wymyślne stroje wyspiarki okazały się osobami rozsądnymi i zdyscyplinowanymi. Scaber patrzył z daleka, jak sprawnie rozchodzą się po całym statku. Żadna nie szlochała, nie histeryzowała, nie użalała się nad stratą domu i wszystkiego, co posiadała. Żadna z nich nie wysuwała oskarżeń w kierunku grupki przybyszów, że zburzywszy spokojną egzystencję wyspy, przywiedli ich na ten statek, który miał wszelkie

szanse stać się pływającym grobem. Thea nie odzyskiwała przytomności. Irinda była bezradna bez swoich ziół i roztworów leczniczych, które zostawiła na wyspie. Strapiona stanęła przed Cecilem.

- Muszę spróbować poleczyć Szklarkę herbatą szczęścia - powiedziała przygnębiona - a żal mi każdego listka. Mamy tylko jeden egzemplarz rośliny. Co zrobimy, jak zacznie więdnąć? Czy uda nam się wyhodować nasiona? Jeśli te wszystkie kobiety zaczną nam nagle umierać...

- Rzeczywiście, mamy tylko jedną sadzonkę - powiedział poważnie Cecil, po czym uśmiechnął się szeroko i poklepał się po wypchanej torbie, którą cały czas miał przewieszoną przez ramię - oraz całą masę nasion. Pozwoliłem sobie nieco zaczerpnąć z waszych zasobów.

- Skąd wiedziałeś, że to wszystko tak się zakończy?

- Byłem przekonany, że tak radykalna zmiana właściwości herbaty szczęścia może pociągnąć za sobą konsekwencje rangi małej klęski żywiołowej. Jak widać, nie myliłem się.

Irinda popatrzyła na niego z takim podziwem, że aż się zaczerwienił z zakłopotania.

- Theo, spróbuj to przełknąć, no spróbuj. - Irinda przytykała do warg nieprzytomnej Szklarki zmięty skrawek błękitnego liścia.

- Trzeba otworzyć jej usta siłą - odezwał się nieoczekiwanie czyjś szorstki głos.

Tuż za Irindą stała siwiejąca kobieta o ostrych rysach. Jej suknia była sztywna od haftów przypominających starożytny gobeliny.

- A potrafisz to zrobić?

Bez dalszych wyjaśnień kobieta pochyliła się nad Szklarką. Zgrabnym ruchem nacisnęła żuchwę nieprzytomnej i sprawiła, że usta dziewczyny lekko się rozchyliły.

- Włóż szybko ten liść! - krzyknęła do Irindy.

Przypatrywały się Thei. Leżała bez ruchu. Długie, ciemne rzęsy rzuciły fiołkowe cienie na zapadnięte policzki. Wyglądała na bardzo wymizerowaną, jakby przeżycia ostatnich kilku godzin zupełnie ją wyniszczyły.

- Nawet nie przełknęła... - wyszeptała z rozpaczą Irinda.

- Może herbata zadziała i tak... A może trzeba dać jej wody...

- Wody!

- Tak, wody. Ale o ile się orientuję, nie posiadamy nic do picia. - Kobieta mówiła zupełnie beznamiętnym tonem. - Ani, jeżeli mam być dokładna, nic do jedzenia.

- Nie pomyślałam o tym - wyszeptała przerażona Irinda.

Dopiero teraz zrozumiała, w jak beznadziejnej sytuacji się znaleźli. Cóż z tego, że nareszcie mogą popłynąć w dal, mając herbatę szczęścia? Cóż z tego, że w końcu ziściło się pragnienie jej i Rena. Corredo się mści. I nie ma już dla nich ratunku.

- Nikt nie pomyślał. Ale cóż, i tak żyłyśmy dużo dłużej, niż nam to było przeznaczone.

Zamilkły.

- Więc jednak przegraliśmy. - Irinda odszukała wzrokiem Rena, który rozmawiał

o czymś z Rossem. Czy już zdał sobie sprawę, że nie ma dla nich ratunku?

- Tego nikt nie wie. - Starsza kobieta poklepała ją po ręce.

- Nigdy cię nie widziałam na wyspie. Jak masz na imię?

- Jestem LaOra. Po Nelli byłam najstarszą z wyspiarek.

- LaOra - powtórzyła z szacunkiem Irinda.

Legendarna pejzażystka z Wyspy Sierot. Jej szkice służyły młodszym pokoleniom jako wzór kompozycji. Mówiło się o stylu LaOry, wzgórzach LaOry, nawet o zieleni LaOry.

- Nie wiedziałaś, że mieszkam na wyspie Nut, bo osiedliłam się na odludziu i spotykałam się właściwie tylko z Nella.

- Jak dziwnie pomyśleć, że Nella nie żyje. - Irinda objęła rękami kolana i oparła na nich głowę. - Czy naprawdę my też musimy umrzeć?

Szklarka ciągle była nieprzytomna. Scaber miotał się po statku. To próbował pomagać Claithowi w sortowaniu gromadzonych na pokładzie rzeczy, to znów biegł zobaczyć, czy stan Thei uległ jakiejś poprawie. Na jego widok Irinda tylko potrząsała przecząco głową. Czuł w piersi coraz większy ciężar. Po co przywiózł Szklarkę na tę przeklętą wyspę! Dlaczego usłuchał Nelli?! Och, dobrze wiedział dlaczego i zdawał sobie sprawę, że nikt nie mógł przewidzieć tego, co się stało. Jednak kiedy przyglądał się nieruchomej twarzy żony, dręczyły go straszne wyrzuty sumienia. Przypominał sobie ostatnie chwile ucieczki z ogarniętego kataklizmem lądu, i to, jak Szklarka płakała, że wszystko ją boli. Była wybrana przez Corredo. Czyżby miała zginąć razem z wyspą Nut? Wczepił palce we włosy i jęknął. Fale odpowiedziały mu rytmicznymi, żalobnymi uderzeniami w kadłub okrętu. Słońce schowało się za horyzont i nad oceanem zapadła noc. Dwie naftowe lampy rzucały słabe światło na stos rupieci naznoszonych na polecenie Rossa.

- Wszystko to są mało przydatne śmieci. - Zniechęcony Claith kopnął zwój sparciałej liny. - W dodatku brakuje nam wody i żywności.

- Możemy łowić ryby - powiedział beztrąsko Cecil.

Botanik, o dziwo, najmniej z nich trzech przejmował się całą sytuacją. Uparcie wierzył, że niebawem natkną się na jakąś wyspę, która dostarczy im wody i owoców. Ross, słysząc te optymistyczne prognozy, tylko wzruszył ramionami. Podświadomie oczekiwał chwili, kiedy zaczną do niego dochodzić skargi, płacze i lamenty, i aż kulił się wewnątrz na myśl, że będzie musiał stawić im czoła. Na razie było spokojnie. Kobiety poukładały się do snu na pokładzie, starając się przybrać jak najwygodniejsze pozycje. Nikt go nie niepokoił. Sorbita siedziała oparta o maszt i patrzyła na niego ze współczuciem.

- Prześpij się trochę - powiedziała miękko.

- Nie mogę spać... - Apatycznie patrzył na wschodzący księżyc. - Jestem odpowiedzialny za tych wszystkich ludzi, za ciebie.

- Nie sądzę. - Spojrzała mu w oczy. - Nikt nie oczekuje, że staniesz się naszym wybawcą. Sam sobie nałożyłeś ten ciężar.

- Ktoś musiał to zrobić.

Sorbita pokręciła przecząco głową.

- Spójrz na nich wszystkich - śpią. Są spokojni. Przyzwyczaili się do opieki Corredo i nadal na nią liczą.

- Ty też?

Skinęła twierdząco.

- Ależ to absurd! Wyspa Nut nie istnieje! Obcy nie mogą się już z wami kontaktować i pomagać, nawet gdyby chcieli... w co wątpię.

Sorbita westchnęła.

- Jak uważasz.

Umościła sobie legowisko ze strzępów płótna żaglowego i zamknęła oczy. Ross patrzył z zazdrością na jej piękną twarz emanującą spokojem. Niestety, nie podzielał optymizmu poślubionej przed kilkoma godzinami żony.

7.

Scaber siedział przy postaniu Szklarki. Irinda i stara kobieta zwana LaOrą podsypiały skulone, opierając plecy o wysoką burtę. Niemal na równi ze złym stanem Thei przygnębiała go apatia i bezradność Claitha. Przyzwyczaił się, że Ross potrafi znaleźć rozwiązanie w każdej sytuacji i jego obecny pesymizm był najlepszym wyznacznikiem tego, w jak trudnym położeniu się znaleźli. Tym statkiem rzeczywiście daleko nie dopłyną. Pogłaskał chłodny policzek żony. Była taka niezwykła, taka inna od wszystkich kobiet, które znał. Niechciana ukazała mu się twarz byłej narzeczonej. Zakłuło go wspomnienie tego, jak głupio dał się jej zwieść. Omal nie utracił wtedy Szklarki. Zdał sobie nagle sprawę, że nawet gdyby przyszło mu tu umrzeć, to nie zamieniłby tych kilku miesięcy, które przeżył razem z Theą, na długie i dostatnie życie u boku Pepperii. Zaczynało świtać. Pasażerowie wstawali i rozcierali zeszywniałe od niewygodnej pozycji kończyny. W świetle poranka nędza statku znowu odkryła swoje przygnębiające oblicze. Bardzo dziwnie prezentowały się tu misternie haftowane stroje i migoczące drogimi kamieniami diademy uciekinierek z wyspy Nut. Irinda otworzyła oczy i jej wzrok od razu powędrował ku Szklarce.

- Nic się nie zmieniło - poinformował ją ochryplym głosem Scaber.

Chciało mu się pić. W miarę jak słońce wznosiło się nad horyzontem, pragnienie stawało się coraz dokuczliwsze. Niebo, pozbawione najmniejszej chmurki, lśniło bezlitosnym błękitem. Thea wyglądała tak spokojnie. Może lepiej niech pozostanie nieprzytomna. Przynajmniej oszczędzone jej będą męki głodu i pragnienia. W tym momencie od strony lewej burty dobiegły głośnie okrzyki.

- Co się stało? - zaniepokoiła się Irinda. - Mam nadzieję, że nikt nie wpadł do morza.

- Zobaczyli statek - powiedziała Szklarka, otwierając oczy. Poszukała nimi Scabera i uśmiechnęła się z wysiłkiem.

- Och, Theo, jak to dobrze, że się obudziłaś! - Chciał obsypać ją pocałunkami, ale bał się, że sprawi jej ból - wydawała się taka krucha. Więc tylko głaskał ją delikatnie po twarzy i po rękach. Wzbierające pod powiekami łzy zamazywały obraz ukochanych rysów.

- Jaki statek? - LaOra wyprostowała się i próbowała coś dostrzec na powierzchni wody.

- Pewnie jej się śniło. - Irinda machnęła ręką.

Szklarka zwróciła wzrok na nieznaną jej osobę.

- To „Roxilona”, statek, którym przyплыliśmy na wyspę Nut

- wyjaśniła spokojnie. - Musiałam go tu sprowadzić... inaczej wszyscy byśmy zginęli.

Scaber poczuł nagły przypływ sił. Wstał tak gwałtownie, że aż zakręciło mu się w głowie. Wierzchem dłoni otarł oczy. Przeczesał wzrokiem przestrzeń oceanu i szeroki uśmiech wypłynął mu na twarz.

- Kochanie! - Uklęknął przy Szklarce. - Masz rację! To „Roxilona”.

Pomógł jej się podnieść. Była tak słaba, że musiał ją wziąć na ręce.

- Jesteś lekka jak piórko - zauważył ze zdziwieniem.

- Po tej pracy, którą dla nas wykonała, musi być kompletnie wycieńczona - rzekła LaOra.

- Pracy? - Irinda nie zrozumiała.

Kobieta uśmiechnęła się tajemniczo i nic nie odpowiedziała. Kiedy, posuwając się powoli, dotarli do burty, część pasażerów była już w drodze na „Roxilonę”. Scaber pomógł Szklarce zejść do drugiej szalupy. Ross ostatni opuszczał statek. Na jego twarzy malowała się olbrzymia ulga.

- Nie powiem, żebym czuł sentyment do tej pływającej trumny - burknął.

- Zapominasz, że ta trumna uratowała nam życie - odpowiedziała uszczypliwie Irinda. - Do końca moich dni będę wdzięczna jej konstruktorom.

- Ciekawe, kim byli - rzucił Scaber.

- Nazywali się Cirrtrixix i Sertrovinths, jeśli ci to coś mówi

- odpowiedział Ross. - Takie imiona, czy też nazwiska znalazłem wyryte na specjalnej tabliczce w sterówce.

- To corrediańskie imiona - odezwała się milcząca dotąd Szklarka.

- Myślisz, że ten statek zbudował ktoś z Corredo! - wykrzyknęła Irinda.

- Wątpię w to. - Claith pokręcił głową. - Ten okręt jest zbyt prymitywny.

- Może nie chcieli dawać nam czegoś, co by zdradzało ich tajemnice - wysunął przypuszczenie Scaber. - Przecież pamiętasz, jak zachowała się Nella, gdy zobaczyła twoje szkice maszyn.

W chwili gdy szalupa dobijała do „Roxilony”, kapitan statku wychylił się przez burtę i przyglądał się uważnie przybyszom. Drgnął, kiedy zobaczył Szklarkę. Z nabożnym niemal szacunkiem pomógł jej wejść na pokład.

- Nie wiem, jak to pani zrobiła - powiedział - ale jak widać, udało się.

Większość załogi zgromadziła się wokół ślaniającej się na nogach Szklarki.

- Mogę wiedzieć, o co chodzi? - spytał Scaber, podtrzymując żonę i obrzucając

zirytowanym spojrzeniem gapiących się na nią marynarzy.

- Zaraz po tym, jak znikła wyspa Nut - zaczął kapitan - zobaczyliśmy panią Szklarę stojącą na wodzie i dającą nam znaki. Pierwszy dostrzegł ją sternik i pomyślał, że ma przywidzenia. A potem doszedł do wniosku, że to po prostu duch. Byliśmy przecież pewni, że wszyscy zginęliście. Rzekomy duch jednak ciągle dawał znaki, pokazywał na kierunek północno-wschodni, wyraźnie oczekując, żebyśmy tam płynęli. Sternik zawołał mnie, żebym zdecydował, co robimy. Obawiałem się jakiejś pułapki ze strony tego diabelskiego miejsca, ale pańska żona patrzyła tak błagalnie, że w końcu zdecydowałem się jej ulec. Płynęliśmy całą noc, a pani Szklarka szła przed nami po falach. O świcie zobaczyliśmy wasz okręt.

- Corredo znów pospieszyło nam z pomocą. - LaOra rzuciła znaczące spojrzenie w kierunku Irindy. - W głębi ducha cały czas w to wierzyłam.

- No i wracamy do domu! - Scaber delikatnie uściskał Szklarę.

- To dobrze. - Posłała mu słaby uśmiech. - Wyspa Nut była piękna, ale... nie nasza.

- Zobaczysz, w Versathis też jest pięknie. - Wziął ją na ręce i ostrożnie poniósł w kierunku kajuty.

Zakończenie

Farthen Brake zacumował przy przystani i wyskoczył na brzeg. Stał przed kamiennym obeliskiem w kształcie odwróconej litery L. Z poprzecznego ramienia tej dziwacznej konstrukcji zwisał dzwon. W ciągu całego swego życia Brake ani razu go nie użył. Nie musiał. Jego ojciec i dziadek, i wszystkie pokolenia przewoźników promu kursującego na Wyspę Sierot... żaden z nich nie miał powodu do alarmowania Pań Wyspy. Aż do tej chwili. Przełknął ślinę. No już. Nie ma co zwlekać. Pociągnął za upleciony ze złotych włókien sznur. Trzy razy. Tak jak to było od wieków zapisane w Księdze Przewoźnika. Dźwięk dzwonu niósł się echem w nocnym powietrzu. Przenikliwy, uporczywy i żałobny. Pojawiły się, jak tylko przebrzmiał. Pani Estrella, pani Anid Verda i pani Delena.

- Mów! - rozkazała przełożona.

- Stało się nieszczęście, wielmożne panie.

Jasne, nieruchomo wpatrujące się w niego oczy kobiet budziły w nim przerażenie. Przesząpił z nogi na nogę. Czekwały w milczeniu, nieruchome jak posągi.

- Ta pani, co ją miałem zawieźć na brzeg... Pani Tadea... Ona nie żyje.

Nie poruszyły się. Ich nieruchome twarze nie wyrażały ani smutku, ani zaskoczenia.

- Jak to się stało? - spytała Anid Verda.

- Dopływaliśmy już do brzegu i ona... to znaczy pani Tadea, stała na pokładzie i nagle... - gwałtownie zaczerpnął powietrza - nagle ona zrobiła się siwa... i bardzo stara, a potem... potem...

Nie mógł dokończyć, choć ciągle miał przed oczami ten przerażający widok.

- Rozsypała się w pył - dokończyła za niego Anid Verda. - Dziękujemy ci. Możesz odpłynąć do domu. I nigdy już tu nie wracaj. Zostałeś zwolniony.

- Dla twojego dobra - dodała sucho Delena.

Stał z otwartymi ze zdumienia ustami. Skąd wiedziały, że ta cudzoziemka przekształciła się w mgnieniu oka w rozwiewaną przez wiatr garstkę prochu? Może lepiej, że już nigdy nie postawi nogi na tym brzegu. Po raz ostatni spojrzął na Panie z Wyspy i jego serce ścisnął lodowaty strach. Prawie biegiem ruszył w stronę promu. Drżącymi rękami odwiązał cumę i wskoczył na pokład. Nie był człowiekiem zbyt spostrzegawczym, ale nietrudno było zauważyć, że gładkie od wieków twarze instruktorek pokryły się nagle siateczką drobnych zmarszczek. Dałby głowę, że jeszcze przed paroma minutami nie miały ani jednej.

Zapach porannej kawy i gorących bułeczek. Ukośny promień słońca wpadający przez okno i rozświetlający zielone ściany saloniku. Scaber siedzący po przeciwnej stronie stołu i nakładający na talerzyk porcję wiśniowego dżemu.

- Czemu tak mi się przypatrujesz, Theo?

- Jestem szczęśliwa - odpowiedziała zamyślona. - Jest tak spokojnie... Wiem, że powinniśmy w końcu pojechać do twoich rodziców. Wiem, że należałoby zadbać o posiadłość w Versathis... Ale ten miesiąc, który spędziliśmy tutaj, był taki wyjątkowy. To szczególny czas, który już nigdy się nie powtórzy. Obawiałam się trochę, jak to będzie, gdy zamieszkamy w miejscu, które uważałam dotychczas za wyłącznie swoje. Zastanawiałam się, czy to nie będzie trudne...

- A teraz jak myślisz?

- Cieszę się, że jesteś moim mężem - powiedziała po prostu. - Dobrze mi z tobą i tutaj, i wszędzie.

Usłyszeli pospieszny tupot na schodach. To Verka wracała z miasta.

- Panno Szklarko! Och, panno Szklarko! - zaczęła wołać, jak tylko wpadła do mieszkania (Wciąż tak ją nazywała. Nie mogła się przyzwyczaić ani do nowego imienia, ani do tego, że Thea nie jest już panną).

Usłyszeli niecierpliwe pukanie do drzwi saloniku.

- Możesz wejść, Verko.

Dziewczyna otworzyła drzwi czerwona i zdyszana.

- Co za nowina! Byłam na targu rybnym przy samym porcie i wszyscy tylko o tym mówili, jak to wyleciało w powietrze! Rybacy mówili, że o świcie zobaczyli błysk i wszystko wybuchło. A jak potem podpłynęli - pewnie myśleli, że po wodzie pływają jakieś skarby, to się okazało, że tam nie ma nic, ani skraweńka ładu nawet.

- Ciągle nie wiemy, co wybuchło i zniknęło - zauważył spokojnie Scaber.

Szklarka wiedziała. Jeszcze zanim Verka ponownie otworzyła usta, ona już wiedzona przeczuciem zrozumiała, co się stało.

- No przecież Wyspa Sierot, a cóż by innego! Ludzie mówią, że to panie instruktorki same ją zniszczyły, bo się zaczęły starzeć.

Scaber i Szklarka wymienili spojrzenia. Pomyśleli o setkach małych sadzonek,

które Cecil pracowicie wyhodował podczas podróży. I jak potem sadzili je w skrzynkach obok kwitnących pelargonii i na obrzeżach lasów, i przy drogach... A one przyjmowały się bez kłopotu i rosły chyba nawet lepiej niż w rodzimej glebie.

- Zniszczyły Wyspę. Koniec z instruktorkami - powiedziała Szklarka, z niedowierzaniem kręcąc głową.

Świat został uwolniony od tych strasznych kobiet! Ależ to nie do wiary! Miała ochotę skakać z radości. Od powrotu z wyspy Nut tliła się w niej mglista obawa, że lada moment Anid Verda wkroczy w jej życie, żeby na nowo nim zawładnąć. Ciekawe, czy pozostali znają już radosną nowinę - Ren i Irinda, Sorbita... Myśl o Sorbitcie zmroziła ją. Ottina! Radość prysła, a w jej miejsce wdarło się przerażenie.

- Theo, co ci jest? - spytał Scaber, widząc jej zmienioną twarz.

- Dzieci... - szepnęła. - Czy... nie odesłały wcześniej jakichś dzieci na ląd? - spytała z drżeniem.

- Dzieci? - Verka pokręciła głową. - Nic nie wiem o żadnych dzieciach. Ostatnią osobą, która widziała poprzedniego wieczoru panie instruktorki, był stary przewoźnik Farthen Brake. Nie brał ze sobą żadnych osób. Mówił, że panie nie kazały mu już nigdy wracać... No i po prawdzie nie miały do czego.

Szklarka pomyślała o Chamomilli, a potem o Ottinie i zagryzła wargi aż do krwi. Czy Sorbita już wie? Gdyby nie herbata szczęścia, te wszystkie dziewczynki mogłyby nadal żyć. Poczwała obejmując ją ramiona Scabera.

W mieszkaniu panowała grobowa cisza. Mijały godziny. Szklarka, pogrążona w cichej żałobie, siedziała skulona na sofie. Odmawiała przyjęcia jakiegokolwiek pocieszenia. Kiedy minął pierwszy szok, zaczęła się oskarżać, że to między innymi za jej przyczyną stało się nieszczęście. Żadne logiczne argumenty do niej nie trafiały, więc Scaber szybko ich zaprzestał i teraz trwał obok w milczeniu. Mógł jej ofiarować jedynie swoją obecność. Jakiś powóz zatrzymał się przed domem. Rozległ się dzwonek i Verka pobiegła otworzyć.

- Proszę pani, państwo Claith...

Szklarka poderwała się gwałtownie. W drzwiach stał Ross, podtrzymując bladą jak ściana żonę.

- Sorbito... ja... Wybacz...

- Wszyscy sadziliśmy herbatę szczęścia. - Sorbita postąpiła krok w jej stronę. - Nie mam zamiaru cię oskarżać. Przyjechałam cię prosić... Namaluj portret mojej córeczki... tak jak ją zapamiętałaś.

Usta zaczęły jej drżeć i łzy, które wstrzymywała od chwili otrzymania tragicznej wiadomości, popłynęły wezbraną falą.

- Jeśli tylko będę potrafiła... - obiecała rwącym się głosem Szklarka.

- Czy możesz zrobić to teraz?

Oczy Sorbity miały tak błagalny wyraz, że nie pozostało nic innego, jak tylko twierdząco skinąć głową. Gwar dochodzący z ulicy przypominał, że życie toczy się dalej. Jakieś dziecko o coś pytało, ktoś mu odpowiadał. Czyjeś buty stuknęły o

bruk. Znowu zadźwięczał dzwonek.

- Panno Szklarko, mój Robi do pani - zaanonsowała Verka cała w rumieńcach. - Nie chciał wchodzić. Prosi, żeby pani zeszła na dół.

Robi. Co za moment sobie wybrał na odwiedzin! Powstrzymała się jednak od wyrażenia irytacji. Nie chciała urazić Verki, która patrzyła w chłopaka jak w tęczę.

- Poczekajcie, za chwilę będę z powrotem - zwróciła się do Sorbity i Rossa.

Zeszła pospiesznie po schodach. Robi czekał na dole w sieni, jak zwykle trochę potargany, ale znacznie mniej chudy, odkąd Verka regularnie podkarmiła go swoimi wypiekami.

- Robi? Już jestem. O co chodzi? - Nie potrafiła opanować ostrego tonu.

- Wybacz, że cię niepokoję, ale jakaś kobieta z gromadą dziewczynek zjawiała się dzisiaj rano, nie wiadomo skąd, w Królewskiej Bibliotece i mówi, że ciebie zna i żebym ją zaprowadził do twojego mieszkania. Wyobraź sobie, że ten stary dziwak Jos Elt wstawił się za nią i powiedział, że na pewno ją przyjmiesz.

Szklarka przycisnęła dłoń do gwałtownie bijącego serca.

- Gdzie one są?

- Czekają na zewnątrz.

Wybiegła z mrocznej sieni i na chwilę przystanęła, oślepiąca słonecznym blaskiem. Zanim jej wzrok przyzwyczaił się do światła, zatonęła w czymś mocnym uścisku.

- Chamomillo! Myślałam, że już nigdy cię nie zobaczę! Myślałam, że zginęłaś! Że instruktorki nie oszczędziły nikogo! - Popatrzyła przez łzy na okrągłą, miłą twarz przyjaciółki. - Jak wam się udało przeżyć?

- Ocalałyśmy dzięki Avenidom. Kiedy zadźwięczał dzwon na przystani, przybiegła do mnie panna Grim. Kazała natychmiast pozbierać wszystkie dzieci i schronić się z nimi w bibliotece. Potem... po prostu przeprowadziła nas do tego staruszka.

Dzieci... Szklarka popatrzyła ponad ramieniem Chamomilli. Dziewczynki w różnym wieku rozglądały się wokół siebie i pożerały każdy szczegół ciekawym wzrokiem. Starsze wychowanki trzymały na rękach niemowlęta. Poszukała wzrokiem znajomej buzi, w której błyszczały żywo czarne oczy. Podeszła do dziewczynki i wzięła ją za rękę.

- Panna Szklarka? - zapytał niedowierzająco radosny głosik.

- Chodź ze mną, chciałabym, żebyś kogoś poznała. Chamomillo, wprowadź dzieci do środka. Mieszkamy na piętrze.

Pchnęła drzwi do saloniku. Ross pierwszy zobaczył, kogo ze sobą przyprowadziła i oczy rozszerzyły mu się ze zdumienia.

- Sorbito! - wykrzyknął. - Spójrz!

Jego żona odwróciła się i jej wzrok padł prosto na dziewczynkę stojącą u boku Szklarki.

- Ottino - powiedziała Thea Felicitatis - to jest twoja mama.

W odległym zakątku Królewskiej Biblioteki stary Jos Elt grzebał w stosie książek leżących niedbale w kącie. Grzebał i grzebał, aż w końcu wyciągnął stary, zakurzony tom. Przetarł rękawem okładkę, na której zalśniły złote litery tytułu.

- Czas wracać do domu - zwrócił się do stojącej obok panny Grim. - Nasza misja skończona.

Otworzył księgę. Panna Grim weszła pierwsza, a za nią starzec. Przez chwilę nic się nie działo, a potem, jak poruszana niewidzialną ręką, księga sama się zamknęła i powoli zaczęła znikać. Gdyby ktoś był w tym czasie w owym zakątku biblioteki, mógłby jeszcze przez chwilę widzieć złote litery układające się w napis *CORREDO*.